

Kerryelyn Sparks

Wampir z sąsiedztwa

Przeład
Katarzyna Makaruk

Amber

Rozdział 1

Heather Lynn Westfield była w siódmym niebie. Kto by uwierzył, że sławny paryski dyktator mody Jean-Luc Echarpe otworzy ekskluzywny salon w środku hrabstwa Teksas Hill? Cokolwiek pił Jean-Luc Echarpe, gdy podejmował tę decyzję, musiało być dość mocne, żeby wyskoczyć ze skarpetek. W tym wypadku - jedwabnych skarpetek z haftowanym słynnym logo w kształcie *fleur-de-lis*¹ za dwieście dolarów para.

Heather chciała kupić jakiś drobiazg na pamiątkę wielkiego otwarcia Le Chique Echarpe i skarpetki były najtańszą rzeczą, jaką udało jej się znaleźć. Hm, czy powinna wydać pieniądze na coś, czego kompletnie nie potrzebuje, czy też zapłacić kolejną ratę za chevroleta z napędem na cztery koła? Prychnęła i odrzuciła skarpetki z powrotem na szklaną półkę.

Przyszedł jej do głowy genialny pomysł. Może przecież zwinąć którąś z darmowych przystawek, zapakować w plastikową torebkę, opatrzyć etykietką „Wielkie Otwarcie ekskluzywnego butik Echarpe'a” i trzymać w zamrażarce w nieskończoność.

- Heather, dlaczego przyglądasz się męskim skarpetkom? - Zdumienie na twarzy Sashy ustąpiło miejscaprzebiegłemu uśmieškowi. - Och, już wiem! Chcesz kupić coś dla nowego kochanka.

Heather roześmiała się, zabierając krabowe ciasteczko przechodzącemu obok kelnerowi.

- Chciałabym.

Nigdy nie miała kochanka. Nawet były mąż nie podpadał pod tę kategorię. Zawinęła ciasteczko w papierową serwetkę i wsunęła do małej czarnej torebki.

Klientki przechadzały się dumnie w sukniach, które kosztowały tyle, że wystarczyłoby na odbudowę Nowego Orleanu. Ich szpilki stuknęły na szarej marmurowej posadzce. Heather miała nadzieję, że nie zauważą, że swoją czarną koktajlową sukienkę uszyła sama.

Na szklanych ladach wyłożono torebki i apaszki sygnowane nazwiskiem projektanta. Na piętro prowadziły eleganckie kręcone schody. Część wyższej kondygnacji oddzielono szkłem refleksyjnym. Lustra weneckie, domyśliła się Heather. Wszystko kosztowało tu tyle, że pewnie armia ochroniarzy obserwowała zza nich klientów z czujnością jastrzębi.

Ściany na parterze miały delikatny szary odcień i pyszniły się serią czarno-białych fotografii. Podeszła, żeby przyjrzeć im się z bliska. No, no, no, księżna Diana w sukni Echarpe'a, Marilyn Monroe w sukience Echarpe'a, Cary Grant w smokingu Echarpe'a. Facet znał wszystkich.

- Ile lat ma Echarpe? - spytała Sasha. - Siedemdziesiąt?

- Nie wiem. Nigdy go nie spotkałam. - Sasha odwróciła się, jakby była na wybiegu, i rozejrzała wokoło, żeby sprawdzić, kto na nią patrzy.

- Nigdy go nie spotkałaś? Przecież kilka tygodni temu brałaś udział w jego pokazie w Paryżu?

Odkąd Heather i jej najlepsza przyjaciółka Sasha odkryły, że ich lalki Barbie mają dużo fajniejsze ciuchy niż ktokolwiek w maleńkim miasteczku Schnitzelberg w Teksasie, obie marzyły o wspaniałej karierze w świecie wielkiej mody. Heather była teraz nauczycielką, Sasha natomiast została wziętą modelką. Ogromna dumą z przyjaciółki walczyła w Heather z niechętną zazdrością.

Sasha parsknęła przez chirurgicznie pomniejszony nos.

- Nikt już nie widuje Echarpe'a. Jakby go ziemia pochłonęła. Niektórzy twierdzą, że padł ofiarą swojego geniuszu i postradał rozum.

- Jakże to smutne. - Heather się skrzywiła.

- Zupełnie przestał się zajmować pokazami. I na pewno nie zawracałby sobie głowy salonem firmowym w środku takiej głuszy. Od tego są maluczcy. - Sasha wskazała szczupłego mężczyznę po przeciwnej stronie sali i szepnęła: - To Alberto Alberghini, osobisty asystent Echarpe'a. Zastanawiam się, jak bardzo osobisty.

Heather zmierzyła wzrokiem jego lawendową koszulę z żabotem. Kłapy czarnego smokingu ozdabiały koraliki i cekiny.

- Chyba wiem, co masz na myśli. Sasha nachyliła się jeszcze bardziej.

- Widzisz te dwie kobiety obok staruszka z laską?

- Tak. - Heather zdążyła zauważyć dwie wychudzone postacie o nieskazitelnej bladej skórze i długich włosach.

- To Simone i Inga, słynne modelki z Paryża. Mówią, że Echarpe z nimi romansuje. Z obiema.

- Rozumiem.

Może Echarpe bardziej przypominał Hugh Hefnera niż Liberace. Heather przyjrzała się modelkom. Ważyła pewnie tyle co one obie razem wzięte. Nonsens. Rozmiar dwanaście jest normalny. Odwróciła się, żeby podziwiać śmiałą czerwoną suknię na białym manekinie.

- Media nie mogą się zdecydować, czy Echarpe jest gejem, czy też woli wielokąty - wyszeptała Sasha.

Sukienka musiała być w rozmiarze dwa.

¹ * Heraldyczny znak lilii (przyp. tłum.).

W życiu bym się na coś takiego nie zdecydowała.

- Na trójkącik? Ja też już się na to nie piszę. Heather zamrugwała.
- Słucham?

-Choć pewnie podobałoby mi się bardziej, gdybym była z dwoma facetami. Lepiej być w centrum zainteresowania, nie sądzisz?

- Słucham?

- Ale znając moje szczęście, pewnie więcej uwagi poświęcaliby sobie. - Sasha podniosła dłoń i zaczęła się jej przyglądać. - Zastanawiam się, czy nie wstrzyknąć sobie trochę kolagenu w rękę. Mam takie kościste kłykcie.

Heather potrzebowała chwili, żeby to wszystko przyswoić. O matko! Zdaje się, że ona i Sasha nie miały ze sobą już zbyt wiele wspólnego. Po skończeniu szkoły ich życie potoczyło się w dwóch wyraźnie różnych kierunkach.

- Może zamiast chirurgii plastycznej spróbowałabyś czegoś naprawdę radykalnego? Na przykład jedzenia?

Sasha zachichotała. Mężczyźni na sali odwrócili się, żeby na nią popatrzeć, a ona nagrodziła ich, odrzucając do tyłu długie blond włosy.

- Jesteś taka zabawna, Heather. Ja jem. Przysięgam, że wcale tego nie kontroluję. Dziś wieczorem zjadłam dwa grzyby.
- Powinnaś zostać za to wychłostana.
- Wiem. Chodź, pokażę ci nową suknię, którą będę nosiła.

Zaprowadziła Heather do szarego manekina upozo-wanego na szczycie czarnego błyszczącego sześcianu. Manekin miał na sobie oszalałającą białą kreację bez pleców z dekoltem aż do pępka.

Oczy Heather się rozszerzyły. Choćby się namyślała sto lat, i tak nie znalazłaby w sobie dość odwagi, by włożyć taką suknię. A nawet gdyby się zdecydowała, przez następne sto nie znalazłby się zapewne nikt, kto chciałby ją w niej oglądać.

- O rany!
- To bardzo przylegający materiał - wytłumaczyła Sasha - więc nie mogę mieć pod spodem niczego ze szwami. Będę wyglądała niewiarygodnie seksownie.
- O tak.
- Może wystąpię w niej za dwa tygodnie, na pokazie na cele dobroczynne.
- Słyszałam o tym. - Dochód miał zostać przekazany miejscowemu wydziałowi szkolnictwa, pracodawcy Heather. - To bardzo miłe ze strony Echarpe'a.

Sasha pomachała kościstą dłonią w powietrzu.

- Och, Echarpe nie ma z tym nic wspólnego. To Alberto wszystko zorganizował. Strasznie jestem podekscytowana tym pokazem.

- Gratulacje. Mam nadzieję, że uda mi się go zobaczyć.

- Mam wyjść tylko raz. - Sasha wysunęła wypełnioną kolagenem dolną wargę. - To nie fair. Simone i Inga pojawią się dwa razy.
- Och, tak mi przykro.
- Próbuję się nie przejmować, bo od tego robią się zmarszczki. Słowo daję, z kim trzeba się tu przespać, żeby zaczęli człowieka szanować?

Heather się wzdrygnęła.

- Może po prostu powinnaś porozmawiać z Albertem?
- O, to dobry pomysł. - Sasha pomachała do młodego mężczyzny.
- Sasha, kochanie, wyglądasz bajecznie! - Alberto pospieszył do niej i ucałował ją w oba policzki.
- To moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły średniej, Heather Lynn Westfield. - Gestem wskazała Sasha.
- Miło mi poznać. - Heather uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Alberto pochylił się, żeby ucałować jej dłoń. Czarująca. - Oczy mu się rozszerzyły, gdy zauważył jej sukienkę.

A niech to, Heather poczuła się jak prostytutka. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Sasha ją uprzedziła.

- Alberto, kochanie, moglibyśmy znaleźć jakieś ustronne miejsce? - Oplotła rękami jego ramię i spod sztucznych rzęs rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. - Chciałabym z tobą... porozmawiać.
- Niedaleko mam biuro - powiedział Alberto ze wzrokiem utkwionym w głębokim dekolcie Sashy. - Tam możemy... porozmawiać.
- Cudownie! - Sasha przysunęła się do niego jeszcze bliżej, tak że jej piersi napierały teraz na ramię Alberta. -Czuję, że jestem w bardzo... rozmownym nastroju.

Heather przyglądała się temu zafascynowana. Jakby się znalazła w mydlanej operze, która rozgrywa się na żywo. Czy Sasha poczuła się urażona tym, że Alberto rozmawiał z jej piersiami? Czy jej piersi były prawdziwe? Czy w następnym odcinku spoliczkuje Alberghiniego, czy pójdzie z nim do biura? A co z Albertem? Był gejem czy mężczyzną metroseksualnym? I czy faktycznie będą rozmawiali?

Asystent projektanta poprowadził Sashę przez sklep. Koniec przedstawienia. Heather westchnęła. Zawsze była tylko obserwatorką, nigdy bohaterką dramatu.

Przyjaciółka obejrzała się za siebie i jej usta bezgłośnie wypowiedziały jedno słowo: „Bingo!”

Heather pokiwała głową z nagłym uczuciem déjà vu. Znów było tak jak w liceum. Seksowna Sasha obściskują-ca się w klasie i Pomocna Heather na straży przy szafkach. I tak ma być już zawsze? Czy choć raz to ona nie mogła być tą śmiałą? Dlaczego nie miałyby włożyć którejs z tych seksownych, wydekoltowanych kiecek?

No cóż, przede wszystkim na żadną nie mogła sobie pozwolić. Poza tym było jej trochę za dużo. Okrążyła suknię, o której wspomniała Sasha. I co z tego, że nie mogła jej włożyć ani kupić. Mogła sobie uszyć coś podobnego. I pewnie dałoby się to zrobić za pięćdziesiąt dolców.

Biel nigdy nie była jej kolorem. Miała za jasną i za bardzo piegowatą skórę. Nie, dla niej najlepsza byłaby suknia ciemnogrnatowa. A zamiast sięgającego do pępka dekoltu dałaby wycięcie do szczytu piersi. I jeszcze plecy. I rękawy. Pomysły zaczęły pojawiać się tak szybko, że przestała za nimi nadążać. Otworzyła torebkę i znalazła ołówek oraz bloczek, który dostała w sklepie z artykułami żelaznymi podczas ostatniej wyprzedaży sprzętu ogrodniczego.

Jean-Luc Echarpe mógł sobie te swoje metki z sumami opiewającymi na wiele tysięcy porzucić z wieży Eiffla. Może i była jedną z *les misérables*², ale wcale nie musiała na taką wyglądać.

- Za Jeana-Luca i jego piąty salon mody w Ameryce! -Roman Draganesti uniósł kieliszek do szampana wypełniony bubbly blood.

- Za Jeana-Luca! - Wzniesli toast pozostali, trącąc się szkłem.

Jean-Luc upił łyk i odstawił swój kieliszek. Mieszanka syntetycznej krwi i szampana podniosła go nieco na duchu.

- Dziękuję, że zechcieliście przybyć, *mes amis*. Dzięki temu moje wygnanie jest łatwiejsze do zniesienia.

- Nie myśl o tym w ten sposób, brachu. - Gregori poklepał go po plecach. - To wielka biznesowa szansa.

Jean-Luc obrzucił wiceprezesa do spraw marketingu w firmie Romana poirytowanym spojrzeniem.

- To wygnanie.

-Nie, nie, to się nazywa rozszerzanie rynku. W Teksasie żyje mnóstwo ludzi i możemy bezpiecznie założyć, że wszyscy noszą ubrania. No, w każdym razie większość. Słyszałem, że niedaleko Austin jest jezioro, gdzie...

- Dlaczego Teksas? - przerwał mu Roman. - Shanna i ja mieliśmy nadzieję, że zatrzymasz się w Nowym Jorku, blisko nas.

Jean-Luc westchnął. Dla niego to Paryż był centrum wszechświata - w porównaniu z nim każde inne miejsce wydawało się ponurą dziurą. Nowy Jork zajmował jednak pozycję numer dwa.

- Bardzo bym chciał, *mon ami*, ale media w Nowym Jorku za dobrze mnie znają. Tak jak w Los Angeles.

- *Aye* - zgodził się Angus MacKay. - Żadne z tych miejsc nie byłoby dobre. Jean-Luc musi...

- Angus, przysięgam - wszedł mu w słowo Jean-Luc -że jeśli powiesz „a nie mówiłem”, wepchnę ci twój miecz do gardła.

Angus uniósł wyzywająco brwi.

- Ostrzegałem cię już dziesięć lat temu. A potem znowu przed pięciu laty.

- Byłem zbyt zajęty rozwijaniem interesu - zaprotestował Jean-Luc.

Echarpe w 1922 roku rozpoczął produkcję strojów wieczorowych wyłącznie dla wampirów, ale w roku 1933 rozszerzył działalność na hollywoodzką elitę. Gdy przekonał się, ilu śmiertelnikom podobają się jego projekty, w 1975 roku dokonał przełomu. Zaczął projektować ubrania na większą skalę. Niebawem stał się gwiazdą w świecie śmiertelnych. Ostatnich trzydzieści lat unosił się na fali sukcesów. Kiedy ma się ponad pięćsetkę, to jak mgnienie oka.

Angus MacKay go ostrzegał. Sam zaczął świadczyć usługi w zakresie bezpieczeństwa w 1927 roku i teraz występował w roli wnuka założyciela firmy.

Jean-Luc wziął z biurka egzemplarz „Le Monde'a”.

- Widzieliście ostatnie nowiny?

- Niech no spojrzę. - Robby MacKay chwycił paryski dziennik i przejrzał artykuł. Był potomkiem Angusa i pracował w jego firmie ochroniarskiej, przez ostatnich dziesięć lat zajmując się bezpieczeństwem Jeana-Luca.

- Co piszą? - Gregori zerknął mu przez ramię. Robby zmarszczył brwi, tłumacząc artykuł.

- Wszyscy w Paryżu zastanawiają się, dlaczego przez ponad trzydzieści lat Jean-Luc się nie zestarzał. Niektórzy twierdzą, że miał już z pół tuzina operacji plastycznych, inni, że odnalazł źródło młodości. Uciekł, ale nikt nie wie dokąd. Jedna grupa sądzi, że schronił się w zakładzie psychiatrycznym, gdzie dochodzi do siebie po załamaniu nerwowym, druga twierdzi, że poddał się kolejnemu liftingowi twarzy.

Jean-Luc z jękiem opadł na krzesło za biurkiem.

- Ostrzegałem cię. - Angus uchylił się w prawo, gdy Jean-Luc rzucił w niego linijką.

Roman zachichotał.

- Nie martw się, Jean-Luc. Śmiertelnicy nie potrafią zbyt długo poświęcać czemuś uwagi. Jeśli przez jakiś czas pozostaniesz w ukryciu, zapomną o tobie.

- I przestaną kupować moje towary - ze skargą w głosie powiedział Jean-Luc. - Jestem zrujnowany.

- Wcale nie jesteś - zaprotestował Angus. - Masz teraz w Ameryce pięć sklepów.

- Sprzedających ubrania projektanta, który zniknął -warknął Jean-Luc. - Łatwo ci mówić, Angus. Twoja firma działa w tajemnicy. Ale kiedy ja znikam, zainteresowanie moimi strojami może zniknąć razem ze mną.

² * *Les misérables* (fr.) - **nędnicy** (przyp. tłum.).

- Wydamy oświadczenie dla prasy, że robiłeś sobie operacje plastyczne - zaproponował Robby. - To może położyć kres spekulacjom.

- *Non!* - Jean-Luc obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

Gregori wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Och, możemy im powiedzieć, że kompletnie ześwirowałeś i siedzisz zamknięty w psychiatryku. W to wszyscy uwierzą. Jean-Luc spjrzał na niego, unosząc brwi.

- Albo że zamknęli mnie w więzieniu za zamordowanie parszywego wiceprezesa do spraw marketingu.

- Jestem za - odezwał się Angus.

- Hej! - Gregori poprawił krawat. - Tylko żartowałem.

- A ja nie - mruknął pod nosem Jean-Luc. Angus się roześmiał.

- Cokolwiek postanowisz, nie pozwól, żeby ktoś ci zrobił zdjęcie. Musisz pozostać w ukryciu przynajmniej dwadzieścia pięć lat. A potem będziesz mógł wrócić do Paryża jako swój syn.

Jean-Luc opadł do tyłu, spoglądając żałośnie w sufit.

- Dwadzieścia pięć lat na zesłaniu w kraju barbarzyńców. Lepiej od razu mnie zabijcie.

Roman zachichotał.

- Teksas nie jest krajem barbarzyńców. Jean-Luc pokręcił głową.

- Widziałem filmy. Strzelaniny, Indianie, jakieś miejsce o nazwie Alamo, o które wciąż walczą.

- Stary, jesteś strasznie nie na czasie - parsknął Gregori.

- Tak sądzisz? A widziałeś ludzi na dole? Jean-Luc zerwał się i podszedł do okna w biurze, które wychodziło na sklep.

- Mężczyźni noszą przy szyi sznurki.

- To krawaty. - Gregori wyjrzał przez weneckie lustro. -Jezu, nie ma wątpliwości, że jesteś w Teksasie. Widzę faceta w smokingu i dzinsach. I w kowbojkach.

- To muszą być barbarzyńcy. Noszą kapelusze w pomieszczeniu! - Jean-Luc zmarszczył brwi. - Przypominają hikorn, który nosił Napoleon, tylko że tu wkładają go bokiem.

- To kowbojskie kapelusze, brachu. Co się przejmujesz? Popatrz, wydają pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

Jean-Luc oparł czoło o zimną szybę. Po pokazie na cele dobroczynne, który miał się odbyć za dwa tygodnie, Simone, Inga i Alberto wrócą do Paryża. A wtedy Jean-Luc zamknie interes pod pretekstem, że poniósł całkowitą klęskę. Pozostałe butik Le Chique Echarpe w Paryżu, Nowym Jorku, South Beach, Chicago i Hollywood przy odrobinie szczęścia powinny nadal prosperować, ale ten w Teksasie musi zostać opuszczony i zapomniany. Jean-Luc będzie mógł tu nadal projektować stroje i doglądać interesów, ale przez dwadzieścia pięć długich lat nie będzie mu wolno nigdzie publicznie pokazać twarzy.

- Po prostu mnie zabijcie.

- Nie - odparł Angus. - Jesteś naszym najlepszym szermierzem, a Casimir wciąż pozostaje w ukryciu, gromadząc swoją armię zła.

- Racja. - Jean-Luc rzucił staremu przyjacielowi cierpkie spojrzenie. - To byłaby prawdziwa strata, gdybym umarł tutaj zamiast w bitwie.

Usta Angusa drgnęły.

- *Aye*, właśnie.

Rozległ się dźwięk brzęczyka przy drzwiach.

- Twoja żona, Angus - zaanonsował Robby, otwierając. Angus przywitał żonę uśmiechem.

Zut. Jean-Luc odwrócił wzrok. Najpierw Roman, a teraz Angus. Obaj żonaci i szaleńczo zakochani. To było żenujące. Dwóch najpotężniejszych przywódców klanów w wam-pirzym świecie zredukowanych do roli kochających mężów. Jean-Luc bardzo chciał się nad nimi litować, ale smutna prawda była taka, że im zazdrościł. Cholernie zazdrościł. Takie szczęście jego samego mogło nigdy nie spotkać.

- Cześć, chłopaki! - Emma MacKay weszła do środka i pomaszerowała prosto w ramiona męża. - Wiesz co? Kupiłam uroczą torebkę. Alberto mi ją pakuje.

- Znowu torebka? - zdziwił się Angus. - Przecież masz już ich z tuzin.

Jean-Luc wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, którą torebkę pakował Alberto.

- Dobre wieści, *mon ami*, to jedna z najtańszych.

- Och, całe szczęście. - Angus przytulił żonę.

- *Oui* - Jean-Luc się uśmiechnął - tylko osiemset dolarów.

Zaszokowany Angus zrobił krok do tyłu. Oczy mu się rozszerzyły.

- A niech to! Może jednak skróć twoje męki. Roman się roześmiał.

- Angus, przecież możesz sobie na to pozwolić.

- Ty też - z pobłażliwym uśmiechem zwrócił się do starego przyjaciela Jean-Luc. - Widziałeś, co kupuje twoja żona?

Roman pospieszył do okna.

- Na rany Boga - wyszeptał.

Trzymając siedemnastomiesięcznego synka na biodrze, Shanna Draganesti wypełniała spacerówkę ubraniami, butami i torebkami.

- Ma dobry gust - zauważył Jean-Luc. - Powinieneś być dumny.
- A będę splukany. - Roman z rozpaczą obserwował rosnącą na wózku stertę.

Jean-Luc zlustrował wzrokiem salon wystawowy. Tak jak narzekał na dobrowolne wygnanie, tak też cieszyło go więzienie, które sam dla siebie zaprojektował. Przytulone do wzgórz środkowego Teksasu, sąsiadowało ze Schnitzelbergiem - miasteczkiem założonym sto pięćdziesiąt lat wcześniej przez niemieckich imigrantów. To była senna, zapomniana okolica, z porośniętymi mchem hiszpańskimi dębami i białymi domami w stylu królowej Anny z koronkowymi zasłonami w oknach.

Wszystkie salony Echarpe'a w Ameryce szczyły się podobnym wystrojem, ten w Teksasie był jednak inny. Obejmował ogromną podziemną kryjówkę, w której Jean--Luc miał przebywać podczas wygnania. Kryjówka musiała pozostać tajemnicą, dlatego Alberto, śmiertelny asystent Jean-Luca, zawarł z kontrahentem odpowiedzialnym za budowę magazynu umowę. Kontrahentem była miejscowa rada do spraw edukacji, Jean-Luc zgodził się więc przekazać lokalnemu wydziałowi szkolnictwa hojną dotację w postaci zysków z najbliższego pokazu mody. Dopóki Jean-Luc będzie dla Schnitzelbergu szczodry, dopóty miasto będzie trzymało w tajemnicy bankructwo ekskluzywnego sklepu, który cudzoziemiec otworzył na jego peryferiach.

Na wszelki wypadek Robby teleportował się do biura kontrahenta i usunął wszystkie plany i ustalenia dotyczące tego miejsca. Po pokazie razem z Jeanem-Lukiem wymażą kilka wspomnień i już nikt nie będzie pamiętał, że pod opuszczonym domem mody znajduje się gigantyczna piwnica. Pierre, śmiertelnik pracujący dla MacKay Security and Investigation, miał pilnować budynku za dnia, w czasie kiedy Jean-Luc będzie pogrążony w śmiertelnym śnie.

Echarpe obserwował imprezę poniżej. Simone i Inga flirtowały z białowłosym wiekowym mężczyzną pochylonym nad laską. Musiał być bogaty, inaczej nie traciłyby na niego czasu.

Jean-Luc omiótł wzrokiem wnętrza sklepu. Zawsze lubił obserwować ludzi. Myśl o tym, że budynek będzie stał opustoszały przez kolejnych dwadzieścia pięć lat, była cholernie przygnębiająca. Cóż, trudno, przyzwyczai się do samotności.

Zauważył nową modelkę, którą Alberto zatrudnił przy okazji ostatniego pokazu w Paryżu. Sasha Saladine. Rozmawiała z kimś ukrytym za manekinem. Podszedł Alberto i Sasha przedstawiła mu osobę towarzyszącą. Alberto ujął wyciągniętą z wdziękiem dłoń i ją pocałował. Kobieta. Właścicielka ręki, która nie przypominała patyka. Nie modelka. A zatem klientka. Z dużym prawdopodobieństwem śmiertelna.

Alberto i Sasha oddalili się razem i zniknęli. Coś takiego? Ale nie zastanawiał się nad tym zbyt długo, bo jego wzrok powędrował z powrotem do klientki i tam już pozostał. Pojawiła się w polu widzenia i coś to był za widok! Kragłe kształty. Piersi. Pupa, którą mógłby chwycić mężczyzna. Wokół ramion burza kręconych kasztanowych włosów. Przypominała mu krzepkie oberżystki ze średniowiecznych pubów, które śmiały się w głos i kochały z pasją. *Mon Dieu*, jakże uwielbiał takie kobiety.

Była jak dawne gwiazdy filmowe, dla których ubóstwiał projektować. Marilyn Monroe, Ava Gardner. Jego mózg mógł pracować nad strojami w rozmiarze zero, ale reszta tęskniła za dorodnymi kobietami o pełnych kształtach. I oto miał przed sobą taką właśnie piękność. Czarna sukienka opinała ponętą figurę w formie klepsydry. Ale najistotniejszy element - twarz nieznaną - wciąż pozostawał w ukryciu. Przesunął się w lewo i zbliżył do szyby.

Mignął mu łobuzerski nos, leciutko zadarty na czubku. Nie klasyczny jak u modelek, ale jemu się podobał. Był naturalny i... milutki. Milutki? Takiego określenia nigdy nie użyłby w odniesieniu do dziewczyn z wybiegu. Wszystkie dążyły do ideału, nawet za pomocą sztucznych środków, i w rezultacie wszystkie wyglądały podobnie. W dodatku w tym dążeniu coś im umykało. Traciły osobowość i iskrę niepowtarzalności.

Tymczasem obserwowana kobieta odgarnęła gęste kręcone włosy za uszy. Miała wysokie, szerokie kości policzkowe i słodki owal twarzy. Duże oczy patrzyły w skupieniu na białą suknię. Zastanawiał się, jaki mają kolor. Przy tak mocno kasztanowych włosach miał nadzieję, że będą zielone. Usta dość szerokie, ale kształtne i delikatne. Żadnego kolagenu. Naturalna piękność. Anioł.

Wyjęła coś z torebki - mały notes i długopis. Nie, ołówek. Zaczęła pisać. Nie, szkicować. Otworzył usta ze zdumienia. *Zut!* Rysowała jego nową suknię, kradła projekt!

Oczy mu się zwięziły. Co za czelność tak otwarcie kopiować suknię na oczach wszystkich. Kto to, u diabła, w ogóle jest? Przyjechała z Nowego Jorku razem z Sashą Saladine? Pewnie pracuje dla któregoś z wielkich domów mody. Z dziką rozkoszą powitałyby kopie jego ostatnich projektów.

- *Merdel* - Chwycił smoking wiszący na oparciu krzesła.
- Gdzie się wybierasz? - spytał zawsze czujny Robby.
- Na dół. - Wzruszył ramionami, wkładając smoking.

- Do sali? - Angus zmarszczył brwi. - *Nay*, ktoś mógłby cię rozpoznać. Nie powinieneś ryzykować.
- To tutejsi - odparł Jean-Luc. - Nie będą wiedzieli, kim jestem.
- Nie bądź taki pewny. - Robby przesunął się w stronę drzwi. - Jeśli potrzebujesz czegoś ze sklepu, to ci przyniosę.
- Nie chodzi o rzecz. Tylko o osobę. - Jean-Luc podszedł do okna. - Na dole jest szpieg, który kradnie moje projekty.
- Żartujesz?! - Emma rzuciła się do szyby. - Gdzie go widzisz?
- Nie jego, tylko ją. - Jean-Luc wyjrzał na zewnątrz. - Obok białej... Nie. *Zut*, podeszła do czerwonej sukni.
- Pozwól, że my się nią zajmiemy. - Angus dołączył do Robby'ego stojącego przy drzwiach.
- Nie. - Jean-Luc przemierzył pokój i zatrzymał się przed blokującymi wyjście Szkotami. - Przesuńcie się. Muszę się dowiedzieć, kto jej płaci.

Angus podniósł nieustępliwie brodę, założył ręce na piersi i ani drgnął.

Jean-Luc, unosząc brew, spojrzał na starego przyjaciela.

- Angus, to ja zatrudniam twoją firmę.
- *Aye*, płacisz, żebyśmy cię chronili. Ale przestaniemy, jeśli będziesz się tak głupio zachowywał.
- Mówię ci, że tutejsi ludzie mnie nie znają. Wszystkim zajmował się Alberto jako mój pośrednik. Pozwól mi przejść, zanim ten cholerny szpieg zniknie z projektami.

Angus westchnął.

- No dobrze, ale Robby pójdzie z tobą. - Szeptem przekazał instrukcje praprawnukowi. - Nie pozwól, żeby ktokolwiek zrobił mu zdjęcie. I miej oko na tyły. Jean-Luc ma wrogów.

Echarpe prychnął i wyszedł z biura. W kilku susach dopadł tylnych schodów. Angus ma go za mięczaka? Już on wie, jak się bronić. Pewnie, że był na czarnej liście Casimira. Tak jak oni wszyscy. Miał też innych wrogów. Trudno przeżyć ponad pięćset lat, żeby nie nadebrać na odcisk kilku wampirom. A teraz zyskał nowego nieprzyjaciela. Złodzieja o twarzy anioła.

Zbiegł na dół i ruszył korytarzem do sali. Kroki Robby'ego zadudniły na schodach za jego plecami.

Gdy wszedł do butiku, w jego stronę zwróciły się wszystkie głowy, zaraz jednak zebrani wrócili do swoich spraw. Dobrze. Nikt go nie rozpoznał. Owionęła go woń różnych grup krwi. Słodki, apetyczny ludzki bufet. Kontakty towarzyskie ze śmiertelnikami przedstawiały pewną trudność dla jego samokontroli, dopóki w 1987 roku Roman nie wynalazł syntetycznej krwi. Teraz Jean-Luc i jego przyjaciele opijali się nią, nim odważyli się pojawić wśród ludzi.

Zauważył, że Robby przesuwają się dokoła sali, rozglądając się za fotografami. Albo zabójcami. Jean-Luc wyminął staruszkę z laską i ruszył w stronę złodziejki. Zatrzymał się kilka centymetrów za nią. Była wysoka, czubkiem głowy sięgała mu do brody. Jej krew pachniała świeżo i słodko.

Śmiertelniczka.

- Bardzo przepraszam, *mademoiselle*.

Odwróciła się. Miała zielone oczy. *Zut*. I te piękne oczy rozszerzyły się, gdy na niego spojrzała.

Nie ma nic smutniejszego niż upadły anioł. Zmarszczył brwi.

- Proszę mi podać powód, dla którego nie miałbym pani aresztować.

Rozdział 2

Heather zamrużyła.

- Słucham?

Potrzebowała chwili, żeby oswoić się z francuskim akcentem zachwycającego mężczyzny, ale mogłaby przysiąc, że zagroził jej aresztem. Uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać, jestem Heather Lynn Westfield.
- Heather?

Jego osobliwa wymowa sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. Brzmiało to jak „Eh-zer”, miękko i słodko niczym pieszczota. Ujął jej dłoń i zamknął w obu rękach.

- Tak?

Wciąż się uśmiechała, mając nadzieję, że do zębów nie przykleił jej się żaden kawałek szpinaku z ciasteczka francuskiego z takim właśnie nadzieniem. Spoglądał na nią pięknymi niebieskimi oczami. A jego twarz - tak wyrzeźbiona szczęka i usta mogłyby należeć do greckiego posągu.

Mocniej ścisnął jej dłoń.

- Proszę mi powiedzieć prawdę. Kto panią przysłał? Słucham?

Spróbowała wyswobodzić rękę, on jednak trzymał mocno. Za mocno. Ciarki przeszły jej po plecach.

Niebieskie oczy się zwęziły. Widziałem, co pani zrobiła.

O Może, wie o krabowym ciasteczku! Pewnie to ktoś w rodzaju ochroniarza.

- Ja... ja zapłacę.

- Kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Krabowe ciasteczko?! - Wyrwała dłoń z jego uścisku. - Co za skandaliczne miejsce. - Posapując, wyciągnęła z torebki serwetkę. - Proszę. Niech pan sobie weźmie to głupie ciasteczko. Już go nie chcę.

Popatrzył na owiniętą w serwetkę przystawkę na jej dłoni.

- Więc jest pani szpiegiem i złodziejką?
- Nie jestem szpiegiem.

Skrzywiła się. Czyżby właśnie się przyznała, że jest złodziejką?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nie ma potrzeby kraść jedzenia. Jest za darmo. Jeśli jest pani głodna, powinna pani to zjeść.

- To miała być pamiątka, jasne? Wcale nie jestem głodna. Wyglądam na kogoś, kto przegapił posiłek?
Jego wzrok powoli powędrował po jej ciele z intensywnością, która przyprawiła Heather o przyspieszone bicie serca. No cóż, jak Kuba Bogu... Też mu się dokładnie przyjrzała. Czy te czarne loki na głowie były tak miękkie, jak na to wyglądały? Miał kłopoty z ich rozczesywaniem? Jezu, zważywszy na długość jego rzęs, je też pewnie trzeba było rozplątywać.

Odchrząknęła.

- Nie sądzę, żeby aresztował pan ludzi z powodu kra-bowych ciasteczek. Więc już sobie pójdę.

Ich oczy się spotkały.

- Jeszcze z panią nie skończyłem.

- Och. - Może zawlecze ją gdzieś i zniewoli? Nie, takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. - Co pan ma na myśli?

- Że odpowie pani na kilka pytań. - Podszedł do kelnera i upuścił upapraną serwetkę na tacę. - Kto panią zatrudnia?

- NSOS.

- To jakaś rządowa agencja?

- Niezależny Schnitzelberski Okręg Szkolny. Przechylił głowę zdezorientowany.

- Nie jest pani projektantką?

- Chciałabym. A teraz, jeśli pan wybaczy... - Odwróciła się, żeby odejść.

- *Non.* - Złapał ją za rękę. - Widziałem, jak kopiowała pani białą suknię. Kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów. Jeśli tak panią interesuje, powinna ją pani kupić.

- Za żadne skarby świata! - prychnęła.

- Co takiego? - Jego brwi wystrzeliły do góry. - Przecież to dobry projekt.

- Pan żartuje? - Wyswobodziła się z uchwytu. - Co ten Echarpe sobie myśli! Dekolt do pępka?! Ta sukienka ma rozcięcie jak stąd do Dakoty Północnej. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie pokazałaby się w czymś takim publicznie.

Zazgrzytał zębami.

- Modelki są szczęśliwe, mogą ją nosić.

- Otóż to! Te biedne kobiety są tak niedożywione, że nie są w stanie rozsądnie myśleć. Weźmy na przykład moją przyjaciółkę Sashę. Jej zdaniem na trzydniowy posiłek składa się lodyżka selera, pomidor koktajlowy i środek przeczyszczający. Katuje się, żeby się dopasować do tych ubrań. Kobiety takie jak ja nie mogą nosić podobnych sukienek.

Znów omiół ją wzrokiem.

- Myślę, że pani by mogła. Wyglądałaby pani... *superbe.*

- Piersi by mi wypadły.

- Właśnie. - Kąciki jego ust powędrowały w górę.

- Nie pokazuję swoich piersi publicznie - sapnęła. Oczy mu zamigotały.

- A prywatnie?

Niech piekło pochłonie jego samego i te cudne niebieskie oczy. Musiała się chwilę zastanowić, żeby sobie przypomnieć, jaki był cel tej rozmowy.

- Zamierza mnie pan aresztować czy będzie się pan ślinił?

- A mogę jedno i drugie? - Uśmiechnął się.

Ten mężczyzna sprawiał, że miała zamęt w głowie.

- Nie zrobiłam nic złego. To znaczy poza krabowym ciasteczkiem. Nie wzięłabym go, gdybym mogła sobie pozwolić na cokolwiek innego.

Jego uśmiech zgasł.

- Potrzebuje pani pieniędzy? Chce pani sprzedać skopiowane projekty innemu domowi mody?

- Nie. Miałam zamiar uszyć sobie tylko jedną taką suknię sama.

- Kłamstwo. Mówiła pani, że za żadne skarby świata nie włożyłaby pani takiej sukni publicznie.

Kłamstwo? Ten facet wciąż rzucał pod jej adresem podłe oskarżenia.

- Niech pan posłucha. Nigdy nie włożyłabym żadnej z tych sukni, tak jak je zaprojektował Echarpe. Proszę mi wierzyć, że ten facet jest całkowicie oderwany od rzeczywistości. Czy on w ogóle zna jakichś prawdziwych ludzi?

- Nie takich jak pani - mruknął pod nosem i wyciągnął rękę. - Proszę mi pokazać swoje szkice.

- W porządku. Jeśli to pomoże wyjaśnić sytuację. - Podała mu swój notatnik. - Ta pierwsza to biała suknia, tylko poprawiona.

- Poprawiona? Z trudem można ją rozpoznać.

- Wiem. Teraz wygląda dużo lepiej. Mogłabym ją włożyć i uniknąć aresztowania pod zarzutem obnażania się w miejscach publicznych.

Zacisnął zęby.

- Nie jest aż tak zła.

- Gdyby mnie w niej zobaczyło jakieś dziecko, trafiłabym na internetową listę przestępców seksualnych. Ale to tylko gdybanie, bo przede wszystkim nigdy nie mogłabym sobie na żadną z tych sukni pozwolić. Nie mogłabym tutaj kupić nawet pary skarpet, żeby mi bank nie zajął samochodu.

- Te rzeczy zostały zaprojektowane dla garstki wybrańców.

- Och, proszę mi wybaczyć. Właśnie widzę, że Cheeves przyprowadził rolls-royce'a. Muszę się jakoś przeturlać na lotnisko, skąd prywatny odrzutowiec zabierze mnie z powrotem do willi w Toskanii.

Usta mu drgnęły, gdy przewracał stronę.

- A to czerwona?

- Tak, ale z moimi poprawkami wygląda dużo lepiej. Znajdzie pan tu jeszcze cztery projekty. Przyszło mi do głowy tyle pomysłów, że musiałam wszystkie szybko naszkicować, żeby nie przepadły. Jeśli wie pan, co mam na myśli.

- Tak się składa, że wiem. - Spojrzał na nią dziwnie. To naprawdę było niezwykle. Wcale nie wyglądał na kogoś, kto by rozumiał ulotność procesu twórczego. Przypominał raczej atletę, ale o budowie pływaka, nie ciężarowca.

Rzeczywiście mógł ją aresztować? Te dziwne oskarżenia w połączeniu z atrakcyjną powierzchownością wprawiły ją w takie pomieszanie, że zaczęła pleść trzy po trzy, jakby była jakąś niezrównoważoną idiotką. Musi się odprężyć i zachowywać milej.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie zamierzałam niczego kraść. Mam kłopoty?

Zerknął na nią z cieniem uśmiechu na twarzy.

- A chciałyby pani?

Powstrzymała się, żeby nie powiedzieć: tak. Dobry Boże, ten facet był taki seksowny! Zbyt cudowny - na swoje nieszczęście. Z takimi szerokimi barami i długimi nogami na pewno trudno mu było znaleźć odpowiednie ubrania. I z kobietami pewnie też nie miał łatwo. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zupełnie przypadkowo gubiły w jego towarzystwie części garderoby.

Oho! To właśnie robi, jeśli ją zaaresztuje. Złoży mu siebie w ofierze. Jakie to szlachetne. A jakie śmieszne. Nigdy by się nie odważyła.

Skończył oglądać jej rysunki.

- W zasadzie są całkiem dobre. Widzę, że kobieta o... bardziej ponętnych kształtach wyglądałaby w nich korzystniej.

Czy naprawdę pochwalił naszkicowane przez nią projekty? Serce Heather urosło z radości i dumy. Spodobało jej się też, że została nazwana ponętną.

- Dziękuję. I dziękuję, że nie nazywa pan kobiet takich jak ja grubymi.

Zesztywniał.

- Dlaczego miałbym powiedzieć coś takiego, skoro to nieprawda?

Hola! Ten mężczyzna oznacza prawdziwe kłopoty. Nie tylko jest wspaniały, ale też wie, co należy powiedzieć kobiecie. Podwójne niebezpieczeństwo. I podwójna zabawa? Nie, trzepnęła się w myślach po łapach. Dopiero co pozbyła się jednego nieszczęścia w spodniach. Nie ma mowy, żeby zafundowała sobie repetę.

- Lepiej już pójdę. - Ruszyła do wyjścia.

- Zapomniała pani szkiców.

Odwróciła się do niego.

- Pozwoli mi je pan zatrzymać?

- Pod jednym warunkiem. - Zerknął na coś, co działo się za jej plecami. - *Zut*. Musimy stąd iść.

Obejrzała się przez ramię. Wielki facet w kilcie konfiskował młodej kobiecie komórkę z aparatem.

- Ale ja chciałam zdjęcie do mojego bloga - zaprotestowała kobieta.

- Chodźmy. - Cudowny ochroniarz złapał Heather za ramię i poprowadził ją w stronę podwójnych drzwi z napisem „Pomieszczenia prywatne”.

- Chwileczkę. - Heather zwolniła. - Dokąd mnie pan zabiera?

- Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Porozmawiać? Czy przypadkiem nie jest to słowo klucz, które znaczy coś całkiem innego? Dobry Boże, wlecze ją gdzieś, gdzie będzie mógł ją zniewolić!

- Aha, ale ja nie rozmawiam z nieznajomymi.

- Ze mną pani rozmawia. - Obrzucił ją kpiącym spojrzeniem i popchnął przez podwójne drzwi na korytarz. - Zagadała mnie pani prawie na śmierć.

- No cóż - obejrzała się w stronę sali sklepowej - mam tylko nadzieję, że nie spodziewa się pan niczego więcej.

Zatrzymał się przed kolejnymi podwójnymi drzwiami i zwrócił jej notatnik. Gdy chowała go do torebki, wystukał numer na klawiaturze.

- To, co zamierzam pani pokazać, jest poufne. O Boże, tego się obawiała.

- Ma pan na myśli coś bardzo osobistego?

- Właśnie. Wiem, że jest pani surowym krytykiem, ale myślę, że będzie pani pod wrażeniem.

Wzrok Heather powędrował w dół.

- Z pewnością.

- Heather.

Wymawiał jej imię tak miękko, że czuła, jak cała w środku topnieje. Podniosła oczy i napotkała jego spojrzenie. Usta mu się wygięły.

- Czy mówimy o tym samym?

- Nie wiem. - Serce Heather waliło w piersi. Trudno jej było zebrać myśli, kiedy spoglądał na nią w ten sposób. Zamierzam pokazać pani resztę jesiennej kolekcji.

- Och. - Zamrugła. - Jasne. Tak właśnie myślałam.

- Oczywiście. - Błysk w jego oku był podejrzany. Otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

- Ciemno tu... - Zamilkła, kiedy zapaliło się światło. Szybki rzut oka na wysoki sufit pozwolił Heather stwierdzić, że włączył tylko połowę światła. Jej wzrok powędrował w dół. Pomieszczenie było ogromne, dużo większe niż sala sklepowa. Wzdłuż ścian biegły półki pełne bel przepięknych tkanin. Świerzyły ją palce, żeby tego wszystkiego dotknąć. Z tyłu dostrzegła dwie maszyny do szycia. Odbijały się w nich szyby francuskich drzwi na tylnej ścianie. Po lewej znajdowały się dwa stoły krawieckie, a po prawej stojaki, na których wisiały bajeczne stroje. W samym środku zastępy ustawionych w koło męskich i kobiecych manekinów wyglądały jak jakieś Stonehenge świata wielkiej mody.

Dobry Boże, co by dała, żeby mieć taką pracownię! Tu było jak w niebie!

- To tu się dzieją czary.

- Czary? - Zamknął drzwi. - Ja bym to nazwał ciężką pracą.

- Ale to jest magia. - Podeszła do pierwszego stojaka, stukając obcasami po drewnianej podłodze. - To tu pomysły zamieniają się w piękno.

Ruszył za nią.

- Więc podoba się pani studio?

- O tak! - Na pierwszym stojaku dostrzegła zręcznie skrojone marynarki i spódnice. - Zachwycające. - Potarła materiał między palcami i zmarszczyła brwi.

- Coś nie tak?

- To wełna.

- Bo to zimowa marynarka.

- A to Teksas. Może ją pan sprzedać w Panhandle, ale żeby coś takiego włożyć tutaj, trzeba by najpierw włączyć klimatyzację. Nawet zimą.

- Nie wiedziałem. - Skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył brwi.

- Choć krój jest niezwykle. - Z podziwem popatrzyła na marynarkę. - Ten facet to geniusz.

- Myślałem, że jest całkowicie oderwany od rzeczywistości.

Roześmiała się.

- To też. - Przesunęła się do drugiego stojaka.

- Sama pani uszyła swoją sukienkę?

- To aż tak oczywiste? - Skrzywiła się. Wzruszył ramionami.

- Bardzo dobrze zrobiona. Materiał jest wprawdzie kiepski, ale w dzisiejszych czasach to powszechna bolączka.

- O tak. Niektóre rzeczy dosłownie rozpadają się po dwóch praniach.

Zatrzymała się przed ozdobionym koralikiem bołerką, gdy wtem przyszła jej do głowy pewna myśl. Odkąd to ochroniarze wiedzą cokolwiek na temat materiałów?

- To pani projekt? - zapytał.

- W pewnym sensie. Lubię łączyć elementy różnych wzorów, żeby stworzyć coś... niepowtarzalnego.

Pokiwał głową.

- Jest niepowtarzalna.

- Dziękuję. - Kim był ten facet? - Czy... czy pan pracuje dla Echarpe'a jako projektant?

- A pani by chciała? Szczęka jej opadła.

- Słucham?

- Przekonała mnie pani, że zaniedbuję pewną część rynku, a kobiety takie jak pani zasługują na to, by wyglądać jak najlepiej.

- Och.

- Myślę, że większość tych strojów można by dostosować do pełniejszej figury, i pani mogłaby się tym zająć.

- Och.

- Jeśli chce pani zacząć, proszę przyjść w poniedziałek wieczorem.

- Och. - Dobry Boże, zachowywała się jak idiotka. - Mogłabym tu pracować? W tym czarodziejskim miejscu?

- Tak.

- Mój Boże! - Oczywiście, że ten facet nie był ochroniarzem. - Jest pan tu menedżerem? Mam... nadzieję, że nie poczuł się pan urażony moimi słowami. Powiedziałam, że Echarpe to geniusz.

- I że jest całkowicie oderwany od rzeczywistości. I że musiała pani poprawić jego projekty.

- Trochę mnie poniosło. - Heather się skrzywiła. - Ale to tylko dlatego, że moim zdaniem kobiety takie jak ja mogą wyglądać równie dobrze, jak ich szczuplejsze siostry.

- Jest w pani pasja. - Gestem wskazał na jej sukienkę. - I talent. Inaczej bym pani nie zatrudnił. •

Na twarzy Heather wykwitł uśmiech.

- Och, dziękuję! Moje marzenie stało się rzeczywistością! - Przycisnęła dłoń do piersi. - Jestem tak podekscytowana, panie... eee. Jak mam pana nazywać?

Sklonił się lekko.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. - Oczy mu zaśmiały, a na twarz powoli wypełził uśmiech. - Jestem Jean--Luc Echarpe.

Rozdział 3

Jean-Luc spodziewał się zajmującej reakcji i takiej też się doczekał. Szczęka Heather opadła. Jej śliczne zielone oczy rozszerzyły się w wyrazie zgrozy. Cała krew odpłynęła jej z twarzy - zbladła tak, że nawet piegi zbladły.

Wyszczerył zęby w uśmiechu. Nie miał tyle uciechy od lat. Otworzyła i zamknęła swoje ładne usteczka, ale ponieważ nie wydobyło się z nich żadne słowo, wyglądała jak ryba. Zachwycająca rybka.

Przechylił głowę.
- Co takiego?
Udało jej się wydobyć z siebie kilka stłumionych pisków.
- Jak może być pan... Ja... ja myślałam, że jest pan naprawdę stary.
Uniósł brew.
- To znaczy... O Boże, przepraszam. - Odrzuciła gęste loki do tyłu, torebka upadła jej na podłogę. - A niech to!
Schylił się, żeby ją podnieść.
- Nie, ja to zrobię. - Chwyciła torebkę tak szybko, że podnosząc ją, aż się zachwiała.
Chciał ją podtrzymać.
- Wszystko w porządku, nie trzeba. - Wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się któregoś ze strojów. Jak na złość ubrania rozstąpiły się niczym Morze Czerwone, ona zaś poleciała na podłogę. - Aaa!
- Mam panią! - Złapał ją za rękaw. Trach.
Runęła w dół, on zaś został z rękawem w dłoni. *Merde*. Pochylił się nad nią.
- Nic pani nie jest? - Spódnica podjechała jej do góry, odsłaniając kształtne nogi. Nic nie mógł poradzić na to, że wyobraził je sobie oplecione wokół swojego pasa. Albo szyi.
- Naprawdę Jean-Luc Echarpe to pan? - spytała.
- *Oui*.
Jęknęła i zakryła twarz dłońmi.
- Ma pan może piwnicę, do której mogłabym się wczłogać i schować na jakieś pięćdziesiąt lat?
Tak się akurat składało, że miał, i kusił go, żeby ją tam zaprosić. Z pewnością potrafiłaby mu umilić długie wygnanie. Ale nie miał prawa więzić śmiertelniczki tylko dla własnej przyjemności.
Usiadł obok niej na podłodze.
- Nie ma się czego wstydzic.
- Jestem zażenowana. Niech mnie pan po prostu zabije. Zachichotał.
- Prosiłem dziś już o to samo. Jesteśmy trochę za bardzo melodramatyczni, *non?*
- Powiedziała o panu kilka okropnych rzeczy. - Opuściła ręce. - Naprawdę strasznie mi przykro.
- Niech mnie pani nie przeprasza za szczerość. To mi się podoba. W świecie mody niewielu ludzi stać na szczerość.
Usiadła i skrzywiła się na widok tego, co stało się z jej spódnicą. Szybko ją poprawiła.
- Nie rozumiem, jak może być pan taki przys... młody. Projektował pan stroje dla Marilyn Monroe!
Omal nie nazwała go przystojnym? Uśmiech jednak mu zbladł, kiedy się zorientował, że nadszedł czas kłamstwa. *Zut*. *A* ona była z nim taka szczerą!
- Jestem... synem pierwszego Jeana-Luca Echarpe'a. Może mnie pani nazywać Jean, żeby nie mylić z ojcem.
- Och! To wspaniale, że odziedziczył pan jego talent. Jean-Luc wrzucił ramionami. Nie znosił oszustw.
Dlatego zwykle wolał towarzystwo wampirów. Wszelkie związki ze śmiertelnikami wymagały mnóstwa kłamstw, zwłaszcza teraz, gdy miał się ukrywać. Wręczył Heather urwany rękaw.
- Przykro mi, że się rozdarło.
- Nie ma sprawy. - Schowała go do torebki. - Tak jak pan mówił, kiepski materiał. - Rozejrzała się po pomieszczeniu i rozpromieniła się. - Nie mogę uwierzyć, że siedzę w prawdziwej pracowni krawieckiej ze słynnym projektantem!
Uśmiechnął się, wstając.
- Przyjdzie pani w poniedziałek do pracy? - Wyciągnął dłoń, żeby pomóc jej się podnieść.
- Och, no pewnie! Dla mnie to marzenie, które stało się rzeczywistością. - Położyła rękę na jego dłoni.
Podciągnął ją tak szybko, że uderzyła o jego pierś. Natychmiast otoczyły ją jego ramiona. Popatrzyła ślicznymi oczami do góry. Taka ciemna, soczysta zieleń. Słyszał, jak przyspieszyło jej serce, kiedy znalazła się w jego objęciach. Podobało mu się to.
- Wiesz, jaka jesteś piękna? Pokręciła głową.
Najwyraźniej był też w stanie odjąć jej mowę. Pożądanie buzowało mu w żyłach. Była taka ciepła i słodka. Musiał jednak przestać, zanim oczy zaczną mu płonąć czerwienią. Stanowiła zbyt wielką pokusę, on zaś zawsze pilnował się, żeby unikać prawdziwych związków.
Uwolnił ją z objęć.
- Obawiam się, że mogę panią zatrudnić tylko na dwa tygodnie.
Kiedy zamknał sklep, jedynym śmiertelnikiem w środku będzie jego strażnik Pierre.
- Rozumiem. - Cofnęła się, a twarz jej posmutniała. - Zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnego doświadczenia. No i będę musiała wrócić od września do szkoły.
- Boi się pani, że zauważę pani braki?
Rumieniec, jakim pokryła się w odpowiedzi, świadczył o tym, że poruszył czułą strunę. Podejrzewał, że pod za-dziornością kryje się otchłań niepewności siebie. Rozpoznał ten wybieg, bo sam się do niego uciekał.
Ale dlaczego Heather Westfield miałaby być niepewna siebie? Czyżby ktoś próbował zgasić jej ducha? Jeśli tak, to poczuł nagle nieprzepatą potrzebę, żeby rąbnąć tego kogoś pięścią w twarz.
- Wcale nie spodziewam się, że będę z pani niezadowolony. Wręcz przeciwnie. Mogłoby się okazać, że byłbym zadowolony aż nadto.
Za bardzo kusiłoby go, żeby ją zatrzymać, by złagodziła samotność jego wygnania. Przełknęła głośno ślinę.
- Mam też zasadę, której jestem wierny. Nigdy nie wiążę się uczuciowo z ludźmi, których zatrudniam. Bez względu na to, jak bardzo mnie pociągają. - Pozwolił sobie powędrować wzrokiem po jej ponętym ciele.
- Mój Boże - wyszeptwała. Cofnęła się jeszcze o krok. - Ja... ja wcale nie szukam... Nie jestem gotowa... To znaczy ja...
- Czyżby temat związku odjął pani mowę?
- Raczej przeraził. - Skrzywiła się. - Och, nie chodzi o pana. Tylko w ogóle. Rok temu musiałam przejść przez nieprzyjemny rozwód i...
Podniósł rękę, żeby ją uciszyć.
- Będę grzeczny. - Uśmiechnął się powoli. - A pani?
- Oczywiście. Zawsze jestem... grzeczna. - Sprawiała wrażenie odrobinę nieszczęśliwej z tego powodu.
Czyżby potajemnie chciała być niegrzeczna? Znowu załała go fala pożądania. Zacisnął pięści, żeby nie pochwycić jej w ramiona. Minęło tyle czasu, odkąd... Odepchnął od siebie tę myśl. Śmiertelniczki musi zostawić w spokoju. Nauczył się tego w najbardziej bolesny sposób.
Ruszyła między wieszakami, delikatnie dotykając po drodze ubrań.
- Świetne.

Zatrzymała się przed naręczem pasków ze skóry, mosiądzu i srebra.

- Pierwszy raz zaprojektowałem paski. - Podszedł bliżej. Tylko śmiertelne modelki mogły nosić paski ze srebrem. Simone i Inga trzymały się z dala od wszystkiego, co mogłoby poparzyć ich delikatną skórę. - Co pani o nich myśli?

- Śliczne. Zwłaszcza te duże, masywne, do noszenia na biodrach.

Stuk. Arcyczuły słuch Jeana-Luca wyłapał dźwięk. Uniósł dłoń i Heather zamilkła z pytaniem w oczach. Odgłos kroków i kolejny stuk.

Nie słyszał skrzypnięcia drzwi. Tylko ktoś, kto znał kombinację, mógł je otworzyć. Gdyby teleportował się tu jakiś wampir spoza budynku, uruchomiłby się alarm. A zatem ten ktoś musiał się teleportować ze środka. Jego przyjaciele zawołaliby go, istniało więc prawdopodobieństwo, że gość nie był przyjacielem.

Jean-Luc przyłożył palec do ust, nakazując Heather milczenie. Zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę środka pracowni. Zerknął między ubraniami a długim prętem, na którym wisiały.

I oto tam był. Staruszek z laską. Stuk. Stawiał laskę na drewnianej podłodze, po czym przesuwał stopy do przodu. Wciąż był przygarbiony, jego twarz pozostawała w ukryciu.

Jean-Luc pociągnął nosem. Zapach Heather, wyraźnie śmiertelny, miał za plecami, niczego jednak nie czuł od nieznajomego.

Starszy mężczyzna zatrzymał się, po raz ostatni stukając laską.

- Wiem, że tu jesteś, Echarpe.

Jean-Luc zeszytniał. *Mon Dieu*, to Lui! Nie widział swojego najgorszego wroga od ponad stu lat.

- Jestem cierpliwym człowiekiem. Wiedziałem, że z czasem staniesz się mniej ostrożny. I oto proszę, nieuzbrojony, bez swoich ukochanych strażników. - Staruszek powoli wyprostował kręgosłup. - Nie sposób było cię osiągnąć w Paryżu. Dniem i nocą otoczony przez pół tuzina ochroniarzy. - Uniósł brodę.

Echarpe zaczerpnął głęboko tchu, gdy zobaczył oczy mężczyzny. Przez wieki Lui przyjmował różne tożsamości i zawsze starał się wyglądać inaczej. Z wyjątkiem oczu. Te pozostały ciemne, zimne i pełne nienawiści.

Jean-Luc ostrożnie wycofał się do Heather, podczas gdy Lui ciągnął dalej swoje przechwałki.

- Popeliłeś swój ostatni błąd, Echarpe. Przybywałem na otwarcie każdego twojego magazynu, ty jednak pozostawałeś w ukryciu jak tchórz, którym jesteś. Teraz wreszcie się zjawiłeś. To twój ostatni występ.

Jean-Luc dotarł do Heather i uniósł palec do ust. Pokiwała głową, patrząc z niepokojem. Wyszeptał jej do ucha:

- Nie pozwól, żeby cię zobaczył. Uciekaj cicho tylnymi drzwiami. Biegnij!

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale powstrzymał ją, przyciskając palec do jej warg.

„Idź już!”, powiedział bezgłośnie. Pchnął ją delikatnie w stronę końca przejścia między wieszakami.

- Wychodź, ty tchórze! - krzyknął Lui. - Postanowiłem z tobą skończyć raz na zawsze. Żałuję, że nie będę mógł cię trzymać i torturować, ale Casimir zaproponował olbrzymią sumę. Nie mogłem odmówić.

Jean-Luc pomaszerował między stojakami na środek pracowni.

- *Zut alors*, myślałem, że nie żyjesz. Ale to bez znaczenia, bo i tak zaraz będziesz trupem. - Był lepszym szermierzem niż Lui, niestety nie miał przy sobie broni. Wysłał psychiczną wiadomość na zewnątrz.

- Słyszę - szydził Lui - jak skomlesz, żeby przybyli przyjaciele i cię uratowali.

Jean-Luc wyszedł na otwartą przestrzeń.

- Sam staczam swoje bitwy. Powiedz, ile czasu zajęło ci przyjscie do siebie po naszym ostatnim spotkaniu? Jeśli mnie pamięć nie myli, wyprułem z ciebie flaki.

Z warknięciem Lui odkręcił gałkę w swojej lasce i wyciągnął z drewnianej pochwy cienki śmiertelny floret. Odrzucił pochwę na bok, a ta upadła z łoskotem na podłogę.

- Twoi przyjaciele przybędą za późno. - Zaatakował. Jean-Lui skoczył w bok, chwycił najbliższy manekin i zamachnął się nim, żeby odeprzeć pierwsze natarcie. Lui ciał ostrzem, pozbawiając manekin głowy.

- Ach, wracają słodkie wspomnienia Wielkiego Terroru. - Zamachnął się znowu, rozprawiając z tułowiem.

Jeanowi-Lucowi do obrony pozostała tylko noga manekina. Przynajmniej w środku miała metalowy pręt. Za chwilę będzie tu Robby z prawdziwą szpadą.

Zrobił unik, słysząc nad sobą furkot, gdy floret tamtego przeciął powietrze. Rzucił się w prawo, postawił nogę manekina na podłodze i odbijając się od niej jak od tyczki, wskoczył na stół krawiecki.

Lui zakołysał się na nogach, ale Jean-Luc już wylądował na podłodze daleko za krańcem stołu. I gdy Lui ruszył w prawo, żeby go pochwycić, on też przesunął się w prawo. Mógłby przytrzymać tak nieprzyjaciela, tańczącego wokół stołu, póki nie pojawi się Robby ze szpadą.

Zdążyli zrobić jedno okrążenie, kiedy Jean-Luc zauważył ruch za Luim. Zamarł. Heather podkradała się do wampira uzbrojona jedynie w naręcze pasków. Co ona sobie myśli?! Nie odważył się krzyknąć, żeby ją powstrzymać. To by zaalarmowało Luiego, który natychmiast pchnąłby ją floretem. *Merde!* Zrobił minę i ruchem głowy kazał jej, żeby się, do diabła, wynosiła.

Zignorowała go, skupiła wzrok na Luim.

Jedyne, co Jean-Luc mógł zrobić, to odciągnąć uwagę wroga. Pobiegł na środek sali i wymachując nogą manekina, wciągnął Luiego w potyczkę. Kawałki gipsu poleciały w powietrze, gdy Lui zaczął rąbać marną broń przeciwnika.

- Przestań! - zdeterminowana Heather zamachnęła się paskami na Luiego.

Lui zeszytniał, gdy srebro trafiło go w tył głowy i kłęb dymu uniósł się do góry. Odwrócił się do Heather z twarzą wykrzywioną grymasem bólu.

- Ty podła suko! - Podniósł broń.

- Heather, uciekaj!

Jean-Luc skoczył do przodu i z całej siły walnął Luiego w głowę nogą manekina.

Metalowy pręt sprawił, że Lui potknął się i poleciał w bok. Floret z brzękiem upadł na podłogę. Jean-Luc zanurkował po broń i zaraz odskoczył, kiedy Heather po raz kolejny zamachnęła się na Luiego.

- A masz, kanalio! - Oczy jej błyszczały z podniecenia. Wampir podniósł rękę, żeby ochronić głowę, i srebro z sykiem opadło na jego dłoń. Zaskwierczała nieosłonięta skóra.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wbiegli Angus i Robby z wyciągniętymi mieczami. Robby rzucił Jeanowi-Lucowi jego szpadę.

Echarpe złapał broń i odwrócił się do Luiego. Bastard zdążył się wycofać i ukryć wśród stojaków z ubraniami. Kątem oka Jean-Luc zauważył, że Angus wślizguje się między wieszaki. Wyraźnie zamierzał zająć łajdaka od tyłu.

Jean-Luc wręczył floret Luiego Heather.

- Jeśli będzie cię ścigał, nie wahaj się go użyć. Pokiwała głową, jego oczy napotkały jej wzrok. Serce

mu zwolniło. *Mon Dieu*, w co on ją wplątał!

- Wrócę po ciebie, Echarpe - oznajmił Lui. - Ale najpierw zabiję twoją kobietę. Będzie jak za dawnych czasów, *non*?
- To nie jest moja kobieta! Zostaw ją w spokoju!
- Ach, ale widzę, że ci na niej zależy. Ciekawe, czy będzie równie przychylna, jak twoja ostatnia kochanka.
- Cholera. - Jean-Luc ruszył w stronę stojaków. - Pilnuj jej! - krzyknął do Robby'ego i puścił się biegiem między

wieszakami. Zauważył, że Angus zbliża się z przeciwnej strony.

Zaczął gorączkowo rozsuwać ubrania w poszukiwaniu Luiego.

- Szlag by trafił - mruknął Angus. - Musiał się teleportować. Rozejrzę się jeszcze. - Zniknął z wampirzą prędkością.
- Masz go?! - zawołała Heather.

- Nie. Uciekł. - Jean-Luc wrócił na środek pracowni. Wściekły i sfrustrowany, smagnął szpadą powietrze. Oczy Heather się rozszerzyły.

Robby chodził dokoła niej, ściskając w rękę miecz.

- Muszę przeszukać teren. Natychmiast. Echarpe pokiwał głową.
- Leć.

Robby pogalopował do francuskich drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Jean-Luc wziął głęboki wdech.

- Jesteś cała?

- Zdaje się, że tak. - Heather rzuciła pasy i floret Luiego na stół krawiecki. - Ale nie rozumiem, co się dzieje. O co chodzi z tymi szpadami? I dlaczego ktoś miałby chcieć zabić projektanta? To długa historia. - I bolesna. - Lepiej by było, gdybyś uciekła, tak jak mówiłem.

- Chciałam, ale kiedy zobaczyłam, że rusza na ciebie ze szpadą, a ty masz tylko manekina... Sama nie wiem. Powinno mnie to przerazić, ale całe życie się bałam i mam już dość. No i cały ten gniew się ze mnie wylał. Wściekłość na siebie, że jestem takim mięczakiem. Złość na byłego za to, że okazał się takim dupkiem. Po prostu musiałam coś zrobić. I... i byłam całkiem niezła!

Jean-Luc ujął jej dłoń. Podejrzewał, że niewiara we własne siły to sprawka jej eksmęża. Ale walczyła z tym i jego serce przepełniała dumą.

- Byłaś bardzo dzielna. Być może uratowałaś mi życie. Policzki jej się zaróżowiły.

- Nie sądzę, żeby to była moja zasługa. Świetnie sobie radziłeś. Kim był ten facet?

- Nie wiem, jak ma naprawdę na imię. Ja go nazywam Lui.

- Louie?

- *Non*, Lui. Zmarszczyła brwi.

- To właśnie powiedziałam. Jean-Luc westchnął.

- *Lui* to po francusku „on”. To zabójca o wielu imionach. Jacques Clement, Damiens, Ravailac. Morduje ludzi i czerpie rozkosz z zadawania śmierci.

Jej ręce zadrżały.

- Dlaczego chce cię zabić?

- Bo od wie... wielu lat próbuję go powstrzymać. Raz mi się udało i od tamtej pory chce, żebym cierpiał. - Ścisnął jej dłoń.

- Heather, z przykrością muszę stwierdzić, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

Twarz jej pobraźla.

- Tego się obawiałam. Myśli, że jestem...

- Uważa cię za moją kochankę. Uwolniła rękę z uścisku.

- Lepiej więc, żebym trzymała się z dala. Zdaje się, że po tym wszystkim nie mogę tu pracować.

- *Au contraire*, powinnaś tu pracować! Mam ochronę, która zaopiekuje się też tobą. Właściwie powinnaś tu zamieszkać, dopóki nie... zajmiemy się Luim.

- Nie mogę tu zamieszkać. Mam dom w Schnitzelbergu.

- Musisz. Lui zabił już dwie kobiety. Heather przełknęła ślinę.

- Twoje przyjaciółki?

- Tak. Przykro mi, że cię to spotkało. Ostrzegałem, żebyś mu się nie pokazywała.

Skrzywiła się.

- Powinnaś była zrobić tak, jak mówiłeś.

- Ale wtedy mógłbym już nie żyć. Proszę, pozwól, żebym cię chronił, Heather. Jestem ci to winien.

- Nie mogę tu zostać. Moja córka...

- *Non*. - Jean-Luc poczuł, jakby ktoś go zdzielił w żołądek. - Masz córkę?

- Tak. O Boże! Myślisz, że ona też jest w niebezpieczeństwie?

Echarpe z trudem przełknęła ślinę. Przed oczami przemknęły mu obrazy okaleczonych ciał. Yvonne w 1757 roku i Claudine w roku 1832. Nie zniesie znowu tego bólu i poczucia winy.

- Nie bój się. Ochronię was obie.

Rozdział 4

Powinna była się domyślić, że nie jest doskonała. Każdy mężczyzna tak cudowny jak Jean-Luc Echarpe musiał mieć kilka zasadniczych wad. Wada numer jeden: uparty jak osioł. Kiedy minął pierwszy szok, Heather odrzuciła propozycję ochrony ze strony projektanta. Wyglądał na zaskoczonego, zaraz jednak znowu oznajmił swoje zamiary, jak gdyby tym samym ustanawiał prawo.

Po sześciu latach małżeństwa ze świrem, który maniacko ją kontrolował i ustalał zasady dotyczące wszystkiego, nawet tego, jaką bieliznę może sobie kupować, a probowane przez niego białe bawełniane majtki wciąż budziły w Heather panikę. Musiała uciekać przed dominującymi mężczyznami. Potrzebowała też nowej bielizny - czegoś dzikiego, co symbolizowałoby jej nowo odkrytą odwagę. Dzięki Bogu po drodze do domu miała ogromny sklep dyskontowy. Gdzież indziej taka niezależna laska jak ona mogłaby kupić koronkową bieliznę i naboje do strzelby za jednym zamachem?

- Panie Echarpe, doceniam pańską łaskawą propozycję, ale naprawdę nie potrzebuję obrońcy. - Ruszyła w stronę zamkniętych drzwi. - Jeśli tylko mnie wypuścisz...

- Chwileczkę. - Skrzywił się, spoglądając na drzwi. - Nie sądzę, żebyś zdawała sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny jest Lui.

Wrrr. Ten facet nigdy się nie poddaje.

- Nie sądzę, żeby był aż tak niebezpieczny. Wyraźnie zmiękł, kiedy go zdeptałam paskami. A ty walczyłeś z nim połamany manekinem. Jak na takiego okrutnego łotra łatwo dał się pokonać.

- Wcale nie było łatwo! Tak ci się tylko wydawało, bo jestem najlepszym szermierzem w Europie!

Wada numer dwa: przerost ego. Choć w tej kwestii musiała trochę wyluzować. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który nie cierpiałby na tę przypadłość.

- Może wy tam, w Europie, wciąż jeszcze walczyacie na szpady, ale my tu, w Teksasie, korzystamy z broni palnej. Gdybym miała ze sobą strzelbę, Louie byłby już w drodze do kostnicy.

Jean-Luc ściągnął brwi w grymasie nagłego niezadowolenia.

- Twierdzisz, że lepiej byś sobie z nim poradziła niż ja?

- Na pewno bardziej ufam strzelbie niż jakemukolwiek mężczyźnie.

- Ale ja próbuję cię ocalić!

- I dzięki Bogu jestem ocalona. Alleluja! A teraz otwórz drzwi i mnie wypuść.

Oczy mu się rozszerzyły, wyglądał na rozgniewanego.

- Nie mogę pozwolić ci odejść, dopóki się nie zgodzisz, żebym cię chronił.

- No to przygotuj się na długie czekanie, bo wcale nie zamierzam się godzić.

- Niewdzięczna kobieto!

- Arogancki mężczyzno!

Serce waliło jej jak oszalałe. Dobry Boże, to było równie ekscytujące, jak rozkwaszenie ciasta na twarzy byłego męża. Prawdę mówiąc, nawet bardziej. Ciasto było aktem desperacji skażonym smutną świadomością, że ich małżeństwo to porażka. To zaś była cudowna deklaracja niepodległości. Heather nigdy nie czuła się silniejsza ani bardziej nieustraszona. Wysmaganie Louiego pasami sprawiło, że czuła się jak Wonder Woman. I bardzo jej się to podobało.

- Miło mi było pana poznać, Echarpe. I doceniam ofertę pracy. Ale w tych okolicznościach mam wrażenie, że dla nas obojga lepiej będzie, jeśli się już nie spotkamy. - Odwróciła się, dumna ze swojej przemowy, i pomaszerowała w stronę drzwi. Przekleństwa mamrotane za jej plecami sprawiły, że się uśmiechnęła. - Otwórz tylko...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pracowni wpadł tłum ludzi.

- Rychło w czas - zagderał Jean-Luc.

Szkot w kilcie zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami. Surowy wyraz twarzy i długi miecz w dłoni świadczyły, że nie ma z nim żartów. Pełne godności wyjście Heather przepadło. A nawet więcej niż przepadło. Znalazła się w pułapce. Jakimś cudem Jeanowi-Lucowi udało się wezwać wsparcie.

Wada numer trzy: bardziej niż uparty. Wręcz nieustępliwy.

Przedstawił Heather swoim przyjaciołom, ona jednak ledwo zwróciła na nich uwagę. To było cholernie frustrujące. Zanadto frustrujące. Ciężko walczyła, żeby nauczyć się troszczyć o samą siebie i swoją córkę Bethany. Czuła, że gdyby teraz pozwoliła temu mężczyźnie, żeby ją chronił, byłby to gigantyczny krok wstecz.

A mimo to musiała przyznać, że Echarpe początkowo sprawiał wrażenie czarującego. Heather bardzo pochlebiało, że uważał ją za atrakcyjną. Ona z całą pewnością uznała go za pociągającego, zanim ujawnił się jego kompleks Napoleona. Zaproponował jej pracę marzeń. Szanse takie jak ta nie trafiały się często, dlatego fakt, że musiała ją zaprzepaścić, doprowadzał Heather do szaleństwa. Czy zareagowała zbyt gwałtownie, bo nacisnęła nieodpowiedni guzik? Naprawdę był apodyktyczny, ale w końcu stracił dwie przyjaciółki. Jego desperacja była zrozumiała.

Ten facet chciał być bohaterem. Czy to tak źle?

Tylko co ona o nim wiedziała? Jeśliby sędzić człowieka po przyjaciołach, Jean-Luc powinien być oddany i lojalny. Tacy właśnie wydawali się jego przyjaciele. Proszę, oto wysoki, poważny mężczyzna, Roman Dragon-cośtam, z jasnowłosą żoną i synkiem. Kolejny facet, Gregori, dużo się śmieje. Dwóch Szkotów o nazwisku MacKay. Może bracia. Ten, który miał na imię Robby, wciąż pilnował drzwi. Drugi, Angus, miał piękną żonę, brunetkę o imieniu Emma. Właściwie jak się zastanowić, to wszyscy byli wyjątkowo urodziwi.

- Jesteście modelami? - spytała Heather, kiedy mężczyźni pośpiesznie odciągnęli Jeana-Luca, zostawiając ją z kobietami i dzieckiem.

Shanna roześmiała się, podrzucając synka w ramionach.

- Ależ skąd. Ja jestem dentystką, mój mąż właścicielem Romatech Industries, a Gregori to jeden z jego wiceprezesów. Angus jest szefem MacKay Security and Investigation.

- Och. - Heather zerknęła w stronę drzwi. Robby wciąż stał na straży. Na razie nie mogła się stąd ruszyć.

Emma uśmiechnęła się do niej.

- Bardzo dzielnie walczyłaś.

- Dzięki. - Doszła do wniosku, że skoro jest już uwięziona, równie dobrze może spróbować zdobyć trochę więcej informacji. - Co wiecie o Louiem?

Shanna poprawiła pulchnego malucha na biodrze.

- To smutna historia. Prześladowuje Jeana-Luca już od dłuższego czasu.

- Angus wyjaśnił mi co nieco po drodze - włączyła się Emma z leciutkim brytyjskim akcentem. - Lui zamordował dwie przyjaciółki Jeana-Luca.

- Ale ja nie jestem jego dziewczyną - mruknęła Heather. - Poznałam go dopiero dziś wieczorem.

- To bez znaczenia - powiedziała Emma. - Dopóki Lui myśli, że jesteście parą, będziesz dla niego celem.

- Dobrze rozumiem twoją niechęć, żeby przyjąć pomoc Jeana-Luca - przyznała Shanna. - Mnie też kiedyś Roman musiał chronić. To było jeszcze przed ślubem.

Heather zerknęła na zbitych w grupkę mężczyzn po drugiej stronie pracowni. Szeptali o czymś gorączkowo. Bardzo przystojne zgromadzenie, było w nich jednak coś dziwnego, coś niepokojącego.

- Trochę czasu mi zajęło, zanim lepiej poznałam Romana - ciągnęła Shanna. - Rozumiem więc twój opór przed zaufaniem nieznanemu, ale znam Jeana-Luca już dwa lata i wiem, że to facet, na którym absolutnie można polegać. Najśłodszy z możliwych. Zawsze był bardzo opiekuńczy wobec Romana i mnie.

- Mnie też uratował - dodała Emma. - To najlepszy szermierz w Europie.

- Tak, słyszałam. - Heather westchnęła.

Jego przyjaciele trochę przesadzali. Spojrzała na Echarpe'a. Całkiem sprawny facet, bez wątpienia. Miał ciało atlety i sama widziała, jak szybki i pomysłowy był w działaniu. Elegancki smoking nie mógł ukryć otaczającej go aury siły - widać było, że to groźny przeciwnik. W smokingu wyglądał po prostu jak James Bond. A James Bond zawsze na końcu zdobywał śliczną dziewczynę.

Serce jej się ścisnęło. Boże dopomóż, chciała być tą ślicznotką.

Wada numer cztery: zbyt olśniewający.

- Nie sądzisz, że jest przystojny? - szepnęła Shanna. Heather aż podskoczyła. A niech to! Została przyłapana na tym, jak pożera go wzrokiem.

Emma posłała jej porozumiewawczy uśmiech. Nawet dziecko na biodrze Shanny zaśmiało się razem z mamą.

- W porządku, nieźle się prezentuje. Ale to nie znaczy, że potrzebuję jego pomocy - zaprotestowała Heather. - Sama potrafię o siebie zadbać.

Uśmiech Emmy zbladł.

- Nie wiesz, jak straszny jest Lui.

- Facet zwiął, kiedy tylko stracił przewagę. Wcale nie jest aż tak twardy.

Emma zniżyła głos.

- Zaryglowane drzwi go nie powstrzymają. Potrafi przeniknąć do twojego domu, kiedy tylko zechce. Nie usłyszysz go. Umie pojawiać się w dowolnej chwili z nienacką za plecami. Rozpłata ci gardło, zanim zdążysz się zorientować.

Heather przeknęła ślinę i zwalczyła gwałtowną potrzebę, żeby się obejrzeć przez ramię. Cholera, próbują napędzić jej stracha.

- Nie może być aż tak straszny. Przecież nie jest tak, że facet może się pojawiać i znikać według własnego widzimisie. Mówicie o nim, jakby to była istota nadprzyrodzona, jakiś nocny potwór! - Jej słowa głośnym echem rozniosły się w cichej nagle sali.

Grupka mężczyzn odwróciła się i wszyscy spojrzeli na nią. Twarz Heather oblał rumieniec. Nawet w liceum Guadalupe nigdy nie zdarzyło jej się przyciągnąć aż tak powszechnej uwagi.

Cisza przedłużała się, mężczyźni wymienili spojrzenia. Emma i Shanna popatrzyły po sobie, po czym wybuchnęły śmiechem. Maluch zapisał i zamachał rękami w stronę Heather.

- Chce, żebyś go wzięła na ręce - powiedziała Shanna, podając jej dziecko.

Chłopiec chwycił Heather za włosy, przywołując słodkie wspomnienie niemowlęstwa Bethany. Uśmiechnęła się, patrząc na jego puciołate czerwone policzki i jasne niebieskie oczy.

- Cudny. Jak ma na imię?

- Constantine - odparła Shanna. - Słyszałam, że masz córkę.

Heather wiedziała, do czego to zmierza. Zamierzają wykorzystać jej córeczkę, żeby wzbudzić w niej poczucie winy i skłonić do przyjęcia propozycji Jeana-Luca.

- Czteroletnią. I potrafię ochronić nas obie. Została mi strzelba po ojcu.

Shanna zrobiła kwaśną minę.

- Trzymasz broń w domu, w którym jest dziecko? Heather zacisnęła zęby. Niczego nie traktowała z większą powagą niż bycia dobrą matką.

- Nie jest nabita. Oczywiście teraz będę musiała kupić naboje.

Oczy Emmy zaświeciły się z aprobatą.

- Umiesz strzelać?

- Tak. Ojciec nauczył mnie, jak bezpiecznie obchodzić się z bronią. Był specjalistą.

- Co się z nim stało? - spytała Shanna.

- Został... zastrzelony. Shanna się skrzywiła.

- Na służbie - dodała Heather. - Był miejscowym szeryfem.

- Niestety, to tylko dowodzi, że nawet najlepszych zawodowców można zabić - stwierdziła Emma. - Potrzebujesz pomocy, żeby ochronić córkę. Nie będziesz w stanie zachować czujności dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Fidelia też ma broń.

Shanna gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Pozwalasz, żeby czteroletnie dziecko miało dostęp do broni?

- Ależ skąd! - oburzyła się Heather. - Nigdy bym się nie zgodziła na żadną broń w pobliżu mojej córki. - Przygryzła wargę. To nie była do końca prawda. Fidelia jasno dała do zrozumienia, że nigdzie się nie rusza bez swoich pistoletów. - Fidelia to niania Bethany i stara przyjaciółka rodziny. Mieszka z nami. Zrobiłaby wszystko, żeby nas obie ochronić.

- Czyli masz w domu dwie kobiety, które potrafią strzelać? - spytała Emma z uśmiechem. - Może chciałabyś mieć trzy?

Shanna rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Świetny pomysł!

- Jaki? - Heather posadziła sobie małego Constantine'a na biodrze.

- Myślisz, że Angus nie będzie miał nic przeciwko? - Shanna pochyliła się w stronę Heather, ścisząc głos. - To nowożeńcy.

- Jesteśmy małżeństwem już od roku, więc nie sądzę, żeby kilka nocy osobno Angusa zabiło - zaprotestowała Emma. - Co o tym myślisz, Heather?

- To bardzo miłe, że chcesz pomóc, ale... - Heather skrzywiła się, kiedy dziecko pociągnęło ją za włosy.

- Jestem wiceszefem MacKay Security and Investi-gation - wyjaśniła Emma. - Pracowałam też wcześniej dla MI6 i CIA, byłabym więc bardzo dobrym ochroniarzem.

To zrobiło na Heather wrażenie.

- Naprawdę doceniam twoją propozycję, ale mam ograniczone fundusze i...

- Bezpłannie - przerwała jej Emma. - Jean-Luc pomógł nam z Angusem, kiedy mieliśmy kłopoty. Jestem jego dłużniczką.

- To idealne rozwiązanie - podsumowała Shanna. Constantine znowu pociągnął Heather za włosy, spojrzała więc na niego. Oczy dziecka przykuły jej uwagę.

- W ciągu dnia jestem... zajęta, ochraniałabym was tylko nocami - ciągnęła Emma. - Ale dzięki temu ty i niania mogłybyście się przespać, żeby za dnia lepiej się bronić.

- Rozumiem. - Do serca Heather, gdy tak patrzyła na uśmiechające się do niej dziecko, zaczęła się powoli przesączać akceptacja. - Dziękuję, Emmo. Jestem bardzo wdzięczna, że chcesz mi pomóc.

- Świetnie! Powiem panom, co zdecydowałyśmy, a potem możemy iść. - Pomaszerowała do grupki mężczyzn.

Constantine uwolnił włosy Heather z uścisku.

- Możesz mnie już postawić.

Zamrugnęła. Dziecko powiedziało to niewiarygodnie wyraźnie. Jego oczy błyszczały niezwykłą inteligencją. Postawiła małego na ziemi.

- Ile ma?
- Siedemnaście miesięcy - odparła Shanna. Heather patrzyła, jak powoli idzie do matki.
- Niezwykły z niego maluch. Shanna uśmiechnęła się z dumą.
- O tak, niezwykły.

Trzydzieści minut później Heather parkowała swoją pół-ciężarówkę na podjeździe przed domem w Schnitzelbergu.

- Uroczy dom. - Emma otworzyła drzwi od strony pasażera, żeby wysiąść.
- Mam go po rodzicach.

Heather kochała stary dom w stylu królowej Anny, z dużym gankiem i bujaną huśtawką. Kochała zdobienia wokół ganku i balkon na piętrze. Najbardziej jednak podobało jej się to, że swoją córkę mogła wychowywać w domu, w którym sama dorastała.

Chwyciła torebkę i torbę z zakupami, w której znajdowała się nowa koronkowa bielizna oraz naboje do strzelby. Emma nie mrugnęła nawet okiem na sklep dyskontowy, w związku z czym Heather natychmiast ją polubiła.

- Tędy. - Ruszyła w stronę schodów przed frontowymi drzwiami.

Emma przewiesiła swoją torbę przez ramię i obrzuciła wzrokiem podwórko przed domem.

- Nie ma piwnicy? - Pochyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć. - Żadnej?
- Chciałabym, żeby miał. Przydałoby się trochę dodatkowego miejsca.

Otworzyła zamknięte na klucz drzwi. Ze środka dobiegły ją dźwięki telewizora. Może Fidelia jeszcze nie śpi.

Emma zmarszczyła brwi, wchodząc na ganek.

- Dom jest uroczy, ale podatny na atak. Czyj pokój ma balkon?

- Mój, ale okna i drzwi są zamknięte. Nie zrobiło to na Emmie wrażenia.

- Pozwól, że wejdem pierwsza. Heather podskoczyło serce.

- Myślisz, że Louie tu jest? - Z niepokojem pomyślała o córeczce.

- Wolę nie ryzykować. - Emma wyszukała w torbie kij

Oweszła do środka.

Kij? Cichszy niż strzelba, ale Heather wątpiła, czy bardziej skuteczny. Podążyła za gościem i zamknęła za sobą drzwi.

Emma zajrzała do pokoju i wyszeptała:

- Czy to Fidelia?

Heather zerknęła do środka. Fidelia drzemała na kanapie, a telewizor ryczał na cały regulator po hiszpańsku.

- Tak.

Salon wychodził na jadalnię, która wydawała się pusta.

Emma prześlizgnęła się obok schodów na tyły i skierowała w stronę wahadłowych drzwi prowadzących do kuchni.

Heather nie starczyło cierpliwości. Musiała wiedzieć, czy z Bethany wszystko w porządku. Popędziła schodami na górę do pokoju córki.

Nocne światło ledwie oświetlało różowe róże, którymi Heather za pomocą szablonu ozdobiła ścianę wokół okien. Za dnia białe koronkowe firanki przepuszczały słońce, teraz jednak żaluzje były opuszczone.

Minęła ogromny domek dla lalek i wiklinowy wózek i na palcach podeszła do łóżka przykrytego narzutą z Sunbonnet Sue, którą uszyła jej matka. Torebkę i torbę z zakupami upuściła w nogach. Stopy jej córeczki sięgały tylko do połowy materaca. U wezłowia na poduszce leżały rozrzucone rudoblond loki. Ten widok zawsze ścisnął Heather za serce. Odgarnęła włosy córeczki na bok, odsłaniając delikatny policzek. Gdyby nie udało jej się zrealizować żadnego marzenia, gdyby nigdy nie mogła projektować ani zobaczyć Paryża, nie byłaby to wielka strata, bo już udało jej się stworzyć najdoskonalsze arcydzieło.

- Ochroń cię, kochanie.

Podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy jest zamknięte.

- Nie uciekaj więcej ode mnie - wyszeptała ledwo słyszalnie Emma w drzwiach.

Heather się odwróciła.

- Musiałam się upewnić, czy z moją córką wszystko w porządku.

Emma pokiwała głową, wchodząc do środka.

- Parter jest czysty i pozostałe pokoje na piętrze też. O rany, była szybka. I skrupulatna.

- Po drugiej stronie korytarza jest pokój gościnny. Możesz korzystać z niego do woli.

- Dziękuję, ale nie trzeba. - Emma zarzuciła torbę wyżej na ramię. - Całą noc będę na nogach.

- Więc się nie krepuj i bierz z kuchni, co chcesz. Heather musiała przyznać, że dużo łatwiej będzie jej

zasnąć ze świadomością, że Emma czuwa. Dzięki Bogu, że udało się uniknąć obecności Jeana-Luca Echarpe'a. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to kolejny dominujący mężczyzna. A sławny projektant? Pewnie przejrzałby jej szafę i wszystko wyrzucił. Albo, co gorsza, stanąłby i zaczął się śmiać.

Emma podeszła do łóżka Bethany i wyszeptała:

- Śliczna.

Heather pokiwała głową.

- Jest dla mnie wszystkim.

- Rozumiem. - W uśmiechu Emmy czaił się cień smutku. - Chciałabym obejrzeć strych.

- Tędy. - Heather wyszła na korytarz i pociągnęła za linę, żeby rozłożyć drabinę. - Potrzebujesz latarki?

- Całkiem dobrze widzę w ciemności. - Wdrapała się na drabinę. Chwilę spędziła na strychu, po czym zeszła. - Czysto.

Chciałabym jeszcze raz sprawdzić na zewnątrz.

- W porządku. - Złożyła drabinę i pozwoliła, żeby z powrotem powędrowała na poddasze. Emma zdążyła tymczasem zejść po schodach i wyjść, Heather postanowiła więc przygotować się do snu.

Zabrała torebkę i torbę z zakupami z pokoju Bethany i poszła do własnej sypialni. Zasunęła żaluzje we francuskich drzwiach wychodzących na balkon. Co za noc. Propozycja pracy od sławnego projektanta i śmiertelne zagrożenie - wszystko w jeden wieczór. Odtworzyła sobie w myślach ostatnie wydarzenia, przesuwając krzesło spod biurka do szafy. Dlaczego śmiertelnie groźny zabójca miałby nastawać na projektanta mody? Chyba że... Jean-Luc był kimś więcej niż tylko projektantem. Otaczała go tajemnicza aura agenta 007.

Z prychnięciem odrzuciła tę nierealną teorię. Międzynarodowy szpieg nie zainteresowałby się Schnitzelbergiem w Teksasie. Wdrapała się na krzesło, wymacała strzelbę na najwyższej półce i zabrała ze sobą na łóżko. Czy przypadkiem Jean-Luc nie wspominał, że Louie używał też innych nazwisk? Cadillac? Nie, to było coś innego. Włożyła do komory dwa naboje.

Może gdyby się trochę odprężyła, przypominałaby je sobie. Zawsze miała świetną pamięć. Zafundowała Cody'emu, swojemu byłemu mężowi, największy szok życia, kiedy w sądzie powtórzyła każdą obelgę i groźbę, które wypowiedział pod jej adresem.

Rozebrała się i włożyła ulubioną zieloną jedwabną pizamę. Uwielbiała dotyk jedwabiu na nagiej skórze i to uczucie zawsze ją uspokajało. Usiadła na puszystej szeni-lowej narzucie, przytuliła się do poduszki i zamknęła oczy.

Zabójca o wielu imionach. Nie Cadillac, ale Ravailiac. Jean--Luc powiedział, że powstrzymał Louiego i że to dlatego tamten chce się na nim zemścić.

Jaki projektant mógłby powstrzymać zabójcę przed realizacją jego zbrodniczych planów?

W głowie Heather włączyła się muzyka z Jamesa Bonda. Nie, tak być nie może. Wyobraźnia jej się rozszalała.

Uruchomiła komputer i przysunęła krzesło z powrotem do biurka. Wpisała „Ravailiac” w Google'a i usiadła osłupiała. To było bardziej szalone niż teoria z Jamesem Bondem.

Francois Ravailiac został stracony w 1610 roku za zamordowanie króla Henryka IV. Cztery konie rozerwały go na kawałki. Jezu, ciekawe, czy wystawili poczwórne świadectwo zgonu. Jedno było pewne, facet stanowczo był martwy. Nawet gdyby Louiemu udało się przeżyć czterysta lat, nie mógł być Ravailakiem. No i zgodnie z zarządzeniem francuskich władz niesławnego nazwiska nigdy więcej nie można było wymawiać.

Na dole znajdował się link do strony poświęconej innemu zabójcy, Damiensowi. To nazwisko także wymienił Jean-Luc. Kliknęła w link.

Robert-Francois Damiens próbował zamordować króla Ludwika XV w 1757 roku. Nie udało mu się, ale mimo to zdobył główną nagrodę - śmierć przez poćwiartowanie. I znów Francuzi zabronili wymawiania jego nazwiska.

Poszukiwania Jacques'a Clementa przyniosły podobny rezultat. W 1589 roku zamordował króla Henryka III. Dla Heather, nauczycielki historii, wszystko to było fascynujące, ale też zbijało z tropu. Po prostu nie miało sensu. Albo Jean-Luc się mylił, albo celowo kłamał, albo... działo się tu coś bardzo dziwnego.

I tak na liście mankamentów Jeana-Luca pojawiła się wada numer pięć: skłonność do niedomówień. Jak mogła mu zaufać, skoro jego opowieść nie miała sensu?

Rozległo się dyskretne pukanie, więc Heather szybko zminimalizowała wyszukaną stronę.

- Tak?

Skrzypnęły drzwi i do pokoju zajrzała Emma.

- Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że wszystko w porządku. Możesz się spokojnie zrelaksować. Zabiorę się tuż przed świtem.

- Dziękuję.

- Fidelia się obudziła, więc jej powiedziałam, co się dzieje. Nalegała, żeby mi przepowiedzieć przyszłość.

- Och, no tak. - Heather pokiwała głową. - Stawia tarota każdemu, kto przyjdzie do domu. To jej sposób na to, żeby nas chronić.

- To i pistolety? Ciekawe. - Emma zerknęła na komputer. - Sprawdzasz pocztę?

- Tak. Zaraz się kładę.

- W porządku. Zostaw, proszę, drzwi uchylone, żebyś mogła zajrzeć do ciebie w nocy.

- Dobra.

Poczekala, aż Emma wyjdzie, i odwróciła się z powrotem do komputera. Wpisała w Google'a „Jean-Luc Echarpe” i znalazła kilka stron sprzedających jego stroje. Zignorowała je, szukając informacji osobistych. Znalazła zdjęcie zrobione rok wcześniej, na pokazie w Paryżu. Ciemne loki, niebieskie oczy, ślady dołeczków w czarującym uśmiechu. Jezu, czy ten facet mógłby być jeszcze bardziej olśniewający? Wracamy do wady numer cztery: zbyt przystojny.

Znalazła najnowszy artykuł, przekład z paryskiego „Le Monde'a”. Wszyscy zastanawiali się, jakim cudem Jean--Luc przez trzydzieści lat się nie postarzał. Hm, musiał dotyczyć Jeana-Luca ojca. Ten Jean-Luc, którego poznała, wyglądał na zaledwie trzydziestkę. Najwyraźniej starszego Jeana-Luca nie widziano od kilku miesięcy. Media podejrzewały, że poddał się kolejnemu liftingowi twarzy.

Heather znalazła też inny artykuł, datowany na trzydzieści lat wcześniej. Przy nim również było zdjęcie. Kurczę, facet na fotografii wyglądał dokładnie tak jak ten, którego spotkała dziś wieczorem. Bez sensu. Poszukała daty urodzenia Jeana-Luca, ale nie udało jej się znaleźć żadnych informacji osobistych.

Wada numer pięć. Niektóre kobiety aurę tajemniczości mogłyby uznać za zaletę, ale Heather, jeśli chodzi o mężczyzn, nie lubiła niespodzianek. Choć było to intrygujące...

Dlaczego Jean-Luc miałby nazywać Louiego nazwiskami, które zniknęły wieki temu? I dlaczego po trzydziestu latach wyglądał dokładnie tak samo? Chirurgia plastyczna czy...? Przemknął jej przez głowę pewien pomysł. Całkowicie szalony - bez wątplenia efekt późnej pory i jej nazbyt wybujałej wyobraźni.

To zawsze był jej ulubiony program telewizyjny - nieśmiertelni Highlanderzy, którzy żyli przez stulecia i walczyli z odwiecznymi wrogami na miecze. Tłumaczyłoby to, dlaczego Jean-Luc i jego przyjaciele posługiwali się białą bronią. I czemu Echarpe wspominał zabójców żyjących przed wiekami. Miał nawet za przyjaciół Highlanderów w kiltach. I kiedy tak wszyscy stali zbici w grupkę po drugiej stronie pracowni, szepcząc między sobą, wyglądali na gości, których łączy tajemnica.

Czy Jean-Luc mógł być nieśmiertelny?

Heather prychnęła i wyłączyła komputer. Jej teorie stawały się coraz śmieszniejsze. Nieśmiertelny? Równie dobrze mogła zacząć wierzyć w elfy i dobre wróżki. Niestety, jeśli chodzi o trolle, to na własnej skórze przekonała się, że istnieją. Przez sześć lat żyła z przedstawicielem tego gatunku pod jednym dachem.

Kiedy zeszła na dół po szklankę wody, zauważyła, że telewizor jest wyłączony. Usłyszała głos Fidelii z leciutkim akcentem.

- Odwrócony Pustelnik może oznaczać, że doskwiera ci poczucie głębokiego osamotnienia.

Nie wyglądało na to, że chodzi o Emmę. Heather zatrzymała się w drzwiach do salonu. Otworzyła usta. Nie, nie chodziło o Emmę.

Jean-Luc wstał. Smukła szpada opierała się o fotel. Niebieskie oczy zamigotały, kiedy zauważył pizamę Heather.

- Wstałem, żeby cię zobaczyć. Emma mnie wpuściła. Podeszli ją. Zaciśnęła zęby. Powinna była wiedzieć, że Emma jest po stronie tego faceta.

- Gdzie Emma?

- Na górze, pilnuje Bethany. - Fidelia mrugnęła do Heather. - Ten młody człowiek twierdzi, że jego obowiązkiem jest chronić ciebie. *Muy macho*, prawda?

Jean-Luc się skłonił.

- Do usług.

Heather powstrzymała się przed gniewną ripostą. Ten mężczyzna nie przyjmował do wiadomości odmowy. Wracamy do wady numer jeden: uparty jak osioł. A sposób, w jaki się uklonił, był staroświecki. Wyjątkowo staroświecki.

Ciekawe, ile lat może mieć ten osioł.

Rozdział 5

Była piękna, nawet kiedy się złościła. Jeana-Luca zachwyciły skrzące się zielonym płomieniem oczy Heather. A to, w jaki sposób jedwabna piżama opinała piersi, też było nie do pogardzenia. Spiorunowała go wzrokiem i podparła się pod boki. Ten ruch sprawił, że jej biust leciutko

podskoczył. Nic nosiła stanika. Jean-Luc zawsze miał oko do szczegółów.

- Jean-Luc - mruknęła. - Nie spodziewałam się ciebie.

- Proszę, mów mi Jean.

Tak łatwo byłoby wsunąć ręce pod jej piżamę i poczuć w dłoniach słodki, miękki ciężar. Przeniósł wzrok na twarz Heather i zauważył zarumienione policzki. Wyłowił zapach krwi napływającej delikatnymi naczynkami do twarzy. Grupa AB.

Głód sprawił, że Jeanowi-Lucowi ścisnął się żołądek, a ciało przeszły dreszcz pożądania. Na szczęście miał w samochodzie zapas syntetycznej krwi, która powinna zaspokoić potrzebę fizyczną. Powoli jednak zaczął sobie uświadamiać, że dręczy go inny głód - głód spowodowany latami abstynencji. To prawda, że brakowało mu seksu, ale chodziło też o coś głębszego. Tęsknił za spełnieniem, kojącym zadowoleniem, jakie daje poczucie emocjonalnej więzi z kochającą kobietą. Lui sprawił, że taka radość była dla niego niemożliwa.

Heather skrzyżowała ręce i lśniący materiał jeszcze mocniej napiął się na jej piersiach.

- Tylko mi nie mów, że zamierzasz spędzić tutaj noc.

- Muszę. Moim obowiązkiem i zaszczytem jest cię chronić.

- Jakie to romantyczne - odezwała się Fidelia z kanapy i wychyliła kwadratowe ciało, żeby spojrzeć na stojącą w drzwiach Heather. - Nie sądzisz?

- Nie. - Heather popatrzyła na nią, marszcząc brwi. - Narzucanie się nie jest romantyczne.

- On wcale nie próbuje cię uwieść, *chica*. Po prostu chce cię chronić. - Zerknęła na Jeana-Luca i oczy jej zamigotały. - W każdym razie tak twierdzi.

Uwieść ją? Jean-Luc trzymał się z dala od śmiertelnych czek, odkąd w 1832 roku została zamordowana Claudine. Honor nie pozwalał mu narażać kolejnej niewinnej kobiety na szaloną zemstę Luiego. Tylko że Lui zdążył tymczasem dojść do wniosku, że Jean-Luc jest związany z Heather. I tym samym najpoważniejszy powód, dla którego miałyby się opierać swojemu pożądaniu, zniknął.

Uwiedz ją. Przecież wiesz, że jej pragniesz, nakazywał sobie w myślach.

Ale jakim cudem miałyby przyjąć jego zaloty? W końcu to z jego powodu życie Heather i jej córki znalazło się w niebezpieczeństwie. Chętniej pewnie by go spoliczkowała, niż dała się porwać namiętnemu pocałunkowi.

Zrobił głęboki wdech.

- Zapewniam was, *mes dames*, że moje intencje są szlachetne.

Heather prychnęła i spojrzała na niego sceptycznie.

Czyżby podawała w wątpliwość jego honor? *Merde*. Miała rację, wzięwszy pod uwagę kierunek, w jakim biegły jego myśli.

- Z tego, co mówiła Emma, ja też mogę być w niebezpieczeństwie. - W brązowych oczach Fidelii zamigotały figlarne ogniki. - Gdzie się podziewa mój anioł stróż? Ma pan może coś w rodzaju, eee, katalogu?

Jean-Luc zamrugnął.

- Mogę chronić was obie, ale gdyby wołała pani własną ochronę, poproszę, żeby Robby...

- Roberto? - Fidelia poprawiła długie bujne czarne włosy, ujawniając przy tym kilkucentymetrowe siwe odrosły. - Czy jest tak samo *muy macho* jak pan?

- N-nie mam pojęcia. - Jean-Luc wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni smokingu.

- To Szkot w kilcie - mruknęła Heather. - Ma jeszcze większy miecz niż Jean.

Co to, do diabła, miało znaczyć? Jean-Luc zatrzymał się w połowie wybierania numeru i napotkał jej wyzywające spojrzenie.

- Szkocki miecz calymore jest z natury większy od szpady, *mademoiselle*, ale jego ciężar sprawia, że szermierz staje się powolniejszy.

Popatrzyła na niego beznamiętnie.

- Powolność jest dobra. Lubię powolność. Zrobił krok w jej stronę.

- Lepsza jest finezja. Nie wolno też zapominać o doświadczeniu i doskonałym wyczuciu czasu. Jestem w tym mistrzem, nie słyszałaś?

- Słyszałam. - Ziewnęła. - Ale sam wiesz, jak to jest. Wielkość nie ma znaczenia tylko według tych, którzy cierpią na jej niedostatek.

Zacisnął zęby.

- Niczego mi nie brakuje, moja panno. Z ogromną chęcią tego dowiodę. Tak powoli, jak sobie tylko *mademoiselle* zażyczy.

Fidelia wybuchnęła śmiechem.

- A niech mnie! Gdybym tylko miała dwadzieścia lat mniej. No dobrze, może trzydzieści. Tak czy owak, nie interesują mnie ani miecze, ani mężczyźni w spódniczkach. Miałam ich dość.

Jean-Luc oderwał wzrok od Heather i przeniósł go na nianię.

- Nie chce pani Robby'ego?

- Do diaska, pewnie że nie. Tak tylko żartowałam. - Podniosła ogromniastą torebkę, położyła na kolanach i zaczęła grzebać w środku. - Po co mi Szkot, skoro mam swojego miłego niemieckiego *muchacho*, pana Glocka. - Wyciągnęła pistolet, poklepała go czule i położyła na poduszce obok.

A potem wyciągnęła kolejny.

- Jest jeszcze pan Makarów z Rosji z wyrazami miłości. - Położyła pistolet obok pierwszego. - I moje włoskie słoneczko, pan Beretta.

Wsuwając komórkę z powrotem do kieszeni, Jean-Luc zauważył, że wszystkie pistolety Fidelii miały dodatkowe zabezpieczenia.

- Ile ich pani ma?

- Po jednym na każdego męża. Te złotka przynajmniej nie strzelają ślepakami. - Śmiejąc się, wsunęła pistolety z powrotem do torebki. - Swojego ulubieńca, pana Magnum, trzymam na górze w sypialni. Jest za wielki do torebki. - Mrugnęła. - A skoro mowa o rozmiarze...

- Fidelio, potrzebuję czegoś z kuchni. - Heather kiwnęła głową, wskazując na tyły domu.

- No to idź i sobie weź. - Oczy niani rozszerzyły się, kiedy Heather ponownie wskazała głową kuchnię. - Ach, dobrze, pomogę ci. - Wstała, tuląc torebkę do wielkiej piersi. - Zaraz wracamy, Juan. Nigdzie nie odchodź.

- Oczywiście. - Skłonił się lekko, gdy Heather wyszła na korytarz.

Fidelia podreptała za nią, szeleszcząc długą spódnicą. Zerknęła za siebie i uśmiechnęła się znacząco.

- No to ruszamy na poszukiwanie straconego rozumu. Jean-Luc ostrożnie wyjrzał za nimi na korytarz i gdy tylko drzwi do kuchni przestały się kołysać w zawiasach, z wampirzą prędkością pognął do swojego bmw.

Wyciągnął ze schowka butelkę syntetycznej krwi i wy-dudlił aż do dna. Nie znosił zimnych posiłków, ale w tych okolicznościach to było najlepsze, co mógł zrobić. Dla wampira zimna krew to odpowiednik zimnego prysznic -tego właśnie potrzebował, jego głód bowiem nie dotyczył wyłącznie jedzenia.

Przeprowadził inspekcję piętrowego drewnianego domu Heather. Niebieski z białymi wykończeniami. Taki ciepły i uroczy. Jakże różny od jego kamiennego zamku na północy Paryża - idealnego, nieskazitelnego, zimnego jak mauzoleum. Ten dom tętnił życiem i wyglądał na...zamieszkały. Jean-Luc miał oko do szczegółów, zauważył więc wszystkie oznaki. Parę niedużych wilgotnych tramppek na ganku. Niedokończoną szydełkową robótkę wysuwającą się z koszyka przy kominku. Poduszki na kanapie porzucone w artystycznym nieładzie. Wyszywankę na ścianie z prośbą, by Bóg miał w opiece to domostwo. Niezwykle ekspresyjny rysunek, wykonany najwyraźniej przez córeczkę Heather i wyeksponowany z dumą na gzymisie kominka.

To był prawdziwy dom. I prawdziwa rodzina. Taka, jakiej nigdy nie miał. *Merde*. Można by pomyśleć, że w ciągu pięciuset lat powinien się z tym pogodzić. Jedno było pewne - nie pozwoli Luiemu tego zniszczyć. Czekala go jednak trudna batalia, nie wiedział bowiem ani kiedy, ani gdzie przeciwnik uderzy.

Najkoszmarniejszy lęk Jeana-Luca - poczucie bezsilności - czał się w cieniu, tylko czyhając na chwilę słabości. Nie wolno mu się poddać. Z powodu Heather. Musi ją ochronić i pokonać Luięgo.

Zlustrował jeszcze podwórko i ulicę, po czym błyskawicznie wrócił do domu. Zamknął za sobą cicho drzwi. Dzięki wyczulonym wampirzym zmysłom usłyszał szept Fidelii.

- Dlaczego nie pozwolisz, żeby cię chronił. Co masz przeciwko niemu?

Nastąpiła pauza. Bezszelestnie przekręcił klucz w drzwiach.

- Jest w nim coś dziwnego - odezwała się w końcu Heather. - Poza ewidentnymi wadami jest jeszcze coś, czego nie potrafie rozgryźć.

- Jakimi ewidentnymi wadami? - spytała Fidelia. Właśnie, jakimi? Marszcząc brwi, Jean-Luc ruszył ostrożnie korytarzem.

- Jest zbyt przystojny - oznajmiła Heather. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- I zbyt arogancki - dodała, a jego uśmiech zbladł. -Przysięgam, że jeśli jeszcze raz usłyszę o jego mistrzostwie, wezmę ten jego miecz i sprawię, że zaśpiewa jak Farinelli.

Echarpe zamrugął.

- Nie bądź głupia - syknęła Fidelia. - Jak się zaczniesz bawić męskimi zabawkami, to na co ci będzie mężczyzna?

- Od czterech lat się nad tym zastanawiam - mruknęła Heather.

Jean-Luc powstrzymał się przed wkroczeniem do kuchni i rzuceniem panny Heather Westfield na stół w celu jej pilnego oświecenia.

Fidelia zachichotała.

- No cóż, jeśli zostanie dość długo, może uda ci się znaleźć odpowiedź.

Tak, do diabła! Pokiwał głową.

- Nie zostanie tutaj - powiedziała z naciskiem Heather. Nie, do diabła! Posłał drzwiom gniewne spojrzenie. Heather ściszyła głos.

- Muszę wiedzieć, czy wyczuwasz od niego jakieś dziwne vibracje.

- Na razie nic. Wiesz, że większość moich wizji przychodzi podczas snu.

- To idź do łóżka.

Fidelia wybuchnęła śmiechem.

- Nie mogę zagwarantować, że mi się przyśni... Ale tobie owszem. Zdaje się, że wpadł ci w oko.

Jean-Luc podszedł na palcach do kuchennych drzwi. Chciał usłyszeć, co odpowie Heather, ale zamiast tego do jego uszu dotarły odgłosy poszukiwania.

- Skończyły nam się lody czekoladowe? - Poirytowana Heather trzasnęła drzwiczkami lodówki.

- To ci tylko wyjdzie na dobre - oznajmiła Fidelia.

- Och, jestem w pełni świadoma, że mam nadwagę, ale wcale mi to nie przeszkadza i mam ochotę na lody.

- 'Ib, że się w końcu zainteresujesz jakimś mężczyzną, wyjdzie ci na dobre - odparta niania. - A choć próbujesz zaprzeczać, to masz ochotę na Juana.

- Ma na imię John.

Jean-Luc się skrzywił. Żadna z nich nie wymawiała jego imienia poprawnie.

- Jest bardzo przystojny - wyszeptala Heather. - Ale zbyt dominujący.

- Nie, nie, *chica*. Wcale nie jest taki jak twój były. Po prostu teraz wydaje ci się, że wszyscy mężczyźni są źli.

- Jest w nim coś dziwnego, coś, czemu nie ufam. Fidelia zacmokała.

- To pozwól, żeby skończyła mu wróżyć. Zobaczmy, co powiedzą karty.

Jean-Luc rzucił się z powrotem do salonu i zajrzał w karty leżące na stoliku. Fidelia potasowała je i poprosiła, żeby wybrał siedem. Jak dotąd odsłoniła tylko jedną, cholernego Pustelnika. Zwykle nie wierzył w takie bzdury. Przez setki lat naoglądał się dość szarlatanów. Mimo to, gdy usłyszał, jak ktoś oznajmia światu o jego samotności, zraniło to jego dumę.

Rzecz jasna, był samotny. Jak mógłby zabiegać o kobietę, wiedząc, że Lui będzie próbował ją zabić?

- Nie mam pewności, czy jest tym, za kogo się podaje - dobiegły go z kuchni ciche słowa Heather. - Ma swoje... sekrety.

Spostrzegawcza kobieta. Jean-Luc pochylał się nad stołem i odkrył następną kartę. Serce mu zamarło.

Kochankowie. No właśnie. Nadzieja na szczęśliwą przyszłość i wspianały związek z kochającą kobietą była taka kusząca. Tylko jakim cudem miałyby się to udać z Heather? Nawet gdyby przeżyła spotkanie z Luim i wybaczyła Jeanowi-Lucowi, że naraził ją na niebezpieczeństwo, jak mogłaby zaakceptować nieumarłego kochanka?

Usłyszał, że kobiety wychodzą na korytarz. Szybko chwycił Kochanków i wsunął z powrotem do talii. Na chybił trafił wyciągnął inną kartę i położył koszulką do góry w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się miłosna przepowiednia, po czym usiadł w fotelu i przybrał znudzony wyraz twarzy.

- Wróciłyśmy!

Fidelia wmaszerowała do pokoju, szeleszcząc długą spódnicą. Opadła w zagłębienie pośrodku kanapy, a torebkę postawiła obok.

- Przynieść ci coś do picia? - Heather machnęła w stronę kuchni ręką, w której trzymała szklankę wody z lodem. Kostki zastukały o siebie niczym dzwoneczki.

- Nie, dziękuję.

Jean-Luc zacisnął dłonie na poręczach fotela, żeby nie wstać. Przeżył kilka stuleci, kiedy to dobre maniery nakazywały mężczyźnie stać, gdy stoi kobieta. Takie nawyki trudno wykorzenieć, ale jeszcze trudniej się z nich wytłumaczyć. Heather i tak była już zanadto podejrzliwa.

- A może skończylibyśmy wróżyć? - Fidelia pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

Heather postawiła szklankę na podstawce nieopodal talii.

- Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli popatrzę?

- Nie, nie mam nic do ukrycia. - Był takim kłamcą.

Spojrzała na niego podejrzliwie, sadowiac się na oparciu kanapy. Wyciągnęła błękitną szenilową poduszkę, położyła sobie na kolanach i zaczęła bawić się frędzelkami.

- W porządku, następna. - Fidelia sięgnęła, żeby odkryć kartę.

Dzięki Bogu, że pozbył się Kochanków. Cokolwiek pojawi się w zamian, będzie lepsze.

- Głupiec - oznajmiła niania. Jean-Luc zamrugał.

Heather zachichotała, a kiedy na nią zerknął, zagryzła wargi.

- To nie znaczy, że jest pan głupcem - powiedziała z uśmiechem Fidelia. - Tylko że w skrytości ducha chciałby pan rzucić się w nieznanne i rozpocząć nowe życie.

- Och!

Mogło tak być. Zerknął na Heather. Przycisnęła poduszkę do piersi, delikatnie wodząc palcami po miękkim szenilu.

Lubi materię. Lubi dotykać i czuć przedmioty. Jego krocze zareagowało. Może twarde przedmioty sprawiają jej taką samą przyjemność jak miękkie.

Fidelia odwróciła kolejną kartę i zmarszczyła brwi.

- O Boże! Dziesiątka mieczy.

- Czy to źle? - Głupie pytanie, zważywszy na to, że karta przedstawiała martwego mężczyznę na ziemi z dziesięcioma mieczami w plecach.

- Nieutulony żal - odparła Fidelia. - Ściąga pana los, a pan nie może zrobić nic, żeby go uniknąć.

- Louie - szepnęła Heather i mocniej ścisnęła poduszkę.

- Nie pozwolę mu cię skrzywdzić - zapewnił ją Jean-Luc. Fidelia odsłoniła czwartą kartę.

- Odwrócona ósemka mieczy. Prześladowuje pana przeszłość.

Poprawił się na krześle. Trochę za bliski strzał, żeby mógł czuć się komfortowo.

Fidelia sięgnęła po piątą kartę.

- Rycerz mieczy. - Pokręciła głową skonsternowana.

- Też niedobra karta?

- Nie, dobra. Jest pan odważny jak Lancelot, prawdziwy obrońca kobiet. - Westchnęła. - Po prostu to dziwne, że wyciągnął pan tyle mieczy. Są jeszcze trzy inne kolory. Bardzo rzadko się zdarza, żeby ktoś wybrał karty tylko jednego rodzaju.

Jean-Luc wzruszył ramionami.

- Jestem szermierzem.

- Miecze pojawiły się z określonego powodu. - Fidelia /mrużyła oczy. - To musi znaczyć, że skupia się pan na intelekcie i ignoruje potrzeby serca.

- Nie miałem wyboru. Nie mogłem sobie pozwolić na żaden związek z powodu Luiego.

- Ile lat ma Louie? - wyszeptala Heather. Jean-Luc zeszywniał, po czym zmusił się, żeby przybrać niedbałą pozę.

- Ma... więcej niż ja.

Heather spojrzała na niego uważnie, kręcąc palcami w miękkim materiale, którym obszyta była poduszka.

- To znaczy ile?

Merde. Nie ufa mu. Jak zresztą mógł zdobyć jej zaufanie, skoro wciąż musiał kłamać.

- Nie wiem dokładnie. - To przynajmniej było prawdą. Fidelia odkryła szóstą kartę.

- Księżyc. - Spojrzała na niego dziwnie. Jean-Luc przełknął ślinę.

- Czy to ma coś wspólnego z polowaniem?

- Nie, oznacza oszustwo. - Fidelia zerknęła znacząco na Heather. - Może także znaczyć coś nadnaturalnego.

Oczy Heather się rozszerzyły. Jean-Luc przesunął się do przodu.

- Nie daj się zwieść przesądom. Przyrzekłem, że będę cię chronił, i tak się stanie.

- Chcę ci wierzyć. Tylko nie jestem pewna, czy mogę. Poszukała wzrokiem jego oczu, on zaś postarał się przelać w swoje spojrzenie całą troskę i zachwyty, jaki w nim budziła. Nie odwróciła wzroku i w jego wnętrzu zapaliła się iskierka nadziei. Chciał, żeby mu zaufała, żeby obdarzyła go przyjaźnią i szacunkiem. Pragnął wszystkiego, co mogłaby mu dać.

- Czas na ostatnią kartę - oznajmiła Fidelia. - Ta jest bardzo ważna, bo oznacza odpowiedź na aktualne problemy. - Wyciągnęła rękę po kartę.

Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Heather skoczyła na równe nogi. Fidelia sięgnęła po torebkę.

- Kto to może być o tej porze?

Jean-Luc wyszedł na korytarz, a obie kobiety podążyły za nim. Słyszał, jak na ganku Angus wysłała żonie telepatycznie wiadomość.

- To nie Lui. On by sobie nie zawracał głowy dzwonieniem.

Heather włączyła światło na ganku i wyjrzała przez ołowiane szybki w drzwiach.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją Jean-Luc. - Podejrzewam, że to Angus. Proszę, pozwól mi to zrobić. - Otworzył drzwi. Angus wślizgnął się do środka i kiwnął jej głową.

- Dobry wieczór, kochana. Jak tam się mają sprawy? Heather wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że wszystko w porządku. Nie spodziewałam się tylko Jeana-Luca. Angus zmarszczył brwi.

- Nie miał wyboru. To sprawa honorowa. - Jego twarz rozjaśniła się, kiedy zobaczył żonę radośnie zeskakującą ze schodów.

- Tu jesteś!

Emma uśmiechnęła się i pobiegła prosto w jego ramiona.

- Już zdążyłeś się stęsknić?

- *Aye*. - Angus przytulił ją mocno.

Jean-Luc jęknął w duchu. Angusa tak łatwo było ostatnio rozproszyć.

- Jakieś nowiny?

- *Nay*. - Szkot oparł brodę o czoło Emmy. - Robby i ja przeczesaliśmy miasto. Ani śladu Luiego.

Jean-Luc poczuł gryzącą frustrację. Desperacko chciał ruszyć na poszukiwanie wroga, nie mógł jednak zlekceważyć obowiązku chronienia Heather.

- Potrzeba nam więcej ludzi.

- Wybieram się do Nowego Jorku po posiłki - uspokoił H<> przyjaciel.

Jean-Luc pokiwał głową. Roman i Gregori zdążyli już się teleportować do Nowego Jorku i zabrali ze sobą Shannę oraz dziecko.

Angus odwrócił się do Heather.

- Sprowadzimy też kogoś, żeby pomógł ci za dnia. Oczy Heather się rozszerzyły.

- To naprawdę konieczne?

- Tak - odparł Jean-Luc równocześnie z angusowym *Aye*.

Szkot otworzył drzwi.

- Chciałbym przez chwilę побыć sam na sam z żoną, zanim pójdę. Dobranoc. - Wyprowadził Emmę na ganek.

Emma obejrzała się do Heather z uśmiechem.

- Zaraz wracam.

Frontowe drzwi zamknęły się ze szcękaniem.

Wśród pozostałych zapadła niezręczna cisza. Po chwili z ganku dobiegł ich pisk Emmy, a potem męski śmiech i kobiecy chichot.

- Nowożeńcy. - Jean-Luc westchnął. Heather pokiwała głową.

- Tyle wesołości może działać naprawdę irytująco.

- *Oui*. - Jean-Luc skrzyżował ręce na piersi. - Zwłaszcza jeśli pozostali nie mogą w niej brać udziału.

Fidelia prychnęła.

- Wy dwoje działacie na mnie tak przygnębiająco, że aż muszę się napić. - Ruszyła do kuchni. - Ktoś jeszcze ma ochotę na piwo?

- Nie, dziękuję. - Heather patrzyła za nią, póki drzwi się nie zakołysały, a potem zaciekawiona spojrzała z ukosa na Jeana-Luca. - To zabrzmiało, jakbyś... zazdrościł Angusowi i Emmie.

- Jaki człowiek nie chciałby, żeby go kochano z taką namiętnością?

- Niektórzy mogliby ją uznać za zbyt zaborczą.

- Tylko wtedy, gdyby miłości użyto, żeby ich uwięzić. - Jean-Luc spojrzał na nią badawczo. - Czy to właśnie przytrafiło się tobie?

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, wyczuł jednak, że odpowiedź była twierdząca. Zrobił krok w jej stronę.

- Uważam, że miłość powinna dawać człowiekowi poczucie większej mocy i siły, większej wolności. Powinna pozwolić mu uwierzyć, że osiągnie wszystko, czego pragnie.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Taka miłość należy do rzadkości.

- A czy nie w ten sposób kochasz swoją córkę? Oczy Heather rozszerzyły się i zwilgotniały.

- Tak, właśnie tak.

- Więc taka miłość jest dla ciebie możliwa. Przygryzła dolną wargę.

- A dlaczego sądzisz, że dla ciebie nie?

- Nigdy nie chciałem narażać żadnej kobiety na zemstę Luiego. - Nawet gdyby Lui zniknął, wciąż problemem pozostawałoby to, że Jean-Luc jest nieumarły. Tylko że Roman i Angus umieli sobie z tym poradzić. Może i jemu by się udało.

- Ciężko byłoby znaleźć kobietę, która pokochałaby mnie takiego, jaki jestem.

Usta Heather drgnęły.

- Tak trudno z tobą wytrzymać? Niech zgadnę. Chrapiesz jak rozjuszony byk.

- Nie. Akurat w czasie snu zachowuję się wyjątkowo cicho.

- I nie wstajesz w nocy, żeby wypolerować swoje szermiercze trofea?

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie.

Rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Poddaję się. Nie potrafię powiedzieć, co jest z tobą nie tak.

Przysunął się jeszcze bliżej.

- Więc musisz przyznać, że ci się podobam. Policzki Heather zaróżowiły się uroczo i Jean-Luc poczuł słodki zapach krwi grupy AB. Podniosła brodę.

- Jesteś okropnie pewny siebie. Uśmiechnął się powoli.

- Fatalny efekt uboczny mojej arogancji. Wykrzywiła usta w niechętnym uśmiechu.

- Mam kłopot z tym, żeby cię nie lubić.

- Poczekaj, to przyjdzie z czasem.

Roześmiała się i ten dźwięk napełnił jego serce ciepłą radością. Od lat, ba, od stuleci nie było mu dane cieszyć się towarzystwem kobiety. Z drgnieniem serca stwierdził, że Heather jest niezwykłą przedstawicielką swojej płci. Jej bystry umysł stanowił cudowne wyzwanie. Była nie tylko piękna i inteligentna, ale też odważna i miała czułe serce. Przyszła mu dziś z

pomocą, mimo że ledwie go znała. I choć był jej dłużnikiem, ona nie chciała tego wykorzystać. Była w niej staromodna szlachetność, która bardzo go ujęła.

Zadzwoił telefon i Heather podskoczyła.

- Dobry Boże, kto to dzwoni tak późno? Już po północy. - Rzuciła się biegiem do salonu i złapała za telefon stojący na niedużym stoliku obok fotela. - Halo?

Dzięki swoim superczułym zmysłom Jean-Luc usłyszał głos rozeźlonego mężczyzny w słuchawce. Stał nieopodal wejścia do salonu - dość blisko, żeby podsłuchiwać, i jednocześnie na tyle daleko, by wyglądało, że tego nie robi.

Heather wydawała się wytrącona z równowagi.

- Wiesz, która godzina?

'luk, naprawdę późno jak na odwiedzinę twojego chłopaka. - W głosie mężczyzny słychać było sarkazm. -Dlaczego nie zaczekacie do weekendu, kiedy Bethany będzie u mnie? Nie chcę jej narażać na spotkanie z tymi szumowinami, z którymi sypiasz.

Jean-Luc głęboko wciągnął powietrze. To musiał być były mąż Heather.

-Nocuje u mnie kilkoro gości spoza miasta - wycodziła Heather. -I to nie twój interes. - Trzasnęła słuchawką. -Boże, nienawidzę Thelmy.

- Kto to taki? - spytał Jean-Luc.

- Sąsiadka z domu obok. Najlepsza przyjaciółka matki Cody'ego. Szpieguje mnie. Dzwoni do matki Cody'ego, a ta dzwoni do Cody'ego...

- A on dzwoni do ciebie - dokończył zdanie Jean-Luc. Chciał, żeby Cody pojawił się osobiście. Ten bastard potrzebował lekcji szacunku wobec kobiet.

- Lepiej sprawdzę, co u Bethany - powiedziała Heather, wybiegając z pokoju. - Ten telefon mógł ją obudzić. - Pognała na górę.

Jean-Luc przesunął się bliżej schodów, żeby móc podziwiać jej rozkołysane biodra.

Szeleszcząc spódnicą, z kuchennych drzwi wyłoniła się Fidelia z butelką piwa w dłoni.

- Ładny widok? - Zachichotała, idąc w stronę schodów. - *Ay, caramba*, ale z ciebie *muy macho*. Cieszę się, że tu jesteś, Juan.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jeana-Luca zaciekawilo, czy starsza dama podsłuchiwała. Prawdopodobnie tak.

- Dobranoc. - Fidelia ruszyła na górę. Musiała zapomnieć o ostatniej karcie.

- Dobranoc.

Jean-Luc powędrował z powrotem do salonu.

Ostatnia karta tarota leżała na stoliku koszulką do góry. Podobno miała pokazać odpowiedź na ich problemy. Odwrócił ją. Szarpnął ręką, jakby go poparzyło srebro. Szkielet na koniu. Śmierć.

Rozdział 6

Chodź kochanie, chciałabym, żebyś poznała kilka osób. - Heather sprowadziła córeczkę po schodach.

Bethany była już na wpół obudzona, kiedy do niej zajrzała, dlatego Heather doszła do wniosku, że lepiej będzie przedstawić czterolatce nowych strażników. Ostatnia rzecz, jakiej chciała, to żeby jej córeczka przestraszyła się, kiedy się obudzi i odkryje obcą osobę w swoim pokoju.

Bethany trzymała matkę mocno za rękę i stopień po stopniu schodziła w dół.

U podnóża schodów Heather odwróciła się do córki.

- Kochanie, mamy dwoje gości. Chciałabym, żebyś poznała Emmę, bo ona zostanie z tobą w pokoju dziś w nocy.

- Dlaczego? - Bethany podrapała się po różowej pi-żamce.

- Po prostu żeby mieć pewność, że nic ci nie grozi. Będzie kimś w rodzaju twojego anioła stróża.

- Och. - Bethany zamrugła. - A czy ma skrzydła?

- Nie, ale jest śliczna jak anioł.

Wprowadziła córeczkę do salonu i zauważyła Jeana--Luca przy stoliku. Zrobił krok do tyłu i stanął sztywno obok fotela.

Zmrużyła oczy. Dostrzegła cień poczucia winy, zanim jego twarz przybrała obojętny wyraz. Co takiego robił? Rzuciła okiem na stolik. Karty tarota zostały zebrane i złożone na zgrabną kupkę.

Ciekawe, jaka była siódma karta. Czy Jean-Luc ją widział? Przeniosła wzrok z talii z powrotem na Echarpe'a i zorientowała się, że z zaciekawieniem spogląda na nią i jej córeczkę.

- Przyprowadziłam Bethany, żeby was poznała.

- Jest do ciebie bardzo podobna.

- Tak. To się nazywa genetyka. - Heather uznała, że Jean-Luc nie ma zbyt dużego doświadczenia z dziećmi. -Kochanie, to jest pan Echarpe.

Bethany podniosła rękę.

- Cześć.

Jean-Luc się skłonił.

- Czuję się zaszczycony, mogąc cię poznać, Bezie. Pociągnęła mamę za piżamę i szepnęła:

- Śmiesznie mówi.

- Jest z Francji. Tak jak Piękna - odszepnęła w odpowiedzi Heather, świadoma krzywego spojrzenia, jakie jej posłał.

- I Bestia? - spytała Bethany.

Heather popatrzyła na Jeana-Luca wymownie.

- Właśnie.

- On też jest moim aniołem stróżem? - dopytywała dziewczynka.

- Nie, twoim jest Emma. - Heather rozejrzała się, ale Emma najwyraźniej wciąż jeszcze była na ganku.

- Ja chronię twoją mamę - wyjaśnił Jean-Luc.

- Och. - Bethany pokiwała głową. - To będziesz spał u mamy w pokoju.
Heather zakaszła.
- Nie, nie będzie.

- Postąpię tak, jak sobie zażyczy twoja mama. - Oczy Jeana-Luca błyszczały, kiedy powędrował wzrokiem po ciele Heather. - Moim najgorętszym pragnieniem jest widzieć ją... usatysfakcjonowaną.
Poczuła, że na skórze pojawiła jej się gęsia skórka. I Jobry Boże, rozbierał ją wzrokiem tuż przed nosem jej córki. Był bestią. Policzki jej zapłonęły.
Tylko się uśmiechnęła.
Odgłos dobiegający od drzwi wejściowych odwrócił jej uwagę od tych myśli - zobaczyła, że do środka wśliznęła się Emma.
- Po odjeździe Angus sprawdzałem jeszcze okolicę. - Zamknęła drzwi na klucz. - Czysto.
Bethany objęła nogę Heather.
- Czy to jest mój anioł?
- Tak. Emmo, to jest Bethany. Chciałam, żeby cię poznała, skoro masz spędzić noc w jej pokoju.
- Oczywiście. - Emma podeszła do nich, uśmiechając się do dziewczynki. - Mój Boże, jesteś śliczna jak królewna.
Bethany zachichotała i puściła nogę matki.
- Byłam królewną na Halloween. Mama uszyła mi śliczny strój.

- Na pewno był uroczy. Bethany spojrzała na mamę.
- Ona też śmiesznie mówi. Jest z Francji?
Emma roześmiała się i obrzuciła rozbawionym wzrokiem Jeana-Luca.
- Ze Szkocji. Mieszkam w zamku. Bethany podeszła do niej.
- Ja też mam w swoim pokoju zamek. Różowy. Emma się pochylała.
- Super! Bardzo bym go chciała zobaczyć. Dziewczynka popatrzyła na mamę.
- Mogę jej pokazać?
- Oczywiście. - Heather wyciągnęła rękę, żeby przytulić małą. - Tylko niech cię ucałuję na dobranoc.
A kiedy Bethany rzuciła się jej w ramiona, dodała:
- Nie siedź długo.
- Dobrze. - Dziewczynka odwróciła się do swojej nowej przyjaciółki. - Mam też domek dla lalek.
- Widziałam. - Emma wzięła Bethany za rączkę i poprowadziła po schodach. - Ogromny.
- W środku mieszka rodzinka - oznajmiła małą, wdrapując się stopień po stopniu. - Mamusia i mała dziewczynka.
- Aha - mruknęła Emma.
- Był też tatuś - poinformowała Bethany - ale mamusia kazała mu odejść.
Heather zamrugnęła.
- Nic mu nie jest - ciągnęła dziewczynka, docierając na szczyt schodów. - Mieszka teraz w szafie.
Heather zakryła dłonią usta, żeby stłumić jęk.
- Szafa to dla niego za dobre miejsce - wyszeptał Jean--Luc.
Odwróciła się i odkryła, że stoi tuż obok. Rumieniec ponownie zagościł na jej twarzy. Ustąpiła w końcu i zaakceptowała jego opiekę, nie czuła się jednak zbyt dobrze z tym, że tyle się już dowiedział o jej życiu prywatnym.
- Może teraz zrozumiesz, dlaczego nie chciałam się zatrzymać u ciebie. Bethany za dużo ostatnio przeszła.
- Od jak dawna jesteście rozwiedzeni?
- Ponad rok formalnie, ale przeprowadziliśmy się tutaj prawie dwa lata temu. - Heather westchnęła, idąc w stronę kanapy. - Moja matka akurat zmarła i zostawiła mi ten dom. Dzięki Bogu, że miałyśmy dokąd iść. - Usiadła. - Nie wszystkie kobiety mają tyle szczęścia.
- W małżeństwie ci się nie poszczęściło. - Przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu.

- Cody to palant, to prawda, ale wcale nie żałuję. - Wyciągnęła poduszkę i położyła sobie na kolana. - Mam Bethany.
Do oczu napłynęły jej łzy, zamrugnęła więc, żeby je ukryć i nie rozkleić się przed facetem, którego ledwie знаła. Nie było dnia, żeby nie dziękowała Bogu za swoją córeczkę.
To dla Bethany walczyła, gdy sytuacja wydawała się beznadziejna. I nawet kiedy bardzo tego chciała, powstrzymywała się przed pograżeniem się w rozpacz i uzalaniu nad sobą, bo nie chciała okazywać słabości przed córeczką.
Jean-Luc pochylił się i oparł łokcie na kolanach.
- Jesteś dobrą matką. To prawdziwe szczęście, że ona ma ciebie.
Wspaniale powiedziane! Jak łatwo byłoby się zakochać w takim facecie! Wciąż jednak za mało o nim wiedziała. Dlatego właśnie siedziała tu teraz na kanapie, mimo że minęła północ, a Heather była wyczerpana. Musiała dowiedzieć się więcej na temat tego tajemniczego szermierza w smokingu, który upierał się, że będzie ją chronił.
Zaczerpnęła powietrza.
- Od jak dawna Louie morduje twoje przyjaciółki?
- Od dawna. - Marszcząc brwi, zaczął szarpać czarny krawat, póki go nie rozwiązał. - Ale zapewniam, że nie pozwolę mu skrzywdzić ciebie ani twojej córki. Koniec z jego rządami terroru.
Nagle zmarszczone brwi się wygładziły i na twarzy Jeana-Luca zagościł wyraz ulgi i nadziei.
- Śmierć. No jasne. Ta karta oznaczała jego śmierć.
- Słucham?
Wskazał gestem na kupkę kart tarota.
- Spojrzałem na ostatnią kartę. To była Śmierć. Nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię niepokoić.
Heather się roześmiała.
- Wcale byś mnie nie zaniepokoił. Sama nieraz ją wyciągałam w ciągu ostatnich dwóch lat. Właściwie nie oznacza samej śmierci tylko odrodzenie. Tak jak w wypadku mojego małżeństwa, którego koniec był dla mnie nowym początkiem.
- Ach! - Pokiwała głową. - To brzmi dużo lepiej. Ja też mam nadzieję na nowy początek.
- Naprawdę? - Dziwne. Czy nie był już bogatym człowiekiem sukcesu? Choć z drugiej strony dobrobyt i sława nie zawsze oznaczają szczęście. Co powiedziały o nim karty? Ze biedak jest samotny. Wziąwszy pod uwagę, że unikał związków z powodu Louiego, to miało sens. - Gdyby udało ci się... pozbyć Louiego, odzyskałbyś swoje życie. To mógłby być nowy początek.
Jean-Luc wychylił się na siedzeniu.
- Nie wybiegam myślami tak daleko w przyszłość. Przykro mi, że teraz ty znalazłaś się w niebezpieczeństwie, i moją główną troską jest zadbać o to, żeby nic złego cię nie spotkało.

- Ale to może dobrze, że Louie wrócił. W końcu raz na zawsze możesz się uporać z tym bałaganem, uwolnić od niego i cieszyć życiem. - I skończyć z samotnością.

- To bardzo kusząca wizja. Choć i tak chętnie bym z niej zrezygnował, gdybym tylko mógł odsunąć niebezpieczeństwo, jakie ci grozi ze strony Luiego.

Heather przełknęła z trudem. Co za pozbawiony egoizmu, honorowy człowiek! Aż za dobry, żeby był prawdziwy. Co oznaczał Księżyc? Oszustwo? Zdarzało jej się już wcześniej, że mężczyźni ją okłamywali, dlatego musi być ostrożna. Ale ta karta mogła też znaczyć coś nadnaturalnego. I znowu wypłynęła teoria nieśmiertelności. Olśniewający nieśmiertelni mężczyźni, którzy próbują sobie nawzajem poodrąbywać głowy. Czyżby Louie też był nieśmiertelny? To mogłoby tłumaczyć historyczne nazwiska, które wymienił Jean-Luc.

- Jesteś nietypową kobietą - powiedział cicho. Z całą pewnością miała nietypową wyobraźnię.

- Myślę, że jestem dość zwyczajna.

- Nie. Wyczuwam, że jesteś... poirytowana, bo wprosiłem się do twojego domu, ale nie sprawiasz wrażenia złej o to, że przeze mnie znalazłaś się w niebezpieczeństwie. Większość kobiet byłaby z tego powodu wściekła.

- Ale przecież to nie twoja wina. Tylko Louiego.

- Większość kobiet i tak mnie obarczyłaby odpowiedzialnością. - Jean-Luc potarł czoło. - A ja czułbym się przez to jeszcze bardziej winny. Ale ty... ty potraktowałaś to ze spokojem, pozytywnie. I z odwagą.

Te cudowne komplementy sprawiły, że Heather zrobiło się cieplej na sercu, mimo że trudno jej było w całości zaakceptować tak miłe słowa. Cody odwalił kawał dobrej roboty - przez niego czuła się gorsza.

- Prawdę mówiąc, przez większość życia byłam tchórzem.

- Widziałem dziś, jak zaatakowałaś Luiego. Byłaś bardzo dzielna.

- Próbowałam walczyć z tym lękiem. Po śmierci matki zdałam sobie sprawę, że moim życiem rządzi strach. Ukradł mi marzenia. Zabił rodziców. Dlatego wypowiedziałam mu wojnę.

Jego oczy lśniły czymś, co mogła uznać wyłącznie za podziw.

- Jesteś wojowniczką. To mi się podoba. Uśmiechnęła się szeroko. Naprawdę mogłaby do tego przywyknąć. Cody zawsze ją upokarzał, żeby samemu poczuć się lepiej. Ale Jean-Luc był inny. Emanowała z niego spokojna pewność siebie i siła. To było bardzo pociągające. Oczywiście on sam też był pociągający, co zauważyła z pewną dozą zgryźliwości. Ale sprawiał, że dobrze się czuła sama ze sobą.

- Powiedziałaś, że strach zabił twoich rodziców. Jak to możliwe?

Uśmiech Heather zbladł.

- To długa historia. - I bolesna. Ale może jeśli zwierzy się Jeanowi-Lucowi, on opowie jej o sobie. Albo może go uspi.

- Chciałbym ją usłyszeć. - Rozsiadł się wygodnie i czekał.

Musiała przyznać, że była ciekawa, jak zareaguje. Wzięła więc głęboki wdech i zaczęła.

- Mój ojciec był miejscowym szeryfem. Bardzo dobrym, ale matka wciąż żyła w strachu, że go zabiją. Latami zadrezczała go, prosząc, żeby zrezygnował.

- I zrezygnował? - spytał Jean-Luc zainteresowany.

- Nie. Chciał coś zmienić. I udało mu się. - Heather uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Kiedy miałam jakieś sześć lat, zniknął pewien chłopiec. Wszyscy go szukali. Ponieważ nikt nie zażądał okupu, ojciec doszedł do wniosku, że mały powędrował do lasu i się zgubił.

- Znaleźli go?

- Ojciec podzielił ludzi na grupy, ale nic to nie dało. Zwrócił się więc z prośbą o pomoc do medium z pobliskiego miasteczka. Posypały się za to na niego gromy. Kilka starszych pań w mieście uważało, że Fidelia to ktoś w rodzaju sługi szatana. Ale pomogła tacie odnaleźć chłopca.

- Tym medium była Fidelia?

- Tak. Tato nigdy więcej nie potrzebował jej pomocy, ale moja matka była zachwycona, że znalazła kogoś, kto może dodać jej otuchy, której tak bardzo potrzebowała. - Heather osunęła się do tyłu i spojrzała w sufit, przypominając sobie, jak matka ciągała ją do starego, zrujnowanego domu Fidelii. - Chodziłyśmy do niej co tydzień, żeby Fidelia mogła oznajmić mamie, że przez następny tydzień tacie nic się nie stanie.

- Odpłatnie - uzupełnił Jean-Luc.

Heather się roześmiała.

- Tak. Za życia matki nie zdawałam sobie sprawy, że byłyśmy jej głównym źródłem dochodów. Kiedy mama umarła, Fidelia była splukana, a ja potrzebowałam opiekunki do dziecka, więc połączyłyśmy siły.

Jean-Luc pokiwał głową.

- Widzę, że troszczy się o ciebie i twoją córeczkę.

- Tak, to prawda. Tylko muszę ją powstrzymać, żeby kogoś nie zastrzeliła, żeby tego dowieść.

Uśmiechnął się.

- To dobrze świadczy o twoim charakterze, że ludzie są wobec ciebie tak lojalni.

Heather zaczerpnęła głęboko powietrza. To był najfantastyczniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszała. Naprawdę mogłaby się uzależnić od Jeana-Luca.

- Dziękuję.

Wzruszył ramionami, jakby wcale nie było cudem, że mężczyzna mówi takie wspiane rzeczy.

- Opowiadałaś o swoim ojcu.

- A tak, racja. Kiedy miałam szesnaście lat, poszłyśmy z mamą do Fidelii. Siedziałam w kuchni i przygotowywałam się egzaminu. Wtem usłyszałam krzyk z salonu.

- Kłótnia? - spytał Jean-Luc.

- Zła wróżba. Fidelia próbowała uspokoić matkę, ale po dziesięciu latach stawiania tarota mama wiedziała, co znaczą wszystkie karty. Była przerażona. Zanim dotarliśmy do domu, wpadła w histerię. Zadzwoiła do taty i uparła się, żeby natychmiast wracał. Wiedział, że jest zdenerwowana, więc zatrzymał się, żeby kupić jej kwiaty.

Potarła czoło, nagle niechętna, żeby opowiadać dalej.

- Do sklepu wtargnęło dwóch facetów w kominiarkach. Wymachiwali pistoletami. Tato próbował ich powstrzymać i go... zastrzelili.

- Tak mi przykro.

Oczy Heather zaszyły łzami.

- Gdyby matka nie zadzwoniła do niego roztrzęsiona, nie znalazłby się w tym sklepie. Jej strach rósł i rósł, aż w końcu stał się prawdą.

Jean-Luc wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Sprawiał wrażenie zatopionego w myślach.

Heather zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Za dużo przeszła w życiu, żeby teraz zamienić się w bekse.

- Czy twoja matka obwiniała się o to? - spytał cicho Jean-Luc.

- Nie, nigdy jej to nie przyszło do głowy. Właściwie czuła się usprawiedliwiona, bo okazało się, że jej strach miał podstawy.

Pokręcił głową i przechadzał się dalej. Heather była ciekawa, co myśli.

- Obsesyjny lęk mojej matki jeszcze się pogłębił, zmienił się tylko jego przedmiot. Teraz byłam nim ja.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

Opuściła wzrok na poduszkę, którą trzymała na kolanach, i zaczęła bawić się frędzelkami.

- Moje marzenie, żeby wyjechać ze Schnitzelbergu i zostać projektantką mody, zostało uznane za zbyt ryzykowne.

Musiałam zostać w domu i wybrać bezpieczniejszy zawód. Chłopak, z którym się spotykałam w liceum, też stanowił zbytek zagrożenie, bo chciał zostać stróżem prawa.

Poczuła przyływ gniewu i wbiła palce w poduszkę.

- Pozwoliłam mamie sobą dyrygować. Po śmierci taty czuła się taka przybita, a ja chciałam, żeby była szczęśliwa. Im więcej jej dawałam, tym więcej żądała. Wybrała mi nawet męża.

- Cody'ego?

- Tak. Był taki niezawodny. Taki przewidywalny. I jeszcze bardziej despotyczny niż moja matka. Czułam się sllamszona.

Jakby każdą moją twórczą cząstkę powoli zduszono na śmierć.

Jean-Luc usiadł obok na kanapie.

- Przynajmniej masz prześliczne dziecko.

Heather się uśmiechnęła. O Boże, ten facet zawsze wiedział, co trzeba powiedzieć.

- Bethany sprawiła, że wszystko obróciło się na dobre. To najdoskonalsze dzieło.

- Co się stało z twoją matką?

- Pewnego ranka zadzwoniła do niej Fidelia. Miała zły sen. Śnił jej się wypadek samochodowy. Tego dnia mama miała do niej wpaść na wróżenie, ale Fidelia błagała ją, żeby została w domu. No cóż, mama postanowiła więc nigdzie nie jechać.

Dzwoniła do mnie codziennie, żebym zrobiła jej zakupy, choć miałam własny dom na głowie i dwuletnie dziecko. Irytowało mnie to, ale robiłam, co mogłam.

- Masz cierpliwość świętego.

- Raczej wycieraczki. Pewnego dnia mama wyszła po pocztę. Skrzynka stoi przy krawężniku. Kot sąsiadów wybiegł na ulicę, akurat kiedy przejeżdżał samochód. Kierowca skręcił gwałtownie, żeby go ominąć...

- I potracił twoją matkę?

- Nie, udało mu się zahamować na czas. - Heather odwróciła się do Jeana-Luca. - Moja matka tak się przestraszyła, była taka pewna, że czeka ją śmierć, że dostała ataku serca. To strach ją zabił.

- Okropne.

- Masz rację. Byłam załamana. Ale równocześnie nagle mnie olśniło. - Pochyliła się w jego stronę. - Pozwoliłam, żeby strach zapanował nad moim życiem. To strach spowodował śmierć moich rodziców. Sprawił, że podejmowałam złe decyzje. Nie żyłam. Kuliłam się ze strachu w więzieniu, które sama dla siebie stworzyłam!

Zmrużył oczy.

- Rozumiem. Aż za dobrze.

- Właśnie wtedy wypowiedziałam strachowi wojnę. Następnego dnia wypełniłam pozew rozwodowy. Wszyscy myśleli, że moje dziwne zachowanie jest spowodowane żalobą, tymczasem ja potrzebowałam czegoś tak strasznego jak żaloba, żeby mi się otworzyły oczy i żebym mogła odzyskać własne życie.

Jean-Luc położył dłoń na jej rękach.

- Zdałaś sobie sprawę, co musisz zrobić.

- Hm? - Trudno było myśleć, gdy jego szczupłe palce obejmowały jej dłonie.

- Musisz podążać za własnym marzeniem. Przyjmij pracę, którą ci zaoferowałam.

- Nie chcę, żebyś czuł się wobec mnie zobowiązany z powodu Louiego.

Ścisnął jej ręce swoją dłonią.

- Zaproponowałam ci tę pracę, zanim pojawił się Lui. Masz talent, Heather. Wciąż nie jest za późno, żeby twoje marzenia stały się rzeczywistością.

- Jak to jest, że zawsze wiesz, co trzeba powiedzieć? Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby mężczyźni byli tacy... mądrzy.

Usta mu drgnęły.

- Podejrzewam, że to komplement. Moja mądrość bierze się stąd, że przez lata obserwowałam ludzi. Żyją i umierają. Życie jest tak krótkie i cenne. Wiem, że twoje życie jest za krótkie, żeby je marnować.

Znowu zaciekawiło ją, ile ma lat.

- Jesteś... bardzo miły. - Uwolniła ręce z jego uścisku. - Nie tak jak mój były. Przysięgam, że ten facet jest jak... wampir.

Jean-Luc zeszytniał.

- *Non*. To nieprawda.

- Chodzi mi o to, że jest jak emocjonalny wampir. Całkowicie mnie wydrenował. Marzenia, poczucie własnej wartości, przekonania, energię - wysysał wszystko, aż została ze mnie pozbawiona życia wycieraczka.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Tak sobie wyobrażasz wampira?

- Emocjonalnego? Tak. Dzięki Bogu żadne takie odrażające monstra nie istnieją naprawdę.

- Racja. - Poluzował kołnierzyk.

- Ale ty, ty jesteś jego zupełnym przeciwieństwem. Popatrzył na nią nieufnie.

- Jak to?

- Wysłuchałeś mnie. Zaakceptowałeś moją historię i wnioski, jakie z niej wyciągnęłam. Uznałeś moje marzenia za cenne i ciekawe i jesteś gotów pomóc mi je zrealizować. Nie pomniejszasz znaczenia innych ludzi, żeby podbudować siebie. - Dotknęła jego ręki. - Jesteś przemiłym człowiekiem, Jean-Luc. Dziękuję.

Położył dłoń na jej dłoniach.

- Sądzisz, że jestem dobrym człowiekiem?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - I to wcale nie dlatego, że jesteś moim nowym szefem.

Roześmiał się w odpowiedzi.

- Więc przyjdiesz do pracy w poniedziałek?

- Jasne. - Rozciągnęła usta w jeszcze szerszym uśmiechu. Jej pogoń za marzeniami właśnie się rozpoczynała.

- Cieszę się. - Ścisnął jej rękę.

Serce miała tak lekkie, że omal nie uleciało pod sufit. Przyjazny błysk w jego oczach był taki szczery. Dobry Boże, czyżby nareszcie znalazła idealnego mężczyznę? Mężczyznę, który rozumiał jej marzenia i chciał, żeby udało jej się te marzenia zrealizować.

Wzrok Jeana-Luca ześliznął się na usta Heather i stał się jeszcze gorętszy. Zaszło jej w gardle. Powietrze wokół zgęstniało i wydawało się przesycone elektrycznością. Atmosfera stała się ciężka od pożądania.

Z nagłym wstrząsem poczuła, że Jean-Luc zamierza ją pocałować. Przez jej ciało przetoczyła się fala emocji, serce zaczęło bić jak oszalałe. Bardzo jej to schlebiali. Czowała się podekscytowana. Gotowa dać się skusić. Przerażona.

Zerwała się na równe nogi.

- Czas do łóżka. To znaczy... - Policzki jej zapłonęły. - Czas, żebym powiedziała dobranoc. - Ostrożnie wyminęła Jeana-Luca i stolik.

Wstał.

- Jak sobie życzysz.

- Dobranoc, Jean-Luc.

- Jean.

Pospiesznie wyszła na korytarz. Dużo bardziej podobała jej się forma Jean-Luca. Jak imię kapitana statku kosmicznego „Enterprise” z serialu *Star Trek*. Tylko młodego. I z włosami.

- Gdybyś potrzebował czegoś z kuchni, nie krepuj się.

- Poradzę sobie. - Poszedł za nią. - Odjedziemy z Emmą tuż przed świtem. Obawiam się, że w ciągu dnia będziesz zdana na siebie, dopóki Angus nie przyśle swojego człowieka.

- Damy sobie radę. - Zaczęła wchodzić po schodach.

- Wrócę jutro zaraz po zachodzie słońca.

Serce jej podskoczyło. Sobotni wieczór ze wspaniałym mężczyzną.

- W porządku.

- Heather, jeszcze jedno. Zatrzymała się z ręką na poręczy.

- Tak?

- Wspomniałaś, że Fidelia znalazła zaginionego chłopca. Bardzo by nam pomogła, gdyby zechciała zlokalizować Luiego.

- Och, to dobry pomysł. Byłoby łatwiej, gdyby mogła wziąć do ręki coś, co do niego należało.

Oczy Jeana-Luca się zaświeciły.

- Mam jego broń i laskę, której używał jako pochwy. Przyniosę je jutro wieczorem.

- Świetnie. - Zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. - Dobranoc. - Pobiegła na górę.

- Śpij dobrze, Heather - wyszeptał w ślad za nią słowa, które dosięgły jej niczym miękka pieszczota.

Wśliznęła się do pokoju z bijącym wciąż sercem. Emma prosiła, żeby zostawiła drzwi uchylone, ona jednak stanowczo je zamknęła. Potrzebowała bariery między sobą a Jeanem-Lukiem. Był zbyt atrakcyjny, zanadto pociągający i, do diabła, za bardzo tajemniczy. Nie wiedziała o nim nic poza tym, że wydawał się za dobry, żeby być prawdziwy. Tego wieczoru mnóstwo się o niej dowiedział. A mimo to wciąż chciał ją pocałować.

Trzeba mu było pozwolić, zrugala sama siebie. Nie powinna była tchórzyc. Czy nie wypowiedziała wojny strachowi? Ale musi być ostrożna. Bo jeśli chodzi o mężczyznę, popełniła już kilka nieprzyjemnych błędów. Tylko czy przypadkiem nie była to dla niej dobra lekcja?

Jutro wieczorem zjawi się znowu. Będzie miała kolejną szansę, żeby go poznać. I może, ale tylko może, jutro pozwoli mu się pocałować.

Rozdział 7

Następnego wieczoru Jean-Luc pędził w czarnym bmw w stronę Schnitzelbergu z chłodziarką pełną butelek syntetycznej krwi przypiętą pasem do siedzenia pasażera. Słońce zdążyło zająć przed dziesięcioma minutami, a Echarpe pociągał z butelki krew grupy AB Rh dodatnie - zimną, bo za bardzo się spieszył, żeby ją podgrzać.

Problem w tym, że skoro on się obudził, to Lui także. A jeśli zdążył odkryć, kim jest Heather i gdzie mieszka, mógł już tam być. Jean-Luc chciał się teleportować do domu Heather zaraz po przebudzeniu, ale Emma przekonała go, że powinien zjawić się jak zwykły śmiertelnik.

Z Heather na pewno wszystko jest w porządku, przekonywał sam siebie, zjeżdżając z autostrady do miasta. Emma teleportowała się na tyły jej domu pięć minut temu. Zaalarmowałyby go telepatycznie, gdyby coś było nie tak.

Mimo to był poirytowany, że go tam nie ma. Złościło go, że Heather i jej córka zostały wciągnięte w jego zatarg z Luim. Jeśli coś im się stanie... jak zdoła zagłuszyć w sobie głos sumienia z powodu śmierci kolejnych niewinnych osób.

Historia, którą opowiedziała mu zeszłej nocy Heather, sprawiła, że surowo przyjrzał się sobie. I dostrzegł, co kryło się za jego poczuciem winy i gniewem. Strach.

Daleko zaszedł, zważywszy na to, że zaczynał jako osierocony chłopiec stajenny. Zanim Roman dokonał jego transformacji w 1513 roku, był już rycerzem. A potem muszkietierem, właścicielem najbardziej renomowanej szkoły fechtunku w Paryżu, podpułkownikiem w wampirzej armii i wreszcie przywódcą klanu Europy Zachodniej, a w dodatku projektantem mody i odnoszącym sukcesy biznesmenem. Całą energię skierował na zewnątrz, dokładając wszelkich starań, by stać się panem własnego losu. Ale pod tym wszystkim kryła się ta sama udreka. Lęk przed bezsilnością.

Jako nędzny chłopiec stajenny Jean-Luc był bezsilny wobec kaprysów i politycznych machinacji swoich panów. Poprzysiął sobie nigdy więcej nie być pionkiem. I udawało mu się to, dopóki w 1757 roku w jego życiu nie pojawił się Lui.

Powinien był wtedy pozwolić umrzeć Ludwikowi XV. Ale nie, Jean-Luc wypełnił obowiązek królewskiego strażnika i powstrzymał zamachowca Damiensa, człowieka śmiertelnego.

Ten śmiertelnik był tylko pionkiem. Lui lubił wysługiwać się ludźmi - kierował ich umysłami tak, że odwalali za niego brudną robotę. Dwa razy wcześniej mu się udało: będący pod jego wpływem zamachowcy zabili Henryka III w 1589 roku i Henryka IV w roku 1610.

Jean-Luc udaremnił Luiemu trzecie zabójstwo króla. Następnej nocy dostał wiadomość: „Przez ciebie król żyje. Przeze mnie nie żyje twoja królowa”. Pod liścikiem nie było podpisu, papier jednak został złożony i zalakowany woskiem, w którym odcisnięto literę L.

Dwie noce później Jean-Luc znalazł okaleczone ciało Yvonne, swojej kochanki. Poza ranami od noża i śladami kłów miała na ciele wypalone L.

Echarpe wypowiedział zatem wojnę wrogowi, którego nazwał Lui. Przez dwadzieścia lat Lui umykał mu, po czym zniknął. Jean-Luc miał nadzieję, że drań nie żyje. Ale w 1832 roku znalazł zamordowaną Claudine z literą L wypaloną na piersi.

Doszedł wówczas do wniosku, że jedynym honorowym wyjściem będzie unikanie związków. To jednak, co powiedziała poprzedniego wieczoru Heather, uświadomiło mu prawdę. Honor stanowił przykrywkę dla lęku - bał się, że jeśli zaangażuje się w kolejny związek, nie uda mu się ochronić życia kobiety, że okaże się bezradny. To nie było życie szlachetne. To było życie w lęku.

Odkrycie prawdy sprawiło, że poczuł wstyd. I gniew. Do diabła, jeśli zapragnie związać się z Heather, zrobi to. Położy kres okrucieństwom Luiemu i zabije drania.

Wjechał na podjazd przed domem Heather. Gdy wysiadał, z cienia pod ogromnym dębem wyłoniła się Emma. Popijała zimną krew z butelki, a na ramieniu miała torbę pełną drewnianych kołków. Utrzymywała dotąd swoją obecność w tajemnicy, tak żeby wyglądało, że przyjechali razem.

- Wszystko w porządku - poinformowała go cicho. - Słyszałam głosy w środku. Spokojne i szczęśliwe. Wszędzie dokoła czysto.

- To dobrze.

Odetchnął z ulgą, odebrał Emmie pustą butelkę i schował do samochodu. Z tylnego siedzenia wziął floret i pochwę Luiego oraz swoją szpadę. Zamknął drzwi i ruszył na ganek.

- Liczysz, że Fidelii uda się zlokalizować Luiego? - spytała Emma.

- Tak.

Zauważył wrotki przy frontowych drzwiach i książkę w miękkiej oprawie na werandowej huśtawce. Za dnia toczyło się tu życie, które jego ominęło.

- Ja też jestem medium - wyszeptała Emma. - Lepszym niż zwykły nieumarły. Nasłuchiwałam w okolicy wampirzej telepatii, ale jak dotąd cisza.

Jean-Luc westchnął, naciskając dzwonek przy drzwiach.

- Lui bardzo dobrze potrafi się ukrywać. Próbowałem go wytropić przez stulecia. - Bez skutku.

Ponure myśli zniknęły jednak, kiedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta Heather. Miała na sobie turkusową sukienkę na ramiączkach i pasujące do niej sandaalki. Ogniki w jej oczach i błyszcząca skóra rozpały w Jeanie-Lucu iskrę pożądania. Wyglądało na to, że naprawdę cieszy się na jego widok.

- Wchodźcie. - Cofnęła się. - Zostało nam trochę lasa-gne z kolacji, gdybyście mieli ochotę.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale już jedliśmy. Miał nadzieję, że w jego oddechu nie czuć krwi. Zamknął drzwi i przekreślił klucz w zamku.

Mała Bethany prześliznęła się do swojej nowej przyjaciółki.

- Cześć, Emma. - Obrzuciła Jeana-Luca nieśmiałym spojrzeniem. - Cześć.

Skłonił lekko głowę.

- Dobry wieczór, Bethany.

- Cześć, skarbie. - Emma uklękła, żeby uścisnąć małą. - Dobrze się dziś bawiłaś?

- Tak. - Dziewczynka pochyliła się do niej i powiedziała: - Mamusia chciała ładnie wyglądać dla pana Sharpa.

- Bethany! - Twarz Heather pokrył rumieniec. - Dlaczego nie weźmiesz Emmy na górę i nie pokażesz jej... czegoś?

- Na przykład nowej książeczki? - spytała rezolutnie Bethany.

- Właśnie. Proszę.

Spojrzała gniewnie na Fidelie, która stała przy schodach, chichocząc.

Jean-Luc też miał ochotę się roześmiać, udało mu się jednak powstrzymać.

- Chodźmy. - Emma obejrzała się na niego z rozbawieniem w oczach, prowadząc małą w stronę schodów.

- Widzę, że przyniosłaś broń i pochwę Louiego - szybko zmieniła temat Heather. - Fidelia jest gotowa pomóc nam go zlokalizować. - Wskazała gestem salon.

Jean-Luc podążył za nią.

- Udało ci się znakomicie.

- Co takiego? - Spojrzała na niego. - Pozostać przy życiu? To był bardzo spokojny dzień.

- To dobrze. Ale miałem na myśli to, co mówiła twoja córka. Bardzo ładnie wyglądasz.

Heather lekceważąco pomachała ręką.

- Bethany wszystko zamienia w romans. Pożeniła ze sobą nawet swoje pluszaki. Dziś na przykład panna goryli-ca poślubiła pana chihuahua.

Fidelia zachichotała, sadwiąc się na kanapie z nieodłączną torebką.

- Więc będzie miała pieskie życie. Jean-Luc oparł szpadę o fotel.

- Mój przyjaciel Roman twierdzi, że jeśli chodzi o miłość, wszystko jest możliwe.

- *Sf*, na przykład podwójne zabójstwo. - Fidelia poklepała swoją torbę.

Heather prychnęła.

- Albo wojna o opiekę nad dzieckiem. Jean-Luc spojrzał na nią z ukosa.

- Zupełnie straciłaś wiarę w miłość? Uciekła wzrokiem, policzki jej się zaróżowiły.

- Nie. Zawsze jest nadzieja. Możemy zaczynać?

- Proszę bardzo.

Położył floret i pochwę Luiego na stoliku przed Fidelia.

Niania położyła pochwę na kolanach. Zamknęła oczy i zaczęła wodzić palcami po wypolerowanym drewnie. Heather siedziała cicho obok. Jean-Luc usadowił się w fotelu i czekał.

- To ciemne miejsce - wyszeptała Fidelia.

Mało zaskakujące. Wszystkie wampiry potrzebują ciemnego schronienia na czas swojego dziennego, śmiertelnego snu.

- Piwnica - ciągnęła. - Kamienna. Nie ma okien. - Pokręciła głową. - Za ciemno. Nic nie widzę.

- Możesz powiedzieć, jak daleko stąd się znajduje? - spytał Jean-Luc.

- Niedaleko. Ale i nie blisko. Mam wrażenie, że nie w mieście. - Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. - Wyczuł mnie. -

Otworzyła szeroko oczy i rzuciła pochwę na stół. - To był błąd. My-myślę, że on może być medium.

Lui mógł mieć pewne wampirze zdolności mediumicz-ne, ale o tym Jean-Luc wolałby nie wspominać. Fidelia spojrzała na niego zmartwiona.

- Wyczuł mnie, a ja jego. Był zimny, bardzo zimny. - Wzdrygnęła się.
- Już dobrze. - Heather rozarta plecy niani. - Już po wszystkim.

Fidelia pokręciła głową.

- Próbowałam wysledzić miejsce, w którym się znajduje. Zdaje się, że on starał się zrobić to samo.

Jean-Luc się skrzywił. *Zut*, trzeba było zabrać **Fidelię** gdzie indziej.

Heather zbladła.

- On na nas poluje.

Heather, muszę cię znowu poprosić, żebyś przeniosła się do mnie - powiedział Jean-Luc. - To tylko kwestia czasu, zanim Lui odkryje, kim jesteś i gdzie mieszkasz.

- Po prostu musimy znaleźć go, zanim on znajdzie nas. Mogłoby pomóc, gdybyśmy wiedzieli o nim więcej. - Oczy jej się zwęziły. - Kim właściwie jest?

Jean-Luc poprawił się w fotelu.

- Sam chciałem wiedzieć. Gdybym znał jego prawdziwe nazwisko, już wiele lat temu wytropiłbym go i zabił.

- Popelniałbyś... morderstwo?

- Zrobiłbym wszystko, żeby chronić tych, których kocham.

Fidelia pokiwała głową z aprobatą.

- Dobry z ciebie człowiek, Juan.

Zerknął na Heather ciekawym, czy się z tym zgadza. Wyglądała na zaintrygowaną.

- Powiedziałeś „wiele lat temu” - mruknęła. - Ile masz

lat?

Mer de. Na to pytanie nie miał jak odpowiedzieć.

- Ja mam dwadzieścia sześć - oznajmiła. - A ty? Ścisnął mocniej poręczę fotela.

- Jestem od ciebie starszy

- O ile?

- Miałem dwadzieścia osiem lat, kiedy... - Potarł czoło. - Kiedy miałem trzy lata, zmarła moja matka...

- Przykro mi. Nie wiedziałam... - Spojrzała na niego ciepło, ze współczuciem. - Emocjonalne rany goją się najdłużej.

- Tak. - Jean-Luc usłyszał samochód na podjeździe. Wstał i chwycił szpadę. - Mamę towarzystwo.

Heather zerwała się na równe nogi.

- To nie może być Louie, prawda? Nie tak szybko.

- Jestem gotowa. - Fidelia pogrzebała w torebce.

- Nie sądzę, żeby to był Lui.

Jean-Luc podejrzewał, że jego najzacieklejszy wróg nieczęsto korzysta z samochodu. Mimo to ruszył do przedpokoju ze szpadą. Usłyszał trzask drzwiczek na zewnątrz i ciężkie kroki na schodkach prowadzących na ganek.

Heather pojawiła się w chwili, kiedy dało się słyszeć pierwsze stukanie i w drzwiach zatrzesły się ołowiane szybki. Jean-Luc stanął tuż obok niej.

- Widzę go! - wykrzyknął męski głos. - Znowu ten twój chłopak zjawił się na noc, tak?

- O nie, to Cody - jęknęła Heather. - Pewnie Thelma widziała, jak przyjechałeś, i zadzwoniła do jego matki.

Jean-Luc wyrzwał przez szybę w drzwiach. Mężczyzna na ganku był ogromny i czerwony od alkoholu buzującego mu we krwi.

- Widzę cię, dupku! - wrzasnął Cody. - Jak chcesz rznąć moją byłą, to proszę bardzo, ale jeśli chociaż palcem tkniesz moją córkę, to...

- Przestań! - syknęła Heather i przekręciła wolno klucz w drzwiach.

- Nie wpuszczaj go - szepnął Jean-Luc.

- Och, proszę, wpuść, wpuść - powiedziała Fidelia, przeciągając po teksasku samogłoski. Stała obok schodów, wymachując glockiem. - Zrób mi tę przyjemność.

- Fidelio, odłóż pistolet - rozkazała Heather i otworzyła drzwi. - Jak śmiesz...

Cody wtargnął do środka i spojrzał ze złością na Jeana-Luca.

- Kim ty, do diabła, jesteś? Echarpe popatrzył na niego z gniewem.

- Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie.

- Jean... - zaczęła Heather, ale były mąż jej przerwał.

- John? Więc teraz przyprowadzasz swoich chłopta-siów do domu? - Odwrócił się do Jeana-Luca. - Śmiało, zostawiaj samochód na podjeździe. Wszyscy w miasteczku będą wiedzieli, że rzniesz moją żonę!

- Byłą żonę. - Jean-Luc zmrużył oczy. - To ty jesteś tym idiotą, który pozwolił jej odejść.

- Dość. - Heather wkroczyła między nich. - Cody, nie tak głośno, bo Bethany cię usłyszy. Jesteś pijany, a poza tym nie masz prawa szpiegować mnie ani wydawać wyroków.

Uśmiechnął się do niej szyderczo.

- A właśnie że mam. Mieszka tutaj moja córka i teraz, kiedy już wszyscy wiedzą, że jesteś zdziarą, mogę wystąpić o opiekę nad nią.

- Nie jestem zdziarą. I nigdy nie pozwolę ci jej sobie odebrać.

Cody prychnął.

- Uważaj.

Dwieście lat temu Jean-Luc po prostu nadziałby bastarda na szpadę i wrzucił ciało do rzeki, ale współczesny świat krzywo patrzył na takie rozwiązania. Zaatakował więc Cody'ego telepatycznie: „Jesteś karaluchem”.

W stanie upojenia alkoholowego Cody nie mógł się opierać wampirzej kontroli umysłu. Opadł na podłogę i zaczął biegać tam i z powrotem na nogach i rękach.

Heather odskoczyła z piskiem.

- Cody, co się z tobą dzieje?

- Jestem karaluchem - wymamrotał piskliwym głosem.

- Rychło w czas to odkryłeś. - Fidelia cofnęła się, kiedy otarł się o jej długą spódnice.

Chciał wbiec po schodach na górę, ale przewrócił się i wylądował na plecach. Tarzając się, przebierał w powietrzu rękami i nogami.

- Przestań, Cody - zażądała Heather. - Zabieraj się stąd, zanim wystraszysz Bethany.

- Co się dzieje? - Na schodach pojawiła się Emma i spojrzała nieufnie na wijącego się Cody'ego. Fidelia zachichotała.

- Lepiej poszukajmy jakiegoś płynu na insekty.

- Atak! - Cody skoczył na wszystkie cztery kończyny i popędził na zewnątrz.

„Powróćisz do normalnego stanu ze wschodem słońca”, nakazał mu Jean-Luc.

- Tak, panie. - Cody zwał się z ganku.

- Dobry Boże! On zupełnie oszalał. - Heather zamknęła drzwi i przekreśliła klucz.

- Ciekawe. - Emma spojrzała na Jeana-Luca znacząco. Pewnie słyszała rozkaz, który telepatycznie wysłał Cody'emu. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem Lui też go nie słyszał, uznał jednak, że powiedział zbyt mało, by tamten mógł go wytropić.

- Z Bethany wszystko w porządku? - Heather popędziła na górę.

- A niech mnie! Muszę się napić. - Fidelia podreptała do kuchni, wciąż dzierżąc glocka w dłoni. - Piwo to jest to, czego mi trzeba. Juan, Emma, chcecie piwa?

- Nie, dziękuję. - Jean-Luc powędrował do salonu i postawił szpadę obok fotela. Rozbawiona Emma oparła się o framugę.

- Karaluch?

Uśmiechnął się do niej w odpowiedzi.

- Zasłużył sobie. Skinęła głową.

- Wracam na górę. - Zamilkła i po chwili dodała: - Zdaje się, że zrobiłeś duże wrażenie na Bethany. Zabawkowa mama, która mieszka w domku dla lalek, ma nowego chłopaka imieniem John. To G.I. Joe. Wygląda, jakby był w stanie wypruć flaki Kenowi, który mieszka w szafie.

- Naprawdę? - Jeanowi-Lucowi ścisnęło się serce. Czyżby rzeczywiście był w tej rodzinie mile widzianym gościem? Zawsze chciał do jakiejś należeć. Jego ojciec zmarł, kiedy Jean-Luc miał sześć lat, trzy lata po śmierci matki, która zmarła przy porodzie. Miał tylko Romana i Angusa, których traktował jak prawdziwych braci.

Rozglądając się po salonie, zdał sobie sprawę z tego, jak samotny był przez stulecia. Heather podobała mu się z wielu względów, ale jej rodzina, Bethany i Fidelia, również ujęły go za serce. Jak inne mogłoby być jego życie, gdyby co wieczór miał towarzystwo i wokół siebie kochających bliskich. Ta perspektywa sprawiła, że minione stulecia wydały mu się puste i pozbawione znaczenia.

Ale czy mieszkanki tego domu byłyby w stanie zaakceptować go takim, jaki był? Czy Heather mogłaby go pokochać?

- Tak mi przykro, że musiałeś być świadkiem sceny z moim eks - powiedziała Heather, wchodząc do salonu.

Odwrócił się do niej. *Zut*, tak głęboko zatonał w myślach, że nie zauważył, jak Emma wyszła, a Heather wróciła. Musi być bardziej czujny.

- Nic się nie stało. Heather westchnęła.

- Nie wiem, co w niego wstąpiło.

- Z Bethany wszystko w porządku?

- Tak. Dzięki Bogu. - Opadła na kanapę. - Oglądała DVD i miała podkręcony dźwięk, tak że nic nie słyszała.

- To dobrze. - Jean-Luc usiadł obok niej. Usłyszał, że jej serce natychmiast przyspieszyło. Dobry znak.

- Gdzie Fidelia?

- Poszła do kuchni po piwo.

- Wolałabym, żeby nie piła, kiedy wymachuje swoimi pistoletami.

Wyciągnął rękę na zagłówek.

- Mają dodatkowe zabezpieczenia.

- Pewnie. To był jedyny warunek, jaki jej postawiłam, zanim się do nas wprowadziła.

- Spędziłaś w tej okolicy całe życie, mam rację?

- Tak. Zawsze chciałam podróżować, ale jakoś mi się nie udało.

Zanotował w pamięci, żeby zabrać ją we wszystkie te miejsca, które chciała zobaczyć.

- Przychodzi ci do głowy coś, co pasowałoby do opisu Fidelii? Jakies miejsce na obrzeżach miasta? Najpewniej opuszczone?

- Z kamienną piwnicą? - Przekrzywiła głowę z namysłem. - W parku stanowym jest stary budynek z kamienia z czasów wielkiego kryzysu.

- Sprawdzę go. - Zostawi Emmę z kobietami, a sam weźmie ze sobą Robby'ego.

- Idę z tobą. Jean-Luc zamrugął.

- Nie. Pod żadnym pozorem. To zbyt niebezpieczne.

- Jestem przygotowana. Walczyłam z Louiem i dobrze sobie radziłam. No i wiem, gdzie jest park.

- Mogę go znaleźć w Internecie. Podniosła wyżej brodę.

- Idę z tobą. Nie będę tu siedzieć z podkulonym ze strachu ogonem. Jestem na wojnie, pamiętasz?

- Jest różnica między odwagą a złym osą... - Zamilkł, kiedy jego superczuły słuch wychwycił jakiś odgłos na zewnątrz. - Ktoś jest na ganku.

Bezszelestnie zerwał się z miejsca i chwycił szpadę. Heather wstała i wyszeptwała:

- Powinnam wziąć strzelbę?

- Nie. - Miał nadzieję, że to Lui. Mógłby wtedy rozprawić się z draniem i... A co jeśli popełni błąd i zginie? Lui bez przeszkód dostanie się wtedy do środka i zaszlachtuje Heather. - Tak, weź strzelbę. Powiedz Emmie i zaczekajcie tutaj. Gdyby się zjawił, celuj w klatkę piersiową.

- Gdyby się zjawił, to by znaczyło, że ty... - Ścisnęła go za rękę. - Bądź ostrożny.

W jej oczach dostrzegł prawdziwą troskę. *Mon Dieu*, naprawdę jej na nim zależało. Dotknął jej policzka.

- Idź.

Na moment oczy Heather spowiła mgielka rozmarzenia. Zamrugła.

- Racja!

Popędziła w stronę schodów. Dywan stłumił odgłos jej sandałów, gdy wbiegała na górę.

- Co się dzieje? - Z kuchni wyłoniła się Fidelia z opróżnioną do połowy butelką piwa w dłoni. Zerknęła w ślad za znikającą Heather. - Znowu ją spłoszyłeś?

Uniósł palec do ust i wskazał na dwór. Brązowe oczy Fidelii się rozszerzyły.

- Do diabła. Zostawiłam swojego niemieckiego *mu-chacho* w kuchni. Zaraz wracam.

- Nie chcę, żebyś wychodziła. To może być niebezpieczne - jęknął Jean-Luc, gdy niania popędziła do kuchni.

Lepiej działać szybko, zanim te kobiety pospieszą mu z pomocą. Uśmiechnął się do siebie. Nic dziwnego, że tak bardzo mu się podobały.

Po cichu przekreślił klucz w drzwiach i gwałtownie je otworzył.

Rozdział 8

Jean-Luc wyskoczył na ganek ze szpadą wycelowaną w intruza.

Młoda kobieta, blondynka, krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Obcas szpilki zaklinował się jej między deskami i jak długa wyrznęła na ganku.

- Cholera! Wyglądała znajomo.

- Kim pani jest? - zapytał natarczywie.

Była śmiertelniczką, ale to nie znaczyło, że nie stanowiła zagrożenia. Lui z rozkoszą wykorzystywał wampirzą zdolność do wpływania na umysły, by ludzie mordowali w jego imieniu.

- Niech to licho. - Kobieta rozmasowała chudą kostkę. - Lepiej, żebyś mogła wyjść na wybieg. - Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. - Cholerny wariat! Śmiertelnie mnie przeraziłeś tym swoim mieczem!

Teraz ją rozpoznał. Sasha Saladine, modelka, którą zatrudnił Alberto. Najwyraźniej nie miała pojęcia, kim jest.

Wciąż siedząc na podłodze, zdjęła buty i przyjrzała się uważnie wysadzonym kryształami górskimi obcasom.

- Przysięgam, że jeśli moje buty są zniszczone, zawlokę twoje dupsko do sądu. Kosztowały czterysta dolców, wiesz?

Kupuję tylko to, co najlepsze.

Zatęsknił za Heather. Lubił, kiedy ona się z nim droczyła. Była dowcipna i zabawna. A ta kobieta była po prostu irytująca. I kiedy tak go rugała swoim ostrym, nieprzyjemnym głosem, rozejrzał się po podwórku w poszukiwaniu siadu ruchu.

- Zamierzasz tak stać całą noc jak głupek czy mi pomożesz? - Powiodła wzrokiem dokoła. - To dom Heather, prawda? Tu mieszkała, kiedy chodziła do liceum.

Obejrzała się na jego samochód.

- Kurczę, mówiła mi, że nie ma chłopaka. - Popatrzyła na niego spode łba. - Co ty tutaj robisz z tym idiotycznym mieczem?

- Wolisz pistolet? - Fidelia przepchnęła się przed Jeana--Luca, trzymając w jednej ręce piwo, a w drugiej glocka.

- O Boże! - Sasha skoczyła na równe nogi i uniosła ręce do góry. - Nie strzelaj! Myślałam, że to dom Heather.

- Fidelio, uważaj! - Na ganek wybiegła Heather ze strzelbą w dłoniach.

Sasha gwałtownie wciągnęła powietrze.

- A ja myślałam, że to Nowy Jork jest niebezpieczny. Jean-Luc jęknął w duchu.

- Heather, nie mówiłem ci, żebyś została w domu? Zignorowała go i zwróciła się do jasnowłosej modelki:

- Sasha? Co się tutaj dzieje?

- Chcą mnie zastrzelić albo nadziać na szpikulec. Sama nie wiem, co lepsze.

- No cóż, szybciej się decyduj. Nie będziemy czekać całą noc. - Fidelia postawiła piwo na ganku i wyciągnęła zestaw kluczy z kieszeni spodnicy. Wybrała jeden i zaczęła nim majstrować przy blokadzie na pistolecie.

- Nie rób tego - ostrzegła ją Heather. - Za dużo wypijaś.

Niania prychnęła.

- Nie jestem pijana. Mam wszystko pod kontrolą. - Zerwała blokadę.

Bum! Pistolet wypalił, trafiając w pobliski dąb. Kobiety krzyknęły, Jean-Luc się skrzywił.



Z drzewa spadła wiewiórka i wylądowała na trawniku z głuchym łoskotem.
 Fidelia wzruszyła ramionami.

- I o to mi chodziło. Przeklęty zwierzak obgryzał dom. I kradł orzechy z drzewa pekanowego.

Heather podparła się pod boki.

- Milion razy ci mówiłam, żebyś nie odbezpieczała broni.

Niania zwiesiła głowę, przybierając odpowiednio skruszoną pozę.

- Będę bardziej uważać. - Zabezpieczyła broń i rzuciła Jeanowi-Lucowi znaczące spojrzenie. - Umiem sobie poradzić z kanałią, która kradnie orzechy.

Usta Echarpe'a drgnęły.

- Będę miał to w pamięci.

W tym momencie na ganek wybiegła Emma z palikiem w dłoni.

- Jest tutaj?
- Nie - odparł Jean-Luc. - Falszywy alarm. Emma rozejrzała się dokoła.
- Ale słyszałam wystrzał.
- Owszem. - Jean-Luc wskazał na trawnik przed domem. - Mamy ofiarę.

Oczy Emmy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Zaatakowała nas wiewiórka?
- Właśnie - powiedziała Fidelia. - I ja się nią, do dia-ska, zajęłam.
- O Boże, Heather - wyszeptala Sasha. - Czyżbyś rozprowadzała narkotyki?
- Co takiego? - Heather odwróciła się do przyjaciółki. - Nie!
- Och! - Sasha sprawiała wrażenie rozczarowanej. - To o co chodzi z całą tą bronią?

Heather westchnęła.

Wyjaśnię ci to. Później.

- Skoro wszystko w porządku, wracam na swój posterunek. - Wycofując się do środka, Emma posłała Jeanowi-Lucowi rozbawione spojrzenie. - A myślałeś, że będziesz się nudził w Teksasie.

Echarpe pokiwał głową. Ostatnio życie stało się dużo bardziej zajmujące.

- Wystarczy mi podnieć na jeden dzień - oznajmiła Fidelia i podreptała za Emmą. - Zamierzam wziąć długą gorącą kąpiel i iść do łóżka.
- Dobranoc. - Heather postawiła strzelbę na ganku. - Świetnie. Teraz trzeba się uporać z wiewiórką.
- Nie ma z czym - zapewnił ją Jean-Luc. - Wiewiórka jest martwa.
- Nie mogę jej tak zostawić. Bethany ją zobaczy i pomyśli, że to Sandy, przyjaciółka SpongeBoba.

Jean-Luc nie miał pojęcia, o czym mówi.

- Ja mogę ją pochować. Mogę nawet zmówić *Wieczny odpoczynek*. - Znał tę modlitwę na pamięć, bo Roman przeszło sto razy odmawiał ją nad ciałami poległych towarzyszy podczas wielkiej wampirzej wojny.

Kąciki ślicznych usteczek Heather drgnęły.

- Nie wiedziałam, że nasza wiewiórka była katoliczką. Czyżby się z niego naśmiewała?
- Jeśli wolisz, żebym tego nie robił..
- Nie, proszę. Chcę, żebyś to zrobił. - Obdarzyła go przepięknym uśmiechem. - Myślę, że jesteś bardzo miły.

Serce mu urosło. *Mon Dieu*, człowiek może się uzależnić od takiego uczucia.

- Masz szpadel?
- Tak, w garażu. - Wskazała gestem na lewo.

Zbiegł z ganku i skręcił na podjeździe. Zabrał ze sobą szpadę, na wypadek gdyby Lui krył się w ciemnościach. Albo w garażu.

Sasha Saladine przyglądała mu się, gdy ją mijał, po czym syknęła do Heather:

- Ty kłamczucho! Mówiłaś, że nie masz chłopaka.

- To nie jest mój chłopak - odszepnęła Heather. Zmierając w stronę garażu, Jean-Luc nasłuchiwał rozmowy.
- Skąd, na Boga, go wytrzasnęłaś? - spytała Sasha.
- Poznałam go wczoraj wieczorem na otwarciu.
- Żartujesz?! To ciacho tam było? Do diabła, przeleciałam nie tego gościa, co trzeba.
- Sasha!
- Spałaś już z nim?
- Oczywiście, że nie - sapnęła Heather. - Dopiero co go poznałam!

Jej oburzenie przyprawiło Jeana-Luca o uśmiech. Zatrzymał się przy bocznych drzwiach do garażu, żeby usłyszeć więcej.

- Jeśli nie masz na niego ochoty, to ja go wezmę - ciągnęła Sasha. - Alberto okazał się raczej rozczarowujący. Ale obiecał mi, że będę się częściej pojawiać na wybiegu. I co ty na to?
- Eee, gratuluję?
- Nie, mówię o tym przystojniaczku z mieczem. Mogę do niego uderzyć czy nie? Chcesz go?

Wyteżył słuch, żeby usłyszeć odpowiedź.

- Jean? - zawołała Heather. - Czy drzwi nie są przypadkiem zamknięte na klucz?

Pokręcił gałką i otworzyły się ze szczękiem.

- Nie, wszystko w porządku!

Wśliznął się do środka, ale zostawił szparę, żeby lepiej słyszeć. Rozejrzał się wokół. Garaż był pusty.

- John? - spytała Sasha. - Jaki John?

- Jean Echarpe - odparła Heather. - To syn Jeana-Luca Echarpe'a.

Sasha gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Żartujesz?! O matko! Naprawdę przeleciałam nie tego gościa, co trzeba.

Jean-Luc pokręcił głową. Tak jakby w ogóle mógł pragnąć takiej próżnej sekutnicy. Z Heather to zupełnie inna sprawa. Chciałby zobaczyć, jak te zielone oczy zachodzą mgiełką rozkoszy, gdy obejmuje jej piersi albo gładzi słodkie wnętrze ud. Chciałby zobaczyć rozpalone policzki i usta otwarte przy gardłowym jęku. Chciałby...

Powinien przestać, zanim oczy zaczną mu świecić. Złapał szpadel i wyszedł z garażu. Kobiety nadal rozmawiały, już jednak nie o nim.

- Gdzie twój samochód? - spytała Heather. - Jak się tu dostałaś?

Sasha rozsiadła się na huśtawce i bujała się, odpychając się bosą stopą.

- Alberto mnie podrzucił. Zjedliśmy razem kolację i doszedł do wniosku, że wypiliśmy za dużo, żeby prowadzić. Przysięgam, że to były tylko dwie margarity.

- A zjadłaś dość?

- Pewnie. Tylko nie zatrzymałam dla siebie, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. - Sasha palcem wskazującym pokazała na usta.

Jean-Luc się skrzywił. Była bulimiczką. Właśnie dlatego najchętniej korzystał z usług Ingi i Simone. Obie były wampirzycami, więc nie musiały rujnować sobie zdrowia, żeby utrzymać szczupłą sylwetkę. Niestety, media zaczęły się zastanawiać, dlaczego one również się nie starzeją.

- Nie powinnaś sobie żartować z bulimii - mruknęła niechętnie Heather. - To choroba.

- To akt rozpacz. Mam dwadzieścia sześć lat i muszę rywalizować z dziećmi. - Sasha zauważyła przechodzącego Jeana-Luca i zerwała się. - Och, panie Echarpe, to taka przyjemność poznać pana. Mam nadzieję, że nie poczuł się pan dotknięty tym, co powiedziałam. - Jej wzrok powędrował w stronę szpady, którą Jean-Luc wciąż trzymał w ręce. - Heather mówiła, że przyjechał pan tutaj, żeby ją chronić. Uważam, że to bardzo szlachetne.

Podlizywała mu się. Był do tego przyzwyczajony. To nie miało nic wspólnego z jego osobą. Już wiele lat temu zorientował się, że niektóre modelki byłyby gotowe obskakiwać samego Ouasimodo, gdyby to miało pomóc w ich karierze.

- Jestem zaszczycony, mogąc panią poznać. - Przeniósł wzrok na Heather. - Gdzie ma być grób?

Rozejrzała się po trawniku.

- Może pod dębem? To był jej dom, więc myślę, że tam by jej się podobało.

- Jak sobie życzysz.

Niespiesznie ruszył w stronę drzewa. Zauważył pustą przestrzeń między dwiema rabatkami i zaczął kopać. Gdyby kobiety weszły do środka, dzięki wampirzej prędkości mógłby wykonać to zadanie w ciągu kilku sekund.

Huśtawka na ganku zatrzeszczała, kiedy Sasha usiadła na niej znowu.

- Ludzie mówią, że małe miasteczka są takie przyjazne. To nieprawda. Stara pani Herman wyrzuciła mnie ze swojego pensjonatu, wyobrażasz to sobie?

- Dziwne - odparła Heather. - Jest wdową. Myślałam, że przyda się jej każdy grosz.

- Świętoszkowata starucha. Zaprosiłam na noc Alberta i kiedy zobaczyła go dziś rano, nabzdyczyła się i powiedziała, że to nie burdel. Chcieliśmy wrócić tam po kolacji, ale nas nie wpuściła. Zimna stara rura!

- Uczyla nas w szkółce niedzielnej - mruknęła Heather. - Masz się gdzie zatrzymać?

- No cóż, wolałabym nie nocować u swojej psychicznej matki w tandetnej przyczepie kempingowej, więc pomyślałam, że się wkręcę tutaj - powiedziała Sasha. - Co ty na to?

- A gdzie twój bagaż?

- Nie potrzebuję niczego. Sypiam nago.

- Świetnie - wymamrotała Heather.

- Zabiorę swoje rzeczy i samochód z wypożyczalni rano. Nie mogę się doczekać, żeby się zwinąć z tego miasta. Pojadę do Spa d'Elegance w San Antonio. Chcesz się wybrać ze mną?

- Muszę tu zostać.

- Jak ty to wytrzymujesz? - Głos Sashy zabrzmiał ostro. - Ja nie mogę znieść tego miejsca. Żadnych galerii handlowych ani nocnych klubów. Zamówiłam do kolacji pomarańczowe frappaccino i popatrzyli na mnie, jakbym była kosmitką.

Heather westchnęła.

- Mieszkałaś tu przez osiemnaście lat. Wiesz, jak jest.

- Wierz mi, że zrobiłam wszystko, żeby zapomnieć o tej zapadłej dziurze.

Heather zniżyła głos i oświadczyła z naciskiem:

- Ja wciąż tutaj mieszkam.

Jean-Luc przerwał kopanie, żeby spojrzeć na kobiety na ganku. Udało mu się dostrzec zaróżowione policzki Heather i zielone ogniki gniewu w jej oczach.

Sasha wzruszyła ramionami.

- No cóż, twoja strata.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wykopać większego grobu.

- Ponieważ nie masz ani samochodu, ani dokąd iść -ciągnęła Heather - puszczyć mimo uszu twoje obraźliwe uwagi i zaprowadzę cię do pokoju gościnnego.

Usta Jeana-Luca wygięły się w dyskretnym uśmiechu. Mimo niedawnego rozwodu Heather pozostała wielkoduszna i współczująca. Czy jednak okaże się równie wyrozumiała, kiedy pozna prawdę o nim? Jego uśmiech zbladł, gdy przypomniał sobie, co mówiła na temat wampirów poprzedniego wieczoru. „Odrażające monstra”. Czy kiedykolwiek będzie mogła go zaakceptować?

- Jezu, Heather. - Sasha opuściła chudziutkie ramiona. - Nie chciałam cię zranić. Jesteś jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką mam. Wszyscy inni starają się po prostu mnie wykorzystać. No dobra, ja też ich wykorzystuję. Ale ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę naprawdę porozmawiać.

Twarz Heather złagodniała. Przytuliła modelkę.

- W porządku. - Otworzyła frontowe drzwi. - Chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Gdy drzwi się zatrzasnęły, Jean-Luc jeszcze raz przyjrzał się domostwu. Było czymś więcej niż tylko domem -było schronieniem dla potrzebujących. Heather otworzyła drzwi przed **Fidelia**, a teraz przed Sashą. Z takim szlachetnym, czułym sercem zawsze będzie miała przyjaciół i rodzinę.

Przez głowę przemknął mu pewien obraz. Portret rodziny - Roman i Shanna Draganesti z małym Constantine 'era. Zacisnął ręce na drewnianym trzonku. Nigdy nie miał rodziny. Nigdy nie będzie miał.

Wbił szpadel w ziemię. Dzięki wampirzej sile wszedł aż po stylisko, zgrabnie wyrabując drogę przez korzenie drzewa. Grób był już dostatecznie duży dla wiewiórki, ruszył więc po ciało zwierzątka. Po dwóch krokach się zatrzymał.

Biały policyjny wóz wtoczył się na podjazd i zatrzymał przed domem Heather. Na boku odblaskowe litery układały się w napis „szeryf okręgowy”. *Merde*. Podobnie jak większość wampirów, Jean-Luc miał się na baczności przed stróżami prawa. Wampir nie mógł sobie pozwolić na prze^e słuchanie w sali z lustrem weneckim, w którym jego postać by się nie odbijała.

Zerknął na szpadę, którą zostawił opartą o drzewo. Cofnął się i wsunął broń w gęste krzaki rosnące w pobliżu dębu.

Tymczasem z radiowozu wysiadł funkcjonariusz i ruszył w stronę domu. W starannie wyprasowanym mundurze khaki do kompletu z pasem i kaburą na pistolet wyglądał bardzo oficjalnie. Obserwując Jeana-Luca spod przymrużonych powiek, przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

- Proszę odejść od drzewa i podnieść ręce, żebym je widział - rozkazał.

Jean-Luc zrobił krok w bok i otworzył ręce wnętrzem dłoni do góry.

- Jakiś problem, szeryfie?

Młody policjant zatrzymał się, żując wykałaczkę.

- Kim pan, u licha, jest?

- Jean Echarpe.

- Johnny Sharp, tak? A skąd pan jest, panie Sharp? Jean-Luc doszedł do wniosku, że lepiej nie wyjaśniać nieporozumienia.

- Z Paryża.

Szeryf pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Na północ od Dallas. Byłem tam.

Przez kilka sekund Jean-Luc stał zbity z tropu.

- To w Teksasie jest Paryż?

- Tak. Ale pan mówi dość dziwnie nawet jak na kogoś z północy. Pewnie jest pan jednym z tych zabojadów.

Jean-Luc zacisnął zęby.

- Przyjechałem z Francji.

- To kiepsko. - Wzrok szeryfa spoczął na świeżo wykopanym grobie. Policjant wyciągnął wykałaczkę z ust i rzucił na ziemię. - Dostałem zgłoszenie od jednego z sąsiadów, że ktoś tu strzelał. A teraz przyłapałem pana na kopaniu grobu.

Jean-Luc wskazał na jamę.

- Jak pan widzi, to bardzo mały grób.

- Cóż, może lubi pan swoje ofiary rąbać i zakopywać po kawałku. - Oparł dłoń na kaburze.

Echarpe rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Nikogo nie zamordowałem. - Na razie. Wskazał na bok. - Tam leży ofiara.

- Cholera. - Szeryf podszedł do martwej wiewiórki. -Niech pan posłucha, panie Sharp. Nie podoba mi się, jak obcokrajowcy przyjeżdżają tu i strzelają do naszych wiewiórek.

- Ja jej nie zastrzeliłem. Szeryf prychnął.

- Jasne, to było samobójstwo. - Podniósł dłoń, gdy Jean-Luc ruszył w jego stronę. - Proszę zostać, gdzie pan stoi. To miejsce przestępstwa i niech pan nie myśli, że uda się panu zatrzeć ślady.

Jean-Luc westchnął. Najwyraźniej w tym mieście nie działo się zbyt wiele.

- Zaproponowałem Heather, że pochowam tę wiewiórkę.

Oczy szeryfa się zwężyły.

- Zna pan Heather?
- Oczywiście. - Jean-Luc uniósł brodę. - To jej dom, gdyby pan o tym nie wiedział.
- Wiem. - Szeryf rozstawił nogi i skrzyżował ręce na piersi. - Chodziłem z nią przez dwa lata w liceum. A pan jak długo ją zna?

A więc to był ten facet, którego matka Heather uznała za zbyt niebezpiecznego. Gdyby się nie wtrąciła, czy Heather poślubiłaby tego wielkiego pacana? W żołądku Jeana-Luca zaległo się nieprzyjemne, węzowe uczucie. Rozpoznał je zaskoczony. *Zazdrość. Merde.* Nie czuł jej od ponad dwustu lat.

- Billy! - krzyknęła Heather z ganku. - Co ty tutaj robisz? - Zatrzasnęła drzwi i zeszła po schodkach.
- Cześć, Heather. - Szeryf podniósł rękę w geście powitania. - Thelma zadzwoniła z informacją o strzelaninie. - Obrzucił Jeana-Luca podejrzliwym spojrzeniem. - A ja znalazłem tego żabojada kopiającego na trawniku. Pewnie szukał jakichś węży na kolację. - Zarżał z własnego dowcipu. Heather spojrziała na niego, marszcząc brwi.

- Jean jest moim gościem. I był na tyle miły, że zechciał mi pomóc z tą biedną martwą wiewiórką.
Bronił go. Znowu. Bardzo mu się to podobało. Ale o ile mógł się zorientować, Billy'emu już mniej. Nawet nie próbował ukryć, że go to wkurzyło.

- Poprosiłaś jakiegoś obcego, żeby zakopał twoją wiewiórkę? To robota dla prawdziwego mężczyzny. - Złapał martwe zwierzątko i pomaszerował w stronę jamy.

Jean-Luc zerknął na Heather, żeby sprawdzić, czy podziałała na nią strategia neandertalczyka. Dzięki Bogu wcale nie uznała szeryfa za bohatera. Wyglądała, jakby była naprawdę zirytowana.

- To nie jest konieczne, Billy. Jean ma wszystko pod kontrolą.

Billy wrzucił wiewiórkę do dołu.

- Trzeba było zadzwonić po mnie. Mówiłem ci, żebyś dzwoniła, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Chwyił za szpadel, ale okazało się, że się mocno zaklinował. Szarpnął z całych sił, lecz szpadel ani drgnął.

- Mogę? - Jean-Luc ruszył w stronę jamy.

- Niech pan tam zostanie. - Billy rozstawił nogi i chwycił szpadel obiema rękami. Naprężył się. Z jego gardła dobył się niski pomruk. Na czoło wystąpił pot.

Szpadel ani drgnął.

Billy zerknął na Jeana-Luca.

- Co pan zrobił z tym cholerstwem?

- Sprawdź, jeśli pan pozwoli. - Jedną ręką ujął styli-sko i wyciągnął szpadel z ziemi. - Ach, miał pan rację. To robota dla prawdziwego mężczyzny.

Heather dyskretnie zakryła usta dłonią, żeby ukryć szeroki uśmiech. Billy popatrzył spode łba, niepewny, czy go nie obrażono. Zanim jednak zdążył się zastanowić, zatrzeszczała krótkofalówka i dał się słyszeć głos. Wcisnął przycisk.

- Tu szeryf, co się dzieje?

- Ktoś zadzwonił z doniesieniem o zakłócaniu spokoju na tyłach Schmitty Bar - poinformował kobiecy głos.

- Cathy, podaj odpowiedni numer kodowy - warknął Billy.

- Nie ma żadnego numeru na gościa, który zachowuje się jak karaluch! - wrzasnęła kobieta. - Wdrapał się na kontener na śmieci i tarza się w odpadkach.

Karaluch? Jean-Luc zerknął na Heather. To musiał być jej eksmąż. Zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

- Cholerny pijus - mruknął Billy do mikrofonu. - Zaraz tam będę. - Obrzucił Jeana-Luca gniewnym spojrzeniem. - Będę pana obserwował, panie Sharp. - Pomaszerował do radiowozu.

Jean-Luc przysypał wiewiórkę ziemią.

- Myślę, że mój były traci rozum - szepnęła Heather.

- Stracił rozum, kiedy pozwolił ci odejść. - Płaską częścią konchy ubił stertę ziemi.

- To miłe, że tak mówisz, ale boję się teraz zostawić z nim córkę.

- Trudno znaleźć kogoś, komu można zaufać.

- Podpisuję się pod tym obiema rękami. - Zmarszczyła brwi, patrząc na odjeżdżający radiowóz.

Jean-Luc wydobył szpadę spod krzaków i końcem wyrył krzyż na grobie.

- Nie ufasz szeryfowi? - spytał, a kiedy pokręciła głową, dodał: - Myślę, że nie. Nie powiedziałaś mu o Luim.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Ty też nie.

Ruszył w stronę garażu, żeby odnieść szpadel.

- Przywykłem do tego, żeby z własnymi kłopotami radzić sobie samemu.

Heather poszła za nim.

- A ja jestem jednym z nich. Zatrzymał się.

- Nie, wcale nie. Bardzo miło spędzam czas w twoim towarzystwie. Żałuję tylko ogromnie, że ty i twoja córka znalazłyście się w niebezpieczeństwie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Czyli przyznajesz, że znalazłam się w niebezpieczeństwie z twojego powodu?

Do czego zmierzała?

- Tak. - Ruszył dalej.

- Więc zgadzasz się, żebym pojechała razem z tobą szukać Louiego.
- Nie zgadzam.
- Ależ zgadzasz. Przecież wiesz, że prowadzę wojnę ze strachem.
- Tak, wiem, ale nie chcę narażać cię bardziej niż... -Zatrzymał się, kiedy podeszła i położyła mu rękę na piersi. Spojrzała na niego tak błagalnym wzrokiem, że z trudem powstrzymał się, żeby nie rzucić szpadla i szpady i nie pochwycić jej w ramiona.
- Pani Westfield, czyżby próbowała pani wpłynąć na mnie za pomocą tych waszych kobiecych sztuczek?

Jak oparzona zabrała dłoń z jego piersi. A potem uśmiechnęła się i położyła ją znowu.

- A myślisz, że byłyby skuteczne?
- Być może. Jak bardzo... umiesz być przekonująca? Ujęła klapę jego czarnego płaszcza.
- Przez większość życia zawsze ktoś mną dyrygował. Czas wziąć sprawy we własne ręce.
- Więc planujesz mnie uwieść?
- Nie. Po prostu chcę jechać z tobą. Muszę działać.

-Co za rozczarowanie. Sapnęła.
 Że chcę być kowalem własnego losu?

- Nie, że nie zostanę uwiedziony. Myślę, że lubię być uwodzony przez silne, samodzielne kobiety.

Roześmiała się, po czym spojrzała na niego zalotnie.

- Noc jeszcze młoda. Odpowiedział uśmiechem.
- Tak, to prawda.
- No to umowa stoi - oznajmiła. - Jadę z tobą.

Merde. Uśmiech Jeana-Luca zgasł. W którym momencie stracił kontrolę nad ich znajomością? Heather Westfield owijała go sobie wokół małego palca. I, Boże dopomóż, całkiem mu się to podobało.

Rozdział 9

Wjazd jest kilka kilometrów dalej - powiedziała Heather, zerkając na Jeana-Luca, który prowadził.

- W porządku. - Ręce Echarpe'a spoczywały lekko na kierownicy bmw, jak gdyby był przyzwyczajony do jazdy z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Noc była pogodna, niebo pełne gwiazd, a księżyc w pierwszej kwadrze. Torebka Heather spoczywała na podłodze z glockiem Fidelii w środku, tak że czuła na nodze jego uspokajający ciężar. Robby MacKay siedział z tyłu ze swoim claymore'em i lekką szpadą Jeana-Luca. Echarpe nalegał, żeby zabrali Szkota po drodze.

Robby był przeciwny, żeby Heather z nimi jechała, ale Jean-Luc bronił jej decyzji. To dobry znak. Może mimo wszystko nie okaże się aż takim despotą. Był gotów uszanować jej decyzję, choć się z nią nie zgadzał.

Wciąż stanowił dla niej wielką niewiadomą, jak dotąd jednak naprawdę podobało jej się wszystko, czego się o nim dowiedziała. Miał szczupłą twarz z pięknie zarysowaną silną szczęką i wysokimi kośćmi policzkowymi. Poprzedniego wieczoru był świeżo ogolony i w swoim eleganckim smokingu wyglądał czysto i schludnie jak jakiś seksowny James Bond. Dziś wyglądał jeszcze bardziej pociągająco. Czarny zarost ocieniał szczękę, a ciemne loki niedbale okalały twarz, jak gdyby za bardzo się spieszył, żeby się ogolić i uczesać. Czarne spodnie i koszulka sprawiały wrażenie nieco zniszczonych i wygodnych, a długi czarny płaszcz przydawał mu niebezpiecznej aury.

Nic dziwnego, że Billy potraktował go podejrzliwie. Jean-Luc wyglądał tajemniczo. I dziko. Był na tyle silny, że wyciągnął szpadel z ziemi jedną ręką. Miał dość twórczej wyobraźni, żeby projektować stroje dla kobiet, a w dodatku tropił zabójców takich jak Louie. Heather nigdy nie spotkała równie intrygującego i skomplikowanego mężczyzny. Z całą pewnością skrywał jakieś tajemnice. I, dobry Boże, jaki był przy tym seksowny!

Naprawdę miał nadzieję, że go uwiedzie? Sądząc po tym, w jaki sposób mówił i jak na nią patrzył, to on był stroną aktywną. Przemknęły jej przez myśl wszystkie możliwe scenariusze. Gdyby mu wskoczyła do łóżka, pewnie by jej nie wyrzucił. Zważywszy na to, jak na nią spoglądał.

Patrzył na jej twarz z takim natężeniem, że aż podwijały jej się palce u stóp, a potem przesunął wzrokiem w dół ciała, zatrzymując się to tu, to tam. Samo myślenie o tym przyprawiało ją o dreszcze. Wciąż miała świadomość jego obecności. Powietrze między nimi zdawało się aż skwierczeć od magnetyzmu.

- Wszystko w porządku? - Zerknął na nią.

- Tak. - Odwróciła wzrok. Musiał wyczuć jej spojrzenie. On też był świadom jej obecności. - Jest wjazd. - Wskazała słabo oświetlony znak po prawej.

Jean-Luc zwolnił i skręcił w wąską dróżkę.

- Wyjątkowo odosobnione miejsce - zauważył Robby. -Dobra kryjówka.

- Tam dalej jest miejsce dla biwakowiczów.

- Dla biwakowiczów? - Jean-Luc zerknął zmartwiony na Robby'ego.

- Niech to jasny gwint - mruknął Robby.

Zimny dreszcz przeszedł Heather po nagich ramionach.

- Myślicie, że mogą być w niebezpieczeństwie?
- Jeśli Lui tu jest, to tak. - Jean-Luc jechał ostrożnie, rozglądając się na prawo i lewo. - Mógł potrzebować pieniędzy i... jedzenia. To tutaj? - Wskazał przed siebie.
Heather zmrużyła oczy. Z ledwością mogła dostrzec kamienną budowlę przed nimi.
- Tak. Możesz zaparkować tam, przy placu zabaw.
W blasku lamp zjeżdżalnie wyglądały na opuszczone i poszarzałe. W kręgach światła, które rzucały latarnie, roilo się od owadów. Huśtawki wisiały nieruchomo w ciepłym, wilgotnym powietrzu.
Heather wysiadła z samochodu, wyciągnęła z torebki latarkę i włączyła ją. W ciągu zaledwie kilku sekund po obu jej stronach pojawili się Jean-Luc i Robby. Mieli ze sobą broń.
Zarzuciła torebkę na ramię.
- Gotowi?
Jean-Luc opuszkami palców dotknął jej łokcia.
- Trzymaj się blisko mnie.
Robby pierwszy ruszył do wejścia. Heather weszła po schodkach z Jeanem-Lukiem u boku.
Ogromne okna biegnące wzdłuż wszystkich czterech ścian budynku były otwarte, żeby zapewnić przewiew w gorące letnie dni. Na zimnej cementowej podłodze leżały rozrzucone liście, a wysoko pod krokiewiami niesło się echo trzepoczących ptasich skrzydeł. Pomieszczenie przecinał rząd drewnianych piknikowych stołów.
Robby zrobił obchód. Najwyraźniej potrafił sobie poradzić bez latarki.
- Nigdzie nie ma drzwi do piwnicy.
- Są na zewnątrz. - Heather oświetliła drogę w dół schodów. - Po prawej.
Robby ruszył we wskazanym kierunku, podczas gdy Jean-Luc trzymał się jak przyklejony jej boku.
Ciepłe powietrze wydawało się gęste i wilgotne. Koło ucha zabrzączał jej komar. Odgoniła go.
- Cholerny krwio pijca.
- Gdzie? - Jean-Luc uniósł szpadę i obrócił się, rozglądając wokół.
Heather się roześmiała.
- Chcesz gonić komara ze szpadą? Powodzenia. Spojrzał na nią zmieszany.
- Myślałem, że masz na myśli coś większego.
- Co na przykład? Nietoperza? Nie sądzę, żebyśmy mieli w Teksasie jakieś nietoperze wampiry.
- Nigdy nie wiadomo - mruknął Jean-Luc i wskazał gestem na Robby'ego. - Znalazł piwnicę.
Do uszu Heather dobiegł szczeł łańcuchów. Wycelowała latarkę w stronę, skąd dobiegał hałas, i oświetliła Robby'ego pochylającego się nad drzwiami do piwnicy.
- Tylko nie mów, że są zamknięte. Piwnica powinna stanowić schronienie dla biwakowiczów na wypadek tornada.
Robby pociągnął za łańcuchy okręcone wokół uchwytów przy drzwiczkach.
- Kłódka jest wyłamana. Wymienili z Jeanem-Lukiem spojrzenia.
Ciekawe, czy Szkot mówił prawdę. Pewnie tak. Nie był na tyle silny, żeby wyłamać kłódkę.
- Pomogę ci. - Jean-Luc pociągnął za jedną połowę drzwi, a Robby za drugą.
Heather wycelowała latarkę w ziejącą ciemnością dziurę. Jezu, co ją opętało, żeby tutaj przyjechać.
- No to kto chce pierwszy zejść w czarną otchłań przeznaczenia?
- Ja. - Robby ruszył schodami w dół, trzymając clay-more'a w gotowości.
- Nie potrzebujesz światła? - spytała Heather.
- Wszystko widzę - mruknął Robby. Przytrzymała latarkę skierowaną w dziurę.
- Miałaś rację - szepnęła do Jeana-Luca. - Nie powinnam była z wami iść.
- A co z decydowaniem o własnym losie?
- Wciąż wierzę, że to możliwe, i wierzę, że uda mi się ochronić samą siebie. Ale boję się, że będziesz się bardziej troszczył o moje bezpieczeństwo niż o to, żeby złapać Louiego.
- Masz rację. Dlatego wziąłem Robby'ego.
- Nie chcę cię wstrzymywać. Ani narażać na niebezpieczeństwo.
- Nic mi nie będzie. - Stał po jej prawej stronie ze szpadą w prawej dłoni. - Trzymaj się blisko mnie. - Ruszył schodami w dół.
Zrobiła głęboki wdech. „Prowadzę wojnę ze strachem”. Ruszyła za nim, oparłszy dłoń na jego ramieniu.
Gdy dotarli na dół, ujął jej rękę i zaprowadził na środek pomieszczenia. Obróciła się, kierując promień latarki na ciemną piwnicę. Miejsce pasowało do opisu Fidelii. Ciemno. Żadnych okien. Kamiennie ściany. Gruba warstwa kurzu na podłodze sprawiała, że zaswędziało ją w nosie. Pod ścianami znajdowały się kupki zmieczonego brudu i gruzu.
- Sprawdź sufit - powiedział cicho Jean-Luc.
Sufit? Poświeciła latarką do góry. Naprawdę spodziewali się, że Louie będzie się kręcił po suficie? Dziwne.
- Czysto - oznajmił Echarpe. Westchnęła z ulgą.
- Świetnie. Żadnych morderczych maniaków.
- *Nay*. To miejsce jest raczej bezpieczne.
Robby okrzyknął! piwnicę. Gdy zbliżył się do ciemnego narożnika, dał się słyszeć tupot uciekających maleńkich nóżek.
- Szczur! - Heather złapała Jeana-Luca za rękę i przycisnęła do siebie. Strumień światła zachybotał.
Wziął od niej latarkę i odnalazł stworzonko.

- Nie martw się, to tylko mysz.
- Żartujesz? To coś jest ogromne.
- To nieszkodliwa mała polna myszka.
- Nie słyszałeś? W Teksasie wszystko jest wielkie.
- Nasze francuskie szczury wyśmiałyby twoją myszkę. - Objął ją. - Nie będziesz mogła powiedzieć, że żyłaś, dopóki nie zobaczysz szczurów w Paryżu.
- Jakie to romantyczne.
- Aaa! A tam co za monstrum z gigantycznymi pazurami i ostrymi zębiskami. - Roześmiał się, gdy zarzuciła mu rękę na szyję.
- Co takiego? - Zorientowała się, że jej twarz znalazła się tuż przy twarzy Jeana-Luca.
- Żartowałem. - Otoczył ją ramionami. - Ale nie będę przepraszał. Bardzo mi się podobają efekty.
- Ty draniu! Wystraszyłeś mnie.

Powinna go trzepnąć. Albo przynajmniej mu się wyrwać. Ale tak dobrze było poczuć jego silne ręce wokół jej ramion i ciepło klatki piersiowej na własnej piersi.

Potarł podbródkiem o jej czoło. Miękki dotyk jego zarostu był równocześnie męski i pocieszający.

- Nie sędzę, żeby Lui kiedykolwiek tu był - stwierdził Robby. - Na takiej zakurzonej podłodze zostałyby ślady stóp.
- Zgadza się. - Jean-Luc wciąż obejmował Heather. Robby zamruczał pod nosem:
- Mam was zostawić samych? Jean-Luc zachichotał.

- Już idziemy. - Uwolnił Heather i wręczył jej latarkę. - Na dziś wystarczy.

Wystarczy poszukiwań czy wystarczy uścisków? Chętnie by jeszcze kilka minut się poprzytulała. Albo nawet godzinkę lub dwie. Ruszyła za nimi po schodach i przyjęła rękę Jeana-Luca, który pomógł jej się wdrapać na górę. Nocne powietrze w porównaniu z zatęchłą i zawilgoconą piwnicą pachniało świeżością.

- Jutro spróbujemy znowu - oznajmił Jean-Luc, gdy razem z Robbym zamykali drzwi do podziemi.

Jutro? Jutro jest niedziela.

- Mam wprawdzie inne plany, ale później możemy się gdzieś wybrać.
- Jakie plany? - spytał Jean-Luc, odprowadzając ją do samochodu. - Nie zostawię cię bez opieki.
- Zgłosiłam się na ochotnika do pomocy przy kiermaszu. Kościół chce zebrać pieniądze na wyposażenie placu zabaw.

Muszę być tam wcześniej, żeby ustawić krzesła i inne rzeczy. Fidelia i Bethany będą ze mną.

Jean-Luc zmarszczył brwi.

- Miejsce publiczne może być niebezpieczne. Robby i ja też będziemy musieli przyjść.

Robby jęknął.

Heather rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Świetnie. Kiermasz zaczyna się o siódmej. W parku Riverside.
- Doskonale. - Jean-Luc zwolnił blokadę i otworzył drzwi Heather. - A później zajmiemy się poszukiwaniem Luiego. Jeśli możesz, postaraj się wymyślić jakieś inne miejsca, które by pasowały do opisu Fidelii.

- Dobrze. - Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Słyszała, jak Jean-Luc i Robby po cichu dyskutują.

Pewnie zastanawiali się, jaka strategia będzie najlepsza, żeby utrzymać przy życiu ją i Bethany. Wsunęła latarkę do torebki tuż obok glocka. Odkąd pojawił się Jean-Luc Echarpe, życie Heather stało się dużo bardziej ekscytujące. Nie zamierzała pozwolić Louiemu, żeby jej to odebrał. Ale tymczasem mogła stracić głowę dla Jeana-Luca.

Następnego wieczoru Heather ustawiała w rzędach krzesła w parku Riverside. To był kolejny spokojny dzień bez znaku od Louiego. Rano poszły we trzy do kościoła, a przez resztę dnia leniuchowały. Jean-Luc obiecał, że zjawi się zaraz po zachodzie słońca. Zorientowała się, że niecierpliwie czeka, aż dzień dobiegnie końca, żeby mogła go znowu zobaczyć.

- Potrzebna pomoc?

Aż wzdrygnęła się na dźwięk tubalnego głosu i pomodliła w duchu, żeby pytanie nie było skierowane do niej. Zerknęła w górę. A niech to, Coach Gunter maszerował w jej stronę. Trener bejsbolu w liceum Guadalupe próbował poderwać ją już od przeszło sześciu miesięcy. Fakt, że Heather nie pozwoliła mu zdobyć nawet pierwszej bazy, jakoś go nie zniechęcał.

- Nie, dziękuję.

Odwróciła się do tyłu, rozkładając metalowe krzesło. Musiała jeszcze ustawić ostatni rząd przed altanką, w której miały śpiewać dzieci.

Coach Gunter okrążył ją i stanął z przodu, tak że nie mogła uniknąć widoku pozy Supermana, którą zazwyczaj przybierał - rozstawione stopy, dłonie na biodrach i klatka piersiowa wypchnięta do przodu. Miał też na sobie swój zwykły strój - koszulkę bez rękawów eksponującą potężne bicepsy i szorty odsłaniające muskularne łydki.

Heather uważała go za karłowatego jaskiniowca - niewielkiej postury i niedużego mózgu. W mieście były wolne kobiety, które kolekcjonowały miniatury. Naprawdę mógłby spróbować szczęścia z nimi. Niektóre pożerały wzrokiem jego męskie kształty i Coach dobrze o tym wiedział. Heather podejrzewała, że czekał, aż przestanie pracować i zacznie go podziwiać, tymczasem ona dalej rozstawiała krzesła. Bethany jej pomagała, siadając na każdym, żeby sprawdzić, czy zostało dobrze rozłożone.

- Jak ci się podobają moje kąpielówki? - Coach zakreślił się bez wątpienia po to, żeby zaprezentować pośladki ze stali.

- Są w porządku. - Wyciągnęła kolejne krzesło ze sterty.

- Będę przy beczce z wodą - ciągnął Coach. - Powinnaś później przyjść i zobaczyć mnie, jak już będę cały mokry. - Mrugnął okiem.

Heather wydała z siebie apatyczne chrząknięcie, rozłożyła z trzaskiem kolejne krzesło i ustawiła je w rzędzie. Uśmiechnęła się do córeczki.

- A to jak się sprawuje? Bethany zakołysała się na siedzeniu.

- Bardzo dobrze, mamusiu. - Zerknęła na trenera. - Będę dzisiaj śpiewała.

- Tak, akurat. - Coach spojrział na nią z powątpiewaniem, lecz po chwili jego twarz się rozjaśniła. - Ej, a może chciałabyś później pójść ze mną i z mamą na lody?

Bethany aż podskoczyła na krzesle z radości.

- Uwielbiam lody! - Popatrzyła na mamę wyczekująco. Oho, to było nieczyste zagranie. Heather wzięła kolejne krzesło i pomyślała, że może powinna dzielić nim trenera w łeb. Tylko czy w ogóle by to poczuł? Biorąc pod uwagę jej szczęście, uznałby, że to odmiana neandertalskiej gry wstępnej.

Energicznym ruchem otworzyła krzesło i popatrzyła na córeczkę ze współczuciem.

- Przykro mi, kochanie, ale Coach powinien był najpierw zapytać mnie. - Wyprostowała się, piorunując trenera i u wzrokiem. - Mammy już plany na dzisiejszy wieczór.

Wysunął brodę.

- To znaczy, że pogłoski są prawdziwe? Masz nowego chłopaka?

Czasami miasteczko okazywało się odrobinę za małe. Heather zerknęła na słońce muskające czubki drzew. Za niecałą godzinę zjawi się Jean-Luc.

- Wpadnie kilkoro przyjaciół.

- Tak, jasne - mruknął Coach. - Nie wiesz, co tracisz. - Odmaszerował sztywnym krokiem.

Heather z westchnieniem ulgi złapała kolejne krzesło, jeszcze tylko trzy. Kiermasz zaczyna się za pięć minut. Przy budce z biletami już zdążyła ustawić się kolejka.

- Mamusiu, nie lubisz go? - spytała cicho Bethany.

- Coacha? - Postawiła krzesło obok córeczki. - Nie pomógł mi z krzesłami, prawda?

- Ja ci pomagam - powiedziała dziewczynka i wdrapała się na siedzenie, które Heather właśnie rozstawiła.

- Tak, prowadzisz kontrolę jakości. Świetnie ci idzie. - Wzięła następne krzesło ze sterty.

Bethany zmarszczyła nosek, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Uważa, że jest ładny.

Trener? Rozkładając krzesło, Heather zaczęła się śmiać.

- Masz rację. Mądra z ciebie dziewczynka. Bethany wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste.

- Lubię Emmę.

- Ja też. - Heather wzięła ostatnie krzesło.

- Przyjdzie zobaczyć, jak śpiewam?

- Myślę, że tak. - Otworzyła je i usiadła obok córeczki.

- Lubię też tego pana, który tak śmiesznie mówi. Serce Heather leciutko podskoczyło.

- Pana Echarpe'a? Bardzo starała się nie myśleć o nim przez cały dzień, a mimo to udało mu się wkraść do jej głowy z tuzin razy. Na godzinę.

Bethany założyła nogę na nogę, udając dorosłą, skrzyżowała ręce i oparła brodę na dłoni. Postukała palcem w podbródek. Przybierała tę pozę, kiedy chciała być poważna. Heather uważała, że to urocze - zawsze w takiej chwili miała ochotę chwycić córeczkę w ramiona i mocno ją uściskać. Powstrzymała się jednak, wiedząc, że powinna zachęcać małą, żeby myślała samodzielnie. Znowu zerknęła na słońce, próbując ocenić, ile czasu zostało do zachodu. I ile czasu dzieliło ją od spotkania z Jeanem-Lukiem.

- Pan Sharp nie wie, że jest ładny - oznajmiła spokojnie Bethany. - Ale jest.

Heather opadła szczęką. Dobry Boże, była matką geniusza.

- Myślę, że jesteś bardzo mądra.

- Jestem głodna. Mogę dostać watę cukrową? Różową?

- Możesz. Po kolacji. - Heather zerknęła na altankę. - Zobacz, panna Cindy cię potrzebuje.

Bethany zsunęła się z krzesła i pobiegła do altany, gdzie zbierały się wszystkie przedszkolaki. Jedną z wychowawczyń, panna Cindy, ustawiała je właśnie w dwa rzędy, wyższe dzieci z tyłu.

Heather pomasaowała kark. Praca fizyczna, teksaski upał i brak snu dały jej się w końcu we znaki. Kiedy słońce zajdzie, przynajmniej temperatura spadnie o kilka stopni. Jean-Luc mądrze zrobił, czekając na wieczór. I znowu o nim myślała. Ostatniej nocy wierciła się i przewracała w łóżku przez godzinę, nim w końcu zasnęła. Kusilo ją, żeby zejść na dół i przez całą noc dotrzymać mu towarzystwa. Bóg jeden wie, ile wciąż musiała się o nim dowiedzieć. Sama opowiedziała mu historię życia, on jednak udzielił jej bardzo niewiele informacji na swój temat.

Co robił w Schnitzelbergu w stanie Teksas, skoro centrum świata mody było w Paryżu? O co naprawdę chodziło z Louiem? Czy rzeczywiście groziło jej aż takie niebezpieczeństwo, jak twierdził Echarpe? Mimo wszystkich tych wątpliwości bardzo ją

do niego ciągnęło. Serce Heather waliło jak oszalałe za każdym razem, gdy patrzyła w jego niebieskie jak samo niebo oczy. I znów chciała znaleźć się w jego ramionach.

Tylko że знаła go zaledwie od dwóch nocy. To bardzo niebezpieczne tak szybko zakochać się w mężczyźnie. Powinna czuć niepokój, tymczasem była tylko cudownie podekscytowana. Kolejny powód, żeby mieć się na baczności. Za dużo w życiu przeszła, żeby teraz wszystko schrzanić. Najważniejsze powinno być dla niej zapewnienie spokoju i miłości córce.

Fidelia klapnęła na krzesło obok i położyła sobie torebkę na podolku. Żeby uczcić świąteczną okazję, włożyła jaśnoczerwoną spódnicę ze złotymi cekinami.

- Głupie stare kwoki. Zaproponowałam im, że rozstawię stolik z wróżbami, ale pokręciły tylko tymi swoimi przemądrzałymi nosami i stwierdziły, że to zbyt pogańskie na kościelny festyn.

Heather się skrzywiła.

- Tak mi przykro.

Bez wątpienia jedną z tych kwok była matka Cody'ego. Pani Westfield nie omieszkała poinformować Heather, że zachowuje się nie w porządku wobec Bethany, ponieważ pozwala mieszkać u siebie Cygance.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo córki, Heather dużo bardziej niepokoiły pistolety Fidelii niż jej wróżby. Zerknęła na osławioną torebkę.

- Masz broń?

- Tylko glocka. Muszę trochę przystopować. - Fidelia zwiesiła głowę. - Kiepsko się czuję z powodu tej wiewiórki.

Heather poklepała ją po ręce.

- To była prawdziwa ulga mieć cię z bronią ostatniej nocy. Fidelia zacisnęła dłonie na torebce.

Gdyby ten Louie się pokazał, odstrzeliłabym mu łeb. Nie dbam o to, że trafiłabym do więzienia. Byłaś taka kochana, że przyjąłś mnie pod swój dach, choć zawiodłam twoją mamę. - Oczy niani załśniły łzami.

Heather odwróciła się do starej przyjaciółki.

- Nie zawiodłaś mojej matki. Zrobiłaś, co mogłaś, żeby ją ostrzec.

- Gdybym trzymała buzię na kłódkę, oboje twoi rodzice wciąż mogliby żyć. Może te stare kwoki mają rację. Może nie jestem dobrym człowiekiem.

- Nie pozwolę ci tak mówić! Moja matka płaciła za twoje przepowiednie i do końca świata zadreślałaby cię prośbami o poradę. Dobrze o tym wiesz. Nie sposób było jej się sprzeciwić.

Fidelia pociągnęła nosem i otarła oczy.

- Zrobię wszystko, żeby chronić ciebie i twoją małą. Tyle ci zawdzięczam.

- Nic mi nie zawdzięczasz. Zawsze byłaś dla mnie wsparciem. Jak druga matka. - Heather roześmiała się, żeby powstrzymać łzy. - Tylko dużo zabawniejsza niż prawdziwa.

Niania pokiwała głową.

- To była stanowcza kobieta.

- Uparta i pełna lęku - poprawiła ją Heather. - Ja nie zamierzam żyć w strachu. I nie chcę, żebyś ty się bała.

Fidelia poklepała torebkę.

- Swoją odwagę mam tutaj.

- Swoją odwagę masz w sobie. Jesteś dobrym człowiekiem. Gdybym nie była tego pewna na sto procent, nie pozwoliłabym ci się opiekować moją córką.

128

Fidelia zamrugła, żeby przegnać z oczu łzy, a jej twarz przybrała nieustępliwy wyraz.

- Sprawdziłam ludzi i okolice, tak jak prosiłaś. Żadnych nieznajomych z siwymi włosami i laską.

- Dobrze, dziękuję. - Heather zerknęła na słońce. Do spotkania z Jeanem-Lukiem zostało jeszcze jakieś trzydzieści minut. - Śniło ci się coś ostatniej nocy?

- Miałam jeden dziwny sen. Zdaje się, że widziałam Juana, ale trudno powiedzieć. Wyglądał jak gość z tego filmu, który tak często oglądasz. Duma i coś tam.

- *Duma i uprzedzenie*? Wyglądał jak facet z czasów regencji?

Fidelia zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć.

- Tak mi się zdaje. Ale tylko przez chwilę. Potem wyglądał jak... Jerzy Waszyngton, tylko bardziej szykownie.

- Dziwne.

- *Si. A* potem wyglądał jak... Sama nie wiem. Miał rajtuzy i takie śmieszne krótkie spodni. Bufiaste jak balony.

- Takie jak nosili w renesansie? Fidelia wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, co to znaczy.

Heather zrobiła głęboki wdech. Odrzuciła teorię z nieśmiertelnością jako zbyt dziwaczną, teraz jednak znów zaczęła się nad tym zastanawiać.

Fidelia spojrzała na nią uważnie.

- Masz jakiś pomysł?

- Zbyt dziwny.

- Pamiętaj, z kim rozmawiasz, kotku. Nic nie jest zbyt dziwne.

- Myślę, że Jean może być... w pewnym sensie inny. Fidelia wybuchnęła śmiechem.

- Do diabła, zupełnie nie przypomina żadnego mężczyzny w tym mieście. Ale może dla ciebie będzie dobry.

- Chodzi mi o to, że naprawdę jest dziwny. znaczy w nadprzyrodzony sposób? - Niania przechyliła głowę, rozważając tę myśl. - Może tak być.

- Byłabyś skłonna w to uwierzyć?

- Mówiłam ci już milion razy. Tyłu rzeczy nie wiemy. Co nie znaczy, że nie są prawdą.

Nieśmiertelny? Gdyby Jean-Luc był nieśmiertelny, to znaczyłoby, że Louie także. I że ugrzęźli w walce ciągnącej się przez stulecia. Mimo upału Heather zadrżała.

- Mamusiu! Ciociu Fee! - Nadbiegła Bethany. - Widziałyście mnie na scenie?

- Oczywiście. - Heather posadziła sobie małą na kolanach. - Wyglądałaś bajecznie.

- Usiądziesz w pierwszym rzędzie, żeby patrzeć, jak śpiewam?

- No pewnie.

Poprawiła ozdobioną rypsovą wstążką spinę we włosach małej. Niebieska kokardka pasowała do letniej niebieskiej sukienki.

- Jestem głodna. Heather się uśmiechnęła.

- Ty zawsze jesteś głodna.

- Przeszłam się po stoiskach - powiedziała Fidelia. - Mamy do wyboru nasze niemieckie kielbaski na patyku al-1 bo hot dogi.

Super. Heather się skrzywiła. Wieprzowina albo wieprzowina.

- Ja chcę hot dog! - Bethany podskoczyła jej na kolanach. - Z mnóstwem keczupu.

Kiedy szły w stronę stoiska z hot dogami, przez głowę Heather przemknął obraz Bethany na scenie w niebieskiej sukience z olbrzymią plamą keczupu z przodu.

- Z tym keczupem to może przystopujmy.

- Powinnaś spróbować kielbaski king size - powiedziała Fidelia.

- Nie jestem aż tak głodna.

- Skarbie, kto mówi o jedzeniu? - Niania mrugnęła. Heather prychnęła i pokręciła głową.

- No to spróbuj kielbaski we francuskiej bułeczce. Heather się roześmiała.

- Tak, za długo już jestem na diecie niskowęglowodanowej.

- Patrzcie! Troskliwy Miś! - Bethany wskazała wielkiego żółtego misia na wystawie przy stoisku z grami. - Mogę no dostać?

- Spróbuję.

Heather wyciągnęła zwitek dolarów z kieszeni dzinsów. Kupiła pięć kul za pięć dolarów. Cztery razy udało jej się trafić w butelki z mlekiem, ale się nie przewróciły.

- To oszustwo - mruknęła Fidelia.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Heather westchnęła. - Ale przynajmniej w zbożnym celu.

Kolejnych pięć dolarów później butelki z mlekiem wciąż stały. Mężczyzna wręczył jej małego zielonego niedźwiadka.

- Obawiam się, że to wszystko, co mamy. - Heather oddała misia córeczce.

- Bardzo dobrze. To misiowe dziecko. - Bethany kołysała misia w ramionach. Kiedy odchodziły, obejrzała się tęsknie na wielką żółtą niedźwiedzią mamę.

Zamówiły hot dogi i usiadły na ławce pod ogromnym tłem. Fidelia droczyła się z Heather na temat tego, ile to jest piętnaście centymetrów, Heather zaś w tym czasie przyglądała się zebranym. Było wśród nich kilku siwowłosych mężczyzn z laseczką, ale znała ich z kościoła.

Słońce schowało się za horyzontem. Zapaliły się uliczne latarnie otaczające park z trzech stron. Każde stoisko było oświetlone, altanka zaś skrzyła się od migoczących białych lampek. Jedyne nad rzeką było ciemno. Miejsce było wyludnione, jeśli nie liczyć kilkorga nastolatków kradnących sobie pocałunki. Większość mieszkańców tłoczyła się wokół stoisk, śmiejąc się i wydając pieniądze.

Uczniowie liceum zgromadzili się wokół beczki, próbując bez powodzenia zmoczyć Coacha Guntera. Trener ich prowokował, jego gromki głos niósł się po parku.

Fidelia wciąż nie uporała się ze swoim hot dogiem w rozmiarze XXL, Heather zostawiła więc z nią Bethany, żeby kupić córeczce watę cukrową. Na nieszczęście stoisko z watą znajdowało się na wprost beczki.

- No dalej, mięczaki! - wołał Coach do dzieciaków. - Kto chce mnie zmoczyć?

- Jesteśmy już bez kasy, Coach - odparł jeden z nich.

- Wy leniwce, obiboki! Znajdźcie sobie jakąś pracę! - wrzasnął trener.

- Dzień dobry, pani Westfield! - zawołało kilku uczniów.

- Hej, pani W! - krzyknął Coach. - Chodź się zabawić!

Uczniowie zarżeli. Heather jęknęła w duchu i odwróciła się tyłem do beczki, stając w kolejce po watę. Czasami miasteczko wydawało się naprawdę za małe.

- Mam cię. - Głęboki głos z miękkim akcentem sprawił, że serce jej podskoczyło. Odwróciła się i zobaczyła, że Jean-Luc stoi tuż za nią.

Rozdział 10

Och, udało ci się. - Heather zrugala się w duchu za to, że w jej głosie slychać było zbytne podniecenie. - Ja... Jesteś głodny?

- Już jadłem. - Odwrócił się do Robby'ego, który zdecydował się dziś na czarne dzinsy zamiast kiltu. - Damy sobie radę.
- W takim razie sprawdzę okolicę. Dobranoc, pani Westfield. - Skłonił głowę i odmaszerował.

Heather zauważyła, jak mocno koszulka Robby'ego była opięta na szerokiej piersi. Z całą pewnością nie miał ukrytej żadnej broni.

- Bez mieczy? - szepnęła.
- Ma sztylet przypięty do łydki - odszepnął Jean-Luc. -A ja mam to. - Postukał w ziemię mahoniową laską. -W środku jest szpada.

Heather zauważyła ozdobną mosiężną rączkę.

- Wygląda na zabytek. - Czy właściciel był nim również?

Jean-Luc przyjrzał się otaczającym ich ludziom.

- Zbyt elegancko się ubrałem.

Heather się uśmiechnęła. Jego szare spodnie były bardzo szykowne, a niebieska frakowa koszula pasowała do oczu.

- Jeśli o mnie chodzi, wyglądasz bardzo dobrze.
- Proszę pani - przerwał im sprzedawca. - Pani kolej.
- Och! - Była zbyt zaabsorbowana, żeby zauważyć, że kolejka się przesunęła. - Poproszę jedną różową watę na patyku. -

Zerknęła na Jeana-Luca, szukając w kieszeni pieniędzy. - Chyba że ty też chcesz.

- Nie, dziękuję. Pozwól, proszę. - Wyciągnął pięciodolarowy banknot z portfela i wręczył sprzedawcy.

- Dziękuję. - Heather zmarszczyła brwi, biorąc watę. Nie była pewna, czy chce, żeby za nią płacił.

Jean-Luc machnął ręką na resztę, którą próbował mu wręczyć sprzedawca, i uśmiechnął się do niej.

- To na wyposażenie placu zabaw, *non*?

-Tak - Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Był hojny dla przedszkolaków. Nie powinna doszukiwać się w tym niczego więcej.

- Czyżby to był twój przyjaciel?! - ryknął Coach. Heather się skrzywiła.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Jean-Luc zerknął na trenera.

- Kim jest ten człowiek? Co to za urządzenie?

- To beczka z wodą do podtapiania.

- Ach, rozumiem. - Jean-Luc pokiwał głową. - Jeśli nie utonie, jest wiedźmą.

- Nie, po prostu podłą kreaturą. To taka gra. - Wiedźmą? Zapachniało średniowieczem. Kolejny dowód na słusność teorii nieśmiertelności. Heather wskazała gestem ławkę, gdzie siedziały Fidelia z Bethany. - Czekają na nas.

- Dzień dobry, pani W. - pozdrowił ją jeden z chłopców grających w szkolnej drużynie.

- Cześć, Tyler. - Złapała Jeana-Luca za rękę, ale ten się nie poruszył.

- O rany! - Dziewczyna Tylera spojrzała na Jeana-Luca i pokazała Heather uniesiony kciuk. - Niezła sztuka, pani Westfield.

- Dzięki - mruknęła Heather, ciągnąc Jeana-Luca za rękę. To miasteczko naprawdę było za małe.

Jean-Luc pochylił się do niej.

- Znasz tych wszystkich ludzi?

- To uczniowie. Uczę ich historii. A poza tym Schni-tzelberg jest na tyle mały, że wszyscy się tu znają.

- Heather! - zaryczał Coach. - Skąd wytrzasnęłaś tego miastowego lalusia?

Jean-Luc zeszywniał.

- To o mnie?

- Nie zwracaj na niego uwagi - poprosiła Heather. - Ja tak robię. Nieustannie.

Echarpe przyjrzał się uważnie trenerowi, po czym odwrócił się do Heather i popatrzył na nią nieufnie.

- Wszyscy mężczyźni w tym mieście cię pragną. Roześmiała się.

- Tak, jasne. Za każdym razem, kiedy przechodzę obok domu starców, wśród pensjonariuszy dochodzi do przypadków zatrzymania akcji serca.

Otaksował ją wzrokiem.

- W to akurat nie wątpię.

Oszalała? Miała na sobie znoszone niebieskie dzinsowe szorty, a popołudniowe słońce spiekło jej skórę tak, że teraz była niemalże w kolorze różowego topu, który włożyła do kompletu. Niesforne kosmyki wydostały się z kucyka i wiły wokół czoła i

karku. Wyglądała nieporządnie, tymczasem Jean-Luc patrzył na nią tak, jakby była równie słodka jak wata, którą trzymała w dłoni.

- Hej, ty tam! Miastowy lalusi! - zawołał Coach. - Założę się, że nie uda ci się mnie zmoczyć.

Jean-Luc odwrócił się do beczki, mrużąc oczy.

- No co, nie pokażesz, na co cię stać?! - krzyknął Coach. Dzieciaki zarżały.

- O chłopie, ale cię wkręca - mruknął Tyler. Jean-Luc poruszył szczęką.

Heather szarpnęła go za rękę.

- Chodźmy.

- On mnie obraża - oznajmił Jean-Luc. - Powiniennem wyzwać go na pojedynek.

- Co takiego? - Ciekawe, czy mówił serio. Wciąż mają pojedynki we Francji? - Masz na myśli strzelanie do siebie z pistoletów o świcie?

- Zawsze wołałem białą broń. - Ruszył w stronę beczki.

- Poczekaj! - Heather pobiegła za nim. - Nie mówisz poważnie.

Zatrzymał się. Kąciki jego ust się wygięły.

Nie martw się, *chérie*. Już się nie pojedynkuje.

-Och, to dobrze. - Już?

-Ale ten mężczyzna wyraźnie rzucił mi wyzwanie, a ja muszę bronić swojego honoru.

-To bardzo proste. - Heather wskazała na kupkę kul na kontuarze. - Po prostu kup kilka kul i go zmocz.

Jean-Luc zerknął na ladę.

-To dużo prostsze niż zabicie go.

-Owszem. - Nie mogła uwierzyć, że prowadzi tę rozmowę.

Jean-Luc uśmiechnął się powoli, oczy mu zabłyśły. Dobry Boże, czyżby się z nią droczył? Na policzki wypełził jej rumieniec.

- Zaraz go zmoczę. - Rzucił na kontuar dziesięciodolarowy banknot i dostał dwie kule.

- Oho! W końcu się zdecydowałeś, tak? - prowokował go Coach. Ściągnął koszulkę i odrzucił ją na bok. - Spójrz, Heather, wciąż jestem suchy. - Naprężył mięśnie, pokazując potężne bicepsy.

Trach! Pierwsza kula rzucona przez Jeana-Luca trafiła w cel, przesuwając go o trzydzieści centymetrów. Żerdź, na której siedział Coach, ustąpiła i trener wpadł do beczki z wodą.

Uczniowie byli zachwyceni. Coach chlapał i prychał. Woda w beczce miała tylko półtora metra, ale zważywszy na wzrost trenera, było to jak otchłań bez dna.

- Sprawiedliwości stało się zadość. - Tyler klepnął Jeana-Luca w plecy.

- Racja - zgodził się inny chłopak z drużyny.

- Stary, to jest jak... karma, wiesz? - powiedział Tyler. - Trener zawsze każe mi biegać, póki się nie porzygam.

Coach wdrapał się na drabinę. Króciutko przycięte włosy przylegały mu do kwadratowej czaszki, a z kapielówek kapą.

- Wielkie rzeczy, palancie! Trafiło się ślepej kurze ziarno. - Popchnął siedzisko, żeby się upewnić, że zapadka znalazła się na miejscu, i usiadł na nim z powrotem. - Nigdy nie uda ci się tego po...

Trzask! Trener znowu wylądował w wodzie. Oszalali uczniowie zaczęli skakać. Dwie czirliderki urządziły mały pokaz.

- Chłopie, jesteś niesamowity! - Tyler podniósł dłoń, żeby przybić piątkę.

Jean-Luc również podniósł dłoń, a kiedy go w nią uderzono, wyglądał na nieco zdziwionego.

- Próbowaliśmy zmoczyć Coacha od wieków. - Dziewczyna Tylera starała się przekrzyczeć hałas. - Ale to strasznie drogie i nie mieliśmy już kasy.

- Rozumiem. - Jean-Luc wręczył Tylerowi zwitek dwu-dziesięciodolarówek. - Powiniście próbować dalej.

- Chłopie, jesteś w porzo gość! - Tyler odwrócił się do pozostałych, wymachując banknotami. - Kule dla wszystkich. Dzięki nowemu chłopakowi pani W.

Heather się skrzywiła. Teraz całe miasteczko będzie myślało, że to prawda.

Zachwyceni uczniowie uznali Jeana-Luca za najrów-niejszego gościa w okolicy. Wszyscy ustawili się w kolejce po kule.

Coach obrzucił zadowolonego Echarpe'a wściekłym spojrzeniem i z powrotem usiadł na swojej żerdzi.

- Ty draniu!

Jean-Luc się uśmiechnął.

- Zdaje się, że nie mam tu już nic więcej do roboty. - Ujął Heather za rękę.

Poprowadziła go w stronę ławki, na której siedziały Bethany i Fidelia.

- Wiesz, że jesteś teraz bohaterem? Pokiwał głową, nie przestając się uśmiechać.

Czy to jest maik? Podążyła za jego wzrokiem.

- Nie, to zwykły maszt.

- A, no tak. W końcu to sierpień. Czy w Teksasie zawsze jest tak gorąco?

- Latem? Tak. A lato trwa tutaj jakieś osiem miesięcy. Jęknęła w duchu, gdy zobaczyła, że Billy zmierza w ich kierunku. Miał na sobie mundur, a w ustach jak zwykle wykałaczkę.

Zatrzymał się na wprost Heather i obrzucił Jeana-Luca obojętnym spojrzeniem.

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności.
- Dlaczego? Nic złego nie zrobiłam. Billy zmarszczył brwi.
- Chcesz, żebym rozmawiał o twoim byłym mężu przy tym obcym?

Heather skrzywiła się, przypominając sobie dziwne zachowanie Cody'ego poprzedniego wieczoru.

- Co takiego zrobił?
- Musiałem go wczoraj przymknąć. Bełkotał jak idiota i twierdził, że jest karaluchem. Dziś rano wydawał się w porządku, więc go puściłem. Mówi, że nic nie pamięta.

Heather pokiwała głową, zmartwiona. Jak mogłaby zostawić z nim teraz Bethany?

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś. Billy wypluł wykalaczkę na ziemię.
- Zdaje się, że to małżeństwo z tobą doprowadziło go do szaleństwa.

Au. Heather ledwo zdążyła zarejestrować zranienie, gdy zorientowała się, że za chwilę może się pojawić poważniejszy problem. Jean-Luc stanął przed nią z rękami zaciśniętymi na lasce.

- Proszę nie obrażać honoru tej pani - powiedział głosem łagodnym, ale śmiertelnie poważnym.

Billy założył kciuki za pasek obok kabury z pistoletem.

- Grozi pan przedstawicielowi prawa?
- Wystarczy. - Heather wyminęła Jeana-Luca i obrzuciła Billy'ego gniewnym wzrokiem. - Wiesz, że Sasha jest w mieście? Była u mnie wczoraj w nocy. Wielka szkoda, że się minęliście.

Twarz Billy'ego pobladła.

- Jest tutaj? Wróciła?

Heather miała ochotę przyłożyć mu w szczękę.

- Po południu pojechała do San Antonio. Ale wróci. Będzie brała udział w pokazie na cele dobroczynne w sklepie Jeana za dwa tygodnie.

Billy pokiwał głową.

- Super. Przyjdę.
- A teraz wybacznij nam. - Chwyła Jeana-Luca za ramię, żeby się jak najszybciej oddalić, i pociągnęła go w stronę ławki, na której czekały Fidelia z Bethany. Dołączyła do nich Emma i Bethany nie przestawała do niej mówić.
- Jesteś zmartwiona z powodu szeryfa i wcale nie chodzi o tę zniewagę - szepnął Jean-Luc.

- To długa historia - burknęła Heather. Jean-Luc się zatrzymał.
- Lubię twoje historie.

Spojrzała w jego niebieskie niczym niebo oczy i jej gniew gdzieś zniknął.

- To stara rana. Nie powinnam się nią przejmować.
- Sama mówiłaś, że emocjonalne rany goją się najdłużej.

Pamiętał, co mówiła. Niesamowite!

- Matka chciała, żebym zerwała z Billym, bo miał wstąpić do policji. Kiedy to zrobiłam, powiedział, że chodził ze mną tylko po to, żeby być bliżej Sashy.
- A to drań. - Jean-Luc odwrócił się, żeby obrzucić gniewnym spojrzeniem oddalającą się postać szeryfa. -

Mimo to podejrzewam, że zależy mu na tobie bardziej, niż ci się wydaje. Jestem pewien, że się wkurzył, kiedy cię zobaczył w moim towarzystwie.

- Może. Ale ja jestem zawsze druga w kolejności. Jeśli tylko uzna, że Sasha jest do wzięcia, zaraz o mnie zapomni. -

Poprowadziła Jeana-Luca do córki.

Bethany była właśnie w środku opowieści o tym, w jaki sposób stała się właścicielką misia.

- To jest niedźwiedziątko, ale tak naprawdę chciałam dużego żółtego misia. Ciocia Fee powiedziała, że specjalnie tak to urządzili, żeby nikt nie mógł go dostać.
- To prawda, skarbie. - Fidelia pogłaskała ją po głowie. - Twoja mama robiła, co mogła.

Heather wręczyła córeczce watek cukrowy z westchnieniem.

- Proszę bardzo, kochanie.
- Pychota! - Bethany rozciągnęła usta w uśmiechu, wpychając sobie różowe kłaki do ust.

Heather uznała, że wpadka z żółtym misiem została jej wybaczona.

- Dziękuję, że przysłaś, Emmo.
- Jestem szczęśliwa, że mogę pomóc. - Zerknęła na Jeana-Luca. - Jakiś problem z szeryfem?

Echarpe przestąpił z nogi na nogę.

- Eee... problem z owadem. Emma uniosła brew.
- Z karaluchem?
- Tak się martwię. - Heather kiwnęła głową w stronę Bethany. - Nie wiem, czy to bezpieczne, żeby pozwolić mu się nią zajmować.
- Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. - Emma spojrzała znacząco na Jeana-Luca. - Może ty mógłbyś dodać Heather trochę otuchy?

Czyżby coś wiedział na ten temat? Heather popatrzyła na Emmę, a potem na Jeana-Luca. Między tymi dwójkiem wisiało coś niewypowiedzianego.

Jean-Luc potarł czoło.

- Heather, czy moglibyśmy porozmawiać na osobności...

- Doskonały pomysł! - Fidelia wskazała na rzekę. -Dlaczego nie wybierzecie się na spacer? Świetnie damy sobie radę same.

- Mrugnęła do Heather.

Heather spojrzała na nią spode łba. Fidelia nie mogła być mniej subtelna.

- Za dziesięć minut muszę zaprowadzić Bethany do altanki na występ.

- My się tym zajmiemy - oświadczyła Emma. - Wydwójcie możecie iść.

To był spisek. Jean-Luc ujął ją pod łokieć i poprowadził w ciemny koniec parku. W tym pozbawionym ludzi i latarni zakątku powietrze wydawało się chłodniejsze. Zamiast gwaru zgromadzonych na kiermaszu słychać było głosy świerszczy.

Heather założyła niesforne kosmyki za ucho.

- Na końcu tej ścieżki jest ławka z widokiem na rzekę.

- Tak, widzę. Zajęta.

- Naprawdę? - Zmrużyła oczy, ale wciąż nie mogła nic dostrzec. Może powinna pójść do lekarza? - Masz naprawdę dobry wzrok.

- Tak. - Zeszli ze ścieżki między dwa rzędy drzew pekanowych. - Rozumiem, że martwisz się o bezpieczeństwo córki.

Boisz się zostawić ją z ojcem?

- Boję. To do Cody'ego niepodobne. Zawsze był taki... normalny. To znaczy całkowicie przewidywalny, w pewnym sensie nudny. Miał wszystko starannie zaplanowane, zawsze w dziesięciu krokach, i nigdy nie zbaczał z ustalonej drogi.

- W dziesięciu krokach? - Jean-Luc sprawiał wrażenie rozbawionego. - A co gdyby jakaś rzecz wymagała tylko dziewięciu kroków.

- To byłby koniec świata. - Heather wybuchnęła śmiechem. - Naprawdę. Dziesięć kroków, żeby wypastować buty. Dziesięć kroków, żeby wypatroszyć rybę. Dziesięć kroków, żeby skosić trawnik. Jedyne wyjątkiem stanowił seks. - Ups. Skrzywiła się. To nie powinno być jej się wysnąć. Zbyt łatwo jej się gadało z Jeanem-Lukiem.

- No jasne. Tu potrzeba znacznie więcej kroków. Znow się skrzywiła. Lepiej trzymać buzię na kłódce.

- Ilu kroków potrzebował w tym wypadku? Rozejrzała się dokoła, mimo że niewiele było widać.

- Wygląda na to, że w tym roku drzewa pekanowe wyjątkowo obrodziły.

Jean-Luc zatrzymał się i mocniej ścisnął ją za łokieć, tak że Heather też musiała przystanąć.

- Ilu kroków potrzebował, żeby uprawiać miłość? Wypuściła powietrze.

- Trzy. I wołałabym nie rozmawiać na ten temat.

- Trzy? Jak to możliwe? Zacisnęła zęby.

- Rozwiodłam się z nim, gdybyś nie wiedział.

- To nie miłość. - Zagniewany Jean-Luc zniżył głos. -To... obrzydlistwo.

Cofnęła się o krok.

- Było minęło. Nie przejmuj się tak.

- Ale to znaczy, że najwyraźniej wcale nie zależało mu na tym, żeby dać ci rozkosz, a to przecież główny cel uprawiania miłości. Mężczyzna nie może czuć się usatysfakcjonowany, jeśli jego partnerka nie została zaspokojona.

Heather zgarnęła włosy z karku. Temperatura musiała wzrosnąć o jakieś dziesięć stopni.

- Miłość wymaga setek kroków - oznajmił Jean-Luc. - Nawet do pocałunku prowadzi co najmniej dziesięć.

Heather prychnęła.

- Nie wydaje mi się. Usta się spotykają, usta się rozłączają. To tylko dwa kroki.

- Bez języczka?

- Och, racja. Przecież jesteś Francuzem. W porządku. Usta się spotykają, języczek, usta się rozłączają. Trzy kroki.

Jean-Luc westchnął.

- Nigdy cię odpowiednio nie całowano.

- Słucham? Całuję się już od dwunastu lat.

- Ja znacznie dłużej. Założyła ręce.

- Tego akurat się domyśliłam. Przysunął się bliżej.

- Żeby się odpowiednio pocałować, potrzeba dziesięciu kroków.

- A nieodpowiednio? - Jęknęła w duchu. Panna mą-dralińska. Sama się prosiła o kłopoty.

Jego zęby zaświeciły na białą, kiedy się uśmiechnął.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. - Upuścił laskę na ziemię i przysunął się jeszcze bliżej. - Powinniśmy zrobić test.

Rozdział 11

Jean-Luc był zachwycony obrotem, jaki przyjęła rozmowa. Od chwili, gdy zobaczył Heather, chciał jej dotknąć. Długie gołe nogi sprawiały, że cierpiał katusze. Widok różowej skóry zaczerwienionej od przepływającej krwi przyprawiał jego wampirze komórki nerwowe o wrzenie.

Mon Dieu, w dodatku wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni w miasteczku jej pragnęli. Jakżeby zresztą mogło być inaczej. Szorty opinały najsłodsze pośladki. Koszulka przylegała do pełnych piersi i opadała na gibką kibić. Miał ochotę zębami zerwać z niej ubranie.

Jak dotąd jednak udało mu się tylko wynegocjować pocałunek.

Emma zrugowała go telepatycznie za to, że przysporzył Heather zmartwień, i nalegała, żeby wytłumaczył zachowanie Cody'ego. Zamierzał to zrobić, nie miał jednak pomysłu, jak wyjaśnić fakt, że wprowadził byłego męża Heather w hipnotyczny trans, nie prowokując przy tym zbyt wielu niepotrzebnych pytań. Ale pocałunek - tak dodawać otuchy to on mógł! A dziesięć kroków to łatwizna.

Dotknął jej loków i ujął jedwabne pasmo w dwa palce.

- Krok pierwszy to narodziny idei. Wzruszyła ramionami.
- To oczywiste.

- Ale ma zasadnicze znaczenie. Uważam, że ten pierwszy krok jest bardzo podniecający.

Musnął jej kark, opierając palce na arterii szyjnej. Krew pulsowała mocno i szybko. W przeciwieństwie do wcześniejszej nonszalanckiej pozy Heather była teraz podniecona tak jak on.

- Nasze usta nie powinny się spotkać tylko przypadkowo. - Uważnie przyjrzał się jej wargom. - Wolałbym najpierw wyobrazić sobie, jakie będą w dotyku, jak będą smakowały. A moje pragnienie powinno rosnąć, dopóki całkowicie mną nie zawładnie. Każda moja myśl, każdy oddech powinien koncentrować się na tym, że muszę cię pocałować.

Jej usta rozchyliły się nieznacznie, oddech przyspieszył.

- To... dobry początek. Uśmiechnął się.

- Krok drugi to świadomość. Jesteś już teraz świadoma mojego pożądania.

- W porządku. - Oblizła wargi.

- Ach, zrobiłaś krok numer trzy. Otworzyła szerzej oczy.

- Naprawdę?

- Tak. Krok trzeci to twoja odpowiedź. Świadoma mojego pożądania odpowiedziałaś zaproszeniem.

Przechyliła głowę, marszcząc brwi.

- Nie wydaje mi się.

- Powiedziałaś „tak”, kiedy oblizowałaś usta.

- Nieprawda. To zbyt daleko idące przypuszczenie. - Znów oblizła usta, po czym się skrzywiła. - Nie zwracaj na to uwagi.

To mimowolny odruch.

- Nie sądzę. Twoje ciało na mnie reaguje. - Przysunął się bliżej. - Krzyczy: tak, weź mnie.

- W twoich snach. - Cofnęła się, krzyżując ręce na piersi. - Całkowicie się kontroluję.

- Do czasu.

Spojrzała na niego wojowniczo.

- Przy którym kroku jesteś?

- Przy trzecim. Twoje ciało wysłało zaproszenie. Krok czwarty: moje ciało odpowiada.

- I w tym punkcie jesteśmy istotami całkowicie bezmó-zgimi, tak?

Jean-Luc się roześmiał.

- Normalnie to byłaby kwestia sekund i nie dałbym ci czasu, żebyś się sprzeciwiała wszystkiemu, co powiem. Ale z jakichś dziwnych powodów twój sprzeciw bardzo mi się podoba.

- Och. - Usta Heather drgnęły. - To bardzo miłe z twojej strony.

- Bardzo proszę. Krok czwarty, odpowiadam na twoje zaproszenie. Zbliżam się, żeby cię pocałować. - Przysunął się jeszcze i objął ręką jej kark.

- Wciąż nie powiedziałam „tak”.

- Dlatego czekam. Krok piąty to twoja zgoda. Nawet tak bystry mózg jak twój musi się z tym zgodzić. Jeśli mężczyzna pominie ten krok, ryzykuje, że obrazi swoją damę i straci ją na zawsze.

- Mogłabym odejść - wyszeptala Heather.

- Tak, mogłabyś. - Pochylił się jeszcze bliżej, tak że znajdował się teraz zaledwie kilka centymetrów od jej warg. - Ale wiem, że tego chcesz. A ty nie chciałabyś mi złamać serca.

- Nie możesz wywoływać we mnie poczucia winy, to nie fair.

Pogładził ją po szyi.

- Potrafię być bezwzględny, jeśli czegoś chcę.

- A ja potrafię być niedostępna. - Mimo to przechyliła głowę, żeby ułatwić mu pieszczotę.

- Proszę bardzo, *cherie*. Rzucaj mi kłody pod nogi. - Uśmiechnął się, bo jedną kłodę już miał. Między nogami. Obrysował palcami kontur jej szczęki. - Im więcej przeszkód, tym słodsze zwycięstwo. Bo się poddasz. Chcesz tego pocałunku.

Zadrżała.

- A co z tobą? Też go chcesz czy po prostu zależy ci na tym, żeby dowieść, że miałeś rację co do dziesięciu kroków.

Delikatnie ujął ją za ramiona.

- Nie obchodzi mnie, ilu kroków potrzeba. Liczy się tylko twoje szczęście.

Westchnęła.

- Jak to możliwe, że zawsze mówisz właśnie to, co trzeba?

- Bo mam wrażenie, jakbym cię znał. Jakbym znał twoje serce. Jest takie... bardzo przypomina moje.

- Jean-Luc - szepnęła. Dotknął włosów na jej skroni.

Przysunął się jeszcze bliżej i oparł czoło na jej czole.

- Krok szósty to akceptacja. Wiemy, że dojdzie do pocałunku.

- Mów za siebie.

- Kobieto - warknął. - Wciąż mi się sprzeciwiasz. Roześmiała się.

- Wiem. To takie zabawne. Czuję się taka... twarda. Całkowite przeciwieństwo starej wycieraczki. To nowa ja.

Uśmiechając się, dotknął jej policzka.

- Podobasz mi się w tym nowym wydaniu. Jesteś piękna, silna i... podniecająca.

Uniosła ręce i zarzuciła mu je na szyję.

- Masz kłopoty, kolego. Jeśli się pocałujemy, to będzie tylko siedem kroków.

- Ale z samym pocałunkiem wiąże się wiele kroków i będę nalegał, żebyśmy przeszli przez wszystkie. Smakowanie, dotykanie, skubanie, ssanie, jęczyczek, uderzanie zębami o zęby...

- W porządku! - Mocniej ścisnęła go za kark. - To do dzieła.

Serce mu zamarło. Poddawała się. Krew napłynęła mu do krocza. Jego oczy pewnie świeciły teraz na czerwono. Przymknął powieki, mając nadzieję, że Heather tego nie zauważy.

- Krok siódmy, pocałunek testowy. - Delikatnie przycisnął wargi do jej warg.

Jej zamknięte oczy drgnęły.

- Zdaliśmy?

- O tak.

Musnął wargami jej policzek i w drodze powrotnej do ust obsypał go pocałunkami. Rozchyliła miękkie, wilgotne wargi. Jej ciało wychyliło się ku niemu.

Tym razem pocałował ją namiętnie, sprawił, że usta Heather zaczęły się poruszać razem z jego ustami. Była miękka, uległa, smakowita. Otoczył jej kibić jedną ręką i przyciągnął mocno do siebie. Gwałtownie wciągnęła powietrze, jej oddech wymieszał się z jego oddechem. Bez wątpienia poczuła jego erekcję, napór członka na jej brzuch.

Zintensyfikował pocałunek, badając językiem wnętrze jej ust. Smakowała musztardą i piklami, nowocześnie, po amerykańsku, dla niego jednak był to smak obcy i egzotyczny. Pociągnęła koniuszkiem języka po jego języku, wydając przy tym szorstki, głęboki, gardłowy pomruk.

Palcami zagłębiła się w jego loki, przyciągając go bliżej.

- A to który krok? - wydyszała mu w usta. Oparł się czołem o jej czoło.

- Nie pamiętam.

Powinien się wycofać. Jego erekcja powoli stawała się torturą nie do zniesienia. Niedługo eksploduje.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Zapach jej krwi go zniewolił, usidlił. Łomot serca Heather przeniknął mu do kości. Boże dopomóż, nie potrafił się zatrzymać.

Z pomrukiem kapitulacji chwycił ją za małżowinę i zaczął ssać. Jęk, jaki z siebie wydała, rozszedł się po całym jego ciele. Miał wrażenie, że również jęknął w odpowiedzi, ale nie był pewien. Nie potrafił już odróżnić łomotu jej serca od swego, jej odgłosów rozkoszy od własnych. Stopili się w jedno. Chciał być w niej. Chciał być jej częścią.

Chwycił ją dłońmi za pośladki i mocno do siebie przyciągnął. Wypuściła gwałtownie powietrze i zacisnęła ręce na jego ramionach. Potarł nosem jej arterię szyjną, pozwalając, żeby zapach krwi Heather wypełnił mu głowę. Poczł mrowienie w dziąsłach. Chwycił jej pupę i przycisnął do nabrzmiałego członka.

- *Mon Dieu*, pragnę cię.

Przechylił głowę do tyłu, próbując odzyskać nad sobą kontrolę. Nie mógł pozwolić, żeby wyszły mu kły. Ani żeby członek mu eksplodował. Spróbował przebić się przez mgłę pożądania. Nie mógł jej tutaj osiąść. Gdyby się teleportował, w ciągu kilku sekund miałby ją w swojej sypialni, ale raczej trudno założyć, że nie zauważyłaby zmiany scenerii.

Gwiazdy nad głową mrugały kpiąco, śmiejąc się, że tyle czasu obywatel się bez kobiety. Tylko że nie chodziło po prostu o kobietę. To była Heather. Stała na palcach, żeby złożyć pocałunek na jego szyi. Była słodka i szlachetna. Ścisnął ją za pupę. Może zaprosi go do domu, do swojej sypialni. Tak, to dobry plan. Kiedy Bethany zaśnie, wślizgnie się do sypialni Heather i będą się kochali całą noc.

Gdzieś w oddali usłyszał anielskie pienia, słodkie i niewinne. Serce poszybowało mu w górę. Może tym razem się uda. Może tym razem znajdzie prawdziwą, nieprzemijającą miłość. Mógłby zabić Luiego i zdobyć serce Heather. Po raz pierwszy w życiu miałby rodzinę.

Nagle zorientował się w swojej pomyłce. Anielskie pienia były prawdziwe. Heather, pozbawiona jego zdolności, prawdopodobnie ich nie słyszała.

Złapał ją za ramiona.

- Heather, dzieci zaczęły śpiewać.

W oszołomionych oczach pojawił się jasny błysk.

- O mój Boże! - Odepchnęła go. - To straszne!

Heather wystrzeliła w kierunku altany tak szybko, jak tylko mogła. Dobry Boże, spóźni się. Trzylatki właśnie opuszczały scenę i w szeregu ustawiały się czterolatki. Zauważyła dwa puste krzesła w pierwszym rzędzie obok Fidelii i Emmy. Dzięki Bogu, że zajęły miejsca dla niej i dla Jeana-Luca.

Zaraz wszystko będzie dobrze. Zwolniła, żeby odzyskać oddech. Jean-Luc zatrzymał się też ani trochę niezdzyszany.

I właśnie wtedy matka Cody'ego z jakąś inną kobietą opadły na dwa wolne miejsca, ignorując protesty Fidelii.

- O nie! - Heather łapała tlen, przepatrując szeregi krzeseł, które sama rozstawiła. Wszystkie miejsca w pierwszym rzędzie były zajęte. - To okropne! Powiedziałam jej, że usiądę z przodu. Będzie szukała, a mnie tam nie będzie. - W jej głosie dało się słyszeć wzrastającą panikę.

- Ćśś! - Starsza pani w ostatnim rzędzie odwróciła się, żeby ich uciszyć.

Heather z trudem odzyskiwała oddech. Boże, wpadła w popłoch. Jak mogła do czegoś takiego dopuścić? Jak mogła się aż tak zapomnieć, całując z facetem, którego znała zaledwie kilka dni? Co z niej za matka?

- Znajdę jakieś wolne krzesło i ustawię w pierwszym rzędzie - zaproponował Jean-Luc.

- Za późno.

Serce Heather zamarło. Bethany stała na scenie, przyglądając się ludziom siedzącym w pierwszym rzędzie. Rozciągnęła usta w uśmiechu i zamachała do Fidelii i Emmy. A potem na jej twarzy pojawił się wyraz dezorientacji i niepokoju.

Heather wyciągnęła wysoko rękę, żeby pomachać córeczce, ale Bethany jej nie zauważyła. Spoglądała na pierwszy rząd i malujące się na jej twarzy rozczarowanie sprawiło, że Heather zakłuło w sercu. Panna Cindy dała znać i dzieci zaczęły śpiewać pierwszą piosenkę, ale Bethany do nich nie dołączyła. Szukając mamy, w ogóle nie zwracała uwagi na pannę Cindy.

Heather zaczęła skakać, wymachując w powietrzu obiema rękami. Bethany dostrzegła ją i jej twarz natychmiast się rozjaśniła. Heather przesłała córeczce pocałunek, dziewczynka zaś uśmiechnęła się i dołączyła do chóru.

Heather zrobiła głęboki wdech i zamrugła, żeby powstrzymać łzy ulgi.

- W porządku. - Odwróciła się do Jeana-Luca. Echarpe'a nigdzie nie było.

Do diabła! Jak mógł tak zniknąć? Czyżby poczuł się zawstydzony tym, że przez niego spóźniła się na występ Bethany? Zalała ją nagła fala poczucia winy. Nie tylko on ponosił za to odpowiedzialność. Ona sama ochoczo wzięła w tym udział i dała się całkowicie pochłonąć pocałunkowi.

Dobry Boże, co to był za pocałunek. Policzki Heather zapłonęły. Ten drań... Wspomniał, że może ją pozbawić kontroli nad sobą, i tak się właśnie stało. Nie chciała nawet myśleć, jak daleko mogłaby się posunąć, gdyby jej nie powstrzymał.

I gdzie jest teraz? Czyżby miał w zwyczaju uwodzić kobiety, a potem je zostawiać? I czy nie miał jej ochraniać?

Pierwsza piosenka dobiegła końca i Heather zaczęła klaskać, rozglądając się dokoła. Robby stał spory kawałek dalej, częściowo ukryty wśród sosen. Skinął jej głową, gdy prześliznęła się po nim wzrokiem. Podniosła rękę w geście pozdrowienia, po czym odwróciła się z powrotem, żeby oglądać występ córeczki. Dzieci zaczęły śpiewać „Boże, błogosław Amerykę”, co zwykle spotykało się z aplauzem zgromadzonych.

- Może to pomoże - szepnął Jean-Luc.

Podskoczyła. Dobry Boże, ten facet poruszał się naprawdę bezszelestnie. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, czując nagły przypływ niechęci do tego mężczyzny, który wtargnął w jej życie i zakłócił delikatną, wypracowaną z tak wielkim trudem równowagę.

Wzrok Heather ześliznął się na to, co Jean-Luc trzymał w ramionach, i cała jej niechęć stopniała. Pojawiło się zagrożenie powodzią, bo jej serce też zaczęło się topić.

Bez słów Jean-Luc wręczył jej ogromnego żółtego Troskliwego Misia. Objęła miękkie futerko, przyciskając maskotkę do piersi. Nie wiedziała, czy wygrał ją, czy kupił, ale wiedziała, że to najmilszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Wypatrzyła śmiejącą się i podskakującą Bethany na scenie. Oczy zaszyły jej łzami. Jean-Luc rozumiał, ile znaczyła dla niej córeczka. Rozumiał miłość. Taki człowiek zdarza się raz na milion. Naprawdę coraz bardziej ją pociągał.

Ale ze względu na swoje nieudane związki musiała być ostrożna. Musiałaby być realistką. Znajomość Jeanem-Lukiem ' była bez przyszłości. Ten cudowny mężczyzna miał tajemnice, którymi nie chciał się z nią podzielić. Dla dobra własnego serca nie mogła

pozwolić, żeby to, co pojawiło się po między nimi, rozwijało się dalej. Zachowa swoje uczucia dla siebie, zapieczętowane jak torebka z nasionami, żeby nie mogły zapuścić korzeni i wyrosnąć.

Mimo to dobrze było wiedzieć, że wciąż na świecie są dobrzy mężczyźni. I dobrze było wiedzieć, że jej stosunki, z córeczką pozostały równie czułe, jak zawsze. Po wszystkich tych wstrząsach, na jakie była narażona w ciągu ostatnich kilku lat, nauczyła się, że najpewniejszym sposobem, żeby zachować siłę, jest policzyć wszystkie błogosławieństwa, które ją spotkały. Tak też zrobiła. Życie było dobre.

Zamknęła oczy, opierając brodę na wielkiej głowie misia, i wsłuchiwała się w słodkie dziecięce głosiki. Miała wrażenie, że wszystko na świecie znalazło się na swoim miejscu. Mogła cieszyć się tą chwilą, póki trwała.

Piosenka dobiegła końca i publiczność zaczęła wiwatować.

Heather otworzyła oczy. - Dziękuję.

Odwróciła się do Jeana-Luca, ale znowu zniknął. No cóż. Westchnęła. Wiedziała, że to nie przetrwa. Ten facet był inny. Może nieśmiertelny. Albo coś gorszego.

Wypatrzyła go obok Robby'ego. Stał pogrążony w rozmowie ze swoim strażnikiem i tym drugim Szkotem, Angusem MacKayem, który najwyraźniej powrócił z Nowego Jorku. Było tam jeszcze trzech innych facetów w cieniu sosen. Nastolatek w tartanowym kilcie i dwóch wysokich młodych mężczyzn w spodniach khaki i granatowych koszulkach polo. Jeden był biały, drugi czarny. Wszyscy wyglądali na zmartwionych.

Heather zmarszczyła brwi. Ci faceci bez dwóch zdań mieli swoje sekrety. Trzymali się w cieniu, a mimo to głowy zgromadzonej publiczności zaczęły się odwracać w ich stronę. W miasteczku zawsze zauważano obcych.

Gdy przedstawienie się skończyło, Bethany zbiegła po schodkach do Fidelii i Emmy. Heather zaczęła się przeciskać do przodu. Ponieważ większość osób wychodziła, poruszała się pod prąd.

Nagle na rynku, w budynku ochotniczej straży pożarnej, włączył się alarm. Kilku mężczyzn wybiegło z parku. Ludzie zaczęli zbierać się w małe grupki, snując najrozsądniejsze przypuszczenia. Heather lawirowała między nimi, próbując przedostać się do córki. Nie minęła minuta, gdy rozległ się ryk jedyne w miasteczku wozu strażackiego. Ponieważ wszyscy mieszkańcy na nich patrzyli, strażacy uwinęli się w rekordowym tempie.

Heather dotarła w końcu do córeczki i ją uściskała.

Bethany z piskiem chwyciła misia.

- Mamo, udało ci się! Masz misia! - Przytuliła go z całych sił. - Widziałas, jak śpiewałam?

- No pewnie. Byłaś cudowna. - Heather uśmiechnęła się do Fidelii i Emmy. - Dziękuję, że się nią zajęłyście.

Ruszyły za tłumem. Emma podeszła do Heather.

- Gdzie jest Jean-Luc? Powinien cię ochraniać.

- Tam. - Heather wskazała sosnowy zagajnik, w którym zgromadzili się mężczyźni. - Rozmawia z jakimiś facetami. Twój mąż też tam jest.

- Angus wrócił? Chodźmy. - Pomaszerowała w stronę mężczyzn, a tymczasem Jean-Luc podszedł do Heather, Bethany i Fidelii.

Emma objęła męża, on zaś zaczął coś niecierpliwie do niej szeptać.

Heather zauważyła, że Jean-Luc wygląda na zmartwionego.

- Stało się coś złego?

- Kłopoty. - Przejechał ręką po swoich czarnych lokach. - Pamiętasz mojego przyjaciela Romana Draganesti z Nowego Jorku?

Heather przełknęła z trudem, przypominając sobie przystojnego mężczyznę, jego żonę Shannę i ich zachwycające dziecko.

- Co się stało?

- Co niedziela chodzą na mszę w Romatechu. Roman zbudował tam kaplicę i msza zaczyna się zawsze o jedenastej. Myślimy, że bomba musiała wybuchnąć za wcześnie. Dzięki Bogu.

- Bomba?

- *Oui*. Na szczęście nikt nie został poważnie ranny. Ale gdyby do wybuchu doszło, kiedy kaplica była pełna... - Jean-Luc skrzywił się i głos mu się załamał. - Stracilibyśmy ich wszystkich.

Heather wzdrygnęła się na myśl o tym, że ta urocza rodzina mogła zostać zabita.

- Kto mógł coś takiego zrobić? - Nagłe podejrzenie przyprawiło ją o wstrząs. - Czyżby Louie? Wziął na celownik wszystkich twoich przyjaciół?

- Wiemy, kto to zrobił, i nie był to Lui - wyjaśniła Emma, dołączając do nich. - Co za okropna noc.

- *Aye*. - Podszedł Angus. - Jednego wieczoru cztery bomby. Pierwsza w domu Zoltana Czakovara w Budapeszcie. Stracił dwóch czł... przyjaciół.

- Straszne! - Heather była ciekawa, kto to taki ten Zoltan. W Budapeszcie? Czyżby wszyscy należeli do tajnego zgromadzenia nieśmiertelnych?

- Zamek Jeana-Luca we Francji też stał się celem ataku - ciągnął Angus. - Nikt nie został ranny, ale słyszałem, że zniszczenia są znaczne.

- Masz zamek? - spytała Heather Jeana-Luca. Wzruszył ramionami.

- Teraz już tylko połowę.

Zagniewany Angus objął ramieniem Emmę.

- W naszym zamku w Szkocji też podłożono bombę.
- Przynajmniej nikt nie zginął. - Emma starała się dodać mu otuchy. - Możemy go odbudować.
- *Aye*. - Angus wciąż miał gniewną minę. - Zdaje się, że Casimir wziął na cel wszystkich, którzy pomogli Emmie i mnie na Ukrainie.
- Kim jest Casimir? - spytała Heather. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że Louie wymienił to imię tego wieczoru, gdy zaatakował Jeana-Luca.
- To on opłacił Lui, żeby mnie zabił. - Echarpe potwierdził jej przypuszczenia. - Choć idę o zakład, że Lui nie miałby nic przeciwko, żeby zrobić to za darmo.
- Heather pokręciła głową.
- Nie rozumiem. Wydajecie się wszyscy całkiem miłymi ludźmi. Dlaczego ci pomyłeńcy chcą was zabić?
- Jean-Luc, Angus i Emma wymienili między sobą spojrzenia.
- Jesteś pewien, że Romanowi i jego rodzinie nic się nie stało? - zmienił temat Jean-Luc.
- Są cali i zdrowi - odparł Angus. - Connor chce, żeby pozostali w ukryciu. Roman początkowo się opierał, twierdząc, że to tchórzostwo, ale w końcu posłuchał głosu rozsądku. Nie możemy pozwolić, żeby coś się stało Shannie albo Constantine'owi.
- Jean-Luc pokiwał głową.
- Dokąd pójdą?
- Connor nie chce tego nikomu zdradzić. Ma rację. Emma i ja wybieramy się do Europy Wschodniej, żeby wytropić Casimira. Gdyby nas złapali... No cóż, nie chcemy wiedzieć więcej niż to konieczne.
- Heather się skrzywiła. To brzmiało jak wojna. Na twarzy Emmy pojawiło się zdecydowanie.
- Musimy się rozprawić z Casimirem raz na zawsze.
- Jadę z wami. - Jean-Luc chwycił laskę w obie ręce.
- *Nay*. Twoje miejsce jest tutaj. - Angus zerknął na Heather.
- Zesztywniała.
- Same możemy się o siebie zatroszczyć.
- Wzrok Jeana-Luca powędrował od Heather do Bethany i Fidelii.
- *Non*. Angus ma rację. Ja muszę zostać tutaj.
- Casimir i Lui wiedzą, że jesteś w Teksasie - ostrzegł go Angus. - Jesteś więc narażony na atak. Ale ponieważ Connor zabiera dziś w nocy Romana, mam kilku dodatkowych wolnych ludzi. - Wskazał ręką na grupkę stojącą obok Robby'ego. - To Ian, Phineas i Phil. Przybyli ci pomóc.
- *Merci*. - Jean-Luc dotknął ramienia Heather. - Mamy teraz mnóstwo strażników. Ty i twoja rodzina będziecie bezpieczne.
- Dziękuję. - Zadrżała, zastanawiając się, co jeszcze może się wydarzyć.
- Heather! - Jej uwagę przykuł okrzyk dobiegający z oddali. Billy zmierzał w ich kierunku energicznym krokiem. Minę miał ponurą.
- W jego krótkofalówce zatrzeszczało coś niezrozumiale, przyciszył więc dzwonek.
- Heather, mam złe wieści. Ktoś podłożył ogień pod twój dom.

Rozdział 12

Niech piekło pochłonie tego Luięgo! Jean-Luc nie miał wątpliwości, że to ten drań wzniecił pożar. Przerazona twarz Heather stała mu cały czas przed oczami, gdy jechał do jej płonącego domu. Chciał ją tam zawieźć, ale szeryf nalegał, żeby zabrała się z nim. Usadowił się więc na fotelu pasażera w swoim bmw, a Robby prowadził. I choć Echarpe był w domu Heather tylko dwa razy, miał poczucie straty. To, co czuła Heather, musiało być tysiąc razy gorsze.

Jej cierpienie bolało go bardziej niż utrata połowy zamku we Francji. Kupił go trzydzieści lat temu, żeby móc udawać, że pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny. Ale prawda była taka, że nigdy nie miał rodziny, a sterta zimnych kamieni nie była w stanie zapewnić mu ciepła, o które zabiegał.

Gdy przejeżdżali przez niewielką dzielnicę przemysłową Schnitzelbergu, zauważył kilka zamkniętych na glucho starych budynków.

- Tutaj mogą być kamienne piwnice.
- *Aye* - odparł Robby. - Powinniśmy je później sprawdzić.
- Myślicie, że Lui mógł się tu ukryć? - spytał Ian z tylnego siedzenia. - Angus trochę nam o nim opowiedział.
- Tak. Paskudny typ - dodał Phineas MacKinney. - Zdaje się, że przez niego pożegnały się z życiem wszystkie twoje poprzednie panie, co?

Jean-Luc przesunął się, żeby zerknąć do tyłu. Znał Iana od wieków. Wampir może i wyglądał na piętnastolatka, ale był dużo starszy. Angus przemienił go po bitwie pod Solway Mos w 1542 roku. Obok Iana siedział wysoki czarny mężczyzna o zupełnie niepasującym do niego nazwisku MacKinney.

- Miło mi poznać. Jestem Jean-Luc Echarpe.

- Ja się nazywam Phineas, ale możesz mi mówić Doktor Phang.

- Dziękuję, że zechciałeś nam pomóc. - Odwrócił się do trzeciego mężczyzny na tylnym siedzeniu. - A ty jesteś jednym z dziennych strażników Romana.

Phil pokiwał głową.

- Skoro Roman i Connor się zabrali, nie zostało mi wiele do roboty. - Uśmiechnął się. - A ktoś się musiał zająć wami.

- Spoko gościu z ciebie - stwierdził Phineas. Jean-Luc się z nim zgodził. Trudno było znaleźć godnego zaufania śmiertelnika. Dla Malkontentów ludzie śmiertelni byli niczym bydło - żywili się nimi albo ich zabijali. Zanim Roman wynalazł syntetyczną krew, wampiry też żywiły się ludźmi, ale nigdy nie były mordercami. W rzeczywistości próbowały chronić śmiertelników przed Malkontentami. W czasie wielkiej wampirzej wojny w 1710 roku zabiły setki tych ostatnich.

Teraz jednak Casimir, przywódca Malkontentów, zamieniał w wampiry złodziei i morderców, żeby powiększyć szeregi swojej plugawej armii. Ich celem było starcie dobrych wampirów z powierzchni Ziemi i sterroryzowanie ludzi śmiertelnych.

W 1710 roku Angus był wampirzym generałem, a Jean--Luc drugim w kolejności dowodzącym. Angus zawsze szukał rekrutów do szeregów dobrych wampirów. Jeszcze trudniej było znaleźć godnych zaufania śmiertelników. Tylko garstka ludzi była gotowa ryzykować życie, żeby chronić nieumarłych. Phil był jednym z niewielu.

- Dziękuję, że zechciałeś tu przybyć - powiedział Jean--Luc.

- Nie ma sprawy. Ale wracam samolotem. - Spojrzał na łana nieufnie. - Nie znoszę się z tobą teleportować na doczepkę. Jestem pewien, że któregoś dnia zmaterializuję się z głową tyłem naprzód, łan zachichotał.

- Angus zawsze zagłada pod kilt, żeby się upewnić, że nie zgubił niczego ważnego.

Robby chrząknął, wjeżdżając na ulicę Heather.

- Myślisz, że to Lui podłożył ogień?

- Tak. - Jean-Luc chwycił mosiężną rączkę laski. - Kiedy zaatakował dwa dni temu, zwołałem Heather po imieniu i on to usłyszał. Była stosunkowo bezpieczna, póki nie odkrył, jak ma na nazwisko i gdzie mieszka. Ten ogień to jego sposób, żeby oznajmić, że wie już wszystko.

- Dlaczego nie zaatakował jej na kiermaszu? - spytał Phil.

- Lubi się bawić w kotka i myszkę. Przeciąga polowanie, żeby zadać mi ból. - Jean-Luc poczuł nagły przypływ poczucia winy, gdy zobaczył wóz strażacki przed domem Heather.

Na ulicy zebrał się spory tłumek. Radiowóz szeryfa, zaparkowany po drugiej stronie, oświetlał całą scenę migającymi światłami. Nowiny tak pochłonęły Heather, że nie protestowała, kiedy Billy zaciągnął ją do swojego wozu.

Angus poprosił o kluczyki do jej samochodu, żeby przywieźć Bethany i **Fidelię**. Oszołomiona wręczyła mu je, o nic nie pytając. Szkot dokładnie sprawdził, czy w jej wozie nie ma żadnych materiałów wybuchowych, zanim pozwolił Emmie, Bethany i niani wsiąść do środka.

Robby zwolnił, gdy zbliżyli się do tłumu gapiów.

- Pani Westfield nie może zostać w domu.

- Wiem. - Jean-Luc skinął głową. - Muszę ją przekonać, żeby się przeniosła do mnie. W tej chwili to jedyne miejsce, gdzie może być bezpieczna.

Robby zaparkował za wozem szeryfa. Wysiadając, Jean--Luc zlustrował wzrokiem scenę. Powietrze było gęste od zapachu zwęglonego drewna, ale nigdzie nie było widać płomieni. Strażacy zdążyli już ugasić pożar.

Postukując laską, przyglądał się uważnie gapiom. Lui wciąż mógł się gdzieś tu czaić.

- Od frontu dom wygląda w porządku - zauważył Robby. - To musiał być niewielki pożar.

Jean-Luc pokiwał głową.

- Nie chodziło o zniszczenie. To miała być tylko wiadomość.

Angus zaparkował małego pikapa Heather za bmw. Wysypały się z niego stłoczone w środku Emma, Fidelia i Bethany. Przestraszone malujące się na twarzy czterolatki był dla Jeana-Luca niczym cios w brzuch.

Szkot pomaszzerował do swoich pracowników - Rob-by'ego, łana, Phineasa i Phila.

- Sprawdźcie teren. Gdyby Lui wciągnął was w potyczkę, wołajcie o wsparcie.

Strażnicy rozeszli się w ciszy.

Angus podszedł do Jeana-Luca i wręczył mu kluczyki od wozu Heather.

- Emma i ja się zbieramy. Za późno już, żeby się teleportować do Budapesztu, ale przeniesiemy się do Nowego Jorku i stamtąd jutro wyruszymy na wschód.

- Rozumiem. - Jean-Luc schował kluczyki do kieszeni. Wiedział, jakie ryzyko wiąże się z podróżą na wschód. Gdyby wampiry teleportowały się w światło słońca, mogłyby się usmażyć. - Mam nadzieję, że znajdziecie Casimira.

- Musimy go zabić, zanim wybuchnie kolejna wojna. Serce Jeana-Luca ścisnął niepokój. Znał Angusa, odkąd w 1513 roku Roman przemienił ich obu. Angus z Romanem stali się dla niego braćmi, których nigdy nie miał. Gdyby ich stracił, byłby naprawdę samotny.

- Uważaj na siebie, *mon ami*.

- Ty też. - Szkot oparł dłoń na ramieniu przyjaciela. - Zawsze podziwiałem cię w bitwie. Rzucasz się w bój silny i nieustraszony. - Zerknął na dom Heather. - Tak samo powinieneś żyć. Zaslugujesz na szczęście.

Jean-Luc zrozumiał to, co nie zostało powiedziane, i pokiwał głową. Angus akceptował Heather. Pytanie tylko, czy Heather zaakceptuje Jeana-Luca.

- Niech cię Bóg prowadzi.
- I ciebie też.

Wielki Szkot odwrócił się szybko. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył łzy w jego oczach. Chwył Emmę za rękę i ruszyli przed siebie.

Jean-Luc wiedział, że teleportują się, gdy tylko znajdą jakieś ustronne miejsce. Małeńka dłoń owinęła się wokół jego palców. Kiedy popatrzył w dół, zobaczył, że to Bethany złapała go za rękę. W drugiej trzymała żółtego misia, którego wygrał. Gdy jedną po drugiej rozwalił trzy piramidy butelek mleka, sprzedawca ochoczo wręczył mu niedźwiadka, żeby uchronić resztę zapasów przed zniszczeniem.

- Strasznie dużo tu ludzi. Nic nie widzę - szepnęła dziewczynka. - Czy mój dom wciąż tam jest?
- Tak i od frontu wygląda całkiem dobrze. Ogień już ugaszono.

Dolna warga dziecka zadrżała.

- Chcę do mamusi. Ja też chcę, pomyślał.
- Poszukamy jej. - Poprowadził Bethany przez tłum.
- Jak pan myśli, kto podłożył ogień? - spytała idąca obok Fidelia. - Czy to ten podły facet, Louie?
- Tak podejrzewam.
- Powinnam była zostać w domu. Gdybym go przyłapała, naszpikowałabym go ołowiem. - Poklepała swoją torebkę.

Uelliany przystanąła i szarpnęła Jeana-Luca za rękę.

- Nie chcę, żeby moim lalkom stała się krzywda. Ścisnęło mu się gardło, kiedy zobaczył łzy płynące po jej policzkach. Przykucnął przed małą.

- Jeśli którąś straciłaś, to znajdziemy coś na jej miejsce.

Jej oczy miały taki sam odcień zieleni jak oczy jej matki. Tylko że o ile oczy Heather płonęły gniewem, błyszczały wesołością albo twardniały od podejrzeń, oczy Bethany po prostu rozszerzały się z niepokoju i patrzyły na niego wyczekująco. Gdzieś głęboko Jean-Luc poczuł, że jego serce odpowiada. Czy tak właśnie czuje się ojciec? *Mon Dieu*, nigdy nie przypuszczał, że przytrafi mu się coś takiego. To było... przedziwne.

Zawsze myślał, że rodzicielstwo sprowadza się do ochrony i wypełniania obowiązku. Nie spodziewał się równie silnej fali... czułości. Nie był pewien, czy mu się to podoba. Czuł się przez to tak cholernie bezbronny. Gdyby coś złego spotkało tę małą, jak mógłby dalej żyć?

- Wszystko będzie dobrze. - Otarł kciukiem jej łzy, mając nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco.

Wyprostował się i poprowadził ją przez tłum.

- Mama! - Bethany wyrwała się i pobiegła w lewo. Zielony niedźwiadek wypadł jej z kieszeni na ulicę.

Heather stała kilkanaście metrów dalej, rozmawiając z szeryfem. Odwróciła się, słysząc głos córki, pochyliła i otworzyła ramiona.

- Mamo, czy moim zabawkom nic się nie stało? - Bethany skoczyła w jej objęcia.

Heather wyprostowała się, trzymając córkę w ramionach.

- Są całe i zdrowe, kochanie. Ogień nie dotarł do twojego pokoju.

Spotkała spojrzenie Jeana-Luca i uciekła wzrokiem.

Skrzywił się, widząc ból w jej oczach. Podniósł małego misia i podszedł do nich.

- Tak mi przykro.
- Dlaczego? - Billy obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. - Czyżby miał pan z tym coś wspólnego?
- Oczywiście, że nie - wpadła mu w słowo Heather. - Był z nami na kermaszu.
- Mógł komuś zapłacić - mruknął Billy. - Ma jakieś ukryte zamiary, mówię ci.
- Ja swoje ukryte zamiary mam tutaj - warknęła Fidelia, przyciskając torebkę do piersi.
- Jak bardzo ucierpiał dom? - Jean-Luc wręczył niani zielonego misia.

- Miałyśmy szczęście. - Heather postawiła córeczkę na jezdni. - Straciłyśmy tylko kuchnię. Tato powiększył ją, kiedy byłam mała, więc z tyłu wystawała przybudówka. W większości spłonęła, ale główna część domu jest nienaruszona.

- Dobrze, że masz takich wścibskich sąsiadów. - Billy wskazał dom po prawej. - Thelma zauważyła obcego czającego się na tyłach posesji Heather. Akurat dzwoniła pod 911, kiedy pojawił się ogień.

Jean-Luc nie miał wątpliwości, że obcym był Lui.

- Opisała tego mężczyznę?
- Dlaczego to pana tak interesuje, panie Sharp? - Billy popatrzył na niego spode łba. - Czyżby to był ktoś, kogo pan zna?

Jean-Luc zacisnął zęby.

- Nigdy nie pozwoliłbym, żeby Heather albo jej rodzinie stała się krzywda.
- No cóż, ktoś jednak chciał ją skrzywdzić - warknął Billy. - Masz wrogów, Heather? Jacyś inni przyjaciele?
- Nie.
- Wkurzeni uczniowie?
- Nie.

Billy zakołysał się na obcasach.

- Podejrzewam, że to mógł być twój były. Cody ostatnio naprawdę dziwnie się zachowuje.

Heather przyciągnęła do siebie córeczkę i rzuciła Billy'emu gniewne spojrzenie.

- To nie pora, żeby roztrząsać ten temat.
- Na razie dom zostanie zamknięty. Nikt nie wejdzie do środka.

Na twarzy Heather odmalowało się zaskoczenie.

- Ale nasze ubrania...
- Nikt nie wejdzie do środka - powtórzył Billy. - Nie mogę pozwolić, żebyście majdrowali na miejscu przestępstwa.
- To śmieszne - sprzeciwiła się. - Do przestępstwa doszło w kuchni. Możemy wejść przez frontowe drzwi i pójść prosto na górę, do naszych sypialni.
- Chcę moje zabawki. - Bethany rozpląkała się, tuląc ogromnego żółtego misia.

Billy wycelował w Heather palec.

- Nie wejdiesz do środka. Koniec dyskusji. Policzki Heather poczerwieniały ze złości.
- Nie martw się - pocieszył ją Jean-Luc. - Postaram się, żebyś miała wszystko, czego będziesz potrzebowała.

Spojrzała na niego poirytowana.

- Nie mogę cię narażać na podobne wydatki. - Przeniosła wzrok na Billy'ego. - Jak szybko będziemy mogli wrócić?

Wzruszył ramionami.

- To może potrwać kilka tygodni. Albo miesięcy. Postawię na ulicy funkcjonariusza. Będzie pilnował, żeby nikt nie wszedł do środka i nie zabrał twoich rzeczy. Masz gdzie się zatrzymać?

Westchnęła.

- Coś wymyślę.

- Zatrzymają się u mnie - oznajmił Jean-Luc. - Mam pokój gościny, z którego mogą korzystać.

Oczy Billy'ego się zwęziły.

- Czy przypadkiem nie pan jest właścicielem tego nowego sklepu na obrzeżach?
- Tak. Le Chique Echarpe.
- Jak zwał, tak zwał - mruknął Billy. - Więc ten sklep jest również pańskim mieszkaniem, prawda?
- W tej chwili tak.
- Proszę nam na moment wybaczyć. - Billy mocno złapał Heather za rękę i odciągnął ją na bok.

Jean-Luc oparł dłoń na ramieniu Bethany, żeby dziewczynka nie pobiegła za mamą. Odwrócił się w stronę domu, do jego uszu dotarł jednak szept szeryfa.

- Nie wiem dlaczego, ale ten facet się za tobą ugania, Heather. Mógł podłożyć ogień, chcąc zmusić cię, żebyś z nim zamieszkała.
- Nie zrobiłby tego - zaprotestowała Heather.

- Skąd wiesz? Jak długo go znasz? Westchnęła.
- Od piątku.
- I zamierzasz z nim zamieszkać? Nie sądziłem, że jesteś taka głupia.

Jean-Luc ścisnął mosiężną główkę laski. Miał dość. Ruszył w ich stronę.

- Naprawdę mu ufasz? - spytał Billy.

Echarpe zastygł w bezruchu, czekając na odpowiedź Heather.

- Tak - szepnęła. - Ufam mu.

To właśnie spodziewał się usłyszeć, a mimo to jej słowa były dla niego niczym fala uderzeniowa. Odwróciła się i napotkała jego wzrok. Niepewny uśmiech błąkał się w kącikach jej ust, ale w oczach wciąż czaiła się rezerwa. Mogła powiedzieć, że mu ufa, Jean-Luc jednak wyraźnie widział, że nie jest to dla niej łatwe. Musi postępować ostrożnie. Jeśli Heather za szybko odkryje o nim prawdę, może ją stracić.

Było w niej coś niezwykłego. Nie miał pewności, co to dokładnie jest, może chodziło o kombinację różnych cech. Miała piękną twarz i włosy, ale w pracy często spotykał urodziwe kobiety. Na widok jej ciała ciekła mu ślinka. Miał ochotę zająć się nim centymetr po centymetrze.

Ale jego uczucia sięgały dalej niż zwykłe pożądanie. Podobał mu się sposób, w jaki mówiła, drogi, którymi podążały jej myśli, podobało mu się jej poczucie humoru i współczujące serce. Najzwyczajniej w świecie ją lubił. To było takie proste, a mimo to tak głębokie.

- Pojedziesz do mnie? - spytał.

Zajrzała mu głęboko w oczy i twarz jej złagodniała.

- Tak. Daj mi tylko chwilę.

Billy złapał Heather za rękę i zrobił niezadowoloną minę, kiedy mu się wyrwała.

- Wpadnę jutro, żeby się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku. - Posłał Jeanowi-Lucowi ostrzegawcze spojrzenie.
- Będzie ze mną bezpieczna. - Echarpe dotknął jej ramienia. Na szczęście się nie odsunęła.

Billy odwrócił się i pomaszerował przez trawnik przed domem Heather. Krzyknął do funkcjonariusza, żeby przyniósł taśmę.

- Nie mogę uwierzyć, że to się stało - wyszeptala Heather, gdy zaczęli odgradzać wejście na ganek. - Nie mamy żadnych ubrań.

- Masz szczęście. Ja je szyję. Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Masz jakieś designerskie fatalaszki, które pasowałyby na mnie albo na Bethany? Albo na **Fidelię**?

Zerknął na starszą panią. Była niemal tak szeroka jak wysoka.

- Mam jakieś designerskie prześcieradła. Heather przewróciła oczami.

- Model „toga” straci na atrakcyjności w kilka dni. Najlepiej będzie, jak wskoczę po drodze do sklepu dyskontowego i kupię trochę rzeczy. Na szczęście jest całodobowy.

Skrzywił się.

- Wolałbym, żebyś miała coś ładnego.

- W tej chwili stać mnie tylko na dyskont.

- Nie pozwolę ci płacić. - Wskazał ręką na dom. - Ja jestem za to odpowiedzialny.

- Nie ty podłożyłeś ogień.

- Wiem, kto to zrobił. Otworzyła szeroko oczy.

- Jesteś pewien, że to on?

- Tak. W ten chory sposób Lui oznajmił, że zna twoją tożsamość.

Nim zdążyła odzyskać nad sobą kontrolę, przez jej twarz przemknął wyraz paniki.

- Tego się obawiałam.

- A więc zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Następnym razem Lui spróbuje czegoś gorszego.

- Dlatego jestem na tyle zdesperowana, żeby się do ciebie wprowadzić.

- Myślałem, że mi ufasz. Spojrzała na niego z irytacją.

- A mam jakiś wybór? Zabolalo.

- Heather, możesz mi zaufać. Obiecuję, że ty i twoja córka będziecie bezpieczne.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Chcę ci ufać. Myślę, że ci ufam, ale wszystko dzieje się tak szybko. Ten miś, którego wygrałeś dla mojej córeczki... to naprawdę bardzo miłe. Może nawet najmilsza rzecz, jaka mnie spotkała ze strony mężczyzny.

Dziękuję. - Przyniósł się bliżej. - Pocałunek też był nie najgorszy.

Na policzkach wykwitły jej rumieńce. Uciekła wzrokiem.

- Zwykle nie... Nie wiem, co...

Uniósł jej podbródek. Podniosła wzrok na wysokość jego brody i tam się zatrzymała.

- Musisz mi coś obiecać. Spojrzała mu w oczy.

- Co takiego?

- Że nigdy nie wyjdiesz ze sklepu bez ochrony. To dotyczy też Fidelii i Bethany. Cały czas ktoś musi z wami być.

- W porządku.

- I bez wahania musicie wypełniać moje polecenia. Cofnęła się.

- Nikomu nie pozwolę sobą dyrygować.

- Nie zamierzam tobą dyrygować. Chcę, żebyś pozostała przy życiu.

Uniosła dłonie w obronnym geście.

- W porządku, nie będę się spierać.

- Dobrze. Kiedy Lui zaatakuje, nie będzie czasu na sprzeczki. Będziesz musiała zrobić, co powiem.

Zagryzła usta.

- Zamierzasz go zabić, prawda?

- Nie mam wyboru. Albo on, albo my. Zadrzała.

- Przynajmniej raz cieszę się, że Fidelia ma wszystkie te pistolety.

- Zabiorę cię teraz na zakupy. Mój samochód stoi tam. - Wskazał na bmw.

Zmarszczyła brwi.

- Potrzebujemy tylko kilku rzeczy. Jakies ubrania i parę książeczek do kolorowania, żeby Bethany miała zajęcie. Bez swoich zabawek może zacząć szaleć.

- Naprawdę?

- Widziałeś kiedyś czterolatkę, która nie ma nic do roboty. To nie jest przyjemny widok.

- Och. - Zerknął na dom teraz już całkowicie otoczony żółtą taśmą. Na schodku przed frontowymi drzwiami stał na straży funkcjonariusz. - Nie martw się, zajmę się tym.

- Jak?

- Zaufaj mi. - Wskazał na bmw. - Zaczekajcie w samochodzie. Nie jest zamknięty. Zaraz wracam.

- A co z moim autem. W środku została torebka.

- Mam kluczyki. Robby odstawi twój wóz do magazynu.

- W porządku.

Podeszła do Bethany i ją przytuliła. Kiedy rozmawiała z **Fidelia**, Jean-Luc wysłał telepatyczną wiadomość do Robby'ego, lana, Phineasa i Phila: „Spotkajmy się przy samochodzie Heather. Jeśli zobaczycie Phila, zabierzcie go ze sobą”. Nie wiedział, jak biegły był śmiertelny strażnik w odbieraniu tego typu przekazów.

Pierwszy pojawił się Robby. Jean-Luc wręczył mu kluczyki do wozu Heather i poinstruował, żeby odprowadził samochód pod studio. Po chwili dołączyli do nich Ian, Phineas i Phil.

- Żadnego śladu Luiego? - spytał Jean-Luc.

- *Nay* - odparł Ian. - Pomogłoby, gdybyśmy wiedzieli, jak wygląda.

- Nigdy nie widziałem, żeby dwa razy wyglądał tak samo. Choć potrafię rozpoznać jego głos. I oczy. Czarne z osobliwym błyskiem. Widać w nich nienawiść, ale jest tam też coś jeszcze, jakieś... szaleństwo.

- Czyli gościu jest psychiczny - stwierdził Phineas.

- I bardzo niebezpieczny - dodał Robby. Wskazał na tłum. - Ci tutaj to śmiertelnicy. Można wyczuć różnicę. Phil zachichotał.

- Uważasz, że cuchniemy?

Robby wyszczerzył zęby.

- Niektórzy mogliby tak twierdzić, ale nie ja. Moim zdaniem śmiertelnicy pachną... słodko.

Phil pokręcił głową.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby to był komplement. Phineas pociągnął nosem i spojrzał na Phila z ciekawością.

- Ty, brachu, pachniesz jakoś inaczej.

Uśmiech Phila przygasł i mężczyzna zerknął z niepokojem na Robby'ego. Jean-Luc zmarszczył brwi, wyczuwając coś niedopowiedzianego, ale nie było czasu, żeby o tym dyskutować. Poprosił Phila, żeby dołączył do nich podczas wyprawy do sklepu, reszcie zaś wyjawiał szczegóły tajnej misji.

- Możecie to zrobić?

- *Aye*, bułka z masłem - odparł Robby. - Zobaczymy się później.

Jean-Luc z ulgą stwierdził, że Heather i jej rodzina siedzą z tyłu bmw. Usadowił się za kierownicą. Phil zajął miejsce z przodu obok niego i odwrócił się do kobiet.

- Dzień dobry, jestem Phil Jones. Będę was pilnował w ciągu dnia.

- Miło mi pana poznać - mruknęła Heather.

- *Hola*, Felipe! - dziarsko zakrzyknęła Fidelia. Phil szybko odwrócił się z powrotem.

W sklepie poproszono go, żeby towarzyszył Fidelii, podczas gdy Jean-Luc asystował Heather i Bethany.

W dziale dziecięcym Heather wybrała kilka koszulek i krótkie spodenki z kosza z pięćdziesięcioprocentową przeceną. Im bardziej starała się być oszczędna, tym większą irytację czuł Jean-Luc. Wypatrzył najładniejszą sukienkę w sklepie i wrzucił ją do wózka.

- Ma ładne sukienki w domu - zaprotestowała Heather.

- Powiedziałaś, że nie będziesz się spierać.

Prychnęła.

- Tylko w sytuacji krańcowego niebezpieczeństwa.

- Czyli teraz też. Kiedy my tak tu sobie rozmawiamy, Lui może się ukrywać w dziale zabawek.

- Przekonajmy się. - Popchnęła wózek w tamtą stronę. Jedno kółko okropnie piszczało.

Jean-Luc szedł za nią z czujnym jak zwykle wzrokiem, postukując laską przy każdym kroku. Sklep sprawiał wrażenie wyludnionego.

Bethany podskakiwała obok mamy, ściskając żółtego misia. Nagle stanęła i oczy jej się rozszerzyły.

- Popatrz, mamo. Barbie z krokodylem.

Heather odwróciła się w drugą stronę, żeby wybrać kilka książeczek do kolorowania.

- Masz całe mnóstwo Barbie.

- Ale nie taką, która poluje na krokodyle. - Jean-Luc wrzucił lalkę do wózka.

- Tak! - Bethany zaczęła skakać do góry.

Heather odwróciła się gwałtownie i zagniewana spojrzała na Echarpe'a.

- Ta decyzja należała do mnie.

Miała rację, ale Jeana-Luca zaskoczyło, jak wielką przyjemność sprawiła mu tańcząca z radości Bethany. Zmarszczył brwi, przestępując z nogi na nogę.

- Spróbuję się powstrzymać. Usta Heather drgnęły.

- To aż takie trudne? Słowo daję, gdybyś miał dzieci, byłyby niemożliwie zepsute.

Serce Jeana-Luca na moment zamarło, a potem gwałtownie opadło aż do żołądka. Nie mógł mieć dzieci. W chwili między śmiercią a przemianą wampirze plemniki umierają. Każdego dnia o zachodzie słońca jego serce budzi się do życia, krew zaczyna krążyć w żyłach, a mózg odzyskuje świadomość. Ale plemniki pozostają martwe.

Koman jako błyskotliwy naukowiec znalazł sposób, żeby obejść te trudności. Usunął DNA ze spermy żywego dawcy i wprowadził własne. Shanna zdążyła już zajść w ciążę, kiedy odkrył problem. DNA wampirów różni się nieco od DNA śmiertelników. Żył więc w lęku o to, co zrobił Shannie, ona jednak po dziewięciu miesiącach urodziła zdrowego synka - bez kłóć i z apetytem na matczyne mleko.

Tak więc wstrząśnięty Jean-Luc uświadomił sobie, że mógłby mieć dzieci. Dzięki metodzie Romana mógłby zostać ojcem. Wbił wzrok w Heather, wyobrażając ją sobie w ciąży z jego potomkiem.

- Coś nie tak? - spytała.

- Nie, wszystko w porządku.

Ale to nie była prawda. Teraz, kiedy w jego umyśle zostało zasiane ziarno, nie potrafił go zignorować. Zazdrościł Romanowi kochającej żony i cudownego synka. Nigdy nie sądził, że sam mógłby mieć rodzinę. Zawsze na przeszkodzie stał Lui - czająca się w cieniu groźba. Ale fakt, że ostatnio nieprzyjaciel się ujawnił, mógł się jeszcze obrócić na dobre. Jean-Luc miał nareszcie szansę się go pozbyć. A to otwierało przed nim nowe możliwości.

- Masz dziwny wyraz twarzy. - Heather wrzuciła do wózka pudełko kredek. - Wydaje mi się, że jesteś zły.

- Jestem zły na Luięgo i zdecydowany, żeby się go pozbyć.

Heather popchnęła wózek w stronę działu z ubraniami dla kobiet.

- Będę szczęśliwa, kiedy wszystko wróci do normalności.

Do normalności? Tego właśnie chciała? Jego wizja przyszłości zaczęła blednąć. Jak miałby przekonać Heather, żeby poślubiła wampira i urodziła dziecko ze zmutowanym DNA? Zdaje się, że niezupełnie tak wygląda amerykański sen.

Zresztą czy naprawdę tego chciał? Heather bardzo go pociągała, ale czy to było prawdziwe uczucie, czy też tylko reakcja na niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźli? Czy faktycznie mógłby ją pokochać miłością, która przetrwałaby lata? Czy dałby radę zostać jej mężem? Czy dałby radę zostać mężem jakiegokolwiek śmiertelniczki? I czy miał prawo prosić Heather, by związała się z mężczyzną, który w ciągu dnia był martwy? Z pewnością zapewniłby im finansowe bezpieczeństwo, ale nie mógłby uczestniczyć w życiu codziennym rodziny.

A mimo to Roman i Shanna wydawali się bardzo szczęśliwi. Jean-Luc też tego chciał. Czy Heather była tą jedyną?

Zmarszczył brwi, patrząc, jak wybiera najtańsze rzeczy. No cóż, z pewnością nie musiałyby się obawiać, że puści go z torbami. Tylko że zasługiwała na więcej. Kiedy wrócą do magazynu, sam jej wybierze stroje.

- Będę potrzebowała czegoś specjalnego do pracy? - spytała.

- Nie. Przez cały dzień będziesz sama. Wyjąwszy Alberta i strażę.

Spojrzała na niego z zaciekawioną.

- A ty kiedy pracujesz?

- Nocą. Wciąż się nie przyzwyczałem do zmiany czasu. - Aż wzdrygnął się od tych kłamstw. - Nocami jestem bardziej twórczy. - To już prędzej było prawdą. W ciągu dnia nie był w stanie wypracować nawet uderzenia serca.

Zmarszczyła brwi, najwyraźniej skonsternowana takim grafiką. Albo raczej jego brakiem.

- A ile godzin tygodniowo mam pracować? Wzruszył ramionami.

- Nie kłopotz się tym. Zrozumiałbym, gdybyś w ogóle nie miała ochoty teraz pracować. Jeśli chcesz, możesz sobie wziąć tydzień wolnego, żeby odpocząć.

Ib bardzo mile z twojej strony, ale wolałabym raczej znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pokiwał głową.

- Naszym priorytetem jest twoje bezpieczeństwo. Drugą w kolejności sprawą jest powstrzymanie Luięgo. Wierz mi, świat mody przeżyje, jeśli przez jakiś czas będziemy nieobecni.

- Rozumiem.

Kiedy Heather odwróciła się, żeby przejrzeć kosz z dżinsami, Jean-Luc chwycił tani stanik, który wrzuciła do wózka, i szybko sprawdził rozmiar. Miseczka C. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Chichot Bethany go zdradził - Heather odwróciła się i zobaczyła, że trzyma jej stanik.

Uniosła do góry brwi.

- Jakiś problem?

Upuścił biustonosz do koszyka.

- *Non*. Rozkoszny rozmiar.

Na jej policzki wypełził rumieniec.

- Muszę stracić kilka kilogramów. Hm, właściwie prawie dziesięć.

- Heather...

- Nie mogłam zgubić ostatnich pięciu po porodzie...

- Heather, uważam...

- A potem przybyło mi jeszcze kilka, bo w czasie rozvodu stosowałam terapię czekoladą.

- Heather, uważam, że tak jak jest, jest doskonale. Teraz już cała twarz jej poczerwieniała.

- Takie tam gadanie.

- Naprawdę tak uważam.

- Ale projektujesz ubrania dla szczupłych modelek. Wzruszył ramionami.

- Bo takich ludzie się spodziewają na wybiegu. To nie znaczy, że sam preferuję podobne kształty. Podobasz mi się, Heather. Wydawało mi się, że jasno dałem ci to dziś do zrozumienia.

Wrzuciła dzinsy do wózka i odwróciła się w drugą stronę. Jean-Luc uświadomił sobie, że przyjmowanie komplementów sprawia jej trudność.

- Źle wymawiasz moje imię. I Bethany. Uśmiechnął się. Czyżby to było wyzwanie?
- Ty też źle wymawiasz moje imię.

- Tak, to prawda. - Dorzuciła prostą zieloną koszulkę. - Ale Jean-Luc bardziej mi się podoba niż Jean. Jean jest takie zwykłe. A Jean-Luc silne, seksowne i takie... kapitańskie.

Podobała mu się wzmianka o sile i seksowności.

- Jak to kapitańskie?
- Jak imię kapitana statku kosmicznego. Jesteś kapitan Jean-Luc. - Uśmiechnęła się z lekką kpina. - Nawykły do wydawania rozkazów.

- Wymawiasz je tak, jakby to było John-Luke.
- Ej, Sherlocku, przecież to właśnie twoje imię.
- Nie po francusku. Powinnaś je wymawiać tak jak Francuzi.
- Naprawdę? - Podparła się pod boki, przenosząc ciężar ciała na jedną nogę. - No to mnie oświeć.
- Jak sobie życzysz. - Przynął się bliżej. - Po pierwsze, w Jean nie wymawiamy „n”.
- Co za lenistwo. Uniósł brew.
- Litera „n” oznacza nosowe „a”. Jean. Spróbuj. Zmarszczyła nos i wydała z siebie najbardziej nosowe „a”, jakie kiedykolwiek słyszał.

- Było wystarczająco francusko? - Uśmiechnęła się uroczo.

Stłumił chichot.

- Jeszcze nie. Pozostała kwestia Luca.

- Luke.

- Non. Luc, z francuskim „u”.

- To była samogłoska czy właśnie wydałeś odgłos, jakbyś ssał cytrynę?

Roześmiał się.

- Teraz spróbuj ty.

- Nie mam pojęcia, jak wydobyć z siebie taki dziwny dźwięk.

Podszedł bliżej.

- To proste, *cherie*. - Uniósł jej podbródek. - Ściągnij wargi.

Zaczerwieniła się.

- Nie będę ściągać warg na środku sklepu. Przed córką.

- Czego się boisz? - Potarł kciukiem jej usta. - Myślałem, że mi ufasz.

Bethany zachichotała.

- Spróbuj, mamusiu!

Heather sapnęła i zrobiła krok do tyłu.

- To spisek.

Jean-Luc mrugnął do małej.

- Bethany to bardzo bystra dziewczynka.

- Właśnie! - Bethany zaczęła podskakiwać wokół nich, szeroko się uśmiechając.

Heather spojrzała gniewnie na Jeana-Luca.

- Ty naszych imion też nie wymawiasz poprawnie.

Wiedział, że nie wychodzi mu „th”. To był problem typowy, bo tego dźwięku nie ma we francuskim. Ale ponieważ nie mógł się oprzeć i chciał się podroczyć z Heather, powtórzył jej słowa:

- No to mnie oświeć.

- To naprawdę zupełnie proste. Patrz, jak ja to robię. Dotykam językiem czubka zębów, widzisz? - Zademonstrowała.

Przynął się bliżej i pochylił, żeby przyjrzeć się jej ustom.

- Widzę.

- Teraz ty spróbuj. Język dotyka czubka zębów. Wysunął język, szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie i dotknął koniuszkiem jej zębów.

- Aaa! - Odepchnęła go. - Twoich zębów, nie moich! Bethany dostała ataku śmiechu.

Jean-Luc cofnął się z miną niewiniątka.

- Zdaje się, że źle zrozumiałem.

- Tak, właśnie. - Popatrzyła na niego spode łba, ale usta jej drgnęły. Uciekła wzrokiem, uśmiechając się. - Jesteś niemożliwy.

Rozpromienił się.

- Ale wciąż mnie lubisz? Spojrzała na niego z irytacją.

- Tak. Muszę być niespełna rozumu. Bethany przytuliła żółtego misia.

- Ja też cię lubię.

Kojące ciepło rozlało się w piersi Jeana-Luca. Tu, w tym dyskontowym sklepie, w zapomnianym przez Boga miejscu tysiące kilometrów od wytwornego świata wielkiej mody przydarzyła mu się jedna z najpiękniejszych chwil w całym jego długim życiu.

Rozdział 13

Stojąc przed swoim nowym tymczasowym lokum, Heather pomyślała, że to miejsce przypomina raczej muzeum niż sklep. Kamienne greckie kolumny sięgały dwuspadowego dachu. Tuż przy ganku znajdował się znak, na którym śliczną kursywą wymalowano napis „Le Chi que Echarpe”. - Jaki duży - szepnęła Bethany.

- I drogi - dodała Fidelia. - Juan musi być bardzo bogaty.

- Nie Juan, tylko Jean... - Heather skrzywiła się, przypominając sobie sposób, w jaki Jean-Luc ćwiczył swoją wymowę.

Stał przed wejściem z laską w prawej ręce i rozmawiał z Philem i jeszcze innym mężczyzną ubranym tak jak Phil. Najwyraźniej spodnie khaki i granatowe koszulki polo stanowiły umundurowanie strażników. Obaj zniknęli w budynku, niosąc torby z zakupami zrobionymi w dyskoncie.

Jean-Luc zszedł po schodkach i zbliżył się do Heather, która czekała na kolistym podjeździe.

- Phil i Pierre zabrali rzeczy do twojego pokoju. - Rozejrzył się dokoła. - Będziecie bezpieczniejsze w środku, z włączonym systemem alarmowym.

- Pokażę ci nasze bezpieczeństwo. - Fidelia walnęła torebkę na maskę bmw i wyciągnęła glocka. - Jeśli Louie się pokaże, będę gotowa. Tylko gdzie się podział kluczyk do tej cholerniej blokady. - Zaczęła przekopywać torebkę.

- Pierre to drugi strażnik? - Heather nigdy nie była dobra w zapamiętywaniu imion, a w ciągu ostatnich dwóch dni poznała mnóstwo nowych osób.

- *Oui*. Dzienny. - Jean-Luc niecierpliwie zastukał laską w bruk. - Powinniśmy już iść.

- Widzę, że mamy towarzystwo - dobiegł ich od frontowych drzwi męski głos.

Heather odwróciła się i rozpoznała mówiącego. To był mężczyzna, z którym w piątek wieczorem Sasha poszła „porozmawiać”. Alberto Alberghini. Stał wciśnięty między dwie piękne modelki, o których plotkowała Sasha. Heather nie mogła sobie przypomnieć ich imion, ale zapamiętała pogłoski, jakie krążyły o nich i o Jeanie-Lucu. Dobrze, że przynajmniej obie wisiały na Albercie, nie na Echarpie. Mimo to, kiedy Włoch sprowadził je po schodkach na dół, życzyła im, żeby się potknęły o te swoje długie wieczorowe suknie.

Zazdrościca, zbeształa się w duchu. Co za brzydkie uczucie. Byłoby jej łatwiej, gdyby obie kobiety nie wydawały się takie cholernie nieskazitelne. Idealnie biała cera, perfekcyjny makijaż, ciała o doskonałych proporcjach. Razem inoże jeszcze bardziej zwracały uwagę, bo stanowiły swoje przeciwieństwa.

Jedna miała długie czarne włosy i ciemne oczy w kształcie migdałów. Była ubrana w czarną elegancką satynową suknię, która lśniła w świetle księżyca. Jasne włosy drugiej modelki opadały na plecy kaskadą loków. Oczy miała niemal przezroczyste, lodowato niebieskie, a skórę równie bladą jak jej biała, połyskująca suknia.

Czy to księżniczka? - wyszeptła Bethany.

Obie modelki zerknęły na dziewczynkę, ale ich idealne twarze pozostały bez wyrazu. Prześliznęły się wzrokiem po Heather i Fidelii i zatrzymały na Jeanie-Lucu.

Heather wiedziała, że została zlekceważona.

Jean-Luc wskazał na kobiety w czerni.

- To jest Simone. - Przesunął dłoń w stronę modelki w bieli. - A to Inga.

- Miło mi. Jestem Heather Westfield, a to moja córka Bethany.

- Aha! - Fidelia wyciągnęła kluczyk z torebki. Spojrzała na Ingę i przetarła oczy. - *Santa Maria*, dziewczyno, zjedz trochę tacos. I wyjdź na słońce. Wyglądasz jak szkielet.

Blondynka popatrzyła na nią obojętnie, po czym odwróciła wzrok.

Simone obrzuciła gniewnym spojrzeniem Jeana-Luca, w jej ciemnych oczach lśniła wściekłość.

- Są ciębie niegodne.

Jean-Luc nic nie odrzekł, tylko w odpowiedzi popatrzył na nią w skupieniu. Heather była ciekawa, ile czasu będzie trwał ten pojedynek. Bethany ziewnęła. Fidelia zaklęła po hiszpańsku, mocując się z blokadą przy pistolecie.

Wreszcie Simone spuściła wzrok. Skłoniła się lekko, jakby przyznawała się do porażki. Gdy się wyprostowała, spojrzała na Heather z taką nienawiścią, że ta aż się wzdrygnęła.

Zimne oczy Ingi prześliznęły się po Heather niczym chłodny podmuch wiatru i spoczęły na Jeanie-Lucu.

- Taki kiepski gust? To do ciebie niepodobne. Odwróciła się na pięcie i razem z Simone weszły po schodach, Alberto zaś podreptał za nimi.

Heather zgarbiła się, wciskając ręce w kieszenie dzinsów z uciętymi nogawkami.

- Cholernie miłe powitanie. Jean-Luc zacisnął usta.

- One nie są przyzwyczajone do...

- Zwykłych śmiertelników? - przerwała mu Heather.

- Zrobione! - Fidelia usunęła zabezpieczenie z glocka i odwróciła się w stronę frontowych drzwi. - O do diabła, za późno. Miałam ochotę zapolować na księżniczkę. Chciałam sobie zawiesić trofeum nad kominkiem.

- Nie pozwól, żeby cię wytrąciły z równowagi - powiedział Jean-Luc. - Są tutaj ze względu na pokaz i zostaną tylko dwa tygodnie. Potem znikną. Alberto też. Wszyscy wrócą do Paryża.

Wyglądał na zasmuconego z tego powodu i Heather zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle tutaj przyjechał.

- Czemu wyjechałeś z Paryża?

- To długa historia.

No pewnie. Ciekawe, jak blisko byt związany z tymi modelkami z piekła rodem.

- Od dawna znasz Simone i Inge?

- Od dawna. - Ruszył po schodach, ponaglając je gestem. - Chodźcie. W środku jest bezpieczniej.

Zatrzymał się przy drzwiach, obserwując okolicę spod przymkniętych powiek.

- Myślisz, że Louie tu przyjdzie? - spytała Heather, prowadząc córkę po schodach.

- Trudno przewidzieć, jaki będzie jego następny ruch. Przytrzymał otwarte drzwi. Fidelia i Bethany weszły do środka, ale Heather została razem z nim na ganku.

- Czy Simone i Inga są... tylko modelkami?

- Tak. - Usta wykrzywił mu dziwny grymas. - Czyżbyś się niepokoiła, *cherie*?

- Nie, wszystko w porządku. - Była po prostu zazdrosną kłamczucha, nic więcej. Weszła do eleganckiego holu, który otwierał się na wnętrze magazynu. - Fidelio, załóż z powrotem blokadę na pistolet. Zdaje się, że będziesz dzieliła pokój razem z Bethany i ze mną. - Spojrzała na Jeana-Luca pytająco.

- Tak. Niestety, mam na górze tylko jeden pokój gościnny.

Zamknął za nimi drzwi, przekreślił lducz w zamku, po czym wystukał kod na klawiaturze znajdującej się na ścianie. Tylko jeden pokój gościnny.

- To znaczy, że Simone i Inga tutaj nie mieszkają? Zmarszczył brwi.

- Mieszkają. Podobnie jak Alberto i wszyscy strażnicy. - Wskazał ręką na prawo. - Chciałabyś zwiedzić budynek?

- Jasne. - Heather podejrzewała, że próbuje zmienić temat.

- Popatrz, jakie wielkie schody! - Bethany zagapiła się na ogromne schody, które zaczynały się po prawej stronie i zgrabnie zakręcały w kierunku pomostu na piętrze wychodzącego na główną salę. - Czy nasz pokój jest tam na górze?

- Tak. Ale najpierw chciałbym ci pokazać, gdzie będzie pracowała twoja mama. - Jean-Luc ruszył w stronę korytarza, który zaczynał się pod wielkimi schodami.

Ilenlci wzięła Bethany za rękę i poszła za nim. Mnóstwo ludzi tu mieszkało. Gdzie oni wszyscy spali?

- Pewnie sypialnia pana tego przybytku znajduje się na parterze?

- Na tym poziomie nie ma sypialni. Pomaszzerował korytarzem oddzielającym prawą część budynku. Ściany ozdabiały tu czarno-białe zdjęcia modelek w strojach Echarpe'a.

Gdy przechodzili, wskazał na drzwi po prawej.

- Toaleta dla pań. Toaleta dla panów. Sala konferencyjna. - Po lewej stronie były tylko jedne drzwi. - A to pracownia. - Zatrzymał się przed wielkimi podwójnymi drzwiami i wybrał kombinację cyfr na klawiaturze.

Heather nie mogła dojrzeć kodu.

- Skoro mam tu pracować, to czy nie powinnam znać szyfru?

Zawahał się.

- Alberto go zna. - Otworzył drzwi.

Nie ufał jej na tyle, żeby zdradzić kod do drzwi? Weszła do środka ze zmarszczonym czołem.

- Czy Alberto też będzie tu pracował?

- *Oui*. - Zapalił światło.

Bethany wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Jaka wielka! Fidelia pokiwała głową.

- *Gigante*.

- Tak, to prawda. - Heather zlustrowała wzrokiem pomieszczenie. Żadnych śladów piątkowej bijatyki. Porąbany manekin został usunięty.

Jean-Luc wskazał spiralne schody w lewym narożniku.

- Prowadzą na podest nad główną salą. To może być skrót do waszej sypialni.

- Rozumiem. Możemy już tam iść? Bethany jest naprawdę zmęczona.

Zawahał się, po czym uniósł głowę, marszcząc brwi.

- Sypialnia niebawem będzie gotowa. Chodźcie, po-winnyście wiedzieć, gdzie jest kuchnia.

Heather wyszła za nim na korytarz i zauważyła drzwi na dalekim końcu.

- To wyjście?

Rzucił okiem w tamtą stronę.

- To droga do piwnicy. Nic tam po was. - Szybko ruszył w przeciwnym kierunku. - Zamkniemy sklep dla kupujących. Tak będzie bezpieczniej.

Poszły za nim do głównej sali.

Fidelia zatrzymała się, żeby rzucić okiem na szklaną półkę pełną torebek z tkaniny we wzór z fleur-de-lis, logo Jeana-Luca.

- Przydałaby mi się większa torebka na te wszystkie moje pistolety.
- Może sobie pani wybrać, którą pani chce - zaoferował Echarpe, zmierzając w stronę korytarza po lewej.

Heather zmarszczyła brwi z dezaprobatą, ale niania tylko się uśmiechnęła.

- Czy ja też mogę dostać jedną? - spytała Bethany.
- Nie! - Heather aż skrzywiła się na myśl o czterolatce z torebką za osiemset dolarów.

Gdy wyszły na korytarz oddzielający lewe skrzydło budynku, Jean-Luc wskazał pierwsze drzwi.

- To pomieszczenie ochrony. Jeśli będziecie potrzebowały pomocy, idźcie tutaj.
- Dobrze. - Heather zauważyła klawiaturę obok drzwi.
- Magazyny. - Jean-Luc machnął ręką na lewo. - Biuro Alberta. - Zatrzymał się przy drzwiach po prawej. - A to kuchnia.

Możecie z niej korzystać do woli. - Otworzył drzwi i przesunął się, żeby je wpuścić.

To było coś więcej niż kuchnia. Była tu i niewielka część jadalna, i część salonowa do kompletu z wygodną knupą, fotelami i telewizorem. Całość otwierała się na pomieszczenie z pralką i suszarką. Heather wędrowała po kuchni, podziwiając nieskazitelnie czyste, błyszczące nowością urządzenia. Witryny wypełniały przepiękne wyroby ze szkła i kamionki.

- Uwielbiam naczynia w stylu tokańskim - powiedziała. - Myślałam nawet, żeby kupić coś w sklepie dyskontowym. Skąd są twoje?

Zrobił dziwną minę.

- Z Toskanii.
- Och, no tak. - Policzki Heather zapłonęły. Bogaci żyli w innym świecie.

W lodówce ze stali nierdzewnej znajdowało się tylko kilka ciasteczek krabowych i trochę chrupek serowych oraz trzy butelki szampana - najwyraźniej pozostałość piątkowego przyjęcia. Spizarka była zupełnie pusta.

Zamknęła drzwiczki.

- Co wy tutaj jecie? Jean-Luc się skrzywił.
- Zupełnie o tym zapomniałem. Powiem strażnikom, żeby się tym zajęli.

Jak mógł zapomnieć o jedzeniu? Heather zauważyła, że jej córeczka osunęła się na kanapę i już prawie zasnęła na żółtym misiu.

- Naprawdę musimy już iść do sypialni. Pochylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.
- Jest już przygotowana.

- W porządku. - Spojrzała pytająco na **Fidelię**. Medium leciutko pokręciło głową. Albo nic nie zauważyła, albo nie chciała o tym teraz rozmawiać.

Heather pomogła córeczce stanąć.

- Chodź, kochanie. Już prawie jesteśmy na miejscu. Kiedy wyszli z kuchni, dostrzegła Alberta prześlizgującego się przez drzwi na końcu korytarza. Szedł, potykając się. Jedną ręką kurczowo trzymał się za szyję, w drugiej niósł dwie wieczorowe suknie. Obejrzał się na uchylone drzwi.
- Poprawię je tak, jak chcecie.
- Zobaczmy - zdążyła wysyczeć Simone, nim drzwi się zatrzasnęły.

Alberto pospiesznie ruszył korytarzem. Zwolnił, gdy ich zobaczył.

Jean-Luc ścisnął laskę tak mocno, że aż pobielały mu kłykcie.

- Jakiś problem?

Heather spojrzała na niego, zaskoczona nutą wściekłości w jego głosie.

Alberto się zaczerwienił.

- Trudno je zadowolić.
- W istocie. - Jean-Luc obrzucił go gniewnym spojrzeniem. - Mądry mężczyzna nie powinien nawet próbować.

Alberto opuścił wzrok.

- Wiem, że masz rację. Ale one są po prostu takie... piękne. - Pomasaował szyję.

Oczy Heather się zwęziły. Czyżby na jego palcach dostrzegła ślady krwi?

- Przepraszam. - Włoch pospieszył do drzwi prowadzących do jego biura i wszedł do środka.

- Tędy. - Wskazał im drogę Jean-Luc. Heather wymieniła kolejne spojrzenie z **Fidelią**. Echarpe się zatrzymał.

- To tylne schody.

I rzeczywiście była tam wąska klatka schodowa prowadząca na piętro.

Heather zerknęła na koniec korytarza i na drzwi, z których wyłonił się Alberto. Kolejna klawiatura.

- Czy to sypialnia tych modelek?

Jean-Luc rzucił okiem na drzwi i zmarszczył czoło.

- To wejście do piwnicy. Nic tam po was. - Ruszył na górę.

Heather rzuciła ostatnie spojrzenie na zakazane drzwi, po czym podążyła za Jeanem-Lukiem. Wspinali się powoli, bo Bethany mogła brać tylko jeden stopień naraz i w dodatku upierała się, że sama będzie niosła swojego wielkiego żółtego misia. Myśli Heather powędrowały więc z powrotem do drzwi wiodących do piwnicy. Dlaczego były zamknięte? I co z drugimi drzwiami, tymi na końcu korytarza po prawej? Czy one też były niedostępne?

Co takiego straszego było na dole? Potwory? Simone i Inga z pewnością podpadały pod tę kategorię. Prychnęła i złała się za takie szalone pomysły. Już prędzej miało to coś wspólnego z interesami, może chodziło o wyzysk nielegalnych imigrantów. Dotarła do szczytu schodów.

- To mój gabinet. - Jean-Luc wskazał drzwi z kolejnym zamkiem szyfrowym. - Pokażę ci go później.
- Dobrze. - Zauważyła kamerę bezpieczeństwa.

I właśnie wtedy drzwi na korytarz się otworzyły i pojawiło się dwóch mężczyzn. Albo też raczej mężczyzna i chłopiec, pomyślała Heather, przyjrawszy się im bliżej. Przypomniała sobie, że widziała ich już z Angusem MacKayem.

Nastolatek w kilcie uśmiechnął się do niej.

- Pokój jest już gotowy, pani Westfield.
- Dziękuję. Proszę, mów mi Heather.
- Nie ma sprawy. Ja jestem Ian, a to Phineas.
- Siemanko. - Czarnoskóry mężczyzna miał na sobie spodnie khaki i granatową koszulkę polo.
- Będziemy lecieli. - Ian machnął na Phineasa. - Do zobaczenia jutro wieczorem.
- Dobranoc.

Gdy przechodził obok, zauważyła miecz przytroczony do jego pleców. Zeszli na dół. Przedziwne, że chłopak, który wyglądał na piętnaście lat, zachowywał się, jakby był starszy od swojego towarzysza.

- Nie jest za młody, żeby być strażnikiem?
- Wygląda na młodszego, niż jest w rzeczywistości. - Jean-Luc otworzył drzwi, przez które Ian i Phineas właśnie wyszli. -

Oto wasz pokój.

Bethany wbiegła do środka i zapiszczała.

- Co takiego? - Heather pospieszyła za nią i zatrzymała się oszołomiona.

Fidelia ruszyła biegiem i wpadła na Heather.

- *Ay, caramba* - szepnęła, rozglądając się po pokoju.
- Moje zabawki! - Bethany upuściła żółtego misia na podłogę i uklękła przed domkiem dla lalek.

Heather zamrużyła, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Tuż obok domku stał wózek Bethany.

Na toaletce zauważyła swoje przybory do makijażu.

- Jak ci się to udało? Przed drzwiami stał funkcjonariusz.
- Mam znakomitych strażników - odparł Jean-Luc. Musieli być naprawdę dobrzy, skoro udało im się wykraść to wszystko z jej domu.

Fidelia zostawiła swoją torebkę na jednym z ogromnych łóżek i usiadła.

- Jak oni to zrobili?
- Już po wszystkim. - Echarpe sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Myślałem, że będziecie się cieszyć.
- Ja się cieszę! - oznajmiła Bethany.

A dla mnie to wygląda podejrzanie, pomyślała Heather i rozejrzała się powoli po pokoju. Ściany miały delikatny zielony odcień. Na obu łóżkach leżały adamaszkowe kołdry. Na stoliku między nimi stała przepiękna witrażowa lampa. Nad toaletką nie było lustro, tylko cudny obraz Moneta. Pod ścianą stały torby z zakupami, które zrobili po drodze.

- Heather? - Jean-Luc podszedł do niej. - Może być?

- Tak. - Unikała jego wzroku. - Dziękuję. - Widać było, że starał się ją uszczęśliwić, tymczasem stało się inaczej. Nie wiedziała, co ma myśleć.

- Mniej więcej przez najbliższą godzinę będę w swoim biurze, gdybyś mnie potrzebowała. Zaraz powinien pojawić się Robby z twoim samochodem.

- Jasne. - Dziwne. To nie potrzebowali jej wozu, żeby przewieźć tu zabawki Bethany?
- Widziałem w mieście kilka opuszczonych budynków - ciągnął dalej.
- Tak, sklep dyskontowy wykosił konkurencję.
- Robby i ja wybierzemy się później je sprawdzić.
- Masz na myśli...? - Czyżby przypuszczali, że Louie ukrył się w jednym z nich? - Chcesz, żebym pojechała z wami?
- Nie - odpowiedział pospiesznie. - Dość już dziś przeszłaś. Ty i twoja córeczka.

Miał rację. Nie sądziła, żeby była w stanie znieść dziś coś jeszcze.

- Zobaczmy się jutro, tak?
- Jutro wieczorem. Phil i Pierre będą cię strzegli za dnia.

A ty gdzie wtedy będziesz? Napotkała jego wzrok. Za dużo było wokół tajemnic.

- Dobranoc, *cherie*. - Ujął jej dłoń i uniósł do warg. Usta miał miękkie, zmysłowe.

Twarz Heather pokryła się pąsem, gdy ovladnęły ją czułe wspomnienia. Jego pocałunek był nie do opisania. W jego ramionach czuła się tak bezpiecznie i cudownie. Chciała, żeby uczucie wróciło. Ale ono minęło. W zamian dręczyło ją wrażenie, że coś jest nie tak.

- Spij dobrze. - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.
- Juan jest bardzo romantyczny - zauważyła Fidelia. - *Muy macho*.

- *Muy* jakiś tam - mruknęła Heather. - Lepiej połóżmy Bethany do łóżka. - A potem będziemy mogły porozmawiać. - Te słowa zamajaczyły na końcu zdania niewypowiedziane.

Pół godziny później Bethany smacznie spała w łóżku, które miała dzielić z mamą, a Fidelia i Heather również mogły szykować się do snu.

Heather wyszła z łazienki i zamachała ręką w stronę domku dla lalek.

- Co o tym wszystkim myślisz, jak im się to udało?
- Nie mam pojęcia. - Fidelia ubiła poduszkę u wezgowia łóżka, po czym wśliznęła się pod kołdrę. - Musieli się przekraść obok policjanta.

Heather oparła dłoń na biodrze.

- Nie sędzę, żeby Billy albo jego zastępca byli aż tak nieudolni.

Fidelia zachichotała.

- Nigdy nie wiadomo. Przynajmniej mamy tych spryciarzy po swojej stronie.
- Spryciarzy czy może... cwaniaków? Tutaj dzieje się coś bardzo dziwnego.

Fidelia skinęła głową.

- Juan sprawiał wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwał. Może jest medium?
- Też odniosłam takie wrażenie. - Heather przysiadła na krawędzi łóżka Fidelii. - A ty coś słyszałaś?
- Nie, ale wyczuwam dziwną... energię. Może dziś w nocy przyśni mi się coś, co nam pomoże.

Heather się zawahała. Nie była jeszcze gotowa, żeby wypowiedzieć na głos swoje wcześniejsze podejrzenie, że Jean-Luc może być nieśmiertelny. Wciąż wydawało jej się to zbyt dziwaczne.

- Na górze jest tylko jedna sypialnia - ciągnęła Fidelia. - A Juan powiedział, że na parterze nie ma nikogo.
- Mnie też wydało się to dziwne - przyznała Heather.
- Gdzie ci wszyscy ludzie śpią? - spytała Fidelia. Heather skrzywiła się, przypominając sobie zamknięte drzwi do piwnicy.
- Podejrzewam, że w piwnicy.

- Dziwne - mruknęła Fidelia. - I co się stało z Albertem. Zdaje się, że te suki go zadrapały. Albo zraniły. Miał krew na palcach.

- Widziałam. A Jean-Luc wciąż nam powtarzał, żebyśmy się trzymały z dala od piwnicy. Oczywiście to mogło być ostrzeżenie przed tymi psycholkami, które tam mieszkają.

Fidelia zacmokała.

- Dlaczego spóźniłaś się na występ Bethany? To nie w twoim stylu.

Na policzki Heather wypełzł rumieniec.

- Byłam... zajęta.
- Przez Juana? Przystawiał się do ciebie? Rumieniec jeszcze się pogłębił.
- Byłam chętna. Aż za bardzo. Wydawało mi się, że... że się w nim zakochuję.
- A teraz?
- Sama nie wiem. Podoba mi się. Jest przystojny, seksowny...
- I bogaty.

Heather spojrzała na nią rozdrażniona.

- To nie jest dla mnie ważne. Cody miał mnóstwo pieniędzy i z pewnością nie uczyniło mnie to szczęśliwą.
- No to co ci się podoba w Juanie?
- Uważam, że jest człowiekiem honoru, inteligentnym i życzliwym. Bardzo miłe było to, że zdobył misia dla Bethany. No i podobam mu się taka, jaka jestem. Traktuje mnie z szacunkiem, naprawdę słucha. Poza tym liczą się dla niego moje uczucia.

Fidelia pokiwała głową.

- To dobry człowiek. Jestem tego prawie pewna.

- Prawie?

Niania wzruszyła ramionami.

- Pozory mogą mylić. Wyczuwam coś... złego. Heather prychnęła.
- Nie trzeba być medium, żeby to wiedzieć. To miejsce kryje w sobie tajemnice. Tajemnice, których Jean-Luc nie chce ujawnić.
- Zgadza się.
- Więc jak mam mu zaufać?

Fidelia rozparła się na poduszkach, marszcząc brwi.

- Musisz być ostrożna.

Heather zapiekły oczy od niechcianych łez. Tak bardzo chciała mu zaufać. Wydawał się idealny. Ale nie miała wyboru. Musiała utrzymać między nimi dystans. Nie mogła sobie pozwolić, żeby się zakochać w Jeanie-Lucu Echarpie.

Rozdział 14

Jean-Luc przemierzał swoje biuro tam i z powrotem. Popenił głupi błąd. Myślał, że widok zabawek ucieszy Heather. Na pewno ucieszył Bethany. Ale Heather? Udało mu się sprawić tylko tyle, że nabrała podejrzeń. Była bystra. Nie może jej więcej nie docenić. Była też bardzo niezależna - prezenty i wielkopańskie gesty nie robiły na niej takiego wrażenia jak na kobietach,

które znał w przeszłości. Zachowywała się tak, jakby w ogóle nie pragnęła prezentów. Pragnęła uczciwości - jedynej rzeczy, której nie ośmieliłby się jej dać.

Gdy zobaczył ją obok Simone i Ingi, tylko się utwierdził w swoich uczuciach. Modelki były martwymi doskonałościami, zimnymi pięknościami, przypominały posagi bóstw.

I lenticler była żywa - niedoskonała i nieprzewidywalna. Jednego wieczoru mięknie w jego ramionach i namiętnie się z nim całuje, a potem przygląda mu się nieufnie, podejrzliwie. Była zmienna, pełna emocji. Podniecająca.

Była też urocza, lojalna i czuła. Lubił się jej przyglądać, kiedy była z córeczką albo z **Fidelia**. Tworzyły tak zwarty, silny rodzinny front, że coraz bardziej chciał stać się jego częścią.

Myśl, że mógłby stracić Heather, sprawiała, że nogi zaczynały mu ciążyć. Podszedł do okna wychodzącego na główną salę magazynu i zatrzymał się. Jego towary wciąż były tam wystawione, choć sam sklep był zamknięty.

I po co to wszystko? Trzydzieści lat temu cieszyło go budowanie odzieżowego imperium i upajał się finansowym sukcesem. Ale po drodze potrzeba, żeby coś sobie udowodnić, zniknęła. Teraz była to tylko praca dla zabicia czasu.

Chciał więcej, o wiele więcej. Chciał, żeby Heather była z niego dumna. Przypomnił sobie jej strach, gdy się obawiała, że ominął ją występ córki - chciał, żeby równie silnych emocji doświadczała, gdy chodziło o jego pokazy. Nie miał ochoty już dłużej tworzyć w samotności. Marzył, żeby ona projektowała z nim. Pragnął towarzystwa.

Wytwarzanie towarów przestało mu wystarczać. Chciał więcej. Jaki pożytek z finansowego imperium, skoro nie miał dziecka, któremu mógłby je przekazać? Chciał dzieci z włosami i oczami Heather, z jej szlachetnym sercem i bystrym umysłem. Jedyne, co musiał zrobić, to ochronić ją przed Luim i zdobyć jej serce.

Westchnął. Czy chciał za wiele?

Zauważył, że do sklepu wszedł Robby. Pewnie zostawił samochód Heather na podjeździe.

Jan i Phineas wyszli, żeby się z nim spotkać. Jean-Luc pomyślał, że do nich dołączy, i po chwili zmaterializował się u podnóża schodów.

Ręka Robby'ego zatrzymała się w pół drogi po miecz.

- Och, to ty. Czy twoim gościom spodobała się niespodzianka?
- Dziewczynka była zachwycona, ale Heather stała się tylko bardziej podejrzliwa.

Robby się skrzywił.

- Tego się obawiałem. Współczesne damy są zbyt bystre.

Jan prychnął.

- Wolisz głupie?

Robby wzruszył ramionami.

- Staram się w ogóle unikać śmiertelniczek. - Odwrócił się do Jeana-Luca. - Mówiłem pozostałym, że potrzebujemy więcej kamer. Kiedy się tu instalowaliśmy, myślałem, że tylko ciebie będziemy chronić.

Jean-Luc pokiwał głową. Teraz kamery były tylko w jego biurze, przed nim i w jego sypialni.

- Rzeczywiście, potrzebujemy kamer we wszystkich pomieszczeniach.
- I na zewnątrz - dodał Robby. - Wiem, że Connor ma w biurze w Romatechu ukryty zapas. Teleportuję się i je wezmę.
- Musimy też do rana kupić jakąś żywność - zauważył Jean-Luc. - Pusta spizarka wygląda podejrzanie.

Robby zmarszczył brwi.

- Och, nie pomyślałem o tym. Pierre zamawia jedzenie przez telefon. W ciągu dnia był tu sam i nie mógł zostawić nas bez ochrony.

- Ja pójdę do sklepu - zaoferował się Jan. - Co mam kupić? Owsiankę i udziec jagnięcy?
- Stary, jesteś kompletnie niedzisiejszy - zakpił wesoło Phineas. - Potrzebne będą chipsy, cornflakesy, chińskie zupki...
- To jest jedzenie? - spytał Jan.
- Pewnie. Wiesz co? Wam, weteranom, brak orientacji. Lepiej, jak ja zrobię zakupy.
- Jesteś wampirem od niedawna? - spytał Jean-Luc.
- Właśnie. Trochę więcej niż rok. Moja rodzina wciąż żyje, więc wiem, co jedzą ludzie.

Jean-Luc uniósł brwi.

- A twoja rodzina jest zdrowa?
- No cóż, moja ciotka ma cukrzycę, a młodsza siostra jest może trochę pulchna...
- Zdrowe jedzenie. - Jean-Luc wręczył mu kluczyki do bmw i kilka studolarowych banknotów. - Przywieź jakieś zdrowe jedzenie.

- W porządku, owoce, warzywa i takie tam bzdety. Da się zrobić. - Phineas ruszył pędem w stronę drzwi. - Doktor Phang za kółkiem bmw! Sam w to nie wierzę. - Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

- A ja w tym czasie teleportuję się do Romatechu i przyniosę więcej kamer. - Robby zamilkł, słysząc pisk opon na podjeździe.

Jean-Luc się skrzywił.

- Nowy w firmie?
- Doktor Phang? - Jan wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Angus i Emma znaleźli go w zeszłym roku. Został przemieniony przez Rosjan, ale nie chciał kasać ludzi. Więc Angus go zatrudnił.

- A co z Philem? - spytał Jean-Luc.

- Całkowicie godny zaufania - odparł Robby. - Ochronia w dzień Romana już ponad sześć lat.
- Jan pokiwał głową.

- Zdażyłem go przez ten czas poznać. Jest dobry.

Jean-Luc przypomniał sobie skrępowanie, jakie się pojawiło, kiedy Phineas stwierdził, że Phil pachnie inaczej niż śmiertelnicy. On też wyczuwał coś dziwnego.

- Powiniennem o czymś wiedzieć?

Twarz Robby'ego stała się nieprzenikniona, łan nagle zainteresował się torebkami na wystawie.

- Powierzam mu życie Heather. I własne - dodał Jean--Luc. - Muszę wiedzieć.

- To sprawa firmy - mruknął Robby. - Mogę ci tylko powiedzieć, że Phil nie zdradza naszych tajemnic, a my nie zdradzamy jego. Zabieram się do Romatechu.

- Wracaj szybko - powiedział Jean-Luc, świadom, że Robby próbuje zmienić temat. - Gdy tylko wróci Phineas, chciałbym, żebyśmy sprawdzili te opuszczone budynki w mieście.

- Pojadę z wami - zaoferował się łan.

- Chcę, żebyście z Phineasem pilnowali naszych gości - odparł Echarpe. - Nie możemy zostawić kobiet bez opieki.

łan pokiwał głową.

- Sprawdzę okolicę.

Popędził na zewnątrz, a Robby teleportował się, zostawiając Jeana-Luca sam na sam z myślami o Philu. Najwyraźniej śmiertelnik miał swoje tajemnice, a wampiry to szanowały. Kusiło go, żeby zadzwonić do Angusa, ale cholerny Szkot będzie pewnie trzymał buzię na kłódkę tak samo jak jego praprawnuk Robby. Przynajmniej obaj z łanem zgadzali się co do tego, że Phil był całkowicie godny zaufania.

Phil i Pierre powinni być teraz w piwnicy, w sypialni dla strażników przypominającej pokój w internacie. Od śmiertelników oczekiwano, że będą spać w nocy, żeby w dzień móc pełnić służbę. Za dnia, podczas przypominającego śmierć snu, wampiry były zupełnie bezbronne, dlatego na dziennych strażnikach spoczywała ogromna odpowiedzialność. Mimo to rzadko się zdarzało, żeby dziennym strażom zagrażało niebezpieczeństwo. Wrogowie wampirów za dnia też byli martwi, jeśli zaś chodzi o śmiertelników, to większość nie miała pojęcia o istnieniu wampirów.

Alberto był śmiertelnikiem, który o nich wiedział. Jean--Luc zaufał młodemu protegowanemu po pięciu latach lojalnej pracy. To było dobre porozumienie.

W zamian za utrzymanie tajemnicy Alberto zyskał możliwości, jakie w świecie mody trafiają się rzadko. Organizował pokazy i obracał się w towarzystwie potężnych, wpływowych osób. Mógł przedstawiać własne projekty, korzystając z sieci dystrybucji i marketingu Echarpe'a. Został przedstawicielem Jeana-Luca za dnia. Był ciężko pracującym perfekcjonistą z jedną tylko skazą.

Miał obsesję na punkcie Simone i Ingi. Gdy dowiedział się, że obie panie są wampirzycami, jego pożądanie jeszcze wzrosło.

Simone i Inga lubiły się nim bawić, dzisiejszej nocy jednak posunęły się za daleko. Jean-Luc nie martwił się, że Alberto wyjawia tajemnice wampirów mediom. Gdyby zaszła taka potrzeba, on i Robby mogliby wyczyścić mu pamięć. Ale zastąpić Alberta byłoby bardzo trudno.

Simone i Inga, próżne stworzenia, nie zdawały sobie z tego sprawy, ale je zastąpić było bardzo łatwo.

Wspomnienie zakrwawionych palców Alberta sprawiło, że Jeana-Luca zalała fala złości. Ostrzegwał projektanta, żeby trzymał się z dala od wampirzych modelek, najwyraźniej jednak nie potrafił się oprzeć urokowi zakazanego owocu. Uderzyła go ironia tej sytuacji. On też nie potrafił się oprzeć zakazanemu owocowi. O ile dogodniej byłoby, gdyby się zakochał w wampirzycy. Ale nie, on pragnął! Heather.

Teleportował się z powrotem do swojego biura i spróbował zająć pracą. Pierre zostawił na biurku fakturę. Dotarł zamówiony klawesyn. To dobrze. Jean-Luc nie uważał się za wybitnego muzyka, ale po czterystu latach praktyki jego umiejętności z pewnością były zadowalające.

Pierre zostawił też wiadomość, że poinstruował robotników, by ustawili klawesyn obok fortepianu salonowego w pokoju muzycznym. Jean-Luc skrzywił się na myśl

0śmiertelnikach, którzy byli w piwnicy za dnia, ale Pierre na pewno zadbał o to, żeby zobaczyli tylko główny korytarz i pokój muzyczny. Żaden śmiertelnik nie podejrzewałby, że pomieszczenia obok kryją wampiry pogrążone w śmiertelnym śnie. Mimo to Echarpe czuł się nieswojo z tym, że jacyś ludzie wiedzieli o istnieniu piwnicy. Będą musieli z Robbym odwiedzić robotników i wyczyścić im wspomnienia.

A co z Heather? Teraz ona też wiedziała o istnieniu piwnicy. Jak długo uda mu się utrzymać przed nią tajemnicę? Jak w ogóle może zalecać się do uczciwej kobiety, kłamiąc. Nie chciał, żeby wybrała się na poszukiwania razem z nimi i Robbym, bo zorientował się, że opuszczone budynki były pozamykane. Oni dwaj łatwo mogliby się teleportować do środka, ale nie w sytuacji, gdyby towarzyszyła im Heather.

Kiedy znajdą Luiego i go zabiją, Heather będzie mogła żyć własnym życiem. Czy pozwalając Heather odejść, jej także będzie musiał wymazać wspomnienia?

Myśl, że miałby spędzić wieczność bez niej, była trudna do zniesienia. *Merde*, bolesna była już myśl, że miałby spędzić bez niej tydzień.

Podszedł do kredensu i nalał sobie blissky. Mieszanka whisky i syntetycznej krwi paliła w gardle, ale nie stępiła bólu.

Tracił dla Heather głowę i nie wiedział, jak temu zaradzić.

Heather skrzywiła się, kiedy Bethany znowu ją kopnęła. W ogóle trudno jej było zmrużyć oko - obok miała żywe tornado, a ponadto zamartwiała się o dom i Jeana-Luca.

Fidelia zajęczała nagle, zupełnie wybijając ją ze snu. Heather zerknęła na stolik obok łóżka, gdzie świeciły na czerwono cyfry elektronicznego budzika. Piąta trzydzieści. Niedługo wzejdzie słońce.

Niuniu jęknęła znowu, wierzgając rękami i nogami. Heather zastanawiała się, czy jej nie obudzić, ale potrzebowała informacji, które mogła wyśnić.

Nagle starsza pani usiadła tak gwałtownie, że Heather wydała stłumiony okrzyk.

- Fidelio - wyszeptła po chwili. - Wszystko w porządku?
- Oczy, świecące w ciemności na czerwono. Niebezpieczeństwo.

To było przerażające, ale też niewiele mówiło.

- Coś jeszcze?

Z westchnieniem Fidelia oparła się o zagłówek.

- Nie udało mi się za dużo dostrzec. Było ciemno. Noc. Słyszałam warczenie. Błysk długich obnażonych zębów.

Heather zadrzała. W pokoju zrobiło się cicho, wyjąwszy powolny i równy oddech Bethany.

Wstała i przeciągnęła się. Nie mogła pozwolić, żeby zły sen rujnował jej życie. A skoro nie mogła spać, równie dobrze mogła się zabrać do roboty. Pierwsza rzecz, jaką powinna była zrobić, to kupić trochę warzyw.

- Chcesz czegoś z kuchni? - Parsknęła. - Trochę szampana?

Fidelia zachichotała.

- Nic mi nie trzeba. Idę spać. Wstanę, jak mała się obudzi.
- W porządku. Śpij dobrze.

Po omacku Heather ruszyła do łazienki. Wzięła szybki prysznic i ubrała się w nową bieliznę, dzinsy oraz zieloną koszulkę, którą kupiła w nocy. Na nogi włożyła stare tenisówki i cicho wyszła na korytarz. Przez okno na końcu wpadało nieco niewyraźnego światła. Księżyc był w pierwszej kwadrze, a na bezchmurnym niebie lśniły gwiazdy.

Zatrzymała się przed biurem Jeana-Luca. Może jest w środku? Nie omówili szczegółów jej pracy. Migające czerwone światełko nad głową przykuło jej uwagę. Kamera monitorująca była włączona. Czy ktoś ją obserwował?

Tylnymi schodami zeszła na dół i wyjrzała na główny korytarz. Pusto. Słysząc tylko słabe dźwięki. Muzyka.

Zerknęła na drzwi do piwnicy. Szybko rozejrzała się dokoła i podeszła do nich na palcach. Dźwięki muzyki stały się głośniejsze.

Coś klasycznego. Fortepian i coś pobrzękującego. Klawesyn? Ujęła gałkę i przekręciła. Gałka obróciła się lekko i szybko zatrzymała. Zamknięte.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwał się za nią głęboki głos.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła Robby'ego MacKaya stojącego w korytarzu.

- Ja... Dzień dobry. Szukałam kuchni.
- Kuchnia jest tam. - Odwrócił się, wskazując drzwi po drugiej stronie schodów.
- Ach, no tak. Wciąż próbuję się połapać w rozkładzie. - Ruszyła we wskazanym kierunku. - Pomyślałam, że zrobię listę rzeczy, których będziemy potrzebowały z ziele-niaka. Wie pan, spiżarka jest pusta.

- Już nie. Kupiliśmy żywność.

- Och. - Zatrzymała się przed drzwiami do kuchni. -No cóż, dziękuję. Jesteście bardzo sprawni.

Skrzyżował ręce na piersi, patrząc na nią uważnie.

- Znalazłem pani torebkę w samochodzie. Jest teraz w pomieszczeniu ochrony. Przyniosę ją.

- Świetnie. Może będę się musiała wybrać po sprawunki.

Zmarszczył brwi.

- Jeśli czegoś pani potrzebuje, proszę powiedzieć strażnikom. Dla własnego bezpieczeństwa musi pani zostać tutaj.

- Och! - Czyżby była więźniem? - Rozumiem.

Weszła do kuchni i oparła się o drzwi, głęboko oddychając. Wcale nie jest więźniem, upomniała się. Po prostu próbują zapewnić jej, Fidelii i Behtany bezpieczeństwo.

I zachować dla siebie swoje sekrety. Ciekawość zabiła kota, przypomniała sobie stare przysłowie. Tylko że ona wcale nie była kotem. Była kobietą.

Odkryje wszystkie ich tajemnice. Jedną po drugiej.

Rozdział 15

Jean-Luc uwielbiał grać duety. Muzyka fortepianu i klawesynu wznosiła się i opadała. Czasami to on przejmował prowadzenie i wtedy melodia przepływała pod opuszkami jego palców. Kiedy indziej wycofywał się, bębniąc w klawisze, żeby utrzymać rytm dla partnera.

To jest jak walka na szpady, pomyślał. Jeśli partner jest dobry, można posuwać się do przodu i cofać - wypad, odwrót, pchnięcie, odparowanie ciosu. Albo jak dobry seks. Przejmowanie inicjatywy na zmianę z oddawaniem pola. Utrzymywanie rytmu i uderzenie, wciąż i wciąż, czasem delikatnie, czasem mocno. Wykorzystanie palców, żeby Heather zaczęła śpiewać.

Uśmiechnął się do siebie. Mógłby ją zdobyć i to byłoby cudowne. I gdy wybrzmiewały finalne dźwięki utworu, on wciąż trzymał palce na klawiszach, żeby rozkoszować się ostatnimi śladami wibracji. *Mon Dieu*, jak bardzo pragnął Heather. Miał cichą nadzieję, że muzyka pomoże mu oderwać od niej myśli, a tymczasem tylko zwiększyła tęsknotę.

- Zagramy jeszcze jeden, Jean-Luc? - spytała Inga ze swojego miejsca przy fortepianie.

- O tak, proszę. - Simone tańczyła menueta. - Zawołajmy Robby'ego, żeby ze mną zatańczył. Będzie zabawa jak za starych dobrych czasów.

Jean-Luc zamknął nuty.

- Prawdę powiedziawszy, muszę z wami poważnie porozmawiać.

Inga osunęła się na stołek przy fortepianie.

- Ostatnio wciąż jesteś poważny.

- Mam po temu powody - odparował. - Lui wrócił i zagroził, że zabije każdego, na kim mi zależy.

Simone wydała stłumiony okrzyk.

- To znaczy nas.

Jean-Luc powstrzymał się przed zwróceniem jej uwagi, że w ciągu dwustu lat, odkąd znał ją i Inge, Lui nigdy im nie groził.

Wyglądało na to, że interesuje go tylko zabijanie śmiertelników.

- Rozmawialiście z nim w piątek wieczorem. Przebrał się za starszego siwowłosego pana z laseczką.

- To był Lui? - Inga przycisnęła rękę do piersi. Wyglądała na przerażoną. - Wydawał się taki czarujący i nieszkodliwy.

- I bogaty. - Simone odrzuciła długie czarne włosy na plecy. - Zaoferował mi dwadzieścia tysięcy dolarów za towarzystwo.

Inga prychnęła.

- Myślał, że jesteś dziwką?

- Prawdę mówiąc, rozważyłam jego propozycję. - Jej twarz przybrała zraniony wyraz. - Jean-Luc straszliwie nas zaniedbuje.

Słyszał te narzekania już od przeszło pięćdziesięciu lat.

- Czy któraś z was zauważyła, że to nie był śmiertelnik?

Inga wzruszyła ramionami.

- Wszędzie było pełno smrodu śmiertelników.

-A teraz jeszcze zaprosiłeś kilka śmiertelniczek, żeby zamieszkały pod naszym dachem. - Simone się wzdrygnęła. - *Oulle horreur.*

Jean-Luc odsunął stołek i wstał.

-Są pod moją ochroną. Będziecie je traktowały z szacunkiem. I mam jeszcze jedną prośbę. Zostawcie w spokoju Alberta.

Simone machnęła lekceważąco ręką.

-On jest nikim.

- Jest ważnym pracownikiem. Dziś w nocy posunęłyście się za daleko.

Simone zażartowała.

- To tylko małe zadrapanie.

- Tu obowiązują zasady. Żadnego kłusania. Jeśli nie będziecie ich przestrzegali, będziecie musiały odejść.

Oczy Simone rozbłyły.

- Wyrzuciłbyś nas?

Inga zerwała się ze stolka.

- Daj spokój. Za długo się przyjaźnimy, żeby się sprzeczać.

- To prawda. - Simone spojrzała gniewnie na Jeana--Luca. - Nie chciałbyś, żebym została twoim wrogiem.

Jean-Luc przyglądał się jej w milczeniu.

- Możesz odejść, kiedy zechcesz, Simone.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się Robby, stając w drzwiach.

- Robby, musisz ze mną zatańczyć - zażądała Simone.

- Innym razem, moja pani. Teraz muszę zamienić słówko z Jeanem-Lukiem.

Echarpe skłonił się lekko.

- Dobranoc, drogie panie.

Powlokły się w stronę drzwi z nadąsanymi minami.

- Czas na sen dla urody. - Robby przesunął się, żeby je przepuścić. - W końcu nie jesteście coraz młodsze.

Simone spojrzała na niego krzywo, on jednak tylko się roześmiał.

Jean-Luc podszedł bliżej.

- Prawdziwy z ciebie czaruję.

- *Aye.* - Robby pokiwał głową. - I jestem z tego dumny. - Jego uśmiech zbladł. - Zastanawiałem się, jak nasłuchiwała muzyki przy drzwiach do piwnicy.

- Och. - Serce Jeana-Luca zabiło szybciej na samą myśl o niej. Ruszył korytarzem. - Wcześniej wstała.

- *Aye.* I w dodatku jest podejrzliwa, tak jak się tego obawialiśmy. Poszła do kuchni. Oddałem jej torebkę.

- Rozumiem. - Zostało im mało czasu, zanim słońce sprawi, że zapadną w śmiertelny sen. - Spróbuję rozwiązać jej wątpliwości.

- Dobrze. - Robby ruszył po schodach razem z nim. -Udało się nam dziś w nocy osiągnąć pewien postęp. Na zewnątrz jest teraz sześć kamer.

- Znakomicie.

Niestety, nie udało się osiągnąć postępu w sprawie Luiego. Przeszukanie opuszczonych budynków nie przyniosło żadnych rezultatów. Jean-Luc otworzył drzwi na korytarz na parterze.

- Zrobimy jeszcze jeden obchód przed końcem zmiany. - Robby skierował się do pomieszczenia ochrony. - Do zobaczenia jutro.

- Dobranoc. - Jean-Luc wszedł do kuchni i zatrzymał się w części salonowej. - Heather?

Wyrzała z pomieszczenia gospodarczego.

- Jean-Luc! Ja... nie spodziewałam się ciebie. - Pospieszyła do kuchni. - Właśnie robiłam pranie.

Unikając jego wzroku, odgarnęła wilgotne kręcone włosy za uszy. Złapała za ołówek i notatnik leżące na blacie obok torebki. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Irytowało go, że przestała czuć się swobodnie w jego towarzystwie.

- Listu? - spytał.

- Tak. - Machnęła ręką w stronę spiżarni. - Dziś rano okazało się, że jest pełna. Bardzo to doceniam, naprawdę, ale wciąż kilku rzeczy brakuje. Jest na przykład spaghetti, ale nie ma sosu pomidorowego.

Nie miał pojęcia, czym jest spaghetti, ale wierzył jej na słowo.

- Pierre albo Phil dostarczą wszystko, czego będziesz potrzebowała.

- Tak przypuszczam. - Postukała ołówkiem w blat. - Rozumiem, że jestem tu uwięziona, dopóki nie zostanie rozwiązany problem Louiego.

- Tak będzie najlepiej. Nie chcę ryzykować twojego bezpieczeństwa.

Zmarszczyła brwi.

- Będę potrzebowała odtłuszczonego mleka. - Dopisała tę pozycję do listy. - Muszę pilnować kalorii.

- Heather. - Położył rękę na jej dłoni, żeby powstrzymać nerwowe ruchy. - Uważam, że jesteś piękna taka, jaka jesteś.

Zamknęła na moment oczy, w których widać było ból.

- Muszę wiedzieć - popatrzyła na niego błagalnie - jak udało wam się zabrać zabawki Bethany.

Jean-Luc zorientował się, że to coś więcej niż prośba o informację. Heather prosiła o szczerą. Chciała znowu móc mu zaufać. I, do cholery, nie mógł jej powiedzieć całej prawdy. Bo prawda tylko by ją przepłoszyła.

- Zajęli się tym do spółki Robby, Ian i Phineas - zaczął. - W twoim domu był tylko jeden policjant, więc Phineas bez trudu zwał go na tyły, a pozostali tymczasem wśliznęli się od frontu. - Nie wspominał, że wślizgiwanie oznaczało teleportację.

Zagryzła wargę.

- To ma sens. A jak przytachali rzeczy tutaj?

- Mieli mnóstwo czasu, kiedy byliśmy w sklepie.

Powoli pokiwała głową.

- Pewnie wzięli moją ciężarówkę.

Nie tak to wyglądało, ale nie oponował. Jego dłoń wciąż spoczywała na jej ręce. Nie zabrała jej. Wyciągnął ołówek z jej uchwytu.

- Jesteś spięta. Poznają po zgarbionych ramionach.

- Jasne, że jestem spięta. Niebezpieczny maniak podkłada ogień pod mój dom i chce mnie zabić.

- Odpręż się. - Okrążył ją.

- Co robisz? - Zerknęła za siebie.

- Próbuję złagodzić napięcie. - Położył ręce na jej ramionach i zaczął ugniatać palcami mięśnie wokół karku. - Chcę, żebyś wiedziała, że bezpieczeństwo twoje i twojej córki jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne.

- Dziękuję. - Z westchnieniem pochyliła głowę do przodu. - Rozumiem, że ty i Robby nie znaleźliście Louiego dziś w nocy?

- Nie. - Rozmasował jej ramiona. - Powiedziałbym ci o tym, ale myślałem, że śpisz.

- Nie mogłam. Biedna Bethany. Boję się, że to się na niej odbije. Strasznie się rzucała przez sen.

- Bardzo mi przykro. - Poprowadził Heather na kanapę. - Chodź. Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem wyczerpana, a tyle muszę zrobić. Trzeba zadzwonić do ubezpieczyciela. No i przedszkole Bethany...

- Jeszcze nieczynne.

Przysunął wielki podnózek do kanapy i posadził na nim Heather. Sam usiadł za nią okrakiem.

- Ty też musisz być zmęczony. - Zerknęła na niego. - Wciąż jesteś we wczorajszym ubraniu.

- Za chwilę trochę odpocznę. - Słońce było już blisko horyzontu. Niedługo poczuje zew śmiertelnego snu. Ale na razie mógł się cieszyć towarzystwem Heather. Wbił palce w jej ramiona.

Wydala z siebie długi jęk i raptem urwała.

- Przepraszam, nie chciałam zrobić tego tak głośno. Uśmiechnął się.

- Lubię słyszeć, jak jęczysz. - Okrężnymi ruchami zjechał w dół pleców. - A co więcej, lubię być przyczyną twojego jęku.

- To takie miłe. - Westchnęła. - Nie wiem, co o tobie myśleć.

Rozmasował jej krzyż.

- A musisz w ogóle myśleć?

- Tak. W przeszłości popełniłam kilka nieprzyjemnych błędów. I teraz muszę być bardzo ostrożna. Bo nie tylko własne życie mogę schrzanić, ale też życie Bethany.

Musnął jej włosy, rozkoszując się ich jedwabistym dotykiem.

- Jesteś dla mnie ideałem matki. Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć.

- To jedna z najmiłszych rzeczy, jakie kiedykolwiek usłyszałam.

- Heather. - Ujął ją pod nogi i posadził sobie na kolanach. - To ty wydobywasz ze mnie całą tę życzliwość. To ty sprawiasz, że chcę być ciebie wart.

Dotknęła jego twarzy.

- A dlaczego miałbyś nie być?

- Nie jestem doskonały.

- Nikt nie jest. - Obrysowała palcami jego szczękę. - Masz swoje tajemnice. Takie, które dotyczą ciebie i Louiego.

Chciała wiedzieć więcej. Ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

- Lui zamordował kilka ważnych osobistości ze świata polityki we Francji. Powstrzymałem jeden z jego zamachów i od tego czasu na mnie poluje.

- Jakim cudem projektant mody mógł powstrzymać zabójcę?

- Ja... nie byłem wtedy projektantem. Pracowałem dla rządu.

Oczy jej się zaświeciły.

- Jak James Bond?

- Coś w tym stylu.

- Wiedziała! - Rozciągnęła usta w uśmiechu. - Jesteś seksowny jak James Bond i unosi się wokół ciebie aura niebezpieczeństwa.

Uniósł brwi.

- Uważasz, że jestem seksowny? Zaczerwieniła się.

- Powiedziałam to?

- Tak. - Odsunął jej włosy z czoła. - Chyba będę musiał sprostować swojej reputacji.

- Chyba tak. - Wzrok Heather zsunął się na jego usta. To było zaproszenie. Musnął wargami jej wargi. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając bliżej. Poczul dreszcz. Heather go pragnęła. Pocałował ją mocniej, wkładając w ruch warg i taniec języka całe swoje pożądanie.

Pogładziła jego język własnym i jęknęła. Przesunął rękami po jej zębach, żeby objąć biust.

- Tak - wydyszała mu w policzek.

Rozłożył palce, żeby przykryć piersi, i leciutko ścisnął.

- Jesteś taka urocza. - Musnął nosem ucho Heather. Obok pulsowała jej arteria szyjna, wydzielając zapach krwi grupy AB.

Przechyliła głowę, żeby łatwiej mu było pocałować ją w kark, nie zdając sobie sprawy, jaki ładunek erotyzmu ten ruch niósł dla wampira. Krocze zaczęło mu pulsować w rytmie jej krwi.

- Heather. - Obsypał pocałunkami jej policzki. *Zut*, co za koszmarna pora. Chciał uprawiać z nią miłość, jak należy, a tymczasem za dziesięć minut będzie martwy. Dosłownie.

Przesunęła rękami po jego włosach.

- Pocałuj mnie.

Jak mógł się oprzeć? Jeszcze raz przywarł wargami do jej warg i wsunął język w jej usta. Potarł kciukiem czubek piersi i poczuł, jak sutek sztywnieje. Jego erekcja szybko stawała się torturą.

- Chciałbym z tobą zostać. Chciałbym uprawiać z tobą miłość, ale muszę iść.

- Dlaczego? - Pocałowała go czule w policzek. - Dokąd idziesz?

- Mam... spotkanie w interesach w San Antonio -skłamał. - Ale wrócę wieczorem. W tym czasie możesz trochę odpocząć.

- Będę tęskniła. Pogłaskał ją po głowie.

- Ja też będę tęsknił.

Wdarł się na moment do jej umysłu i poczuł, że zadrżała, wyczuwając jego zimną obecność. „Śpij, moja miłości”. Oddech jej się uspokoił, oczy zaczęły się zamykać.

- Jestem śpiąca - wyszeptwała.

- Wiem. - Delikatnie ułożył Heather na kanapie. Pod głowę włożył jej poduszkę, a z fotela obok wziął narzutę i okrył ją. Pocałował Heather w czoło. - Słodkich snów, *chérie*.

Wygięła usta w uśmiechu, a po chwili jej twarz przybrała nieobecny wyraz.

Jean-Luc zgasił światło i szedł do swojego pustego łóżka w piwnicy.

Poniedziałek minął spokojnie i Heather bardzo to cieszyło. Spała do późna, dopóki Fidelia i Bethany nie zeszły na dół i nie znalazły jej na kanapie. Szybko zjadła śniadanie i zaczęła dzwonić w sprawie domu. Poinformowała też przedszkole, że Bethany będzie nieobecna przez tydzień.

Miała nadzieję, że ten bałagan z Louiem nie potrwa dłużej. Choć z drugiej strony nie miałyby nic przeciwko, gdyby jej znajomość z Jeanem-Lukiem ciągnęła się tygodniami albo i miesiącami. Może nawet latami. Stanowił takie wspaniałe połączenie słodyczy i seksowności. Nie mogła się doczekać wieczoru, żeby znów go zobaczyć.

Zniosła trochę zabawek na dół i kiedy Bethany radośnie się bawiła, poprosiła Pierre'a, żeby wpuścił ją do pracowni. Spytała o szyfr, tłumacząc, że co chwila będzie wchodzić i wychodzić. Pierre tylko się uśmiechnął i ustawił blokadę tak, żeby drzwi wciąż były otwarte.

Praca pochłonięła ją do tego stopnia, że szybko zapomniała o tajemniczej kombinacji cyfr. Postanowiła przerobić białą suknię, którą widziała w głównej sali. Przytaczała do studia manekin z kreacją, a obok niego ustawiła manekin krawiecki, który można było przystosować do większego rozmiaru. Przed i po. Rozmiar zero i rozmiar dwanaście.

Przeczesała półki w poszukiwaniu odpowiedniego materiału. Leżało na nich tyle wyjątkowych tkanin, że niebawem na stole pojawiło się aż dziesięć bel.

Pod spiralnymi schodami znalazła regały pełne materiałów biurowych. Wybrała duży szkicownik i kilka ołówków prismacolor. Rysowała kilka godzin, po czym wróciła do kuchni na lunch.

Phil i Pierre przyłączyli się do nich, gdy jadły hot dogi. Pierre rozbawił je, nalegając, żeby na jego lunch mówiły *le hot-dog*. Wreszcie pojawił się Alberto. Pewnie siedział do późna i musiał odespać. Krzywo popatrzył na ich posiłek.

Heather zauważyła, że włożył golf, który krył ślady na szyi. Wymieniła spojrzenia z **Fidelia**.

Niania uśmiechnęła się szeroko.

- Ugotujesz się w tym swetrze, *muchacho*. Dziś będzie ponad trzydzieści pięć stopni.

- Może chce pan coś zjeść? - spytała Heather.

Wzdrygnął się.

- Zjem na mieście. Przy Main Street jest w miarę dobra niemiecka piekarnia.

- O tak. - Heather wiedziała, o które miejsce chodzi, bo na Main Street była tylko jedna niemiecka piekarnia. - Finkel robi najlepszy strudel jabłkowy w Teksasie.

- *Vraiment?* - Pierre wręczył Albertowi kluczyki do samochodu i dwudziestodolarowy banknot. - W takim razie musisz przywieźć strudel dla wszystkich, *d'accord?*

- Nie jestem chłopcem na posyłki - burknął Alberto. - Ale niech będzie. *Ciao*.

Złapał kluczyki i pieniądze i wyszedł.

- Dziękuję. - Heather uśmiechnęła się do Pierre'a. Wzruszył ramionami.

- Trochę tęsknię za domem. W Paryżu mamy wszędzie patisserie. Najpyszniejsze pieczywo i ciasta. Brakuje mi tego.

- Brzmi wspaniale. - Heather westchnęła. - Zawsze chciałam zobaczyć Paryż. Słyszałam, że są tam wyjątkowe szczury.

Pierre aż się zakrztusił.

- Paryż to najpiękniejsze miasto świata. Powiem Jeanowi-Lucowi, żeby cię tam zabrał. Moja matka robi najlepszego *coq au vin*, jakiego w życiu jadłaś.

- Jestem za.

Wróciła do pracy podniesiona na duchu. Po kilku godzinach rysowania usłyszała, że do pracowni wszedł Alberto.

- Strudel jest w kuchni. - Obrzucił wzrokiem materiały na blacie. - Lubi pani kolory.

- Tak.

Okrażył stół, oceniając jej pracę.

- Ja wolę czerń i neutralne odcienie. Są bardziej wyszukane.

- Ach. - To musiało znaczyć, że jej gust był mniej wyszukany.

Zmarszczył nos na widok manekina, którego przystosowała do rozmiaru dwunastego.

- To o wiele za duże na haute couture.

- Nie zależy mi na aż tak... skomplikowanych projektach. Chcę robić coś, co wyglądałoby dobrze na kimś takim jak ja.

Otworzył szeroko oczy.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? Ja też noszę ubrania.

- No tak. - Ze zbolałym wyrazem twarzy prześliznął się wzrokiem po jej koszulce i dzinsach. - Ale na pewno pani rozumie, że między zwykłymi strojami a światem mody istnieje ogromna różnica.

- Wiem o tym. Chcę, żeby kobiety takie jak ja też były modne. Chcę, żeby lubiły swoje stroje i mogły być dumne z tego, jak wyglądają.

Sprawił wrażenie, jakby mówiła do niego w niezrozumiałym języku.

- Być dumnym z tego, że się nosi rozmiar dwunasty? Jean-Luc wie, co pani robi?

- Tak. Prosił mnie, żebym się tym zajęła. Brwi Alberta poszybowały jeszcze wyżej.

- Pani żartuje. Zacisnęła zęby.

- Nie. Mówię zupełnie poważnie. Moda powinna być dostępna dla wszystkich.

Prychnął.

- To musi być jakieś dziwne amerykańskie wyobrażenie równości.

- Uznam to za komplement.

- To utopia. Świat mody należy do ludzi pięknych. - Alberto otaksował ją wzrokiem. - Jean-Luc po prostu spełnił pani pragnienie. To jasne, czego chce.

Krew uderzyła jej do twarzy.

Obraża pan nie tylko mnie, ale też Jeana-Luca, który miał dość oleju w głowie, żeby się zorientować, że przegapił ogromny rynek zbytu. Mnóstwo kobiet nigdy nie włoży żadnej z tych dziwacznych rzeczy, które pojawiają się dziś na wybiegach. Jean-Luc ma dość odwagi i wyobraźni, żeby dać kobietom ubrania, które naprawdę będą mogły nosić. Na twarzy Alberta pojawił się triumfalny uśmiech. - Widzę, że to pani bohater. Ciekawe, ile czasu to potrwa. Zwłaszcza kiedy dowie się pani o nim więcej. - Powoli podszedł do drzwi. - Mam co robić u siebie. Muszę się zająć prawdziwą modą.

Próbowała wrócić do pracy, ale trudno jej się było skoncentrować. Czyżby Jean-Luc spełniał jej zachcianki, bo go pociągała? Przyjrzała się swoim szkicom. Wydawały się dobre, ale dobry rysunek niekoniecznie oznacza dobrą suknię. I o co chodziło z tym szyderstwem z Jeana-Luca? Czy kiedy go pozna lepiej, będzie go lubiła mniej?

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Nie zrobi tego. Nie pozwoli, żeby lęk i niewiara we własne siły wzięły górę. Wypowiedziała strachowi wojnę.

Bóg jeden wie, że miała się czego obawiać. Nowa praca, znajomość z Jeanem-Lukiem, szalony morderca, który chciał jej śmierci. Porażka nie wchodziła w grę.

Mogła zrobić karierę. Będzie trudno, ale nic co warte zachodu nie przychodzi nigdy łatwo. A znajomość z Jeanem-Lukiem rozwijała się wspaniale. Dziś rano był taki uroczy. I seksowny. Serce Heather przyspieszało za każdym razem, kiedy myślała o jego pocałunkach, o tym, jak masował jej plecy i gładził piersi. Aż dostała gęsiej skórki, gotowa znów poczuć jego dotyk.

Powiedział, że jej pragnie, a ona wiedziała, że to prawda. Poczuli na pośladkach wybrzuszenie w jego spodnie i, Boże dopomóż, chciała go dotknąć. Chciała kochać się z mężczyzną, którego poznała zaledwie kilka dni temu. Dzięki Bogu w dobrym momencie zasnęła.

Co się z nią działo? To miłość, odpowiedział cichutki głos w jej wnętrzu. Nie, niemożliwe. Tylko dlaczego Jean-Luc wciąż był obecny w jej myślach? Dlaczego wciąż chciała, żeby czas mijał szybciej, kiedy go nie widziała?

Miłość.

Nie mogła się skoncentrować, zostawiła więc rysunki na stole i wróciła do kuchni. Fidelia oglądała telewizję, a Bethany się bawiła. Zabawkowy krokodyl gonił Barbie wokół kuchennego stołu, podczas gdy lalka broniła pudełka ze strudlem przed atakiem gada. Heather poczęstowała się kawałkiem ciasta i zaczęła bawić z córeczką. Wkrótce usłyszały chrapanie Fidelii dobiegające z fotela - ten dźwięk nieodmiennie sprawiał, że Bethany zaczynała chichotać.

Heather robiła kolację, kiedy Fidelia gwałtownie się obudziła cała zapłakana.

- Co się stało?

Podeszła do niani, żeby Bethany nie mogła ich usłyszeć.

- Znowu miałam ten przerażający sen - wyszeptala Fidelia. - Czerwone oczy świecące w ciemnościach. Niebezpieczeństwo. Heather się skrzywiła.

- Wciąż nie znaleźli Louiego. Fidelia potarła czoło.

- Zobaczyłam coś jeszcze. Olejny obraz. Zdaje się, że już go gdzieś wcześniej widziałam.

Po kolacji Heather zabrała Bethany na górę, żeby ją wykąpać. Zeszły z powrotem do kuchni koło ósmej, żeby mała przegryzła coś przed snem. Heather zastanawiała się, czy Jean-Luc wrócił już ze swojej podróży w interesach.

Fidelia wkładała naczynia do zmywarki.

- Przypomniało mi się, gdzie widziałam ten obraz. Zadzwońłam, żeby porozmawiać z kustoszka, panią Bolton. - Wręczyła Heather skrawek papieru.

Heather otworzyła szeroko oczy, czytając wiadomość

- Słyszałam o tym miejscu. Teraz jest tam muzeum?

- *Si*. Pani Bolton powiedziała, że poczekają na Ciebie z zamknięciem do dziewiątej.

- Świetnie.

Heather złożyła karteczkę i wsunęła ją do kieszeni dzinsów. Dziwnie będzie się czuła, zabierając tam Jeana-Luca. Znowu zainteresowała się, czy już wrócił. Zerknęła w górę, na nowo zainstalowaną kamerę bezpieczeństwa z mrugającą czerwoną lampką.

- Wiem - mruknęła Fidelia. - Nie lubię być obserwowana.

Ciekawe, kto na nie patrzył. Kimkolwiek był, miała nadzieję, że podobała mu się historia zmagania Barbie z krokodylem. Wtem drzwi do kuchni się otworzyły i do środka wmaszerował Robby w kilcie w zielono-niebieską kratę.

Uśmiechnął się.

- Dobry wieczór. Jean-Luc jest w pracowni i chciałby się z panią zobaczyć.

Serce Heather zabiło szybciej. Przytuliła córeczkę.

- Muszę iść. Obowiązki wzywają. Obowiązki i nieprzemyślany pociąg.

Rozdział 16

Jean-Luc, musimy porozmawiać.

Zerknął znad jednego ze szkiców Heather na wchodzącego do pracowni Alberta.

- Jakiś problem w Paryżu?

- Nie, tutaj. - Alberto machnął w stronę rysunków Heather. - To... to katastrofa.

Jean-Luc odłożył projekty.

- To moja decyzja, Alberto. Nie muszę jej bronić. Alberto spuścił wzrok.

- Nie chciałbym pokrzyżować twoich planów, Jean--Luc, ale sam mnie nauczyłeś, że twoje projekty są tylko dla garstki uprzywilejowanych.

Gniew Jeana-Luca przygasł na widok desperacji malującej się na twarzy asystenta. Najwyraźniej Alberto szczerze wierzył, że projekty Heather to pomyłka.

- Wiem, że to niekonwencjonalny pomysł, ale chcę spróbować.

- Zrobisz z siebie pośmiewisko. Żadna z hollywoodzkich gwiazd nie włoży twoich strojów, jeśli będą je nosili prości ludzie.

- Ty i ja pochodzimy z ludu.

- Tak, ale też wznieśliśmy się ponad lud. - Wskazała na manekin. - Ona robi ubrania dla grubasów!

Szpara w drzwiach oznajmiła przybycie Heather. Jean--Luc jęknął w duchu, świadom, że słyszała niegrzeczną uwagę Alberta. Przysunął się do swojego protegowanego i zmrużył oczy.

- Jesteś w błędzie i przeprosisz za to.

Twarcz Alberta poczerwieniała. Obejrzał się przez ramię na Heather.

- Przepraszam, *signora*.

- To prawda? - Heather była zmartwiona. - Moje projekty zrujnują twoją reputację?

Musiła słyszeć więcej niż tylko obraźliwą uwagę Alberta. Jean-Luc wzruszył ramionami.

- Media są nieprzewidywalne. Nigdy nie wiem, jak zareagują. Mogą wyśmiać ten pomysł, ale też mogą nazwać nas bohaterami i wizjonerami.

Przechyliła głowę, rozważając to, co usłyszała.

- A czy to ma znaczenie, co myślą? To znaczy, jak można nazwać coś porażką, jeśli przynosi duży zysk?

Alberto sapnął ze złością.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Moda to sztuka.

- A ja myślałam, że chodzi o to, żeby ludzie czuli się dobrze - powiedziała Heather. - A skoro wydają na coś pieniądze, to znaczy, że to ich uszczęśliwia.

Jean-Luc się uśmiechnął. Pewność siebie Heather rosła.

- Zrobimy to, Alberto. Dzięki Heather moda będzie dostępna dla kobiet wszystkich kształtów i rozmiarów.

Alberto się zakrztusił, a Heather uśmiechnęła szeroko. Jean-Luc miał ochotę chwycić ją w ramiona, gdy wtem wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Możemy wykorzystać pokaz na cele dobroczynne, by zobaczyć, jak zareagują ludzie - zasugerował. - Heather, uda ci się przygotować kilka projektów przed końcem tego tygodnia?

- Myślę, że tak. - Pokiwała głową. - Pewnie. Jean-Luc nie chciał sprowadzać więcej profesjonalnych modelek, bo zależało mu na tym, żeby o pokazie i jego obecności w Teksasie nie dowiedziały się media.

- Znasz jakieś miejscowe kobiety, które mogłyby wystąpić w twoich strojach?

Alberto prychnął.

- W tym miasteczku pełno jest grubych kobiet. Heather spojrzała gniewnie na Alberta, po czym odwróciła się do Jeana-Luca.

- Mam kilka przyjaciółek, które z rozkoszą wystąpią jako modelki. I wcale nie są grube. - Obrzuciła Włocha wściekłym wzrokiem.

- Ty też możesz pokazać jakieś swoje projekty - powiedział Jean-Luc Albertowi. - Simone, Inga i Sasha mogą wystąpić w twoich strojach.

- Może zrobimy konkurs? - spytał Alberto z błyszczącymi oczami. - I zaprosimy do jury jakieś sławy?

- Nie. - Jean-Luc popatrzył na niego ostrzegawczo. - Żadnych sław, żadnych mediów. Wiesz dlaczego.

Alberto westchnął. Heather się zaciekawiła.

- Dlaczego?

- To będzie mała uroczystość tylko dla miejscowych - przerwał jej Jean-Luc. - Bo dochód z niej zostanie przeznaczony na cele lokalnej społeczności. - Miał nadzieję, że to dostatecznie przekonujące wyjaśnienie i że powstrzyma ją przed zadawaniem dalszych pytań.

Heather się uśmiechnęła.

- To fantastyczne, że zbierasz pieniądze na rzecz lokalnego szkolnictwa. Dziękuję.

Jean-Luc wzruszył ramionami.

- Alberto się tym zajmuje.

Czuł się zażenowany, że Heather uważa go za hojnego darczyńcę, podczas gdy była to łapówka dla budowlańców i burmistrza za to, żeby trzymali buzię na kłódkę w sprawie jego magazynu.

Ten pokaz wzbudzał w Jeanie-Lucu coraz większy niepokój, bo po nim miało się zacząć jego oficjalne zesłanie. Sklep zostanie zamknięty na dobre. Alberto i modelki wrócą do Paryża. Ludzie uznają, że Echarpe także wyjechał, on tymczasem będzie się ukrywał w opuszczonym budynku z dwoma strażnikami przed dwadzieścia pięć długich lat. Jak uda mu się żyć obok Heather i nie ulec pokusie zobaczenia jej?

- Chcesz, żeby na pokazie pojawiły się też jakieś twoje projekty? - spytał Alberto.

Jean-Luc wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia.

Wszystko wydawało się bez znaczenia w perspektywie dwudziestopięcioletniego wyroku bez nadziei na ujrzenie Heather. Ale czy mógł prosić, żeby wraz z rodziną zechciała dzielić z nim więzienie? W przeciwieństwie do niego Heather nie czekały kolejne stulecia. Jej życie było tu i teraz. Jej jedyne życie. Musiała je przeżyć. Bez niego.

- Świetnie - ciągnął Alberto - a zatem Heather i ja pokażemy swoje projekty miejscowemu... pospółstwu, a potem zobaczymy, co plebs wybierze. - Rzucił jej wyzywające spojrzenie i wyszedł z pracowni.

Heather podeszła do Jeana-Luca.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

Popatrzyła na niego uważnie, marszcząc brwi.

- Wyglądasz, jakbyś stracił najlepszego przyjaciela.

Pomyślał, że na to właśnie się zanosi. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. W najgorszym wypadku straci Heather w wyniku krwawej zemsty Luiego. Nie może pozwolić, żeby do tego doszło. Pierwszy go zabije. Niestety, tak czy owak straci Heather, bo to było jedyne honorowe rozwiązanie. Nie mógłby jej prosić, żeby poświęciła dwadzieścia pięć lat swojego krótkiego życia na to, by dzielić jego zesłanie.

Będzie musiał odesłać Heather daleko. Zatrudni ją, żeby projektowała dla niego w Nowym Jorku albo Paryżu. Będzie miała swoje wymarzone życie. I zrobi tak, żeby ani jej, ani jej córeczce nigdy niczego nie zabrakło. Poczul silny przypływ emocji i zorientował się, że planował to wszystko wcale nie z poczucia obowiązku ani nie dlatego, że tak nakazywał honor.

Robił to z miłości. W jakiś sposób w ciągu ostatnich kilku dni Jean-Luc się zakochał.

- Nic mi nie jest - zapewnił ją. - Martwię się po prostu, że wciąż nie znaleźliśmy Luiego.

- Chciałam z tobą o tym pomówić. - Wyciągnęła z kieszeni skrawek papieru i podała mu. - Fidelii przyśnił się olejny obraz, który znajduje się w muzeum na obrzeżach miasta. Kustoszka czeka tam na nas z zamknięciem.

- No to powinniśmy jechać. - Prowadząc ją do drzwi, zerknął na kartkę. - Kurze Ranczo?

- Tak. Najslawniejsze w Teksasie, dlatego przerobili je na muzeum.

Zeszli na dół.

- Muzeum poświęcone kurczakom? Roześmiała się.

- To był dom publiczny.

- Ach. Powinienem być się domyślić.

- Tak. - Heather się skrzywiła. - Ciekawe tylko, skąd Fidelia tyle wie na jego temat.

Gdy wchodzili do głównej sali sklepowej, Jean-Luc zauważył Robby'ego instalującego kamerę pod wysokim na dwa piętra sufitem. Tak się pechowo złożyło, że nie korzystał w tym celu z drabiny.

Echarpe złapał Heather za rękę i odwrócił tyłem do le-witującego strażnika.

- Jak... jak ci minął dzień?

- Dobrze. - Rozciągnęła powoli usta w uśmiechu. - Zaczął się od cudownego masażu.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i zerknął na Szkota. Robby usłyszał ich i zaczął się opuszczać na podłogę.

- Podobały mi się twoje szkice. Heather uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Dziękuję. Robby wylądował.

- Weź kluczyki, Robby. I przynieś naszą broń. Wybieramy się na polowanie.

- Ja też jadę. - Heather pospieszyła do kuchni, wołając: - Pożyczę pistolet od Fidelii. Nie ruszajcie beze mnie!

Szkot zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł.

- Jedzie z nami - oznajmił Jean-Luc i wyszedł na zewnątrz, zanim Robby zdążył zaprotestować.

Po obu stronach frontowych drzwi znajdowały się lampy, które rzucały na ganek blade światło. Jean-Luc uważnie zlustrował teren oddzielający jego kryjówkę od autostrady. Nigdzie ani śladu ruchu. Cedry i kępy palm porastających okolicę okalały długi podjazd. Jego bmw i półciężarówka Heather stały zaparkowane nieopodal. Wzdłuż podjazdu ogrodnik zasadził wprawdzie dęby, ale na razie były jeszcze maleńkie. Gdy czas jego zesłania minie, wyrosną potężne i imponujące.

- Tu jesteś! - Heather wybiegła na ganek. - Bałam się, że pojechaliście beze mnie.

- Powinniśmy, ale właśnie odkryłem, że mam z tobą problem.

- Jaki? - Zrzuciła torebkę na ramię.

- Nie jestem ci w stanie odmówić. Roześmiała się.

- To nie problem.

- Problem, jeśli naraża cię na niebezpieczeństwo.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć. Prowadzę wojnę ze strachem, nie pamiętasz?

- Podziwiam twoją gotowość do konfrontacji z tym draniem. - Objął ją w talii i poprowadził w ciemny koniec ganku. - A jak ci idzie konfrontacja z pociągiem, jaki do siebie czujemy?

Otworzyła szeroko oczy.

- Ja... Chyba muszę się zgodzić, że rzeczywiście coś takiego między nami jest.

- I staję się coraz silniejsza. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Oparła się o kolumnę i popatrzyła na autostradę.

- To się dzieje tak szybko.

- Myślisz, że to nie jest prawdziwe?

- Nie. Jest prawdziwe. Na tyle prawdziwe, że może mnie zranić.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nie celowo.

- Wiem. - Położyła mu dłoń na piersi. - Bardzo mnie... pociągasz, Jean-Luc, ale staram się nie popełnić błędu, którego mogłabym później żałować.

- Rozumiem. - Oparł dłonie po obu stronach kolumny, unieruchamiając Heather w swoich objęciach.

- Wiem, że powinnam ci się opierać. Ale za każdym razem, kiedy jesteś blisko, mogę myśleć tylko o tym, jak bardzo cię pragnę.

Pocałował ją w czoło.

- Wciąż pamiętam, jak dobrze mieć cię w ramionach i jak słodko smakujesz. - Pocałował ją w policzek. -Przypominasz sobie nasz pierwszy pocałunek, *chérie*? Ten w parku?

Kąciki jej ust drgnęły.

- Jaki pocałunek? Czyżbyśmy się całowali?

- Rozpływałaś się w moich ramionach. Jęczałaś i smakowałaś mnie językiem.

- Och, ten pocałunek.

- Dziś rano znowu to zrobiłaś.

- No cóż, pewne rzeczy trzeba powtarzać, póki się nie zrobi ich dobrze.

Uśmiechnął się.

- *Cherie*, robisz to świetnie. - Przejechał palcami po jej szyi. - Mogę myśleć tylko o tym, żeby cię całować. Nie jestem w stanie pracować. Mój mózg stał się całkowicie bezużyteczny.

- Biedaczek. - Przechyliła głowę, kiedy potarł nosem jej szyję. - Nie możemy pozwolić, żebyś był bezużyteczny.

- Jestem pewien, że coś się znajdzie. - Dotknął językiem pulsującej arterii szyjnej. Zapach jej krwi go rozpałił.

- Na przykład spróbujesz mnie uwieść? - wydyszała.

Obsypał pocałunkami drogę do jej ucha.

- To nie jest próba. Ja cię uwodzę.

Chwycił ją ustami za małżowinę i jęknął, gdy zareagowała drżeniem. Zamknął ją w objęciach, ssąc płatek ucha. Otoczyła jego szyję ramionami.

- Tak - wyszeptała. Musnął ustami jej policzek.

- Tak bardzo cię pragnę.

- Wiem - wydyszała w jego usta. - Dlaczego jest nam tak dobrze?

- Bo... pasujemy do siebie.

Przycisnął wargi do ust Heather i przyciągnął ją do siebie mocniej. Naprawdę do siebie pasowali. Jego usta idealnie układały się na jej wargach. Jej pierś poruszała się w rytm jego oddechu.

Przesunął dłońmi w dół jej pleców. Talia Heather wyginała się idealnie w stronę jego podbrzusza, jej biodra przytulały się do jego krocza, a brzuch amortyzował jego erekcję. Heather była doskonała w każdy możliwy sposób.

Jak mógł pozwolić jej odejść? Może nauczy się akceptować fakt, że jest wampirem. Może i on będzie tak kochany jak Roman i Angus. Może nawet będzie mógł mieć rodzinę.

Uderzyły w nich światła samochodu wjeżdżającego na podjazd. Jean-Luc natychmiast pchnął Heather w cień za kolumnę.

- Myślisz, że to Louie? - spytała.

- Nie. Nie przyjeżdżałby tu tak jawnie. - Patrzył, jak samochód mija furgonetkę Heather i jego bmw. Z piskiem opon zatrzymał się dopiero tuż przed frontowymi drzwiami. - To pewnie jeden z twoich wielbicieli z miasteczka.

- Nie mam żadnych wielbicieli - mruknęła.

- To kim był ten hałaśliwy człowieczek, którego musiałem wrzucić do wody?

- Coach Gunter. Raczej utrapienie niż wielbiciel. Odwróciła się, żeby wyrzeć zza kolumny, ale Jean-Luc wepchnął ją z powrotem w cień.

- Ostrożnie. - Zmrużył oczy, gdy mężczyzna wysiadał z samochodu. - Tak. Ten z pewnością jest w tobie zakochany.

- Co takiego?

- Heather! - krzyknął mężczyzna z podjazdu. - Wiem, że tu jesteś!

- Cody? - wyszeptała, krzywiąc się. - Mój były wcale mnie nie kocha. On mnie nienawidzi.

- Nienawidzi tego, że go odrzuciłaś - powiedział szeptem Jean-Luc. - Ale ciebie wciąż kocha. Uwierz mi. Znam objawy.

- Znasz? - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Heather, wyjdź! - krzyknął Cody. - Widziałem, jak się całowałaś na ganku z tym facetem.

- Zazdrośnik - szepnęła Jean-Luc.

- Całe miasto już wie! - ryczał Cody. - Wszyscy wiedzą, że tu mieszkasz. Wiedzą, że żyjesz z tym bogatym cudzoziemcem.

- Mam go potraktować mieczem? - spytał cicho Robby, zamykając drzwi.

- Nie. - Jean-Luc wyszedł z cienia. - Wtargnął pan na teren prywatny. Sugeruję, żeby go pan opuścił.

- Mam prawo tu być! Ma pan tu moją córkę. Co pan jej zrobił?

- Bethany miewa się świetnie. - Heather przesunęła się w stronę światła. - Zgodnie z umową możesz ją zabrać w piątek. A teraz idź do domu, Cody.

- Dlaczego? Żebyś mogła się różnić ze swoim nowym chłoptasiem? Nie wiedziałem, Heather, że jesteś taką cholerną dziwką.

- Dość tego! - Jean-Luc skierował całą swoją psychiczną moc w stronę czoła Cody'ego. Drań zatoczył się do

tyłu. „Za każdym razem, kiedy rzucisz pod adresem Heather obelgę, staniesz się karaluchem”.

Cody opadł na brukowany chodnik.

Heather zrobiła krok do przodu.

- Co...

- Zostaw go. - Jean-Luc dotknął jej ramienia. Cody przeczołgał się na podjazd, po czym kucnął.

- Jestem karaluchem - zapiszczał. Heather zrobiła gwałtowny wdech.

- Znowu?

Cody doczołgał się do bmw, wskoczył na maskę i prze-pełził na drugą stronę.

Jean-Luc skrzywił się, widząc, jak niegodnie został potraktowany jego samochód. „Nie możesz zabrać swojej córki w tym tygodniu”.

Cody zatoczył się w stronę swojego wozu.

- Nie mogę zabrać swojej córki w tym tygodniu. Zanurkowałem do środka przez otwarte okno.

- Czy on jest pijany? - Heather skrzywiła się, gdy zawarczał silnik. - W takim stanie nie powinien prowadzić.

Samochód wystrzelił do przodu i przeskoczył nad krawężnikiem w miejscu, gdzie droga dojazdowa zakreślała w stronę autostrady.

„Będziesz prowadził dobrze”, nakazał mu telepatycznie Jean-Luc, choć nie był pewien, czy w tym stanie Cody w ogóle mógł prowadzić.

Samochód przestał jechać zrykiem i już prosto popędził autostradą.

Heather wypuściła powietrze.

- On traci rozum. Dzięki Bogu, że nie chce wziąć Bethany na weekend.

- To było niezwykle - odezwał się Robby za ich plecami. Jean-Luc obejrzał się i zobaczył, że Szkot spogląda na niego z rozbawieniem.

- Gotowy?

- *Aye*. - Robby ruszył po schodach, niosąc miecz i szpadę. - Ale najpierw sprawdzę wóz.

- To tutaj.

W świetle reflektorów parkującego samochodu Heather przyglądała się budynkowi w stylu królowej Anny. Między wystrzępionymi krzakami azalii na froncie dostrzegła kamienną piwnicę.

Piętrowy drewniany budynek stał w samym środku głuszy, ale pięćdziesiąt lat temu ściągali tu klienci z całego stanu. Ogromny znak przy schodach głosił: „Kurze Ranczo, 1863”. Heather zauważyła starego chevroleta impalę na parkingu, zapewne własność pani Bolton.

Zabrała torebkę z glockiem Fidelii i latarką w środku i dołączyła do Jeana-Luca na chodniku. Robby wręczył Echarpe'owi jego szpadę, a ten wsunął ją do pochwy ukrytej pod długim czarnym płaszczem. Szkot nie kłopotał się chowaniem claymore'a przywiązanego na plecach.

Gdy wchodzili na ganek, Heather pokręciła głową.

- Pani Bolton nie pozwoli wam wejść z tą bronią.

- To najmniejsze z moich zmartwień. - Jean-Luc zapukał do drzwi.

Czekali, a Heather podziwiała zdobienia wokół ganku i wiklinowe meble.

- Dobrze utrzymane miejsce. Jean-Luc zapukał znowu. Heather zmarszczyła brwi.

- Mówiła, że będzie otwarte.

Jean-Luc przekręcił gałkę i drzwi powoli ustąpiły.

- I jest.

Wszedł do słabo oświetlonego holu, Robby zaś pomaszerował za nim.

- Halo?! - zawołała Heather, wchodząc do środka. Żadnej odpowiedzi. Rozejrzała się dokoła. Tapeta z wypukłym wzorem na ścianach, na drewnianej podłodze wschodni dywan. - Może jest w łazience.

Robby'ego najwyraźniej nie przekonało takie wygodne tłumaczenie, bo wyciągnął miecz. Wszedł do ciemnego salonu po prawej, ściskając claymore'a w dłoni.

Zatrzymał się gwałtownie.

- Boże wszechmocny - wyszeptał.

- Co takiego? - Jean-Luc wbiegł do środka i też się zatrzymał.

Heather nie widziała, na co patrzą, wymacała więc włącznik i zapaliła światło.

- Dobry Boże.

Światło było wycelowane w odległą ścianę, na której wisiał ogromny, szeroki na półtora metra obraz. Heather przełknęła ślinę. Nic dziwnego, że Fidelia go rozpoznała. Kto mógłby zapomnieć coś takiego. Całkiem naga krągła blondynka spoczywała na obitym aksamitem szezlon-gu i sprawiała sobie rozkosz z jedną ręką na bujnej piersi, a drugą między rozrzuconymi nogami. Sądząc po wyrazie twarzy, jej ręce potrafiły zdziałać cuda.

- Rany. Nie zostawia zbyt wiele pola dla wyobraźni.

Odwróciła się, żeby przyjrzeć się reszcie pomieszczenia. Pod ścianami stały szezlongi tak jak ten na obrazie obite czerwonym aksamitem. Ciekawe, czy prostytutki odtwarzały tę scenę dla klientów.

Robby przechylił głowę, przyglądając się obrazowi.

- Podejrzewam, że chodziło o to, żeby rozbudzić mężczyznę.

Jean-Luc stanął obok ze wzrokiem przyklejonym do płótna.

- Z biznesowego punktu widzenia to ma sens. Kiedy mężczyźni są rozbudzeni, można ich szybciej obsłużyć.

- I zarobić więcej pieniędzy - podsumował Robby.

- Halo? - Heather pomachała im ręką przed oczami. - Szukamy niebezpiecznego maniaka, pamiętacie?

Robby podskoczył, jakby go wyrwano z transu.

- Rozejrzę się.

Wyszedł na korytarz i ruszył po schodach w górę. Heather zerknęła na obraz, a potem, marszcząc brwi, popatrzyła na Jeana-Luca.

- Skończyłeś? Usta mu drgnęły.

- Trochę mi jej szkoda. Tylu mężczyzn tu przychodziło, a ona musiała sprawić sobie rozkosz sama.

Heather wzruszyła ramionami.

- Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione dobrze, musisz to zrobić sam.

Uniósł brew.

- To twój przypadek? Prychnęła szyderczo.

- Nie mówiłam o sobie.

- Na pewno? Czy to nie twój były potrzebował tylko trzech kroków?

Heather poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

- Ciekawe, co się stało z panią Bolton. - Ruszyła w kierunku zamkniętych drzwi i zapukała, zanim spróbowała je otworzyć.

- Pani Bolton?

- Pozwól. - Jean-Luc szybko wyciągnął szpadę i pierwszy wszedł do pokoju.

Heather pomacała ścianę i znalazła włącznik. Z sufitu zwisał mały kryształowy żyrandol otoczony przez zwierciadło w ozdobnej złotej ramie. Zwierciadło odbijało światło, Heather jednak podejrzewała, że miało również inny cel, zważywszy na to, że umieszczono je nad ogromnym łóżkiem.

Łóżko i okna były przesłonięte czerwoną satyną i koronkami. Ściany pokrywała czerwona tapeta ozdobiona czarnymi amorkami. W rogu ustawiono wielkie biurko z przegródkami. Pokój burdelmamy, jak sądzę. - Jean-Luc zajrzał do szafy. - Wygląda na to, że lubiła się zabawić.

Tak. - Heather wskazała na parę kajdanek przyczepionych do wezglowia łóżka z kutego żelaza. - Zdaje się, że lubiła, żeby jej zawsze było na wierzchu.

Jean-Luc zmarszczył brwi.

- Nigdy bym na to nie pozwolił. Nie lubię czuć się bezsilny.

Heather prychnęła.

- Musiałbyś zaufać, że nie zrobię ci krzywdy. - Wzdrygnęła się. - To znaczy ktokolwiek musiałby zaufać.

Poczuła, że twarz jej płonie.

Podszedł do niej, uśmiechając się powoli.

- Czyżbyś zapraszała mnie do swojego łóżka, *chérie*?

- Nie. To tylko takie teoretyczne rozważania. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Choć przypuszczam, że nie potrzebowałabym łańcucha, żeby przykuć cię do łóżka.

- Nie, nie potrzebowałabyś. - Oczy mu błyszczały.

- A czy ja bym potrzebował? Teoretycznie rzecz biorąc?

Odsunęła włosy z wilgotnego czoła.

Muszę mieć poczucie, że kontroluję sytuację.

- Ach, rzucasz mi wyzwanie. - Przynął się bliżej. - Chcesz, żebym sprawił, że stracisz kontrolę.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Zdaje się, że zboczyliśmy z tematu. Musimy znaleźć

panią Bolton. - Podeszła do kolejnych drzwi. Jean-Luc przeszedł przez nie pierwszy, Heather za nim.

To pomieszczenie miało mniej oficjalny charakter, wyglądało

na miejsce, gdzie panie odpoczywały po pracy. Otwierało się na hol i kuchnię. Tam znaleźli drzwi prowadzące do piwnicy.

Dołączył do nich Robby, który nalegał, że zejdzie pierwszy. Przekreślił włącznik, nic się jednak nie stało.

- Może jakieś spięcie - powiedział Jean-Luc.

Heather wyjęła z torebki latarkę i poświeciła na schody. Robby ruszył pierwszy, a za nim Jean-Luc i Heather. Na dole powiodła latarką dokoła, oświetlając niewielki magazyn z półkami. Piwnicę najwyraźniej podzielono na kilka pomieszczeń.

- Czujesz? - spytał cicho Robby.

- Tak. - Jean-Luc chwycił Heather za rękę. - Zabieram cię do samochodu.

- Jak to? Dlaczego?

Zobaczyła, że Robby idzie szybko do pomieszczenia obok. Wciągnęła nosem powietrze, ale nie wyczuła niczego poza kurzem.

- Nie ma go tu! - zawołał po chwili Robby. - Ale będę potrzebował latarki.

- *Merde*. - Jean-Luc objął Heather ramieniem. - Trzymaj się blisko mnie.

Zadrżała i strumień światła zachwiał się, gdy weszli do pomieszczenia obok.

- Ściana po lewej - dobiegł z ciemności głos Robby'ego. - Tam to wyczułem.

Wycelowała latarką w ścianę i wydała stłumiony okrzyk, kiedy pojawiły się czerwone litery. To była wiadomość, ale nie po angielsku.

- To francuski. - Jean-Luc wziął od niej latarkę i przejechał wzdłuż napisu. - „Spotkamy się w czasie, który ja wybiorę”.
Podpisano: „L”.

- Louie - wyszeptala Heather i cofnęła się. - Był tutaj. Robby podszedł do ściany, żeby lepiej przyjrzeć się literom.
- Są świeże.

Heather wypuściła powietrze. Zrozumiała, że to nie farba. Tylko krew. Świeża krew. Zrobiła krok do tyłu. Poczula, że dostaje gęsiej skórki.

- Zostawił nam wiadomość. Wiedział, że się tu wybieramy.

- Tak. - Jean-Luc wciąż studiował napis.

W gardle Heather urosła gęsia skóra. Skąd się wzięła ta krew? Cofnęła się jeszcze o krok i o coś zawadziła.

- Aaa! - Poleciała do tyłu i wylądowała na czymś dużym. Znow krzyknęła.

Jean-Luc odwrócił się szybko i skierował na nią snop światła. Na nią i na ciało.

- O mój Boże! - Zerwała się jak oparzona.

Na podłodze leżało ciało kobiety z poderżniętym gardłem. Jean-Luc i Robby skoczyli do przodu.

Heather uderzyła się ręką w usta. Jean-Luc ją złapał. Na moment wszystko zrobiło się czarne, a kiedy mrugnęła, poczuła, że jest jej niedobrze i kręci jej się w głowie.

Wiatr owiewał jej twarz i zorientowała się, że jest na parkingu obok bmw Jeana-Luca. Musiała zemdleć, bo nie pamiętała, jak się tu znalazła.

- Wracajmy do domu. - Jean-Luc wsadził ją do samochodu.

Trzęsącymi się dłońmi upuściła na podłogę torebkę. Biedna pani Bolton. Pierwsza ofiara Louiego w Teksasie. Wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie, że właśnie pomyślała słowo „pierwsza”.

Nie mogą pozwolić, żeby Louie zabił znowu. Zwłaszcza że na jego liście były ona i jej córka.

Rozdział 17

W domu Jean-Luc tam i z powrotem przemierzał korytarz obok kuchni. Nigdy więcej. Nieważne, jak błagalne byłoby spojrzenie ślicznych zielonych oczu Heather, następnym razem jej nie zabierze. Nie wtedy, kiedy Lui zostawia za sobą trupy.

Merde. Na tej ścianie było tyle krwi. Jej woń była tak silna, że nie wyczuł zwłok na podłodze.

Heather zeszła tylnymi schodami. Wciąż była blada i miała rozbiegany wzrok.

- Z nimi wszystko w porządku?

- Tak. Bethany śpi, a Fidelia czyta. Zorientowała się, że coś jest nie tak, ale nie chciałam z nią o tym rozmawiać.

Weszła do kuchni, a Jean-Luc podążył za nią.

- Nie chcę nawet o tym myśleć. - Umyła ręce w zlewie i wytarła do sucha ręcznikiem. - To było okropne.

- Nie powinienem był ci pozwolić jechać. - Nalał jej wody. - Proszę. Chyba że chcesz czegoś mocniejszego.

- Nie, woda jest w porządku. - Wypiła łączywie pół szklanki. - Fidelia miała rację. Louie ukrywał się w tej piwnicy.

- *Oui*. Ale teraz się przeniósł, a my nie wiemy dokąd.

- Biedna pani Bolton. - Heather zadrżała. - Nie rozumiem. Jak mogła pozwolić, żeby ten psychopatyczny morderca zamieszkał w piwnicy? Groził jej czy może ją jakoś oszukał?

Jean-Luc zmarszczył brwi. Musiał wyjawiać Heather pewne informacje.

- Lui prawdopodobnie ją kontrolował. Jest mistrzem w manipulowaniu umysłami.

Heather otworzyła szeroko oczy.

- I znów Fidelia miała rację. Ma zdolności parapsychiczne.

- Tak. Wykorzystuje ludzi, a potem się ich pozbywa.

Jean-Luc przełknął ślinę. Nadszedł czas, żeby powiedzieć jej więcej. Jeśli chce, żeby ten związek się rozwijał i trwał - a tego właśnie chciał - musi być z Heather uczciwy. Serce zaczęło mu bić szybciej. A co, jeśli go odrzuci? Potrzebna jest wielka ostrożność. Nie może pozwolić, żeby uciekła i sama stawiała czoło Luiemu. Heather westchnęła.

- Wiem, że Robby zadzwonił już po Billy'ego, ale boję się z nim rozmawiać. Nie chcę jeszcze raz przeżywać tej strasznej sceny. - Odkręciła kran i znów opłukała ręce.

- Heather. - Jean-Luc zakręcił wodę. - Nie uda ci się tego zmyć.

Gdy wycierała drżące dłonie, w jej oczach zalśniły łzy.

- Staram się być dzielna, ale wciąż widzę jej ciało. Po prostu chcę, żeby to wszystko zniknęło.

Szczęknięły drzwi i do środka zajrzał Robby.

- Przyjechał szeryf.

Heather czekała na schodach przed wejściem, bębniąc palcami o uda. Billy siedział w radiowozie i nigdzie się nie spieszył. Przejrzał notatnik. A potem wyjął nową wykałaczkę z opakowania.

Jęknęła i na chwilę przymknęła oczy.
- Wszystko w porządku - szepnął Jean-Luc, stając cicho obok. - Każąc nam czekać, szeryf pokazuje, że to on jest panem sytuacji.
Zacisnęła dłonie w pięści, żeby przestać nimi poruszać. Teraz już nie miała wątpliwości, że Louie jest mordercą. Życie ludzkie nic dla niego nie znaczyło.
Robby stanął po drugiej stronie Heather.
- Nie dopuścimy, żeby stała się pani krzywdą.
Właściwie miała mnóstwo szczęścia. Dwóch prawdziwych mężczyzn było gotowych walczyć na śmierć i życie, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie wspominając o pozostałych strażnikach i Fidelii. Nie była samotna jak biedna pani Bolton. Wspomnienie jej martwego ciała przyprawiło Heather o kolejną falę dreszczy.

W końcu Billy włożył czapkę i wyszedł
- Dobry wieczór. - Zatrzasnął drzwiczki, po czym okrążył radiowóz i stanął na środku podjazdu. A teraz, kto z was dzwonił z informacją o zwłokach?
- Ja, Robby MacKay.
Billy otaksował go wzrokiem.
- Pan też jest obcokrajowcem?
- *Aye*, Szkotem. Widział pan już ciało?
- To ja tutaj zadaję pytania. - Billy wyciągnął z kieszeni notatnik i ołówek. - A teraz gdzie dokładnie znajdują się zwłoki? - Zerknął na Jeana-Luca. - To nie kolejna wiewiórka, prawda?
- To pani Bolton. - Heather spojrzała gniewnie na Bil-ly'ego. - Jest kustoszką w muzeum Kurze Ranczo. Znajdziesz ją... w piwnicy. - Łzy napłynęły jej do oczu, gdy przypomniała sobie makabryczny widok.
- Heather, co robiłaś na Kurzym Ranczu? - spytał Billy. Zrobiła głęboki wdech, żeby powstrzymać łzy i odegnąć straszliwy obraz.
- Fidelia nas tam skierowała. Miała wizję.
- Szukamy człowieka, który podłożył ogień pod dom Heather - wyjaśnił Jean-Luc. - Fidelia uważała, że się ukrywa na Kurzym Ranczu, więc...
- Pojechaliście tam? - przerwał mu Billy, nozdrza mu się rozszerzyły. - Trzeba było zadzwonić po mnie!
- Nie było innego sposobu, żeby się przekonać, czy wizja Fidelii jest prawdziwa.
- To nieważne. - Szeryf zrobił krok w jej kierunku, wymachując palcem. - Nie prowadzicie własnego śledztwa. Wzywacie mnie. - Spojrzał gniewnie na mężczyzn po obu stronach. - Gdyby cokolwiek stało się Heather, wy dwaj bylibyście za to odpowiedzialni.
- My ją chronimy - powiedział Jean-Luc przez zaciśnięte zęby.
- To nie wasze zadanie. - Billy wypluł wykałaczkę na ziemię. - Więc mówicie, że facet, który podpalił dom Heather, właśnie zabił panią Bolton?
- *Aye* - odparł Robby.
Billy zanotował coś w notesie.
- Wiecie, kto to jest?
- Nie znam jego nazwiska, ale ten człowiek zabijał już wcześniej - powiedział Jean-Luc. - We Francji.
- Cholera. Następny cudzoziemiec. - Billy spojrzał na niego nachmurzony. - Jak to możliwe, że francuska policja pozwoliła mu uciec?
Jean-Luc westchnął.
- Nikt nie wie, kim jest. Groził Heather i my przysięgliśmy ją chro...
- Chwileczkę! - Billy podniósł dłoń. - Heather, jeśli jesteś na jego liście, muszę cię zabrać w jakieś bezpieczne miejsce.
- Dokąd? Gdzie umieścisz mnie i Bethany? - spytała Heather.
- Coś wymyślę - odparł Billy. - Zawsze jest areszt.
- Nie! - Heather się skrzywiła. - Nie zabiorę Bethany do więzienia. Tu jesteśmy bezpieczne.
Billy zmrużył oczy.
- Jesteś pewna? Zdaje się, że twoje kłopoty zaczęły się, kiedy spotkałaś pana Sharpa.
- Mam tutaj pięciu strażników, włączając w to Rob-by'ego, i znakomity system alarmowy - zadeklarował Jean-Luc. - Mogę zapewnić bezpieczeństwo Heather i całej jej rodzinie.
Billy spojrzał na niego spode łba i odwrócił się do Heather.
- Tego właśnie chcesz? Powierzyć swoje życie cudzoziemcowi?
- Tak.
Heather zdziwiło, że odpowiedź przyszła jej z taką lu-twością. Bo choć tylu rzeczy nie wiedziała o Jeanie-Lucu, naprawdę mu ufała. Zerknęła na niego i zobaczyła ulgę malującą się na jego twarzy.
- Muszę porozmawiać z tobą na osobności. - Billy ruszył do samochodu i zaczekał, aż Heather do niego dołączy.
Zbiegła z ganku i przeszła przez podjazd.
- O co chodzi?

Obejrzał się na Robby'ego i Jeana-Luca i zniżył głos.

- Znasz ich dopiero kilka dni. Jesteś pewna, że możesz im zaufać?
- Tak.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Nie jestem pewien, czy myślisz trzeźwo. Jesteś tu z własnej nieprzymuszonej woli? Nikt cię w żaden sposób do niczego nie zmusza?
- Nie. Naprawdę uważam, że dla Bethany i dla mnie to najbezpieczniejsze miejsce.

Billy zmarszczył brwi.

- No cóż, ten żabojad pilnuje cię jak jastrząb. Heather obejrzała się. Jean-Luc bacznie się im przyglądał.
- Troszczy się o mnie.
- Jest w nim coś, co sprawia, że mu nie ufam.
- Billy, ty nie ufasz żadnym cudzoziemcom. Właściwie nie lubisz nikogo, kto się nie urodził w Teksasie.
- No cóż, to prawda. - Przewrócił kartkę w notatniku. - Dam ci numer swojego prywatnego telefonu komórkowego. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy, a ja pojawię się natychmiast.
- Dobrze. - Wzięła karteczkę.
- Mówię poważnie, Heather. Zawiodłem cię kiedyś i więcej tego nie zrobię.

Znów napłynęły jej łzy do oczu.

- Dziękuję.
- Muszę sprawdzić to ciało, ale wrócę później, żeby zadać więcej pytań.

Pokiwała głową.

- Rozumiem.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Będzie dobrze.
- Dzięki.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu, Billy zaś okrążył samochód. Zanim zdążyła dotrzeć na ganek, odjechał.

- Dobrze się czujesz? - Jean-Luc dotknął jej ramienia, wprowadzając Heather do środka.
- Jestem zmęczona. - Potarła oczy. - Ale też za bardzo zdenerwowana, żeby iść spać, a Billy może wrócić, żeby zadać więcej pytań.
- Może chcesz zobaczyć mój gabinet? Będziemy tam mogli porozmawiać.

Porozmawiać? Znów skończyłoby się na całowaniu. I choć brzmiało to cudownie, Heather nie chciała się narzucać Jeanowi-Lucowi, żeby wyrzucić z głowy wspomnienie martwego ciała.

- Nie, nie dziś. Ja... wolałabym pobyć sama. Zdaje się, że mam trochę pracy. - Ruszyła w stronę studia.
- Wpuszczę cię. - Poszedł za nią. - Heather, nie chcę, żebyś miała wrażenie, że... jesteś tu uwięziona. Wiem, że to najbezpieczniejsze miejsce, ale jeśli chciałabyś odejść...

Dotknęła jego ramienia.

- Zostanę.
- Dobrze.

Ciekawe, czy słyszał jej rozmowę z Billym. Jeśli tak, to znaczyłoby, że ma znakomity słuch.

Jean-Luc wystukał kod na klawiaturze i otworzył Heather drzwi.

- Gdybyś mnie potrzebowała, będę w swoim gabinecie. A Robby w pomieszczeniu ochrony.

- Dam sobie radę, dziękuję.

Ze smutkiem na twarzy dotknął jej policzka i wyszedł.

Heather powlokła się do stołu i spojrzała na szkice. Kilka razy odetchnęła głęboko, starając się odegnać okropne wspomnienia. Musi uciec, choćby na chwilę. Musi stworzyć coś pięknego.

Wybrała projekt, który chciała zrealizować najpierw, i tkaninę - jedwabny szyfon w kolorze królewskiego błękitu. A potem zaczęła przygotowywać wykrój. Po kilku godzinach udało jej się uzyskać taki, z którego była zadowolona. Wycięła materiał.

- Pani Westfield? - Do środka zajrzał Robby. - Pani córka właśnie zeszła. Jean-Luc zabrał ją do kuchni. Pomyślałem, że chciałaby pani o tym wiedzieć.
- Tak, dziękuję. - Wyszła na korytarz i razem z Robbym przeszli przez główną salę sklepową.
- Zobaczyłem, jak przechodzi, dzięki kamerze przed biurem Jeana-Luca - wyjaśnił Robby. - Zadzwoń do niego, a on pomoże jej zejść do kuchni. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.
- Ależ skąd. Cieszę się, że znalazł się ktoś przytomny, kto jej pomógł.
- Gdyby mnie pani potrzebowała, będę tutaj - powiedział Robby, wchodząc do pomieszczenia ochrony.
- Dobranoc.

Heather poszła do kuchni i bezszelestnie otworzyła drzwi. Usłyszała głosik Bethany.

- Ja będę Barbie, a ty możesz być krokodylem.
- Dobrze - odparł cicho Jean-Luc.
- Co on robi? - spytała Bethany.

- Kłania się. Dzień dobry, miłady. Bethany zachichotała.

- Krokodyle się nie kłaniają.
 - Powinny, kiedy spotykają księżniczkę.
 Bethany zaśmiała się jeszcze głośniej.
 - Ty się tak kłaniasz, kiedy mnie widzisz.
 - Bo jesteś księżniczką. W tym domu nie było żadnej, dopóki się nie pojawiłaś.
 Serce Heather urosło. Jaki miły komplement.
 - Już wiem! - wykrzyknęła podekscytowana Bethany. - Udawajmy, że ja jestem księżniczką, a krokodyl żabą.
 - Kum, kum - zakumkał Jean-Luc.
 Bethany znowu zachichotała. Heather uśmiechnęła się do siebie.
 - A potem księżniczka całuje żabę. - Bethany wydała głośny mlaskający odgłos. - A ona zamienia się w księcia. I teraz już zawsze będą się kochać.
 Zapadło milczenie. Heather czekała, co powie Jean-Luc.
 - A czy piękna panienka - odezwał się niskim, pełnym napięcia głosem - pokochałaby go, gdyby był... wstrętną kreaturą?
 Heather omal nie krzyknęła: tak! Ale przecież Jean-Luc nie mógł mieć na myśli siebie. Nie był żadną kreaturą. Był miły i cudowny. Najdoskonalszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. Nie było sensu dłużej temu zaprzeczać. Heather się w nim zakochała.
 - Myślę, że tak - odparła poważnie Bethany. - Księżniczka Fiona zakochała się w Shreku, a to przecież zielony ogr.
 Co za inteligentne dziecko! Heather aż pękała z dumy.
 - Nie słyszałem o żadnym Shreku - powiedział Jean-Luc.
 - Nie znasz Shreka? - W głosie Bethany słychać było zdumienie. - Mam go w domu. Możesz ze mną obejrzeć.
 - Bardzo chętnie - zgodził się Jean-Luc. Heather zamknęła głośno drzwi.
 - Halo? - Minęła część salonową i zobaczyła ich przy stole w kuchni.
 - Mama! - Bethany skoczyła w jej stronę. - Obudziłam się i nie było cię obok.
 - Przepraszam. - Heather ukucnęła, żeby przytulić córeczkę. - Pracowałam do późna.
 Jean-Luc wstał.
 - Dałem jej trochę ciastek i mleko. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.
 - Nie. - Uśmiechnęła się do niego. - Jesteś kochany. Kąciki ust Echarpe'a drgnęły, a oczy zalśniły uczuciem.
 Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć. Serce Heather przepelniły miłość i tęsknota.
 Za jej plecami otworzyły się drzwi i Robby powiedział:
 - Szeryf wrócił. Chce nas wszystkich przesłuchać. Pojedynczo.
 - Pójdę pierwszy. - Jean-Luc ruszył w stronę wyjścia.
 - Chodź, kochanie. - Heather poprowadziła córeczkę do drzwi. - Wracamy do łóżka.
 Zaprowadziła Bethany do sypialni i czytała jej książkę, dopóki mała nie zasnęła. Kiedy zerknęła na zegarek, okazało się, że jest już po trzeciej. Dobry Boże, to była noc bez końca. Ziewając, Heather zeszła na dół, gdzie znalazła czekającego na nią Billy'ego. Wypytywał ją przez pół godziny, a gdy skończył, Robby odprowadził go do wyjścia.
 Z westchnieniem Heather weszła na schody. Nareszcie mogła iść spać.
 Usłyszała dźwięki i zatrzymała się, nasłuchując. Muzyka klasyczna. Ostrożnie podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy i przyłożyła ucho. Fortepian i klawesyn.
 - Mogę w czymś pomóc? - Robby zbliżył się do niej powoli.
 - Właśnie szłam spać. Dobranoc. - Pospieszyła na górę. Dlaczego, skoro tyle osób jest na dole, jej rodziny tam się nie wpuszcza? Co takiego ukrywa Jean-Luc? Chwycił ją nagły gniew. Przecież zaufała mu i powierzyła własne życie, u Inkze życie Bel Many i Fidelii. Dlaczego on nie mógł zaufać jej?
 Wiedziała, że się w nim zakochała. Ale jeśli mają zbudować udany związek, nie może być między nimi sekretów. A skoro on nie zamierza wyjawić swoich tajemnic, ona będzie musiała odkryć je sama.
 I nic jej nie powstrzyma. A już na pewno nie strach.

Rozdział 18

Czerwone świecące oczy, niebezpieczeństwo, błysk białych obnażonych zębów. Ciało pani Bolton na podłodze. Heather obudziła się gwałtownie.

- Mamo, nic ci nie jest? - Bethany stała obok łóżka zmartwiona, z szeroko otwartymi oczami.
 Heather wzięła głęboki wdech. To był tylko zły sen. Ostrzeżenie Fidelii przed czerwonymi świecącymi oczami przedostało się do jej snów i wspomnień.
 - Wszystko w porządku? - Fidelia siedziała na łóżku, wiążąc sznurowadła. Ona i Bethany były już ubrane.
 - Nic mi nie jest. - Heather zerknęła na stojący obok łóżka budzik. Dziesięć po dziesiątej. - Zasnęłam. - Nic dziwnego, skoro większą część nocy była na nogach. - Śniło ci się coś jeszcze? - spytała cicho Fidelie.
 Niania zmarszczyła brwi i bezgłośnie wypowiedziała słowo „ogień”.

Ogień? Heather uniosła brew. Chciała się dowiedzieć więcej, ale wolała nie rozmawiać na ten temat przy Bethany. Mała podbiegła do drzwi.

- Jestem głodna.

- Chodźmy więc na śniadanie. - Fidelia poprowadziła dziewczynkę do wyjścia.

- Czy to źle? - rzuciła Heather, gdy niania zamykała drzwi. - Ten ogień? - wyszeptwała.

Fidelia się skrzywiła.

- *Infierno*. - Zatrzasnęła drzwi.

Piekło? Heather zadrżała. Czyżby Louie miał taki właśnie plan? Podpalić budynek i wszystkich pozabijać? Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła do kuchni na śniadanie.

Później poprosiła Pierre'a, żeby ją wpuścił do pracowni.

- Gdybym знаła szyfr, mogłabym wejść sama. Pierre zablokował drzwi i zostawił je otwarte.

- Spytam Robby'ego. Nikomu nie wolno zdradzić kodu, jeśli on nie wyrazi zgody.

- Rozumiem.

Nienawidziła zamkniętych na klucz drzwi tak samo jak kamer bezpieczeństwa, ale nic nie mogła na to poradzić. Weszła do pracowni i zatrzymała się przy stole. Przez moment nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zamrugwała. Nie, to była prawda.

Jej szkice przedarto na pół. Wykrój z jedwabnego szyfonu, który poprzedniej nocy z taką starannością przygotowała, został pocięty na kawałki. Krzyknęła.

- *Madame?* - Do pracowni wbiegł Pierre. - Wszystko w porządku?

Wskazała na zniszczenia.

- Moja praca!

- Co się stało? - Nadbiegł Phil.

- Ktoś zniszczył moją pracę - jęknęła zmartwiona Heather. - W tym domu jest tylu strażników i tyle cholernych kamer.

Dlaczego nikt nic nie zauważył?

- Tutaj nie ma kamer - wyjaśnił Phil. - Mieliśmy je zamontować dzisiaj.

- Kto mógł zrobić coś tak podłego? - Pierre podniósł dwie połówki szkicu.

Phil zmarszczył brwi.

- Ktoś, kto najwięcej na tym zyska.

Heather zrobiła głęboki wdech. Alberto. To on nie chciał, żeby projektowała dla Jeana-Luca.

- Muszę porozmawiać z Albertem.

- Myśli pani, że to on? - spytał Pierre. - Znam go od lat. Nie sądzę, żeby był do tego zdolny. Ale proszę się nie martwić.

Dokładnie zbadamy tę sprawę.

- To się już nie powtórzy - zapewnił ją Phil. Heather pokiwała głową.

Phil i Pierre wyszli, a ona stała, spoglądając na zniszczenia. Czy Alberto naprawdę mógł zrobić coś tak podłego? Na szczęście w beli było jeszcze dość szyfonu. Musi jednak przygotować nowy wykrój. Jeśli zacznie od razu, w południe będzie mogła szyć.

Rozłożyła błękitną tkaninę na drugim stole i przyłożyła kawałki szablonu.

- *Buon giorno*. - Do pracowni wszedł Alberto. - Pierre powiedział, że chciała się pani ze mną widzieć.

Heather zrobiła wdech, żeby zachować spokój.

- Wie pan coś na ten temat? - Wskazała na stół za plecami.

- O mój Boże! Co się stało? - Pospieszenie podszedł, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Miałam nadzieję, że pan mi powie. Podniósł kawałek rozciętej tkaniny.

- To straszne! Zerknęła na niego.

- Z pewnością.

Nagle otworzył szeroko oczy i materiał wysunął mu się z palców.

- Pani myśli, że ja...? - prychnął z oburzeniem. - Nie mam powodu, żeby uciekać się do takich metod. Pani kolekcja robi kłapę, bo jest kiepska.

Heather się zawahała. Alberto sprawiał wrażenie autentycznie dotkniętego. Ale jeśli nie on, to kto to zrobił?

- Och, oczywiście. To modelki. Simone i... Helga.

- Inga. - Alberto potarł czerwoną apaszkę na szyi. - Nie potrafią panować nad gniewem.

- O tak, racja. Co jest nie tak z tymi kobietami? Alberto się skrzywił.

- Proszę, niech pani nie mówi o tym Jeanowi-Lucowi. Już i tak jest na nie zły. Zwolni je, to pewne.

- Zasłużyły sobie na to.

- Nie! Proszę. To je zniszczy. Heather prychnęła.

- To top modelki. Mogą pracować u kogokolwiek.

- Nie, nie mogą. Jean-Luc to jedyna osoba, która może je zatrudnić. On... on rozumie ich... problem. One są, eee, upośledzone.

- Pewnie. Od razu się zorientowałam. Otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Jasne. Takie osoby nazywa się psychopatycznymi sukami.
- Nie! One... one w ogóle nie mogą wychodzić na słońce. Większość projektantów nigdy by tego nie zaakceptowała.
- Chodzi panu o to, że są uczulone na słońce? Alberto wzruszył ramionami.
- Może to pani tak nazwać. Proszę sobie wyobrazić: żadnych zdjęć na plaży. Nikt inny ich nie zatrudni. Jeśli Jean-Luc je zwolni, będą skończone.

Heather nie potrafiła wykrzesać z siebie ani krztyny współczucia.

- Powinny byty o tym pomyśleć, zanim wpadły w szal.

- Poczuli się zagrożone. Jean-Luc nigdy żadnej kobiecie nie okazywał tyle zainteresowania co pani.
- Naprawdę? - Poczula lekki przyływ wielkoduszności. - Mówi pan, że nie ciągnie się za nim długi sznur przyjaciółek?
- Ależ skąd. Od lat trzyma się z dala od kobiet. To się zmieniło, kiedy poznał panią.
- A co z tymi kobietami, które zamordował Louie? Alberto się skrzywił.
- To było dawno temu.

Mogła się założyć. Znowy wypłynęła jej teoria nieśmiertelności.

Włoch złożył ręce.

- Proszę, niech pani nie mówi o tym Jeanowi-Lucowi. Porozmawiam z nimi. Zapewniam, że już nigdy nie sprawią pani kłopotu.

- Potrafi je pan przywołać do porządku? - Popatrzyła z powątpiewaniem na apaszkę na jego szyi.

- Jeśli chcą wystąpić na pokazie w moich sukniach, zrobią to, o co je poproszę. A ja pani pomogę. - Wskazał na stół, na którym leżała już prawie wycięta pierwsza sukienka. - Pokażę pani, jak wyciąć spódnicę po skosie. Będzie się lepiej układała na modelce.

- Super. Dziękuję.

- A te szkice... - Podniósł dwie części. - Nigdy już nie będą wyglądały tak dobrze, ale może pani je podkleić taśmą i zrobić kopię. Właściwie zawsze powinna pani kopiować wszystkie swoje prace. W gabinecie Jeana-Luca jest znakomita kopiarka. Powinna z niej pani skorzystać.

- Nie chciałabym mu przeszkadzać. Alberto wybuchnął śmiechem.

- W ciągu dnia go tam nie ma.

- To gdzie jest?

Widać było, jak Włoch przełyka ślinę.

- Eee, wychodzi. - Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. - W interesach.

- Dokąd?

- Podam pani kod, żeby mogła pani wejść do biura - powiedział szybko Alberto. - Tysiąc czterysta osiemdziesiąt pięć.

Proszę nie pytać o znaczenie. Taki sam kod jest do tych drzwi.

- Tak? - Czy to dlatego nie chcieli go jej zdradzić? Ile drzwi otwiera ta sama kombinacja?

- Umowa stoi? - spytał Alberto. - Nie powie pani Jeanowi-Lucowi, co zrobiły Simone i Inga?

- Nie. Puszczę to w niepamięć.

- I proszę, niech pani nie mówi nikomu, że to ja podałem pani szyfr.

- Będę milczała jak grób.

Znalazła nowego, nieoczekiwanego sprzymierzeńca. Przez następne dwie godziny Alberto pomagał jej przy sukni i Heather zdawała sobie sprawę, że ten wykrój będzie lepszy niż poprzedni.

- Dziękuję. - Zebrała ścinki, żeby je wyrzucić. - Miałby pan ochotę zjeść z nami lunch?

- Dziękuję, ale nie mogę. Jestem umówiony z Sashą.

- Nie wiedziałam, że wróciła do miasta. Alberto zmarszczył brwi.

- A ja nie wiedziałem, że wyjechała.

- Pojechała w niedzielę. Do jakiegoś modnego spa w San Antonio.

- Umówiliśmy się w sobotę. - Ruszył do drzwi. - Mam nadzieję, że nie zapomniała.

- Nie boi się pan, że Simone i Inga się wściekną?

Skrzywiła się. Nie powinna była pytać. To nie jej sprawa, z iloma kobietami zadaje się Alberto. Choć w sytuacji, gdy jedna z nich była jej starą licealną przyjaciółką, a dwie pozostałe psychopatycznymi sukami, mógł się z tego zrobić niezły bigos.

- Nie dowiedzą się. - Alberto zatrzymał się na chwilę przy drzwiach. - Tak naprawdę nie mam u nich szans. Powinienem sobie odpuścić. Tylko że w pewnym sensie one mnie omotały.

Heather uniosła brwi.

- Jak to omotały? Rzuciły zakłęcie czy co? - Czyżby te psychopatyczne suki były w rzeczywistości wiedźmami?

Alberto westchnął.

- One są... inne. Z tej mojej fascynacji nie będzie nic dobrego.

- Pewnie ma pan rację. Spojrzał na nią zatroskany.

- Pani też powinna być ostrożna. Wiele zawdzięczam Jeanowi-Lucowi. To dobry i utalentowany człowiek, ale... powinna się pani trzymać od niego z dala. Jeśli jest pani w stanie. - Wyszedł, zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku.

Popołudnie upłynęło Heather na szyciu, podczas gdy Pierre i Phil instalowali w pracowni dwie kamery. Dziwne ostrzeżenie Alberta wciąż odbijało się echem w jej umyśle. Skoro podziwiał Jeana-Luca, dlaczego radził jej, żeby trzymała się od niego z daleka? I jakie znaczenie miał kod? Rok urodzenia?

Zadrzała. Na pewno nie. Jej twórczy umysł wyrabiał już nadgodziny.

Phil i Pierre dołączyli do pań, gdy jadły kolację. Zapasy żywności powoli się kończyły, więc Pierre zaproponował, że pojedzie do sklepu. Ponieważ Alberto zabrał bmw na wytęsknioną randkę z Sashą, Heather wraz z listą zakupów wręczyła Pierre'owi kluczyki do swojej półciężarówki.

Fidelia sprzątała ze stołu, gdy nagle się zatrzymała. Talerz wypadł jej z ręki i rozbił się na podłodze.

- Co się stało? - Heather zerwała się na równe nogi. Przerazona niania spojrzała na Phila.

- Zatrzymaj go! Natychmiast!

Phil zbiegł do holu i popędził na zewnątrz. Heather ruszyła za nim i akurat dotarła do drzwi, kiedy wybuch odrzucił ją do tyłu. Serce podeszło jej do gardła. W uszach jej dzwoniło, jednak gdy tylko odzyskała równowagę, chwiejnym krokiem wyszła na dwór. I gwałtownie się zatrzymała.

Jej ciężarówka stała w ogniu. Płomienie strzelały w górę. Pierre! Fala nudności zgięła ją wpół.

Phil zatrzymał się na podjeździe z zaciśniętymi pięściami. Opadł na kolana, pochylił głowę i zaryczał. Brzęczenie w uszach sprawiło, że jego głos wydał się Heather dziwny. Ciepło bijące z płonącego samochodu zmusiło ją do cofnięcia się. Zrobiła krok w tył i potknęła się o próg.

- Mama?

Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie. Czarne plamki zawirowały jej przed oczami i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bethany w podskokach zbliżyła się do drzwi.

- Gdzie wszyscy jadą? Ja też mogę?

Heather przelknęła wzbierającą żołąć i pokręciła głową. Do sali sklepowej weszła Fidelia, przyciskając do piersi swoją torebkę. W jej oczach błyszczały łzy.

- Za późno?

Obraz przed oczami Heather też zamazały łzy.

- Było tak jak w twoim śnie. *Infierno*.

Rozdział 19

Jean-Luc stał za biurkiem w swoim gabinecie, patrząc w przestrzeń. Co jakiś czas w jego polu widzenia pojawiał się Robby, on jednak ledwo go zauważał. Głosy w pokoju irytowały jak brzęczący rój pszczoł. Musiał być w szoku. Nigdy nie czuł się tak w czasie bitwy. Otepienie przychodziło zawsze dopiero później.

Robby postawił mu na biurku butelkę blissky i zasugerował, żeby napił się kropelkę. Jean-Luc przyglądał się jej w milczeniu. Mieszanina syntetycznej krwi i szkockiej whisky w niczym nie mogła pomóc. Nie przywróci życia Pierre'owi. Nie zmniejszy smutku ani poczucia winy.

Wszyscy mężczyźni w gabinecie byli poruszeni, mówili głośno i wymachiwali rękami. Jean-Luc zamrugał, kiedy Robby walnął pięścią w stół. Butelka blissky podskoczyła.

- Jak mógł zapomnieć, żeby sprawdzić ciężarówkę?! - ryknął. - Myślałem, że lepiej go wyszkoliłem.

- Jestem pewien, że wyszkoliłeś go dobrze. - łan pociągnął łyk ze swojej szklaneczki. - Nie możesz się obwiniać.

- To ja powinienem był to sprawdzić. - Phil opadł na krzesło i przycisnął dłonie do skroni. - Potrafię wyczuć materiały wybuchowe. Powinienem był sprawdzić tę cholerną ciężarówkę.

Jego słowa przebiły się przez mgłę w głowie Jeana-Luca. Phil mógł wyczuć bombę?

- Powinien wiedzieć - mruknął Robby, przemierzając pokój. - Szlag by to trafił! - Znowu walnął pięścią w stół. Blissky zachwiała się tuż przy krawędzi.

łan złapał butelkę i ponownie napełnił swoją szklaneczkę.

- A gdzie było bmw?

- Alberto je wziął - wyjaśnił Phil. - Wrócił koło siódmej. Miał randkę z tą modelką, Sashą, ale go wystawiła. Zdenerwował się, więc pojechał na zakupy do San Antonio.

Jean-Luc oparł się na krzesło i zamknął oczy. Nie chciał tego słuchać. Chciał być z Heather. Jak ona sobie radzi? Czy zdawała sobie sprawę, że ta bomba była przeznaczona dla niej? Czy walczyła ze swoim strachem w samotności?

Gdy tylko usłyszał nowiny, próbował się z nią zobaczyć. Musiał wiedzieć, czy wszystko w porządku. Musiał wiedzieć, czy Bethany nic się nie stało. Musiał znów zapewnić Heather, że będą ją chronić i że Lui poniesie śmierć za swoje zbrodnie.

Zrobił dwa kroki w kuchni i przywitała go lufa glocka wycelowana w jego twarz. Fidelia grzecznie poprosiła go, żeby wyszedł. Nie przyjmowały gości. Zdążył tylko zauważyć, że Heather siedziała na kanapie razem z córeczką. Nawet na niego nie spojrzała.

Na pewno go o wszystko obwiniała. To z jego powodu ona i jej rodzina znalazły się w straszliwym niebezpieczeństwie. I pewnie była zła, że pojawił się trzy godziny po wybuchu. W czasie, kiedy go potrzebowała, on był dla świata umarły. Znowu zakradło się do jego wnętrza przerażające uczucie bezradności. To było najgorsze w byciu wampirem - całkowita bezsilność w ciągu dnia. Gdyby Heather właśnie wtedy go potrzebowała, zawiódłby ją.

Otworzył oczy.

- Jak sobie radzi Heather?

- Wciąż pyta, dlaczego nie było żadnego z was - odparł Phil. - Powiedziałem, że wszyscy wyjechaliście w interesach, ale sprawiała wrażenie podejrzliwej. Nalegała, żeby zadzwonić po straż i szeryfa. Kiedy ugaszono ogień, szeryf namawiał ją, żeby zabrała się z nim, ale odmówiła.

Dzięki Bogu. Jean-Luc odetchnął głęboko. Przy odrobinie szczęścia mogło to oznaczać, że wciąż mu ufa. Albo może, że ufa pistoletom Fidelii. Wstał i podszedł do okna wychodzącego na salę sklepową.

- Mam dość tego, że ludzie przeze mnie umierają.

- To Lui zabija, nie ty - burknął Robby. - Zadzwoń do matki Pierre'a i...

- Nie - powiedział Jean-Luc. - Ja to zrobię. - Postara się, by rodzinie Pierre'a nigdy niczego nie zabrakło. -Dlaczego tu jesteśmy? Powinniśmy chronić Heather.

- Nic jej nie jest - odparł Robby. - Pilnuje jej Phineas. I wiesz, że gdyby Lui teleportował się do budynku, włączyłby alarm. Wtedy moglibyśmy z nim skończyć.

Jean-Luc zaczął się przechadzać po gabinecie.

- Potrzebujemy planu. Potrzebujemy więcej straży.

- Poprosiłem o dodatkowych strażników - zapewnił go Robby. - Niestety, wszystkich wolnych ludzi Angus zaangażował w poszukiwania Casimira.

- Teraz w ciągu dnia będę sam. - Phil pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. - Jeśli nie liczyć Fidelii i jej pistoletów.

- Mogę temu zaradzić. - Ze swojego sporranu łan wyciągnął fiolkę. - Roman dał mi trochę tego. Dzięki tej miksturze wampiry mogą być przytomne w ciągu dnia.

Robby podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się zielonej cieczy.

- Myślałem, że Roman zarzucił stosowanie tego specyfiku.

- Ja też tak myślałem - powiedział Jean-Luc. - Bo kiedy go używał, z każdym nieprzespanym dniem starzał się o rok.

- Aye, zarzucił. - łan uniósł brodę. - Ale ja zgłosiłem się na ochotnika, żeby go przetestować.

Jean-Luc zmarszczył brwi.

- Rozumiem, że chcesz wyglądać na starszego, ale nie zgadzam się, żebyś był królikiem doświadczalnym.

- Nie potrzebuję niańki, Jean-Luc. - Ian schował fiolkę z powrotem do sporranu. - Mam czterysta osiemdziesiąt lat. Mogę chyba, do cholery, sam podejmować decyzje.

Jean-Luc westchnął. Nie mógł zabronić łanowi stosowania specyfiku, ale wcale mu się to nie podobało.

- Są jakieś efekty uboczne?

- Romanowi posiwiały włosy na skroniach, to wszystko - mruknął łan. - Zażyję go. Nie uda ci się mnie powstrzymać.

- W porządku. - Jean-Luc przysiadł na rogu biurka. -Musimy całkowicie zamknąć to miejsce.

- Też tak uważam. - Robby znów zaczął się przechadzać. - A one powinny być cały czas razem. Łatwiej będzie je chronić.

Jean-Luc skinął głową.

- Odwołamy pokaz. - Wiedział, że to zmartwi Alberta i Heather, ale lepiej dmuchać na zimne. - Lui na pewno uderzyłby właśnie wtedy.

Robby przystanął.

- Może powinniśmy mu na to pozwolić? Jean-Luc pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby Heather była przynętą.

- Będzie miała obstawę - nalegał Robby. - Naprawdę wolisz alternatywne rozwiązanie? Żebyśmy siedzieli tu zamknięci jak stado wystraszonych owiec?

- Nie przestaniemy go szukać - odparł Jean-Luc. -Fidelia już raz odkryła, że schronił się na Kurzym Ranczu, więc może uda jej się znowu go wytropić.

- Już próbowała - powiedział Phil. - Zanim się obudziliście. Była tak wstrząśnięta tym, co spotkało Pierre'a, że chciała sama znaleźć Luięgo i napakować go kulami. Dałem jej jego floret i pochwę.

- I co zobaczyła? - spytał Jean-Luc.

- Nic. - Phil wzruszył ramionami. - Powiedziała, że zniknęła. Jest za daleko, żeby go mogła dosięgnąć.

Jean-Luc zaczął się przechadzać po gabinecie, trawiając informację. Czyżby Lui faktycznie zniknęła? Czyżby zabicie kustoszki i Pierre'a zaspokoilo jego potrzebę zemsty? Ale przecież swoje groźby kierował pod adresem jego i Heather. I powiedział, że Casimir obiecał mu małą fortunę, jeśli go zabije.

- Nie mógł zniknąć. Jeszcze nie skończył.

- Zgadzą się. - Robby usiadł, marszcząc brwi. - Mógł się gdzieś przyczaić na kilka dni, ale tylko po to, żeby uspić naszą czujność.

Jean-Luc przytaknął.

- Wróci. Tak jak było w tej wiadomości, którą napisał krwią. Spotkamy się w czasie, który on wybierze.

- Powinniśmy tu zostać - zasugerował Phil. - Będzie musiał przyjść tutaj.

- A my będziemy gotowi. - Oczy lana się zwały. - Założę się, że przybędzie w noc pokazu.

- Nawet nie wiemy, jak wygląda - przypomniał im Jean--Luc. - A zabójcą może być każdy, bo Lui jest w stanie przejąć kontrolę nad umysłem dowolnej osoby obecnej na pokazie.

- W takim razie ograniczmy liczbę gości - zaproponował Ian.

Jean-Luc przemierzył pokój. Jedynym sposobem, żeby pozbyć się Luiego, było doprowadzić do konfrontacji. Mógłby w ten sposób zapewnić Heather bezpieczeństwo. Nie odstąpi jej ani na krok.

- W porządku. Trzeba zaplanować, jak go zabić w noc pokazu.

Heather leżała w łóżku, patrząc w sufit. Oczy piekły ją ze zmęczenia, ale nie chciała ich zamknąć. Za każdym razem, gdy opuszczała powieki, stawała jej przed oczami płonąca ciężarówka z Pierre'em w środku.

Chciała móc wyrzucić ten straszliwy obraz z pamięci. Albo cofnąć czas, żeby Pierre wciąż był żywy. Albo cofnąć go jeszcze bardziej, żeby pani Bolton też pozostała przy życiu. Zupełnie inaczej wszystko by wyglądało, gdyby w poprzedni piątek zrobiła tak, jak jej kazał Jean-Luc, i uciekła. Tymczasem próbowała być dzielna i chciała ocalić Echarpe'a. A teraz nie miała wyboru - teraz musiała być dzielna. Tę bombę przeznaczono dla niej.

Musi zrobić wszystko, żeby nikt więcej nie zginął. Musi być dzielna, ostrożna i mądra. Dlaczego miałyby polegać tylko na Jeanie-Lucu i jego strażnikach? Najwyraźniej nie byli niezawodni.

Fidelia miała swoje pistolety i była gotowa ich użyć. Heather musiała być równie twarda. Jej bronią będzie wiedza. To właśnie robią zawodowcy, kiedy wyruszają na wojnę. Zbierają informacje.

Usiadła na łóżku. Najwyższy czas, żeby to miejsce przestało mieć przed nią tajemnice. W końcu to jej życie wisiało na włosku. Nie mieli prawa trzymać jej w nieświadomości. Tysiąc czterysta osiemdziesiąt pięć. Czy ten kod pozwoli jej zejść do piwnicy?

Sprawdziła godzinę. Trzecia dwadzieścia trzy. Wyśliznęła się z łóżka, zastanawiając, czy powinna się przebrać. Nie, zajęłoby jej to za dużo czasu. Zostanie w swojej niebiesko-żółtej piżamie z Tweetym, którą kupiła w sklepie dyskontowym.

Wyjrzała na korytarz. Pusto. Wcześniej słyszała Phi-neasa stojącego przed jej drzwiami, a potem ludzi wchodzących do gabinetu Jeana-Luca i wychodzących stamtąd. Teraz wszędzie panowała cisza.

Zauważyła kamerę nad drzwiami biura. Jeśli przejdzie tamtędy w drodze na tylne schody, zobaczą ją strażnicy. I zatrzymają, zanim będzie miała szansę dotrzeć do piwnicy.

Przecisnęła się przez drzwi i na paluszkach ruszyła w przeciwnym kierunku. Bose stopy bezszelestnie poruszały się po grubym dywanie. Korytarz ostro zakręcał w prawo, otwierając się na pomost, który wychodził na tył głównej sali sklepowej.

Światło księżycy wpadało przez wysokie okna z tyłu, rzucając długie cienie na marmurową posadzkę magazynu. Nagie ramiona upozowanych manekinów świeciły białym, surowym światłem. Wysoko na ścianach umieszczono dwie kamery, ale były wycelowane w dół. Pomost z obu stron okalał murek do pasa.

Heather przykucnęła, żeby nie było jej widać, i ruszyła pomostem, na którego końcu znajdowało się wejście do pracowni. Wystukała szyfr na klawiaturze i poczuła niewielki podmuch, kiedy drzwi się otworzyły. Wśliznęła się do środka.

W pracowni było ciemno, jeśli nie liczyć plam księżycowego światła wpadających przez francuskie drzwi. Ostrożnie zeszła spiralnymi schodami. Metalowe stopnie były zimne jak lód. Przekradła się przez studio, trzymając się w cieniu przy ścianie. Miała nadzieję, że kamery jej nie zauważą.

Uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Wejście do piwnicy znajdowało się na końcu. A na drugim końcu, tuż obok głównej sali magazynu, była umieszczona kolejna kamera.

Cholera. Nie sposób jej było ominąć. Ale za daleko zaszła, żeby się teraz poddać. Jeśli pobiegnie, dotrze do drzwi do piwnicy w ciągu sześciu sekund.

Nabrała powietrza i dała susa. Drżącymi palcami wystukała kod. Drzwi się otworzyły. Serce Heather podskoczyło.

Weszła do środka, zamknęła drzwi i oparta się o nie. Niewielka lampka nad jej głową oświetlała prostą klatkę schodową. Nagie ściany, betonowy podest, metalowa barierka. Niewyraźne odgłosy muzyki odbijały się niesamowitym echem. Zrobiła głęboki wdech, żeby uspokoić walące serce.

Jak dotąd wszystko szło gładko. Żadnego maskarona wymachującego teksaską piłą mechaniczną. Podeszła do barierki i zobaczyła schody prowadzące w dół. Każdy stopień był oświetlony czerwonym światłem. Zeszła na podest, a potem skręciła i zeszła jeszcze niżej. Pod bosymi stopami czuła zimny, twardy beton. W końcu dotarła do prostych drewnianych drzwi. Otworzyła je bez trudu i muzyka stała się głośniejsza.

Znów słychać było fortepian i klawesyn. Grano powolną, piękną i okropnie smutną melodię. To był lament. Lament po Pierre.

Nagle Heather poczuła, że jest intruzem. To jasne, że oplakiwali Pierre'a. Znali go od lat. Ona знаła go zaledwie kilka dni. Pomyślała, że może powinna zawrócić, ale zauważyła kawałek korytarza i przystanęła.

Otworzyła szerzej drzwi i szczeka jej opadła. Sądząc po niewyszukanej klatce schodowej, spodziewała się spartańskiego wystroju, tymczasem zobaczyła... przepych. Korytarz był tak szeroki, że mogło nim iść obok siebie pięć osób. Podłogę

przykrywał piękny, ręcznie tkany dywan. Jej stopy wyczuły, że jest gruby i wełniany. Rubinowoczerwony ze złotymi *fleur-de-lis* na tle kraciastego wzoru. Szerokie obrzeża dywanu znaczył inny wzór - złote i brudnobiałe róże.

Korytarz oświetlały złote kinkiety, każdy ociekający kryształowymi łzami. Nawet sufit był piękny - w kolorze kości słoniowej, z finezyjnym, ozdobionym złotą farbą gzymsem. Drzwi również miały kolor kości słoniowej i złoczone rzeźbienia. Pomiedzy nimi stały pękate komody i ozdobne zbroje. Zabytkowe, uznała Heather, i niewiarygodnie drogie.

Cichutko przemknęła przez korytarz, mijając obrazy, które wyglądały, jakby stanowiły część wystroju zamku. Muzyka przybrała na sile. Dochodziła z pokoju, do którego prowadziły uchylone podwójne drzwi.

Stała ostrożnie za nimi i zajrzała do środka. Zobaczyła fortepian - wiekowy salonowy instrument ozdobiony złotym ślimakiem. Grała na nim kobieta, długie blond włosy spływały jej na plecy. Inga.

Przez pokój przeszła inna kobieta, zasłaniając Heather widok. To była Simone tańcząca jakiś taniec. Menuet? Przesunęła się i Heather dostrzegła klawesyn. Jean-Luc? Wstrzymała oddech i odskoczyła, przyciskając plecy do ściany.

To Jean-Luc grał na klawesynie! Stała tam, nasłuchując melancholijnej muzyki. Całkiem dobrze mu szło. Ale dlaczego współczesny mężczyzna grał na dawnym instrumencie? Im więcej o nim wiedziała, tym bardziej sensowna wydawała się teoria nieśmiertelności.

Zrozumiała, że Jean-Luc cierpi, i smutne dźwięki szarpnęły ją za serce. Powinna była z nim porozmawiać. Powinna była go pocieszyć. Znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że będzie się obwiniał o to, co się stało. Był człowiekiem honoru z rozwiniętym poczuciem odpowiedzialności. Staromodnym. Być może zresztą istniały ku temu dobre podstawy.

Tymczasem ona nie chciała się z nim widzieć. Osiągnęła stan, w którym jeszcze jeden emocjonalny bodziec mógł sprawić, że znajdzie się poza krawędzią. Musiała się wycofać i przez chwilę pobyć sama.

Muzyka sprawiła, że w oczach zakręciły się jej łzy. Jean-Luc był wyjątkowym mężczyzną. Jak mogła się w nim nie zakochać? Mistrz szermierki, projektant mody, muzyk. W dodatku piekielnie dobrze całował. Rzecz jasna, jeśli był nieśmiertelny, miał stulecia, żeby rozwinąć swoje talenty.

Na palcach ruszyła dalej, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Doprowadzić do konfrontacji z nim? Może. Ale nie wtedy, kiedy obok kręciły się Simone i Inga.

Muzyka umilkła. Odwróciła się, nagle przestraszona, że ktoś ją zauważył. Ale nie, korytarz wciąż był pusty. Usłyszała szczęknięcie w drugim końcu. Otworzyły się drzwi.

Rzuciła się w stronę wysokiej zbroi i przykleiła do ściany. Odgłos zbliżających się kroków tłumił gruby dywan.

- Robby! - wykrzyknęły panie. - Musisz zostać i z nami zatańczyć.

Heather doszła do wniosku, że strażnik wszedł do pokoju muzycznego. Czy uda jej się dotrzeć do drugich drzwi, zanim wyjdzie? Mówił tak cicho, że nie była w stanie rozróżnić słów.

Jej uwagę przykuł obraz olejny wiszący naprzeciwko. Z całą pewnością antyk. Mężczyzna miał na sobie czarne skórzane muszkietierki, czerwone pumpy, kamizelkę i białą koszulę z ogromnym koronkowym kołnierzem. Krótką aksamitną pelerynę nonszalancko przewiesił przez ramię. Przy boku miał szpadę, której czubek spoczywał na podłodze, a rękę opierał lekko na ozdobnej ręczce.

Heather się uśmiechnęła. Wyglądał jak jeden z trzech muszkietierów. Albo jak pirat, pomijawszy fakt, że był zbyt czysty i za dobrze ubrany. Długie czarne loki sięgały mu do ramion, a kapelus z szerokim rondem pysznił się dwoma odcieniami - białym i rdzawoczerwonym. Świetnie ubrany. Śliczne niebieskie oczy.

Serce Heather stanęło. Na jej rękach pojawiła się gęsia skórka. Dobry Boże, znała te oczy. Całowała te usta.

To była prawda. Rzeczywiście był nieśmiertelny.

- Dziękuję za ostrzeżenie - dobiegł ją głos Jeana--Luca. - Zajmę się nią.

Heather wstrzymała oddech. Czyżby mówił o niej?

0 Boże, wychodzili z pokoju muzycznego! Nie była na to przygotowana. Potrzebowała czasu, żeby przyjąć do wiadomości nowiny. Nieśmiertelni. Otworzyła drzwi obok

1 wśliznęła się do środka.

W pokoju panowała ciemność, pomijawszy przyćmioną srebrną poświatę po lewej. Gdy oczy jej się przyzwyczaiły, wyłowiła kilka sprzętów - zbroję, fotel oraz otomanę obok stołu i lampy. Nie miała też wątpliwości co do największego mebla w pokoju. Łóżko było ogromne i ciemne. Zagłówek sięgał do połowy ściany.

Świetnie, właśnie tego potrzebowała. Żeby znaleźć ją w czyjejs sypialni. Srebrne światło przykuło jej uwagę. Ruszyła w kierunku jego źródła, czując pod stopami

chłodną drewnianą podłogę. Gdy zbliżyła się do łóżka, natrafiła na gruby dywan. Tkany ręcznie, w stylu Aubusson.

Światło padało zza podwójnych drzwi, które zostawiono uchylone. Pchnęła je i gwałtownie wciągnęła powietrze.

To była najpiękniejsza łazienka, jaką kiedykolwiek widziała. Marmurowa podłoga i blat o delikatnym różowobe-żowym połysku. Złocene krany pochylały się nad dwoma ząbkowanymi umywalkami. W ogromnej kabinie znajdowały się trzy prysznice. Ale największe wrażenie robiła gigantyczna wanna z hydromasażem pośrodku. Prostokątna, z marmurowymi kolumnami w rogach. Kolumny wieńczyła kopuła, do wanny zaś prowadziły marmurowe stopnie.

Heather wspięła się na nie i zajrzała pod kopułę. Wymalowano na niej letnie niebo ze słońcem i białymi puszystymi chmurami. Gdy tak na nie spoglądała, niebo stało się jaśniejsze. Nie, całe pomieszczenie stało się jaśniejsze. Odwróciła się powoli.

W drzwiach stał Jean-Luc z ręką na włączniku światła.

Przełknęła z trudem. Przynajmniej nie wyglądał na rozgniewanego.

- Cześć. Wiem, że nie powinno mnie tu być, ale...

- Podoba ci się? - Machnął ręką w kierunku olbrzymiej wanny.

- Ja... Tak. Bardzo... ładna. To znaczy fantastyczna, naprawdę.

Pokiwał głową i obejrzał się przez ramię.

- To moja sypialnia.

- Och. - Ze wszystkich sypialni na świecie musiała wejść właśnie do tej...

- Nic ci nie jest? - spytał. - Martwiłem się o ciebie.

- Wszystko w porządku. - Nie wydawał się szczególnie zaniepokojony jej wtargnięciem. Ale wyglądał blado i smutno. -

Naprawdę bardzo mi przykro z powodu Pierre'a.

Spuścił wzrok na podłogę.

- Mnie też.

Temu biedakowi sprawiono ból. Powoli zeszła po stopniach na marmurową posadzkę.

- Późno już. Powinnam iść.

- Nie. - Podniósł na nią wzrok. - Musimy porozmawiać. Przełknęła ślinę. Czyżby zamierzał jej się przyznać do tego, że jest nieśmiertelny?

- Skąd wzięłaś szyfr? - spytał.

- Alberto mi podał. Chciał pomóc. Nie podejrzewał, że się tu... zakradnę.

Kąciki ust Jeana-Luca drgnęły, choć jego uśmiech wciąż wyglądał smutno.

- Nie docenił cię.

- Widziałam portret w korytarzu. Tego muszkietera. -Chciała powiedzieć „ciebie”, ale to słowo uwięzło jej w gardle.

- Heather. - Zrobił krok w jej stronę, a ona się cofnęła. Zatrzymał się i na jego twarzy pojawił się cień bólu. -Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Wiem. Ale to wszystko jest dość... dziwne.

- Zależy mi jedynie na tym, żeby ochronić ciebie i Bethany. Ze mną jesteś bezpieczna. - Wskazał na swoją sypialnię. -

Chodź, usiądź. Musimy porozmawiać.

Ostrożnie weszła za nim do pokoju. Nie było tam teraz tak ciemno i mogła dostrzec rdzawoczerwoną aksamitną koldrę na łóżku. Fotel i otomana miały ten sam odcień. Przysiadła na sofie.

Jean-Luc przymknął drzwi do łazienki, przez co w sypialni zrobiło się ciemniej. Podeszedł do łóżka i usiadł na krawędzi.

- Jest coś, co chciałbym ci powiedzieć. Pewnie trudno ci będzie w to uwierzyć.

Heather zaczerpnęła głęboko powietrza, jak gdyby przygotowywała się do skoku na głęboką wodę. Jesteś na wojnie ze strachem, przypomniała sobie.

Wszystko w porządku. Myślę, że poznałam twój sekret.

Rozdział 20

Wiedziała?

Jean-Luc odchrząknął.

- Może powinienem zacząć od początku.

- Tysiąc czterysta osiemdziesiąt pięć - wyszeptala. -My... myślę, że to może być rok twoich urodzin.

Wstrzymał oddech i chwilę mu zajęło, zanim zmusił się do odpowiedzi.

- Tak, to prawda. Twarz Heather pobladła.

- O Boże. - Nerwowo poprawiła się na otomanie. -Czyli miałam rację. Jesteś nieśmiertelny.

- Niezupełnie. Można mnie zabić. Pokiwała głową.

- To stąd te miecze. Widziałam w telewizji. Podejrzewam, że Hollywood o was wie, tak?

Wzruszył ramionami.

- Opowiada się o nas różne historie, nie zawsze prawdziwe.
- Ale ten zły facet będzie próbował ściąć ci głowę. W ten sposób można cię zabić.
Jean-Luc się skrzywił.
- Dekapitacja może się okazać skuteczna, ale istnieje wiele innych sposobów, żeby mnie zabić. - Uśmiechnął się cierpko. -
Zrobię listę, jeśli tak bardzo chcesz je poznać. Mogłaby się przydać, gdybym kiedykolwiek zapomniał o twoich urodzinach.
Uśmiechnęła się, a po chwili skrzywiła.
- Czyli Louie też jest nieśmiertelny. Stąd te wszystkie wymarłe przed wiekami nazwiska, które wymieniłeś. Sprawdziłam w Internecie.
- Ach. - Od początku była podejrzliwa. - Jesteś bardzo sprytna, skoro udało ci się tyle odkryć. Mam nadzieję, że zdajesz sobie też sprawę z tego, że możesz mi zaufać. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić ciebie i twoją córkę.
Zmarszczyła brwi.
- Robisz wszystko, tylko nie mówisz mi prawdy.
- Nie chciałem cię wystraszyć. Sama byłabyś zbyt bezbronna, stanowiłabyś dla Luiego łatwy cel. Nie mógłbym pozwolić, żebyś musiała stawić mu czoło w pojedynkę.
- Więc ukrywałaś przede mną różne rzeczy, żeby mnie chronić.
- Tak. I żeby chronić siebie. Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało.
Ciężki ból przemknął przez jej twarz.
- Kiedy umarły tamte kobiety?
- Yvonne została zamordowana w 1757, a Claudine w 1832 roku. Od tamtej pory nie było nikogo.
- To szmat czasu.
Wzruszył ramionami. Zdarzało mu się mnóstwo krótkich romansów i jednorazowych przygód, zwłaszcza zanim pojawiła się syntetyczna krew. Każdej nocy potrzebował kilku kwart, a zaspokojone kobiety potrafiły być hojne. Ale to nie było coś, dzięki czemu zyskałby w oczach Heather.
- Gdy Lui zamordował Yvonne, unikałem poważniejszych związków. Nie chciałem, żeby kolejna kobieta zginęła z mojego powodu.
- Ale... zakochałeś się znowu. W Claudine.
- Tak. Myślałem, że będzie bezpieczna. Polowałem na Luiego przez lata, on jednak zniknął. I właśnie kiedy sądziłem, że nic nam nie grozi, pojawił się znowu.
- Dlaczego tak bardzo cię nienawidzi?

- Próbował zamordować Ludwika XV, a ja go powstrzymałem. Należałem wówczas do przybocznej straży króla.
Heather z bólem zmrużyła oczy.
- Znałeś Ludwika XV?
- Znałem wielu królów.
Spuściła wzrok na zaciśnięte kurczowo dłonie. Palce sprawiały wrażenie napiętych, kłykcie jej pobieleły.
- Widziałeś wielu ludzi. Jak przychodzą i odchodzą.
- Tak.
Na moment zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, błyszczały w nich łzy.
- Usłyszałam już dość. Muszę iść. Zerwała się i ruszyła do drzwi.
- Poczekaj. - Wstał i zablokował jej drogę. - Jest jeszcze coś.
- Nie. - Pokręciła głową, w oczach zakręciły się jej łzy. - Nie może być nic więcej. Nie między nami. Jaki by to miało sens?
To bez znaczenia, że uważam cię za niewiarygodnie miłego i wspaniałego, i inteligentnego...
- Dla mnie ma znaczenie.
- Nie, nie ma. Bo będę dla ciebie jak mgnienie oka. Jestem jedną z tych małych mrówek, które przychodzą i odchodzą.
Dziwię się, że w ogóle troszczysz się o moje życie.
- Jak możesz tak mówić? - Złapał ją za ramię. - Myślisz, że jestem kompletnie bez serca?
- Nie. Ale jakie znaczenie ma dla ciebie to, czy dożyję trzydziestki, czy siedemdziesiątki? Czym jest czterdzieści lat dla kogoś, kto ma ich ponad pięćset? Moje życie to tylko rozbłysk na ekranie twojego radaru.
Mon Dieu, miał ochotę nią potrząsnąć.
- Jesteś dla mnie wszystkim! Jesteś kobietą, którą kocham.
Wypuściła powietrze.
- To prawda. - Podszedł bliżej. - Kocham cię, Heather. Pokręciła głową.
- Zestarzeję się i posiwieję.

- A ja wciąż będę cię kochał. Dlaczego miałby mieć dla mnie znaczenie fakt, że z czasem twoje rysy dojrzeją? Przecież to ty jesteś kobietą, która króluje w moim sercu. To na ciebie czekałem pięćset lat.
Z trudem łapała powietrze.
- Zawsze mówisz najpiękniejsze rzeczy. - Po jej policzku spłynęła łza. - I jesteś najpiękniejszym mężczyzną, ale boję się, że nasz związek nie ma sensu.
Otarł łzę z jej twarzy.
- Prowadzisz wojnę ze strachem, pamiętasz? - Poglądził ją po plecach i przyciągnął do siebie. - Zaufaj mi, *chérie*.

- Chciałabym. - Położyła dłonie na jego piersi. - Ale to takie trudne...
- Mamy dla siebie tę chwilę. - Ucałował jej brew. - Tę cudowną chwilę. - Ucałował czubek jej nosa. - Pozwól, żebym cię kochał. - Zatrzymał się przy jej ustach.
- Jean-Luc. - Objęła go za szyję.
Pocałował ją delikatnie, świadom, że w każdej chwili może uciec. Zrobił powolny, leniwy krok, uwodząc ją miękkością. Jej ciało odpowiedziało, przywierając do niego. Poczul, że twardnieje. Zlekceważył własną nagłą potrzebę i wsunął ręce pod koszulkę Heather. Powoli pogładził ją po plecach.
Zadrżała i jej piersi leciutko zatrzęsły się tuż przy jego torsie. Z jękiem chwycił jej dolną wargę w usta i zaczął ssać. Jej palce zagłębiły się w jego włosy.
- Heather. - Musnął nosem jej kark. Arteria szyjna pulsowała tuż przy jego policzku. Stwardniał jeszcze bardziej. - Pozwól, żebym cię kochał.
- Nie potrafię ci się oprzeć - wyszeptala.
To było coś, ale chciał więcej. Chciał deklaracji miłości. Czul, że Heather go kocha. Może jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. Albo może bała się do tego przyznać. Cokolwiek to było, chciał, żeby stało się dla niej jasne. Chciał, żeby krzyczała z rozkoszy wciąż i wciąż, dopóki nie uświadomi sobie prawdy.
Chwycił jej koszulkę i pociągnął w górę.
- Poczekaj! - Skrzyżowała ramiona, przykrywając żółtego ptaszka na T-shircie.
Serce mu zamarło. Puścił ją i cofnął się o krok.
- Wybacz mi.
- Nie chodzi o ciebie. - Wskazała na kamerę w rogu pokoju. - Tylko o nich.
- *Merde*. - Zupełnie o tym zapomniał. A cholerne czerwone światełko wciąż migalo. Nie wiedzieli, że to sprawa osobista?
Przejechał ręką po szyi. Światełko zgasło.
- To krępujące - mruknęła Heather. - A co jeśli włączą ją za pięć minut, myśląc, że skończyliśmy?
Jean-Luc uniósł brew.
- Za pięć minut? Sapnęła.
- No dobra, nie brałam dotąd udziału w żadnych maratonach. - Zerknęła na kamerę. - Ani w żadnych peep-show.
Uśmiechając się, podszedł do stolika obok łóżka i pogrzebał w szufladzie. Wyciągnął pilota, wycelował w kamerę i przycisnął wyłącznik.
- Proszę bardzo. Nie będą nam już przeszkadzać.
- No dobrze. - Popatrzyła na niego nieufnie. - Wciąż nie jestem pewna, że to zadziała.
- Wiem, ale mogę być bardzo przekonujący. - Ujął ją za ramiona. - Całą noc.
Zadrżała, gdy musnął nosem jej szyję.
- Odrobinę mogę się dać przekonać.

- Tak myślałem. - Skubnął ją w ucho. - Na czym stanęliśmy?

- Byłam o krok od roli w *Seks, kłamstwa i kasety wideo*. Nie miał pojęcia, co to takiego, ale brzmiało ciekawie.
- Miałabyś ochotę na seks, *chérie*? - Chwycił rąbek jej koszulki.
Gwałtownie wciągnęła powietrze.
- A do diabła! Żyje się tylko raz.
To akurat była kwestia dyskusyjna, ale nie czas było jej roztrząsać. Ściągnął jej koszulkę przez głowę i upuścił. Mały żółty ptaszek sfrunął na podłogę.
Miał ochotę podziwiać przez chwilę jej piersi, ale wiedział, że jego oczy zrobią się przy tym czerwone, a nie chciał jej przestraszyć. Mimo to nie mógł się oprzeć i zerknął. Duże, różowe brodawki zaczęły przypominać skałę. Twardniejące sutki błagały, żeby je possać. Opuścił wzrok niżej, chwycił ją w pasie i rzucił na środek łóżka.
- Hola! - Podskoczyła na pupie. Wylądował obok i pchnął ją na plecy.
- Zamknij oczy.
- Co takiego?
Rozwiązując troczki przy jej spodniach od pizamy, trzymał twarz odwróconą.
- Zamknij oczy i odpręż się. Po prostu to poczuj. - Pochylił się i dotknął językiem jej pępka.
Zadrżała.
- Oczy zamknięte?
- Tak.
Zerknął na jej twarz. Powieki miała opuszczone i to zaufanie sprawiło, że jego serce wezbrało dumą.
- Jesteś taka piękna. Kąciki jej ust się uniosły.
- Patrzysz na moje piersi? Uśmiechnął się.

Prawdo mówiąc, patrzyłem na twoją twarz. - Pocałował ją w policzek. - Ale twoje piersi też są piękne.
-Dziękuję.
Położył rękę na jej talii.
-*Si belle*. - Powiodł palcami wzdłuż żeber i rowka między piersiami. Uniosły się w głębokim oddechu.
Opuszkami palców obrysował jedną pierś, potem drugą.
-Brodawki ci ciemnieją. Twardnieją. A ja ich nawet jeszcze nie dotknąłem. - Przycisnął usta do zewnętrznej krzywizny lewej piersi.
Westchnęła. Nakrył dłonią prawą pierś i delikatnie po-masował. Jęknęła.
-Wolisz, żebym był delikatny... czy brutalny? - Ujął twardniejący sutek w dwa palce i pociągnął.
Zrobiła gwałtowny wdech.
- A może jedno i drugie? - Objął brodawkę ustami i zakreślił językiem wokół sutka.
Rozczapierzonymi palcami złapała go za włosy.
- Jean-Luc.
- Hm? - Pocałował drugą pierś, skubiąc i tarmosząc brodawkę. Wsunął ręce w poluzowaną piżamę, sięgając niżej i niżej, dopóki nie napotkał jej loków. Powoli zaczął gładzić wzgórek łonowy. Oddech Heather przyspieszył i stał się urywany.
Musnął nosem jej szyję.
- Chcę cię posmakować.
- O Boże - szepnęła.
- Chcę poczuć, jak drzysz pod moimi ustami. - Polizał jej wargi i pocałował. Wsunął język do jej ust i zabrał go z powrotem. - Będzie tak samo, tylko lepiej. Jesteś gotowa?
- O tak - wydyszała, zaciskając powieki.
Złapał za pas od piżamy, pociągnął spodnie w dół i odrzucił na bok. Na moment zakryła twarz rękami, a potem rozrzuciła je szeroko. Jej nogi poruszały się leciutko, zgięte w kolanach.
Złapał ją za kostki i stanowczym ruchem je rozłączył. Ciało Heather przeszedł prąd, posyłając wzdłuż nóg wyczuwalne drżenie. Poczul nacisk nabrzmiałego członka na spodnie i pomodlił się o wytrzymałość. Najpierw musi sprawić, żeby ona zaczęła krzyżeć z rozkoszy. A zanim w nią wejdzie, musi usłyszeć z jej ust słowa miłości.
Ścisnął ją za kolana i rozdzielił nogi. Wypuściła powietrze.
Spojrzał na nią. *Mon Dieu*, była piękna. Ciemnokasztanowe loki. Różowe wargi sromowe. Ciemnorubinowe wnętrze. Błyszczała od wilgoci. Wzywał go jej zapach - mieszanka słodkiego pożądania i pulsującej krwi.
Przytulił policzek do miękkiego wnętrza uda.
- Jesteś cudowna nie do opisania. Słodka i wilgotna.
Przejechał palcami i jej nogi zdrząły.
Wydała z siebie pomruk, w którym slychać było przynaglenie i potrzebę. Chwyliła się narzuty i zarzuciła mu stopy na plecy.
Przysunął się bliżej i dotknął jej językiem. Wystarczyło tylko posmakować, a był zgubiony. Chwylił ją za biodra i zaczął obracać językiem w jej wnętrzu, poznając każdy zakamarek, podczas gdy ona wyla się pod nim. I choć wsunął język do środka, chciał wejść głębiej. Włożył więc palec, potem dwa i zaczął nimi poruszać, a językiem gładził łechtaczkę.
Dyszała, unosząc biodra. Delikatnie ją ugryzł, a potem trącił językiem, przyspieszając do wampirzej prędkości.
Krzyknęła. Ścisnęła go udami. Mięśnie w jej wnętrzu unieruchomiły jego palce. Orgazm przetaczał się przez nią fala za falą, a kiedy wyglądało na to, że słabnie, trącił językiem łechtaczkę i poruszył palcami. Krzyknęła znowu i kolejna fala spazmów przepłynęła przez jej ciało.
Uśmiechnął się. Tak dobrze reagowała, tak dobrze smakowała. Niebawem wyzna mu miłość. Rozpiął suwak w spodniach.
- To było niewiarygodne. - Przycisnęła dłoń do piersi. - Jesteś niesamowity.
- Tak? - W każdej chwili mogła mu wyznać dozgonną miłość. Wtedy wszedłby w nią i sprawił, że stałaby się jego.
- Jesteś wspaniała i... aaa! - Na jej twarzy pojawiło się przerażenie. - Masz czerwone oczy!
Zut.
- To nie takiego. Mogę to wyjaśnić.
- One świecą! - Odskoczyła od niego. - To... to nie jest normalne!
- Heather, uspokój się.
- Fidelia mnie ostrzegła. - Wyskoczyła z łóżka. -Czerwone świecące oczy. Niebezpieczeństwo.
- Nie skrzywdzę cię.
- Fidelia miała rację co do ognia. Wyśniła go. - Heather złapała spodnie od piżamy i wpakowała nogi do środka. -Śniły się jej też czerwone świecące oczy i obnażone białe zęby.
- Do diabła, Heather. Całkowicie nad sobą panuj. -Stanął obok łóżka. - Nie ugryzę cię.
Zamarła. Otworzyła szeroko oczy.
- Nie ugryziesz? *Merde*. Nie wiedziała. Wskazał na łóżko.
- Proszę, usiądź. Wszystko ci wyjaśnię. Cofnęła się o krok.
- Nie sądzę. - Zauważyła swoją koszulkę na podłodze i złapała ją. - Myślałam, że moja teoria jest prawdziwa. Sam przyznałeś, że się urodziłeś w 1485 roku.
- Bo tak było.

Wciągnęła koszulkę przez głowę.

- To czego mi nie powiedziałaś?

- Że umarłem w 1513. Potarła dłonią czoło.

- W porządku. Tak właśnie nieśmiertelni odkrywają, kim są. Umierają, a potem wracają.

- Zostałem ranny podczas drugiej bitwy o ostrog³. -Usiadł na krawędzi łóżka. - Moi towarzysze uciekli, ale ja nie chciałem się wycofać. Otoczyli mnie Anglicy. Pchnięto mnie wiele razy i zostawiono, żebym umarł.

Heather przycisnęła dłoń do ust i lekko pozieleniała.

- To straszne.

- Do zachodu słońca byłem już ledwo żywy. Wtedy znalazł mnie Roman i powiedział, że mogę żyć i walczyć znowu.

Zgodziłem się, a on mnie przemienił.

- W nieśmiertelnego?

- Nie, *chérie*. - Zrobił głęboki wdech, żeby przygotować się na jej reakcję. - W wampira.

Pobladła. Mógł dosłownie wyczuć, jak krew odpływa z jej twarzy i rąk. Słyszał łomoczące w piersi serce.

- To... to nie może być prawda. Wampiry nie istnieją.

- Heather. - Wstał i ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się, gdy odskoczyła. - Nie ma powodu, żebyś się mnie bała.

- Zdaje się, że jest. Czy ty... czy wampiry żywią się ludźmi?

- Już nie. Pijemy syntetyczną krew z butelek.

- No tak, jasne. I nie kuszą cię świeże posiłki? - Podniosła dłoń, żeby go powstrzymać, i wycelowała w niego palcem. -

Alberto. Został ugryziony.

- A ja zagroziłem Simone i Indze, że je zwolnię. Wiedzą, że w moim domu nie wolno gryźć.

- Jak miło z twojej strony. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Ile wampirów poznałam?

- Robby, Ian i Phineas. Simone i Inga. Angus MacKay i Emma.

- Emma? - Heather była przerażona. - Pozwoliłam wampirovi pilnować mojego dziecka?

- Jesteśmy najlepiej przygotowani do walki z Luim, bo on też jest wampirem.

- A Phil i Pierre?

- Śmiertelnicy. Jesteśmy uzależnieni od ludzi, którzy I chronią nas za dnia, bo wtedy jesteśmy... niedostępni.

Uniosła brew.

- Niedostępni? Pojawiłeś się trzy godziny po śmierci Pierre'a. To było po prostu nieprzyzwoite!

- Nie znoszę być od ciebie oddzielony za dnia. Nienawidzę tej sytuacji, bo nie mogę cię chronić ani pocieszyć. ' Ale nic na to nie poradzę. Jestem wtedy... martwy.

Zamrugwała.

- To znaczy naprawdę... martwy? Z westchnieniem usiadł na łóżku.

- Całkowicie martwy. To bardzo... irytujące, ale tak się dzieje tylko w ciągu dnia.

- No tak. - Zmrużyła oczy. - Rozumiem, że masz kły. Dotknął ostro zakończzonego zęba.

- Nie wydłużyły się teraz. Całkowicie nad sobą panuję. Jesteś zupełnie bezpieczna.

- Bezpieczna? - zadrwiła. - Przecież one są jak broń.

O matko! Wodziłeś swoimi... ustami po całym moim ciele.

- Wiedziałem, co robię. A tobie się to podobało. Podeszła do niego i wymierzyła mu policzek. Skrzywił się.

- Skąd ta złość, *cherie*? Przecież powiedziałem prawdę.

- Teraz mi to mówisz? - Zaczęła przechadzać się tam

I z powrotem. - Pewne rzeczy mówi się przed seksem. Na przykład: „A tak przy okazji, kochanie, to mam opryszczkę”.

Albo - o, to będzie dobre - „Wiesz co? O mały włos nie przeleciałaś martwego faceta!” Jean-Luc wstał.

- Nie jestem martwy!

- Tak? To poczekajmy kilka godzin.

- Czy martwy mężczyzna wygląda tak?

Spuścił spodnie, odsłaniając wypchane bawełniane slipy. Wprawdzie to już nie była pełna erekcja, ale z pewnością jego członek był dość nabrzmiały, żeby to nie uszło jej uwagi. I nie uszło. Otworzyła szerzej oczy, po czym uciekła wzrokiem.

- Martwy facet, który jest sztywny - mruknęła. -1 bądź tu mądry.

- Nie jestem martwy. - Podeszedł do niej. - Czy moje usta sprawiały wrażenie martwych, kiedy całowałem twoje piersi i cię ssałem?

Wzdrygnęła się.

- Nie...

- Już zapomniałaś, jak się wiałaś i krzyczałaś w moich ramionach? Jestem cały w twojej wilgoci. - Polizał usta. -Wciąż czuję twój smak.

Na moment zakryła twarz.

³Ang. *Battle of the Spurs* - bitwa pod Guinegate stoczona 16 sierpnia 1513 roku przez sprzymierzone wojska cesarza Maksymiliana I i króla Henryka VIII z Francuzami (przyp. tłum.).

- Nie zapomniałam. Właśnie dlatego to takie cholernie trudne. My... myślałam, że jesteś idealny. Myślałam, że się w tobie zakochałam.

- I tak jest. Wiem, że mnie kochasz.

- Nie! Nie potrafię... sobie teraz tego poukładać. Za dużo wszystkiego. - Pobiegnęła do drzwi i mocno szarpnęła za klamkę.

- Heather. - Zasuwał suwak i wypadł na korytarz. Była już w połowie drogi do drzwi. - Heather, nie opuszczaj budynku. Na zewnątrz jest zbyt niebezpiecznie.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To tutaj jest niebezpiecznie. Mieszkam pod jednym dachem z całą bandą pokręconych wampirów!

- My jesteśmy dobrymi wampirami. - Podszedł do niej. - Nigdy byśmy cię nie skrzywdzili. Przysięgliśmy cię chronić. Proszę, obiecaj mi, że nie odejdziesz.

Popatrzyła na niego krzywo.

- Obiecuję. Uwierz mi, że bardzo się staram nie zrobić nic głupiego. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Jean-Luc westchnął z ulgą. Rozumiała, że głupotą byłoby opuścić ten dom. Niestety, dała mu też do zrozumienia, że związek z nim uważała za podobną głupotę.

Musi po prostu zmienić jej nastawienie. Jakimś cudem musi ją odzyskać. Pokaże jej, że może mu zaufać. Udowodni, że ich miłość nie jest głupotą.

Rozdział 21

Heather pomknęła po schodach na poziom parteru. Wampiry? Jak to możliwe? Ale dlaczego Jean-Luc miałby wymyślić coś tak okropnego? „Wiem, że mnie kochasz”. Jego słowa rozbrzmiewały w jej głowie. Nie! Nie mogłaby kochać wampira. Wampiry to potwory, które polują na niewinnych, żeby przeżyć.

Zatrzasnęła za sobą drzwi do piwnicy i ruszyła korytarzem. Wampiry. W Teksasie. Może powinna wezwać służby imigracyjne. Weszła do pracowni. Dobry Boże, jej szef to wampir. I w dodatku fantastyczny w łóżku. Skrzywiła się, próbując wymazać tę ostatnią myśl.

„Wiem, że mnie kochasz”.

Cholera, nie zakocha się w żadnym demonicznym krwio pijcy. W jej głowie pojawiła się kwestia ze starego filmu tylko po to, żeby ją dręczyć. Wymagała kilku pociągnięć nosem i silnego południowego akcentu. „Zawsze zakochuję się w nieodpowiednich facetach”.

Tak, cała ona. Od obsesyjnie kontrolującego ją męża uciekła do kochanka wampira. Wampir przynajmniej nie mógł jej kontrolować za dnia. Bo był martwy. Z jej ust wydobył się chichot. Boże, traciła zmysły!

Gdy zatrzymała się pośrodku sklepu, otworzyły się drzwi do pomieszczenia ochrony.

Wyszedł stamtąd Robby i popatrzył na nią zatroskany.

- Wszystko w porządku, droga pani? Wampir. Cofnęła się. Zmarszczył brwi.

- Nie ma powodu do obaw.

Pewnie. Był po prostu ogromnym wampirem z mieczem przy boku, nożem w skarpetce i kłami w ustach. Odwróciła się i pobiegła na górę głównymi schodami. Kiedy szła po pomoście, zobaczyła, że wciąż stoi w głównej sali i ją obserwuje.

Do diabła, nie będzie się bała. Przecież wypowiedziała wojnę strachowi. Wśliznęła się do sypialni.

- Mam tu pistolet wycelowany w twój tyłek - wyszeptwała w ciemnościach Fidelia.

- To ja. - Heather zamknęła drzwi na klucz. - Musimy porozmawiać. Trzymaj broń w pogotowiu.

- Nie mam pistoletów w łóżku. Blefowałam.

- To je węz. - Heather po omacku przeszła przez pokój do łazienki. -I chodź tutaj. Nie chcę obudzić Bethany.

Chwilę później Fidelia przydreptała do łazienki z torebką przyciśniętą do piersi.

Heather zamknęła drzwi i zapaliła światło.

- Jesteśmy w strasznym niebezpieczeństwie.

- Tak myślałam. - Fidelia upuściła ciężką torebkę na marmurową toaletkę. Włosy sterczały jej we wszystkie strony, a na okazałych rozmiarów jaskraworóżowej koszuli nocnej widniał napis „Gorący towar”. - Karty mnie ostrzegły.

Heather przysiadła na krawędzi wanny. Przez głowę przemknęło jej nieszczęsne wspomnienie. Wanna Jeana--Luca była niesamowita. I znalazłoby się w niej miejsce dla dwojga. Pokręciła głową, żeby pozbyć się tej myśli.

- Zakradłam się do piwnicy, żeby dowiedzieć się, co przed nami ukrywają.

- Uhm. - Fidelia opuściła klapę i usiadła na sedesie. -A seks był dobry?

Heather opadła szczęką.

- Słucham?

- Przecież mam zdolności paranormalne. - Fidelia wycelowwała w nią palcem. - A ty koszulkę na lewą stronę.

Heather zerknęła w dół i zrobiła się czerwona jak burak. Szybko zmieniła temat:

- Odkryłam coś ważnego. Miałam rację, że Jean-Luc ma kilkaset lat. Urodził się w 1485 roku.

Fidelia powoli pokiwała głową.

- To by wiele wyjaśniało. Ogromne doświadczenie. Musi być dobry w łóżku.

Heather prychnęła.

- To zupełnie nie ma związku ze sprawą.
- Czyli był dobry.
- Fidelio, jego oczy zrobiły się czerwone. Świeciły. Twarz niani pobrała.
- *Santa Maria*. - Szybko się przeżegnała. - Widziałas obnażone białe zęby?
- Nie, ale ma takie. Jest wampirem. Oni wszyscy są wampirami. Poza Philem. I biednym Pierre'em. Louie też jest wampirem.

Brązowe oczy Fidelii otworzyły się szerzej.

- Jesteś pewna? Jean-Luc się przyznał?
- Tak.

Złożyła ręce przy ustach, wyszeptala po hiszpańsku modlitwę i znowu się przeżegnała.

- Wyczuwałam, że są... inni, ale nigdy... - Zesztywniała. - Ugryzł cię?
- Nie. Nie widziałam, żeby mu wychodziły kły. - Skrzywiła się na myśl o odrażających zwierzęcych zębi-skach w pięknych ustach Jeana-Luca.

Fidelia nachyliła się, żeby obejrzeć jej szyję.

- Nie masz żadnych śladów.
- Nie ugryzł mnie - powtórzyła z naciskiem Heather. - Mówił, że całkowicie nad sobą panuje.
- Panuje, tak. - Fidelia cofnęła się, marszcząc brwi. - Słyszałam, że są bardzo dobre w kontrolowaniu umysłów. Mógł cię ugryźć, a potem wymazać to z twojej pamięci.

- Nie sądzę. Powiedział, że w jego domu kąsanie jest zakazane. Oni wszyscy piją krew z butelek.

- Naprawdę? - Fidelia uniosła ciemne brwi. - Czyli żaden z tych wampirów cię nie zaatakował?

- Żaden.

- Jean-Luc nie wykorzystał umiejętności kontrolowania umysłu, żeby cię zmusić do czegoś wbrew twojej woli?

Pokręciła głową, czując, że policzki znowu zaczynają jej płonąć. Zmusił ją, żeby krzyczała, ale na pewno nie stało się to wbrew jej woli.

- Nie sądzę, żeby mnie kontrolował. Choć w pewnym sensie straciłam nad sobą panowanie. Nakrzyczałam na niego i go spoliczkowałam.

- On też na ciebie nakrzyczał?

- Nie. - Heather poprawiła się na krawędzi wanny. - Prosił, żebym nie opuszczała domu. Martwił się o nasze bezpieczeństwo.

Fidelia zrobiła głęboki wdech.

- Niech no to sobie poukładam. Nie zaatakował cię ani nie ugryzł i w ogóle nie próbował kontrolować twojego umysłu?

- Nie.

- To dlaczego na niego nakrzyczałaś i go spoliczko-wałaś?

- Bo to są wampiry. To niewystarczający powód? Fidelia wzruszyła ramionami.

- Z tego, co wiem, robią wszystko, żeby nam tu było wygodnie, i bardzo poważnie podchodzą do sprawy naszego bezpieczeństwa. Stracili dziś jednego ze swoich.

- Pierre był śmiertelnikiem.

- Był ich towarzyszem i jego śmierć bardzo ich przybiła. To się mogło przytrafić każdemu z nich. Z nas. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Heather westchnęła.

- Więc uważasz, że powinniśmy tu zostać? Zjednoczyć siły z tymi... wampirami przeciwko wspólnemu wrogowi?

- Louie jest wampirem, tak? Powiedziałabym, że najlepszą ochroną przed nim będą inne wampiry. Z całą pewnością powinniśmy tu zostać.

Heather skinęła głową.

- Zgoda. Ale odejdziemy, gdy tylko zabiją Louiego.

- A co z Jeanem-Lukiem? Lubisz go, prawda?

- Nie mogę się umawiać z facetem, któremu udało się przetrwać stulecia, bo kąsał kobiety i wysysał z nich krew.

- Założę się, że robi niezłe malinki.

- Fidelio! Ten człowiek jest potworem. Niania sięgnęła po torebkę.

- Chcesz, żebym go zastrzeliła? Mogę go zabić jeszcze dziś w nocy.

- Nie! - Heather zerwała się na równe nogi. Fidelia popatrzyła na nią znacząco.

- Oblałaś test, *chica*.

Heather zacisnęła zęby.

- To nie to, co myślisz.

- Że jest dobry w łóżku? Heather sapnęła i usiadła.

- To nie ma nic wspólnego z seksem. Po prostu każda przemoc budzi we mnie odrazę.

- Spoliczkowataś go.
- Byłam zdenerwowana. Kiepsko się z tym teraz czuję. Fidelia pochyliła się, opierając podbródek na łokciach.
- Kiedy się przyznał? Przed seksem czy po?
- Po. - Heather potarła czoło. Zaczęła ją boleć głowa.
- Ach, czyli dlatego go uderzyłaś. To drań. Zanim powiedział ci prawdę, wykorzystał cię, żeby sprawić sobie rozkosz i zaspokoić własne potrzeby.

W skroniach Heather zaczął pulsować tępy ból.

- Prawdę mówiąc, on wcale nie zasp... To znaczy cały czas to mnie sprawiał rozkosz.

- Och! - Oczy Fidelii rozbłysły. - Jean-Luc. *Muy macho*.

Heather westchnęła. Przeżyła największy orgazm w życiu. Nie żeby jeszcze kiedykolwiek zamierzała wracać do tego pamięcią.

- A więc nie próbował cię ugryźć ani nie szukał własnej przyjemności. - Fidelia przechyliła głowę, zastanawiając się nad czymś. - To dlaczego zaciągnął cię do łóżka?

Heather przelknęła z trudem.

- Powiedział, że mnie kocha.

- Ach. *Amor*. Heather się pochyliła.

- Powiedział, że czekał na mnie pięćset lat.

- Mmm. *Romantico*.

- Ale jest wampirem. Fidelia wzruszyła ramionami.

- Nikt nie jest doskonały. Mój drugi mąż miał sześć palców u jednej stopy.

- Tylko że to trochę poważniejsze. Jean-Luc jest dosłownie martwy przez pół dnia.

Niania pokiwała głową.

- W wypadku większości mężczyzn to akurat byłby postęp.

- Mówię serio! Muszę się trzymać od niego z daleka. Chcę, żebyśmy razem z Bethany miały normalne życie. Wprawdzie mieszkamy teraz tutaj, ale za wszelką cenę będę go unikała.

- W porządku - zgodziła się Fidelia. - Nie wolno ci z nim rozmawiać, mimo że jest *muy romantico*. I musisz postarać się nie myśleć o tym, jaki to był dobry seks. Bo faktycznie był dobry, prawda?

- Wcale nie pomagasz. Po czyjej jesteś stronie? Fidelia klepnęła się w kolano.

- Jestem po stronie twojego serca, *chica*. Twoje serce powie ci, co masz robić, jeśli tylko go posłuchasz.

Heather jęknęła, gdy poczuła kolejne ukłucie bólu w skroniach. Nie taką radę chciała usłyszeć. Bo jeśli chodzi o jej serce, to obawiała się, że już je komuś oddała.

Tyle czasu Heather wierciła się i rzucała na łóżku, bo zbyt wiele erotycznych wspomnień wciąż nawiedzało jej obolałą głowę, że w końcu się poddała. Wzięła długi gorący prysznic, ubrała się i przed piątą zeszła do pracowni. Kiedy przechodziła obok pomieszczenia ochrony, drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry - przywitała ją Robby. Wymamrotała „dzień dobry” w odpowiedzi i szybko go wymięła. Jeśli uda jej się zatopić w pracy, którą uwielbiała, może zapomni o tych wszystkich wampirach czyhających dokoła.

- Ej! Poczekaj, królowo!

Obejrzała się za siebie. Świetnie. Ten, którego nazywali Phineasem, szedł jej śladem. Nie zatrzymała się.

- O co chodzi? - Dogonił ją.

- O nic. - Stała przed drzwiami do pracowni i wystukała kod na klawiaturze. - Po prostu chcę popracować.

- To super. Nie przeszkadzaj sobie. Tak się tutaj kręcę.

- Jak szczer? - mruknęła, wchodząc do studia.

- Raczej jak osobisty ochroniarz jej wysokości. - Zamknął za nią drzwi. - Nie chcemy, żeby coś ci się stało.

- Jakimś trafem czuję się bezpieczniej bez wampira, który za mną łązi.

Phineas zatrzymał się. Wyglądał na dotkniętego.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić, królowo. Czyżby zraniła jego uczucia?

- Nigdy nikogo nie ugryzłeś? Skrzywił się.

- Nie jestem ideałem, ale staram się kontrolować. Wiem, że za życia był ze mnie niezły męt. Do licha, prawdziwy lump.

Ale Angus we mnie uwierzył, a ja nie zamierzam go zawieść.

Podeszła do stołu, żeby uporządkować materiały.

- I mówisz, że teraz, kiedy jesteś martwy, twoje życie jest lepsze?

- Nie jestem martwy. A przynajmniej nie w tej chwili. I tak, moje życie jest lepsze. To moja pierwsza prawdziwa praca i naprawdę dobrze sobie radzę. Wysyłam pieniądze do domu. I uczę się szermierki i sztuk walki. Chcesz zobaczyć?

Zanim zdążyła powiedzieć „nie”, Phineas okręcił się i stanął przed grupką manekinów pośrodku pracowni.

- Hai! - Przyjął pozycję bojową. - Załatwię cię, frajerze!

Chwycił manekin za rękę, obrócił i zgiął w pasie. Heather czekała, aż kukła przeleci Phineasowi przez ramię i uderzy w podłogę, tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że ręka oddzieliła się od korpusu.

Phineas sprawia wrażenie zaskoczonego tylko przez sekundę, po czym odrzucił rękę na podłogę.

- Ale ci spuściłem baty, co? - Odskoczył do tyłu, podnosząc pięści. - Nie będziesz już ze mną zadzierał, frajerze! Bo skończyłeś jako jednoręki bandyta!

Usta Heather drgnęły w uśmiechu, więc się odwróciła. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała było pamiętać, jak bardzo w gruncie rzeczy polubiła tych facetów. Podeszła do manekina, na którym udrapowała gotowe elementy pierwszej sukni. Ktoś przypiął do niego liścik. Zerknęła na czarne pochyłe pismo, żeby sprawdzić, czyj podpis widnieje na dole.

„Jean-Luc”. Serce jej drgnęło. Wzięła liścik.

„Pierwsza suknia i wspaniały początek. Pokaz odbędzie się zgodnie z planem za tydzień, licząc od tej soboty. Liczba gości ograniczona. Życzę powodzenia z projektami, ale najważniejsze jest dla mnie twoje bezpieczeństwo”.

I tyle. Grzecznie i oficjalnie. Poczula się prawie rozczarowana. Mógł napisać coś w stylu: „Przepraszam, że jestem wampirem” albo „Raczej umrę powtórnie, niż kiedykolwiek cię ugryzę”. Ale nie, nawet nie wspomniał o tym, że jest krwiożerczą bestią. Nie napisał też niczego romantycznego.

Zmieniła liścik i wrzuciła go do kosza. Tak było lepiej. Jest jej szefem, nikim więcej. Gdy tylko Louie umrze, ona się stąd zabierze. Usiadła przy maszynie do szycia, żeby skończyć spódnicę.

Phineas przysiadł na stole.

- Robby uważa, że się go boisz. Dlatego przysłał mnie.

- Nie boję się. - Tylko jestem kompletnie przerażona, pomyślała. Nacisnęła pedał, żeby uruchomić maszynę.

- Trochę czasu trzeba, żeby do nas przywyknąć. Królowo, ja byłem kompletnie przerażony, kiedy odkryłem, że jestem wampirem.

Heather przestała szyc. Czyżby czytał w jej myślach? Choć bardziej prawdopodobne było to, że „totalne przerażenie” stanowiło powszechną reakcję na wampiryzm.

- Od jak dawna jesteś... taki?

- Dopiero ponad rok. - I Phineas opowiedział, jak został przemieniony przez kilku naprawdę wrednych wampi-rzych koleś i jak ocalił go Angus.

- Ci źli wciąż się żywią ludźmi? - spytała Heather.

- Tak. Oni nawet ich zabijają. My ich nienawidzimy. -Phineas wyprężył pierś. - My jesteśmy ci dobrzy.

- To znaczy, że są dobre i złe wampiry?

- Tak. Jak to mówi Connor? „Śmierć nie zmienia serca człowieka”. Dlatego źli goście pozostają źli.

- A dobrzy pozostają dobrzy? - Tak jak Jean-Luc. Zawsze wyczuwała, że jest dobrym człowiekiem. Wręcz cudownym.

„Wiem, że mnie kochasz”. Znow dopadły ją jego słowa.

- Właśnie tak. - I Phineas zaczął długą opowieść o naprawdę złym gościu imieniem Casimir.

Heather wróciła do szycia, ale historia ją wciągnęła i zaczęła zadawać pytania. Najwyraźniej istniały dwie frakcje - Wampów i Malkontentów - które znajdowały się na krawędzi wojny totalnej. Angus MacKay był głównodowodzącym Wampów od czasów wielkiej wampirzej wojny w 1710 roku.

- Czy Jean-Luc brał udział w tej wojnie? - spytała.

- Jasne, że tak. Był zastępcą Angusa. Connor mówił, że Jean-Luc nie odstępował Romana. Odnosił poważne rany, chroniąc go.

Jean-Luc był oddanym przyjacielem, bohaterem wśród swoich. Ale jego świat istniał zupełnie obok jej świata. A poza tym był niebezpieczny. Nie najlepsze miejsce dla niej i dla Bethany. Heather starała się o tym nie myśleć.

- Kim jest Connor?

- 'Uitend' ochrony Romana. Ja też zwykle dla niego pracuję, ule Connor nalegał, żeby teraz Roman się ukrył.

Są w niebezpieczeństwie? - Heather przypomniała sobie krótkie spotkanie z Romanem. Jego żona była bardzo przyjacielska i... Przestała szyc i wypuściła gwałtownie powietrze. - Mają dziecko!

- Tak. Wiesz, Roman to taki jakby geniusz. Wynałazł syntetyczną krew, którą pijemy. A kiedy Shanna powiedziała, że chce mieć dziecko, wymyślił sposób, żeby to było jego dziecko.

Heather nie mogła uwierzyć.

- Ten uroczy chłopczyk jest synem wampira?

- Tak. Słodziak, nie?

- Ale jak Shanna mogła mieć dziecko. Przecież wampiry są w pewnym sensie martwe. - To się nie mieściło w głowie.

- Shanna jest śmiertelniczką. - Phineas wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tak jak ty.

Heather przełknęła. Śmiertelniczką żoną wampira? I matką jego syna. Jak mogła do tego dopuścić? Ale sprawiała wrażenie szczęśliwej. A chłopczyk był piękny.

- Mamusi! - Do pracowni wpadła Bethany, a za nią Fidelia ze swoją torebką i łań.

Heather zerknęła na zegar. Było po szóstej. Przytuliła córeczkę.

- Wcześniej wstałaś.

- Jestem głodna - oznajmiła Bethany.

- Chodź zjeść z nami śniadanie. - Fidelia podeszła bliżej i szepnęła: - Chcą, żebyśmy cały dzień byli razem.

- Ale ja mam pracę - zaprotestowała Heather.

- Nie martw się - odparł łań. - Przyniesiemy tu meble i wszystkim wam będzie wygodnie.

Niebawem Heather siedziała z rodziną przy kuchennym stole, jedząc płatki, a Phineas stał na warcie, łań chwycił fotel i ruszył do wyjścia, niosąc mebel nad głową, jakby ważył nie więcej niż dwa kilogramy.

- Hm, *muy macho*. - Fidelia przechyliła się w bok i patrzyła, jak wychodzi.
 Heather z trudem przełknęła płatkę. Najwyraźniej wampiry były bardzo silne. Przypomniała sobie, z jaką łatwością Jean-Luc uniósł ją i rzucił na łóżko. Napłynęły też inne wspomnienia. Dobry Boże, był taki gorący. Stop. Odegnęła obrazy z głowy.

- Trochę tu ciepło, nie? - Fidelia uśmiechnęła przebiegle.
 Heather jęknęła w środku. Czasami fakt, że się miało przyjaciółkę o zdolnościach parapsychicznych, bywał naprawdę irytujący.

Do środka wszedł Robby, bez słowa zarzucił sobie kanapę na ramię i oddalił się niespiesznie.

- Och. - Fidelia poruszyła smolistymi brwiami. -Roberto. Ciekawe, czy nosi coś pod tą spódniczką.
 - To kilt. - Heather wskazała głową na córeczkę. -Niech lepiej nasze śniadanie będzie dozwolone bez ograniczeń wiekowych, dobra?

- Dobra, będę to sobie wyobrażała. - Fidelia spojrzała gniewnie na swoje płatki. - W moim wieku tylko to mi pozostało.
 Phineas wyszczerzył zęby w uśmiechu.
 - Jest pani niemowlęciem w porównaniu z niektórymi weteranami w okolicy.
 - *Gracias, muchacho*. - Fidelia spojrzała na niego z wdzięcznością. - Bardzo mi się tu wszyscy podobacie. Jesteście *muy macho*. - Spojrzała znacząco na Heather. -Prawda?
 Heather odpowiedziała ostrym spojrzeniem.

- Nie przeginaj.
 Ian i Robby wrócili po telewizor i szafkę.
 - Dziękuję! - zawołała za nimi Fidelia. - Teraz nie przegapię moich seriali. Ci panowie są bardzo wyczuleni na nasze potrzeby, nie sądzisz?
 Heather zrobiła kwaśną minę. Śmiech Phineasa przeszedł w ziewanie.
 - Słońce wschodzi. Umieję to wyczuć. Niedługo będę musiał iść.
 Co znaczyło, że niedługo będzie martwy. Jean-Luc też. Na myśl o tym Heather zadrżała. Gdzie był teraz? Czy kładł się do swojego ogromnego łóżka, żeby przeleżeć cały dzień jak zimny trup?
 Phineas wstał.
 - Hej, brachu! Co tam?
 - Hej. - Phil podszedł bliżej. - Dzień dobry. Heather powitała go uśmiechem. Przynajmniej jedna normalna ludzka istota.
 Phil popatrzył na pustą część salonową.
 - Co się stało?
 - Przenieśliśmy rzeczy do pracowni, żeby Heather mogła spokojnie pracować - wyjaśnił Ian, wchodząc do kuchni. Kiwnął Heather głową. - Wszystko wam tam przyszykowaliśmy.
 - Dziękuję. - Zebrała miski i wstawiła je do zlewu.
 - Phineas, możesz zejść na dół - powiedział Ian. -Robby już poszedł.
 - No to narka. - Pomachał Heather. - Do wieczora.
 - Miłych snów. - Skrzywiła się. Co powinna była powiedzieć? Słodkiej śmierci?
 - A co z tobą, brachu? - spytał Ian Phineas.
 - Wziąłem lekarstwo - odpowiedział Ian, ścisząc głos. - Zostaję.
 Phineas się skrzywił.
 - Człowieku, to badziewie.
 Phil uważnie przyjrzał się młodemu Szkotowi.
 - Dobrze się czujesz? Ian wzruszył ramionami.

- Na początku trochę mi się kręciło w głowie, ale teraz jest w porządku.
 Phineas popatrzył na niego sceptycznie.
 - Miałem wcześniej do czynienia z prochami. To nic dobrego, stary.
 - Nic mi nie będzie - burknął Ian. - A teraz zabierajcie się stąd.
 - No dobra. - Phineas spojrzał na Heather. - Miej go na oku. -I wyszedł.
 Heather podeszła do dwóch pozostałych strażników.
 - Co się dzieje?
 - Nic. - Ian skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył brwi.
 - Wziął eksperymentalny lek, który pozwala nie spać podczas dnia - wyjaśnił Phil.
 - To niebezpieczne? - spytała.
 - *Nay* - oświadczył Ian. - Czuję się świetnie, a my potrzebujemy więcej niż jednego strażnika za dnia.
 Heather zagryzła wargę. Te wampiry zadają sobie dużo trudu, żeby chronić ją i jej rodzinę. Coraz trudniej było jej myśleć o nich jak o potworach.
 Gdy weszli do pracowni, zauważyła, że było tam ciemno. We wszystkich oknach pozaciągano żaluzje. Wprawdzie światła były włączone, ale mimo to bez słońca panował tu półmrok.

- Mnóstwo zrobili w czasie, kiedy jadalśmy śniadanie -szepnęła do Phila.
 - Potrafią poruszać się bardzo szybko - odparł. Superszybkie i supersilne. I superseksowne. Za to ostatnie wymierzyła sobie w myśli policzek.
 - Dlaczego ma być tu tak ciemno?
 - Światło słońca mogłoby poparzyć łana - wyjaśnił Phil. - Gdyby za długo na nim przebywał, mogłoby go zabić. Skrzywiła się. Młody Szkot narażał się na zbytne niebezpieczeństwo.
 - Nie widzę potrzeby, żeby za dnia miało nas pilnować dwóch strażników. Louie jest wampirem, prawda? Phil skinął głową.
 - Więc będzie atakował tylko nocą - dokończyła. - Chyba że bierze takie same lekarstwa jak Ian.
 - Na pewno nie. Ale jest mistrzem w kontrolowaniu ludzkich umysłów. Posłużył się śmiertelnikami, żeby zamordować francuskich królów. Może tak zmanipulować dowolną osobę, że przyjdzie tu i zabije nas za dnia. Heather przełknęła ślinę. i
 - Czyli każdy, kto stanie w drzwiach, może być zabójcą? Na przykład... listonosz?
 - Właśnie.
- Przy wejściu rozległ się dźwięk dzwonka.

Rozdział 22

Heather przysunęła się bliżej córki, łan wyciągnął z pochwy miecz, a Fidelia wyjęła z torebki pistolet.

Phil wyjrzał przez żaluzje w oknie obok drzwi wejściowych.

- To kurier z UPS. - Wcisnął przycisk interkomu. - Proszę zostawić przesyłkę na ganku.
- Może być w porządku. - łan oparł ostrze na ramieniu. - Jean-Luc zamawiał coś w sobotę przez Internet.
- Mamo, co się dzieje? - wyszeptala Bethany, biorąc Heather za rękę.
- To... niespodzianka. - Miała nadzieję, że przyjemna. Phil nadal podglądał przez okno. Cztery pudełka. Kurier odjeżdża. Cofnij się. Słońce jest wysoko.

łan się przesunął. Phil otworzył drzwi i promień światła wpadł do magazynu. Nad błyszczącym marmurem złote drobinki kurzu tańczyły w rozświetlonym powietrzu.

Heather zerknęła na łana, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Oczy lśniły mu od łez.

Podeszła do niego.

- Boli cię? Pokręcił głową.
- Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatni raz widziałem światło słońca. Nigdy nie sądziłem, że jeszcze je zobaczę. Jest takie... piękne.

Odwróciła się. Trudno jej było nadal źle o nich myśleć. Smuga światła zniknęła, gdy Phil zamknął drzwi. Podeszła do okna, przez które wcześniej wyglądał.

- Nie powinnaś stać tak blisko - ostrzegł ją łan.

Czyżby myślał, że paczki eksplodują tak jak jej furgonetka? Wyrzała na zewnątrz, żeby się upewnić, czy z Philem wszystko w porządku.

- O mój Boże, on obwąchuje pudełka!
- Potrafi wyczuć bombę - powiedział łan. - Proszę, cofnij się.
- Potrafi wyczuć... - Jej pytanie zostało przerwane, kiedy drzwi się otworzyły i Phil wepchnął paczkę do środka.
- Ta jest bezpieczna. - Zatrzasnął drzwi.
- Dla kogo to? - Bethany wyrwała się do przodu, żeby popatrzeć.
- Przynies ją tutaj. - łan schował miecz do pochwy i wyciągnął nóż z sięgającej kolana skarpetki. - Zaraz się dowiemy.

Bethany pchnęła pudełko do łana, akurat gdy Phil wrzucił drugie.

- Jaka zabawa! - Pchnęła drugie pudełko do Szkota. - To też otwórz!

łan tymczasem zdążył przeciąć taśmę przy pierwszej paczce. Pogrzebał w styropianowych kuleczkach i wyciągnął piękną lalkę ubraną w wymyślną kreację.

Bethany zapiszczała i wyciągnęła rękę.

- To dla mnie!

- Dobry Boże - szepnęła Heather, przysuwając się bliżej, łan wyciągnął jeszcze kilka plastikowych torebek - w każdej znajdowały się nowe cudne stroje dla lalki.

- Och, od razu widać, że wybierał je projektant mody. Bardzo ekstrawaganckie.
- Kocham ją! - Bethany kręciła się w kółko, trzymając lalkę w objęciach.

Heather odwróciła się do Fidelii.

- Nie możemy tego przyjąć. Fidelia prychnęła.
- Spróbuj zabrać to swojej córce. Heather się skrzywiła.
- Podstępny manipulator.
- A ja bym powiedziała, że raczej człowiek mądry i hojny - mruknęła Fidelia. - Ale co ja tam, do diabła, wiem.

Ian opróżnił pierwsze pudełko i znalazł w nim jeszcze kilka książeczek z obrazkami. Heather westchnęła. Jean--Luc byłby znakomitym ojcem, gdyby nie był potworem. Wzdrygnęła się, przypominając sobie, że Roman był ojcem. A co gdyby Jean-Luc posłużył się tą samą metodą? Czy faktycznie mógłby spłodzić dziecko?

- Wszystkie sprawdzone. - Phil wniósł do środka dwa ostatnie pudła i zamknął drzwi na klucz.

W tym czasie Ian otworzył drugą paczkę. Zawierała zabytkową talię ręcznie malowanych kart do tarota.

Fidelia przycisnęła karty do piersi. Popatrzyła na Heather.

- Jesteś *loco*, jeśli pozwolisz mu odejść. Heather zmarszczyła brwi.

- Mnie nie można kupić.

Ian otworzył trzecie pudło, wyciągnął z niego coś wykonanego z czarnej tafty i wręczył Heather.

Była to koktajlowa sukienka akurat w jej rozmiarze. Jean-Luc chciał pewnie zrekompensować stratę tej, którą rozdarł w miniony piątek. Heather zachwyił klasyczny styl i mistrzowskie wykonanie. Prawdopodobnie kosztowała fortunę.

- Nie można? - spytała Fidelia z nutą kpiny w głosie.

- Nie. - Heather odłożyła sukienkę do pudełka. -Zwrócę ją.

Ian pogrzebał w czwartej paczce, po czym szybko ją zamknął. Na młodą twarz wypłynął rumieniec. Pchnął pudełko do Heather.

- To również dla ciebie.

- Co dostałaś, mamó? - Bethany tańczyła wokół niej, kołysząc lalkę w powietrzu.

Heather wyciągnęła coś czerwonego i koronkowego. Stanik. Schowała go z powrotem.

- Nic takiego. To tylko ubrania.

- Och. - Bethany odwróciła się rozczarowana.

- Niech no spojrzę. - Fidelia przysunęła się bliżej.

Heather pogrzebała w styropianowych kulkach i wyciągnęła kolejną rzecz. Czarną koronkową koszulkę. Schowała ją do środka.

Fidelia zachichotała.

- Cały Jean-Luc. Niegrzeczny chłopiec.

Heather pokręciła głową. Zamówił to wszystko w sobotę? Cały czas planował, że ją uwiedzie? Wyciągnęła granatową jedwabną koszulę nocną wykończoną koronką. Tak, najwyraźniej tak było.

- Mmm, *muy romantico*. - Fidelia westchnęła.

Heather zamknęła pudło, czując, że twarz jej płonie. I Nawet Ian i Phil wyglądali na zakłopotanych - uważnie przyglądali się cieniom na ścianach.

- Nie przyjmę tego. - Starannie ustawiła oba swoje pudełka. - Nie zgodzę się być jego dłużniczką.

Fidelia spojrzała na nią z ukosa.

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Ja swoich kart nie oddam.

Przenieśli się do pracowni. Francuskie drzwi zostały przesłonięte zasłonami. Meble z kuchni ustawiono w narożniku, z dala od maszyny Heather. Mogła szyć cały dzień, nie wchodząc w paradę Fidelii oglądającej telewizję.

Ranek minął bez dalszych incydentów. W czasie lunchu I zrobiło się dość niesamowicie, kiedy Ian wkroczył do kuchni, pociągając coś czerwonego ze szklanki.

Nieco później dołączył do nich Alberto. ~~M~~iesz, gdzie może być Sasha? Nie pojawiła się na randce.

Heather wzruszyła ramionami.

- W jakimś spa w San Antonio.

- Dzwoniłem tam i powiedziano mi, że się wymeldowała.

- Och. - Ugryzła kawałek kanapki z indykiem i zastanowiła się. - Jej matka mieszka niedaleko. Może pojechała w odwiedziny. - Albo może unikała Alberta.

Zmarszczył brwi, spoglądając na swoją kanapkę.

- Może.

- Jestem pewna, że wróci na pokaz - powiedziała Heather. - Nie ma mowy, żeby się nie pojawiła.

Skinął potakująco.

- To mi o czymś przypomniało. Musimy przygotować wybieg. Znasz jakiegoś miejscowego stolarza?

Phil pokręcił głową.

- Żadnych obcych robotników.

- Mam pomysł. - Heather zaniósła talerz do zlewu. -Szkola, w której uczę, wystawiała w zeszłym roku musical. Przy tej okazji zbudowali pomost nad kanałem dla orkiestry. Mogę sprawdzić, czy wciąż go mają.

- Dobrze. - Albertowi ulżyło. - Dowiedz się, czy będą mogli go tu przetransportować. Ja popracuję nad listą gości.

- Nie więcej niż dwudziestu - ostrzegł Ian. Alberto się skrzywił.

- To śmieszne! Ian uniósł brew.

- Mówisz to po tym, co się przydarzyło Pierre'owi?

- Ale kiedy zaproszę członków rady do spraw edukacji, burmistrza i radę miasta, to już będzie prawie dwadzieścia osób - zaprotestował Alberto.

- To będzie mały pokaz - powiedział Ian. - Wytyczne Jeana-Luca. Najpierw bezpieczeństwo.

Alberto wyszedł naburmuszony.

Reszta wróciła do studia, gdzie Heather zajęła się pracą, a Fidelia i Bethany wypróbowywaniem wszystkich strojów nowej lalki. Była już prawie szósta, kiedy Ian potknął się i złapał krawędzi stołu, żeby odzyskać równowagę.

- Coś nie tak? - Podeszedł do niego Phil.

- Dziwnie się czuję.

Heather przestała szyc, żeby zobaczyć, co się dzieje, Ian zgiął się wpół z przeciągłym jękiem. Podbiegła do niego.

- Wszystko w porządku?

- *Nay*. - Potknął się i opadł na kolana. Oddychał ciężko, pot perlił mu się na czole. - Czuję się bardzo... - Z jękiem zakrył twarz.

Heather przyklękła obok.

- Możemy coś zrobić?

Krzyknął i upadł na podłogę. Heather spojrzała na Phila.

- Musimy coś zrobić. Skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie możemy go nigdzie zabrać. Usmaży się na słońcu. No i nie da się tego wytłumaczyć lekarzowi.

Ian wydał z siebie przeciągły jęk.

- Ale on cierpi - szepnęła.

- Mamusiu, co się stało Ianowi? - Bethany chciała do nich podejść, ale Fidelia ją powstrzymała.

- Nie martw się, kochanie - odpowiedziała Heather. - Troszkę źle się poczuł. Coś mu zaszkodziło.

Ian znów krzyknął i nagle zeszytniał z rękami przy twarzy i pobielalymi knykciami.

- Jak ci pomóc? - Heather pochyliła się nad nim. - Gdzie cię boli?

- Wszędzie - wydyszał. - Moja twarz. Jakby ją rozdzierano na dwoje.

Heather dotknęła jego ramienia.

- Nie wolno ci więcej brać tego leku.

- Muszę.

- Nie, nie musisz. W dzień może nas pilnować Phil. Nie chcę, żebyś przez nas cierpiał.

- To nie przez was - jęknął. - Tu chodzi o mnie.

- Co to znaczy? Phil kucnął obok.

- Z każdym dniem, kiedy będzie brał lek, będzie się starzał o rok.

Heather nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego ktoś chciałby się postarzeć.

- Mam czterysta osiemdziesiąt lat - wymamrotał Ian. - Jestem dojrzałym mężczyzną uwięzionym w ciele piętnastolatka. Już dłużej nie mogę.

- Ale to cię boli - zaprotestowała Heather.

- Nie dbam o to. - Krzyknął znów i zwinął się do pozycji embrionalnej. - Mu... muszę wyglądać na starszego. Chcę znaleźć prawdziwą miłość... Tak jak ty i Jean-Luc.

Zaczęła zaprzeczać i mówić, że niczego takiego jak miłość do Jeana-Luca nie czuje, ale zauważyła, że ciało Iana nieruchomieje.

- On... on nie oddycha.

Phil przycisnął mu palec do szyi.

- Serce stanęło.

- O mój Boże. - Heather osunęła się do tyłu. - To niemożliwe. - Zerwała się na równe nogi. - Przecież on nie może być... - Martwy? Czyż wampiry nie były martwe? - Co... co z nim teraz będzie?

- Nie jestem pewien. - Phil przejechał dłonią po gęstych brązowych włosach. - Myślę, że są dwie możliwości. Być może lek przestał działać i Ian po prostu zapadł w swój dzienny śmiertelny sen. Byłoby dobrze, bo nie czułby bólu.

- A druga możliwość? Phil zmarszczył brwi.

- Lekarstwo mogło go zabić.

- Nie! - Łzy napłynęły jej do oczu. - Nie mógł umrzeć. Przecież chciał tylko mieć dojrzałą twarz i szansę na prawdziwą miłość. - Te wampiry były za bardzo ludzkie.

- Nie sądzę, żeby umarł. W każdym razie nie na zawsze - powiedział Phil, przyglądając się uważnie bezwładnemu ciału. - Z mojego doświadczenia wynika, że naprawdę martwe wampiry obracają się w proch.

- Kiedy będziemy mieć pewność? - Heather otarła oczy.

- Kiedy zajdzie słońce. Jeśli nic mu nie jest, jego serce znów zacznie bić. - Phil wskazał na twarz Iana. - Czy twoim zdaniem wygląda inaczej?

- Nie. - Heather przyjrzała mu się dokładniej. - Choć właściwie tak. Zdaje się, że ma nieco większą szczękę. I bujniejszy zarost.

Phil popatrzył na Iana.

- Rośnięcie to bolesny proces. Dlatego czuł ból. Rok jest tego wart. Wydaje mi się, że może być też odrobinę wyższy.

Heather zmarszczyła czoło.

- Czyżby wynalazca nie wiedział, co się stanie po zażyciu leku?

Phil pokręcił głową.

- Romana nigdy nic nie bolało. Oczywiście on już miał koło trzydziestki. I dlatego to nie był taki szok dla jego ciała.

- Roman sam brał to lekarstwo?

- Tak. Gdy urodził mu się syn, brał je przez tydzień, żeby pomóc przy dziecku. Ale potem włosy zaczęły mu siwieć i zorientował się, co się dzieje.

Heather wstała.

- Uważam, że Ian nie powinien więcej stosować tego specyfiku. Na pewno istnieją jakieś wampirzyce, które potraktują jego problem ze zrozumieniem i zaakceptują go takim, jaki jest.

Phil też się podniósł.

- Nie wiem. Ale uważam, że decyzja należy do niego.

Heather się z nim nie zgadzała i postanowiła porozmawiać o tym z Jeanem-Lukiem. Zaraz, gdy tylko zwróci ubrania, które dla niej zamówił. A niech to. I to tyle z jej planów unikania z nim spotkań.

Spojrzała w dół na ciało Iana.

- Nie możemy pozwolić, żeby leżał tak na zimnej, twardej podłodze.

W niebieskich oczach Phila pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Nic nie czuje, możesz mi wierzyć.

- Ale sam widok sprawia, że człowiekowi robi się niewygodnie.

Przeszukała półki i znalazła dwie bele miękkiej flaneli. Jedną wsunęła Ianowi pod głowę jako poduszkę, a z drugiej odwinęła kawałek na koc.

Zrobili sobie przerwę na kolację. Heather zadzwoniła do ubezpieczyciela, żeby sprawdzić, co z jej domem, a potem do opiekunki szkolnego teatru w liceum. Liz Schumann była zachwycona, że może użyć jej podestu i wystąpić jako modelka w jednej z sukni Heather na pokazie. Obiecała, że jej nowy chłopak dostarczy deski w weekend, a Heather przyrzekła, że da mu kilka zaproszeń.

Po kolacji wrócili do pracowni i zwłok na podłodze. Heather skończyła pierwszą suknię i spojrzała na zegar. Siódma trzydziestki. Zaraz zajdzie słońce. Pomodliła się po cichu, żeby Ian się obudził. A potem pokręciła głową w panice. Stało się. Nie potrafiła już patrzeć na te wampiry jak na potwory.

I coraz bardziej wciągał ją ich świat.

Jean-Luc jak zwykle obudził się, kiedy impuls elektryczny przeszedł przez jego ciało i uruchomił serce. Pospieszenie wziął prysznic i zjadł śniadanie, bo tak szybko, jak to możliwe, chciał wiedzieć, czy nie stało się nic złego. Czy z Heather wszystko w porządku? Jak Ian zniósł pierwszy dzień na lekach?

Włożył szare spodnie i kasztanową koszulkę polo - zwykle ubranie. Miał tylko nadzieję, że Heather nie będzie patrzyła na niego tak jak ostatniej nocy, z przerażeniem i niesmakiem w oczach. Jakimś sposobem musi ją odzyskać.

Sprawdził w kuchni, ale nikogo tam nie było. Wychodząc, zobaczył, że Fidelia prowadzi Bethany w stronę schodów.

- Och, Jean-Luc! - Uśmiechnęła się szeroko. - Dziękuję panu za cudowne prezenty. - Przytuliła pudełko z kartami do piersi.

- Kocham moją nową lalkę. - Bethany wyciągnęła ją tak, żeby mógł zobaczyć. - Ma na imię księżniczka Katherine.

- Podoba mi się. - A więc rzeczy, które zamówił w sobotę, dotarły. - Wiesz, gdzie jest mama?

Bethany wskazała w głąb korytarza.

- Wszyscy są w pracowni. - Fidelia ściszyła głos. -Czekają, żeby Ian się obudził.

Jean-Luc zeszywniał.

- To on się nie... obudził? Bethany zachichotała.

- Straszny z niego śpioch. Fidelia się skrzywiła.

- Chodź, maleńka. Pójdziemy się wykapać. - Popchnęła dziewczynkę w stronę schodów.

Jean-Luc popędził do pracowni i gwałtownie zatrzymał się w drzwiach.

Heather klęczała na podłodze obok Iana, a Robby, Phineas i Phil stali wokół nich. Zerknęła na Jeana-Luca. Serce podskoczyło mu w piersi. W jej oczach nie było już wprawdzie obrzydzenia, ale za to błyszczał w nich ból. Ze swoją współczującą naturą wzięła sobie problemy Iana do serca.

- Muszę z tobą pomówić. - Wstała i odeszła na bok, żeby mieli odrobinę prywatności. Nie wiedziała jeszcze, że to niepotrzebne, bo wampiry mają superczuły słuch. - Jak mogłeś mi pozwolić na coś tak niebezpiecznego?

- Sprzeciwiałem się - odparł cicho. - Ale przecież nie mogłem go zmusić. To była jego decyzja.

- Tylko że on może nie żyć. I wszystko po to, żeby mieć szansę spotkać prawdziwą miłość. - Otarła oczy. - To smutne.

- Człowiek honoru dla prawdziwej miłości poświęci wszystko.

Zerknęła na niego rozszerzonymi oczami.

- Kiedy Roman brał ten środek, też późno się budził. -Jean-Luc odwrócił się, żeby spojrzeć na Iana. - Wierzę, że się obudzi.

Zapadło milczenie.

Robby zwrócił się do Phineasa.

- Idź i zobacz, czy nic nie jest Fidelii i panience. Damy ci znać, jeśli się tu coś wydarzy.

- Dobra. - Phineas wyszedł z pracowni.

- A ty, chłopie, masz już fajrant - mruknął do Phila. - Nie musisz tu siedzieć.

- Właśnie, że muszę. - Phil założył ręce na piersi. Heather zrobiła głęboki wdech.

- Dostałyśmy paczki z rzeczami, które zamówiłeś. Jean-Luc odwrócił się do niej.

- Podobała ci się sukienka?

- Jest śliczna. - Unikała jego wzroku. - Ale nie mogę jej przyjąć.

- Dlaczego? - Czyżby chciała go ukarać?

- Bo nie chcę być... wobec ciebie zobowiązana. Już i tak dałeś mi wspaniałą pracę i zapewniłeś bezpieczne schronienie.

- Uratowałaś mi życie, Heather. To ja mam wobec ciebie dług.

- Och, jestem pewna, że sam też dałbyś sobie radę z Louiem. - Machnęła lekceważąco ręką. - Przecież jesteś mistrzem Europy w szermierce.

- Ale nie miałem szpady, prawda? Odwróciła do niego zagniewaną twarz.

- Jestem pewna, że poradziłbyś sobie bez mojej pomocy. Jesteś taki... *muy macho*, jakby to ujęła Fidelia.

- *Merci*. Choć nie jest to chyba powód do irytacji. Objęła się rękami.

- Mimo to nie mogę przyjąć tej sukienki ani innych... rzeczy.

Przysunął się bliżej.

- Masz na myśli staniki?

- To było więcej niż jeden?

- Trzy staniki, trzy pary majtek. - Prześliznął się pożądliwym wzrokiem po jej ciele. - Bardzo się starałem dobrać odpowiedni rozmiar.

Jej policzki pokrył rumieniec.

- Wracają do sklepu.

- Nie, wcale nie. - Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, ciągnął dalej: - To z mojego powodu ty i twoja rodzina znalazłyście się w niebezpieczeństwie. To przeze mnie został zniszczony twój dom. Prawdopodobnie większość rzeczy ucierpiała od ognia i trzeba je będzie wymienić. Znajomość ze mną kosztuje cię fortunę. Tych kilka drobiazgów, które kupiłem, nie zrekompensuje ci nawet ułamka strat. Oto, kto ma u kogo dług.

Poddała się z westchnieniem.

- W porządku. Dziękuję.

- Jak się czujesz? - Nie podobała mu się myśl, że to z jego powodu pojawiły się te cienie pod jej oczami.

- Jestem bardzo zmęczona. Ostatniej nocy nie mogłam spać.

- Bardzo przepraszam za sposób, w jaki dowiedziałas się prawdy. Powinienem był ci powiedzieć wcześniej.

Wsunęła ręce do kieszeni i wbiła wzrok w podłogę.

- A dlaczego nie powiedziałaś?

Zamknął na moment oczy, zastanawiając się, jak jej wytłumaczyć.

- Byłem... oczarowany tym, jak na mnie patrzysz i jak ze mną rozmawiasz. Jakbym był kimś normalnym. Czuję się, jakbym znowu był człowiekiem - z domem, rodziną i piękną kobietą, która naprawdę uważa mnie za atrakcyjnego. Coś takiego... nigdy mi się nie przydarzyło, kiedy byłem śmiertelnikiem.

- Kobiety na ciebie nie leciały? Trudno w to uwierzyć.

- Nigdy nie miałem domu ani rodziny. - Przysunął się bliżej. - Potrzebowałem dużo czasu, żeby zrozumieć, że tego właśnie chcę najbardziej.

Uciekła wzrokiem, ale zauważył, że w jej oczach zabłyśły łzy.

- Czy uczynisz mi ten zaszczyt i pozwolisz, żebym zabiegał o twoje względy?

Roześmiała się krótko, nerwowo.

- Zabrzmiało bardzo staromodnie.

- Być może. - Uśmiechnął się cierpko. - Ale jestem zdecydowany.

- Ja... nie jestem częścią twojego świata.

- Możesz być częścią, czego tylko zapragniesz. Potarła czoło.

- W tym właśnie rzecz. Wcale nie chcę być jego częścią. Ale nie chcę cię zranić. Ja...
Przez ciało lana przeszedł impuls elektryczny, a klatka piersiowa zafalowała od oddechu.

- Żyje! - krzyknął Robby, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Tak! - Phil wyrzucił pięść w powietrze. Jean-Luc się uśmiechnął.

- Chwała Bogu.

- O tak, tak, tak! - Heather zaczęła podskakiwać. - Tak! - Zarzuciła Jeanowi-Lucowi ręce na szyję.

Serce wezbrało mu radością, gdy zamknął ją w objęciach.

- Tak.

Wypuściła powietrze i wycofała się.

- Och, nie chciałam... Przepraszam. Poczułam się taka szczęśliwa, że zapomniałam...

- Że jestem potworem? - dokończył zdanie. Zaczerwieniła się.

- Nie uważam...

- Co się stało? - Ian usiadł.

- Zasnęłaś na posterunku. - Robby skrzyżował ręce i zmarszczył brwi. - Powiniem obciąć ci pensję. Ian powiódł dokoła zdezorientowanym wzrokiem.

- Ja... spóźniłem się? I Robby roześmiał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu się podnieść.

- Zmartwiłeś nas, chłopie. Jak się czujesz? Ian ujął dłoń Robby'ego i powoli stanął.

- Zdaje się, że w porządku. fl

- Jesteś przynajmniej o dwa centymetry wyższy -stwierdził Phil.

- Naprawdę?-Ian się rozpromienił.-To działa! Jestem I o rok starszy. I cholernie głodny.

- Idź na dół coś przekąsić - zaordynował Robby.

- Wolałabym, żebyś nie brał więcej tego lekarstwa - po- I wiedziała Heather. - Bardzo cierpiałeś.

- Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć - odparł Ian. - I Ale nie przestanę. - Razem z Philem wyszli z pracowni. i

- Pozwólcie, że zostawię was samych. - Robby skłonił i się i też wyszedł.

- Ja też powinnam iść. - Heather ruszyła do drzwi.

- A co z pracą? - spytał Jean-Luc. '

- Och. - Odwróciła się. - Skończyłam pierwszą suknię. - Machnęła ręką w stronę manekina. Jean-Luc podszedł do niego.

- Mimo wszystko zdecydowałaś się nie robić rękawów.

- Tak. - Podeszła bliżej. - Nie pasowały do obcisłego stanika. Pomyślałam, że dorobię do niej chustę, którą będzie można udrapować albo nosić jak szal.

Pokiwał głową.

- Dobry pomysł.

- Zastanawiałam się... - Zagryzła wargę. - Kto robi wykończenia przy twoich projektach?

- Różne kobiety we Francji i Belgii. To zależy od tego, czego potrzebuję. W Brukseli jest jedna, która robi najlepsze koronki, a w Bretanii inna od przepięknych haftów.

- Och.

Czyżby podejrzewała, że korzysta z niewolniczej pracy?

- Traktuję je jak artystki i bardzo dobrze im płacę. Mógłbym cię do nich zabrać, gdybyś chciała zobaczyć, co robią.

- Nie... nie trzeba. - Cofnęła się. - Powinnam już iść. Naprawdę jestem zmęczona.

Pokiwał głową.

- To był dla ciebie długi dzień.

- Tak. Dobranoc. - Właściwie wybiegła z pracowni.

Jean-Luc westchnął. Nie pozwoliła mu się do siebie zalecać. Wciąż sprawiała wrażenie lekko przestraszonej, ale przynajmniej wyglądało na to, że nie budził już w niej odrazy. Robił postępy, choć bardzo powoli.

Poszedł do pracowni Alberta i omówił z nim kwestie związane z pokazem. Potem teleportował się do swojego gabinetu, żeby nadrobić zaległości w interesach. Czekają na niego ponad sto e-maili i z tuzin raportów z Paryża. Jako przywódca klanu Europy Zachodniej miał też do rozstrzygnięcia kilka spornych spraw. Po północy zrobił sobie krótką przerwę i wychylił kolejną szklaneczkę syntetycznej krwi z zapasów, które trzymał w swoim biurze.

Alarm włączył się po drugiej nad ranem. Jean-Luc chwycił szpadę, pognął do sypialni Heather i z impetem otworzył drzwi. Wszystkie panie spały w swoich łóżkach. Alarm ich nie obudził, bo miał częstotliwość słyszalną jedynie dla wampirów i psów. Znaczył jedno. Jakiś wampir teleportował się do budynku.

Jean-Luc pomaszerował sprawdzić łazienkę. W środku nie było nikogo.

- Co się dzieje? - spytała sennie Heather.

- Nic takiego - wyszeptał. - Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko w porządku. Śpij dalej.

Zauważył Robby'ego w korytarzu, wybiegł więc, zostawiając uchylone drzwi.

- Co się stało?

- To Simone - wyjaśnił Robby. - Twierdzi, że wyszła, bo się nudziła.

- Gdzie była?

- Nie powiedziała - odparł Szkot. - Teleportowała się na zewnątrz niezauważona, ale wracając, uruchomiła alarm.

Jean-Luc przypomniał sobie, jak się przechwalała, że mogła wdać się w romans z Luim.

- Może stanowić zagrożenie.

- Wiem. Mam ją odesłać?

- Nie. Chcemy, by Lui zrobił ruch, żebyśmy mogli go dopaść.

- W porządku. Będę miał na nią oko. - Robby pomknął na dół.

Przez na wpół otwarte drzwi wyjrzała Heather.

- Co się dzieje?
- Wszystko w porządku - zapewnił ją Jean-Luc. Wyszła na korytarz.
- Słyszałam waszą rozmowę. Myślisz, że Louie może kontrolować Simone?
- Niewykluczone. Zwykle posługuje się śmiertelnikami, ale mógł też wpłynąć na wampira, zwłaszcza na takiego, który jest urażony.
- Jak Simone. - Heather zmarszczyła brwi. - Ta kontrola umysłu... Nigdy nie stosowałeś jej wobec mnie, prawda? Zesztywniał.
- Nie. To byłoby niehonorowe.
- Nie chciałam cię obrazić.
- Powędrował wzrokiem po jej potarganych włosach i pomiętej piźamie.
- Gdybym miał władzę nad twoim umysłem, natychmiast znalazłabyś się na dole w moim łóżku.
- Och.
- Naga. A ja bym...

- W porządku, mam już pewne wyobrażenie. Uśmiechnął się powoli.
- I podoba ci się? Spojrzała na niego z irytacją.
- Wyglądasz pięknie. Prychnęła.
- Bez makijażu?
- Jesteś naturalną piękną.
- To niedługo potrwa. Zestarzeję się i zrobią mi się zmarszczki.
- Czas mnie nie odstrasza. - Podszedł bliżej. - Pozwól mi zabiegać o swoje względy.
- Popatrzyła na niego dziwnie, jakby rezerwa walczyła w niej z pożądaniem.
- Pomyślę o tym.
- Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Tak, powoli robił postępy.

Rozdział 23

Heather szukała w Jeanie-Lucu czegoś, czego mogłaby nie znosić. To, że był wampirem, nie wydawało się dłużej dobrym powodem, żeby go odrzucać. Wszystkie Wampy w domu przyjmowały pokarm z butelki. Wszyscy mężczyźni Wampy byli dobrze wychowani i uprzejmi. Simone i Inga sprawiały wrażenie samolubnych i próżnych, ale Heather podejrzewała, że były takie, jeszcze zanim wyrosły im kły.

Fidelia potwierdziła teorię, że śmierć nie zmienia charakteru ludzi. Dowodziły tego jej doświadczenia z zagubionymi duszami. Heather nie mogła więc dłużej zaprzeczać prawdzie. Jean-Luc był teraz tak samo cudowny, inteligentny i honorowy jak za życia.

Honorem kierował się także w interesach. Żadnej niewolniczej pracy, żadnych wykorzystywanych pracowników w pogoni za zyskiem. Phil zapewnił ją, że Jean-Luc zatroszczył się o rodzinę Pierre'a. Był po prostu dobrym człowiekiem. Gdyby był śmiertelnikiem, Heather nie wahałaby się myśleć o związku z nim. Nie zaprzeczałyby wciąż swoim uczuciom do niego. Tak więc prawdziwe pytanie brzmiało: czy mogła zaakceptować go i pokochać takim, jaki był.

Czwartek upłynął spokojnie aż do kolacji, kiedy to łan znowu miał atak. Fidelia natychmiast zabrała Bethany do kuchni, żeby miała nie musiała być świadkiem jego męki. Heather nie mogła patrzeć, jak cierpi, i błagała, żeby wziął jakieś środki przeciwbólowe, ale łan ze stoickim spokojem odmówił. Po pół godzinie szarpania i pocenia się zapadł w końcu w spokojny śmiertelny sen.

Heather skończyła chustę do pierwszej sukni i zabrała się do wykroju drugiej kreacji. Dzień mijał, a ona przyłapała się na tym, że znów wygląda Jeana-Luca.

Pokazał się około wpół do dziewiątej tak samo przystojny jak zawsze. Wystarczyło, że na niego spojrzała, a zaczynało brakować jej tchu. „Wiem, że mnie kochasz”. Mój Boże, czyżby miał rację? Bo jak inaczej wytłumaczyć, że ciągnęło ją do niego, mimo że poznała prawdę?

Gdy czekali, aż łan się obudzi, obejrzał jej prace, łan zerwał się na równe nogi i koniecznie chciał sprawdzić, czy urósł. Heather wręczyła Robby'emu miarę.

- Gratulacje, masz teraz już ponad metr osiemdziesiąt - oznajmił Robby. - I musisz się ogolić.
- Młody Szkot wyszczerzył zęby w uśmiechu, pocierając szczecinę na szczęce.
- Powinniśmy napić się blissky, żeby to uczcić - zaproponował Phineas.
- łan się roześmiał.
- Zawsze szukasz powodu, żeby się napić.
- Mam buteleczkę w pomieszczeniu ochrony - powiedział Robby. - Chodźmy.
- I wszyscy trzej oddalili się niespiesznie, zostawiając Heather sam na sam z Jeanem-Lukiem.
- Co to takiego blissky?

- Mieszanka syntetycznej krwi i szkockiej - wyjaśnił Jean-Luc. - Dzięki wampirzej kuchni fusion Roman sprawił, że nasze posiłki stały się ciekawsze.

Heather spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie?

- Nie. Mamy teraz chocolood, krew z czekoladą, którą bardzo lubią wampiry damy, a na specjalne okazje bubbly blood, krew z szampanem.

Heather wybuchnęła śmiechem.

- I jakie to okazje? Przeprowadzka do nowej, udoskonalonej trumny?

Kąciki ust Jeana-Luca się uniosły.

- Teraz ty się ze mnie naśmiewasz. Dobrze wiesz, gdzie sypiam, i to wcale nie jest trumna.

Na wspomnienie jego łóżka zrobiło jej się gorąco.

- Chcesz zobaczyć, nad czym pracuję? Mam to u siebie w gabinecie.

Zawahała się. Nie była pewna, czy jest gotowa znaleźć się z nim sam na sam za zamkniętymi drzwiami. Jego uśmiech zbladł.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził, *cherie*. Zrobiłbym wszystko, żeby nic złego cię nie spotkało.

Wszystko poza powstrzymaniem jej przed tym, żeby się w nim zakochała. A to właśnie mogło jej w przyszłości przysporzyć ogromnego bólu. Westchnęła. Do miłości nigdy nie dołączają gwarancji. To zawsze jest skok na głęboką wodę i kwestia wiary. A ona po prostu nie była pewna, I czy chce skoczyć.

Czyżby znów pozwoliła, żeby strach przejął kontrolę I nad jej życiem? Ostrożność bywa mądrym wyborem. Ale 1 za wiele ostrożności oznacza nudę i... smutek. A co, jeśli 1 całe życie będzie żałowała swojego mądrego wyboru?

Zrobiła głęboki wdech.

- Mogę wpaść na chwilę.

- Dobrze. - Podeszedł powoli do drzwi, czekając, aż do I niego dołączy. Nawet nie próbował jej dotknąć i była mu ła to wdzięczna. Sprawiał wrażenie, jakby rozumiał, że potrzebuje czasu. I odpowiedzi.

- Dlaczego przyjechałeś do Teksasu? - spytała, gdy szli korytarzem.

- Musiałem zniknąć. Media zaczęły się zastanawiać, dlaczego się nie starzeję.

- To znaczy, że się ukrywasz? Skinął głową.

- Tak. Mam się ukrywać przez dwadzieścia pięć lat. Potem będę mógł wrócić do Paryża i udawać, że jestem swoim synem.

Chciała zapytać, czy kiedykolwiek brał pod uwagę możliwość posiadania prawdziwego syna, ale zabrakło jej śmiałości.

- Czyli zamierzasz spędzić trochę czasu w Schni-tzelbergu. - Jak będzie mogła wrócić do normalnego życia, wiedząc, że pewien wampir, który ją kocha, mieszka tuż obok autostrady?

- Wciąż mogę odwiedzać różne miejsca. Po prostu muszę być ostrożny. Nie mogę pozwolić, żeby wytropiły mnie media.

- A jak, u diabła, podróżujesz? - Zamilkła, gdy weszli do głównej sali magazynu. - Nie, nie mów. Ukryty w trumnie w luku bagażowym samolotu.

Skrzywił się.

- To byłoby okropne. W rzeczywistości podróżowanie przychodzi nam bez trudu. Po prostu się teleportujemy.

- Teleportujecie? Nikt się nie teleportuje. Chyba że w filmach science fiction.

- Wampiry się teleportują.

Rozejrzała się po sklepie oniemiała. Odwróciła się do Jeana-Luca, ale ten zniknął. Wypuściła powietrze.

- Jean-Luc?

- Tak?

Podskoczyła i obróciła się dookoła. Stał za nią.

- Och. To było zbyt perfidne.

- Ale okazuje się bardzo przydatne. W ten sposób moi strażnicy sprowadzili zabawki twojej córeczki.

Zmrużyła oczy.

- Mógłbyś się teleportować do mojej sypialni, kiedy byś tylko chciał, nawet gdyby drzwi były zamknięte?

- Tak. Ale nie zapominaj, że jestem człowiekiem honoru.

Nagła myśl sprawiła, że się skrzywiła.

- To znaczy, że Louie mógłby się tu teleportować. Prosto do mojej sypialni...

- Heather. - Dotknął jej ramienia, przerywając. - W tej samej sekundzie, kiedy ktoś się teleportuje do budynku, włącza się alarm. Uruchomił się ostatniej nocy, kiedy wróciła Simone.

- Och, to dlatego wparowałeś do naszej sypialni.

- Tak.

Naprawdę ją chronił.

- Doceniam to, jak bardzo wszyscy się o nas troszczycie.

Uśmiechnął się.

- Kiedy to wszystko się skończy, myślę, że powinniśmy wybrać się na randkę.

- Masz na myśli kolację i kino? - spytała. - Nie zamierzam z własnej woli stać się niczyją kolacją.

Zachichotał.

- Nie. Ale mógłbym cię zabrać w jakieś ustronne miejsce, na przykład do zamku Angusa w Szkocji albo do willi Romana w Toskanii.

Co za drań. Pomachał jej marchewką, której Heather trudno się było oprzeć. Zawsze marzyła o podróżach.

- Na całym świecie mam przyjaciół, którzy powitają nas z otwartymi ramionami - ciągnął Jean-Luc. - Będziemy musieli upewnić się tylko, że nie zostaną rozpoznani. I że nie wzeszło słońce.

- To znaczy, że mógłbym się teleportować razem z tobą?

- Tak. Prawdę mówiąc, to całkiem proste. Prychnęła.

- Łatwo ci mówić. Rozmawiamy o tym, że zamienię się w coś w rodzaju pary, a potem, miejmy nadzieję, zmaterializuję z głową na właściwym miejscu.

- To całkowicie bezpieczne.

- Nie brzmi, jakby było. Przechylił głowę, przyglądając się jej.

- Pokażę ci teraz, jak to działa, a ty nie będziesz się musiała już potem martwić.

Cofnęła się.

- Nie ma sprawy, mogę się martwić. Jestem w tym naprawdę dobra.

- Przeniesiemy się tylko do mojego gabinetu. - Wskazał na okno na piętrze. - I kiedy później zabiorę cię na dłuższą wycieczkę, nie będziesz się bała.

Dobry Boże, jak on potrafił kusić.

- Mogłabym się zgodzić na randkę kiedyś w przyszłości. Ale to nie znaczy, że zgadzam się na to całe ubieganie się o moje względy.

- W porządku. Teraz tylko wykonamy teleportację ćwiczebną.

Serce jej się ścisnęło. O Boże, zgodziła się teleportować. Jean-Luc delikatnie położył ręce na jej talii.

- Jest kilka rzeczy, które musisz zrobić, żeby to zadziałało.

- Na przykład co?

- Obejmij mnie za szyję. Tylko trzymaj mocno. Powoli przeniosła ręce na jego szyję.

- Co teraz? Otoczył ją ramionami.

- A teraz mnie pocałuj. Zrobiła kpiącą minę.

- Tego w *Star Treku* nigdy nie robili.

- Ich strata.

- A co jeśli teleportujesz się sam albo z facetem? Skrzywił się.

- W porządku, skłamałem. - Uśmiechnął się żałośnie. - Ale nie możesz mnie winić za to, że próbowałem.

Uderzyła go lekko w ramię. Zachichotał.

- Musisz mnie tylko trzymać mocniej.

Magazyn zaczął się kołysać i Heather złapała Jeana--Luca za szyję ze wszystkich sił.

- Zaufaj mi - wyszeptał jej miękko do ucha i wszystko stało się czarne.

Miała wrażenie, jakby płynęła, a po chwili poczuła twardą podłogę pod stopami. Otworzyła oczy. Znajdowała się w ogromnym gabinecie.

- To było straszne.

- Przyzwyczaisz się.

Cofnęła się, a on ją puścił. Rozejrzała się dokoła i zauważyła dwa skórzane fotele, biurko, komputer i szafki na dokumenty. Podeszła do stołu krawieckiego, na którym leżała rozrzucona przepiękna tkanina w odcieniach zieleni i błękitu. Kupka pawich piór błagała, żeby ich dotknąć. Pogładziła miękki puch.

- Wiedziałem, że będziesz musiała ich dotknąć - odezwał się cicho za jej plecami. - Lubisz fakturę.

Na ciele pojawiła jej się gęsia skórka.

- Skąd wiesz?

- Obserwowałem cię. - Podeszedł bliżej. - Lubisz dotyk jedwabiu na nagiej skórze. Lubisz dotykać sznili i aksamitu. -

Podniósł pawie pióro. - Przypomina mi ciebie. Ma w sobie wszystkie te odcienie zieleni i turkus, które widzę w twoich oczach. Zmieniają się nieznacznie, kiedy się uśmiechasz albo krzywisz, albo... kiedy masz orgazm.

Spojrzała na niego z irytacją.

- Twoje oczy też się zmieniają. Uśmiechnął się i wręczył jej plik szkiców.

- Co o tym myślisz?

Zaczęła je przeglądać. Jean-Luc był taki utalentowany. Potrafił wykorzystać stulecia doświadczenia, żeby stworzyć coś, co było zarazem klasyczne i nowe.

- Są piękne.

- Tak jak moja inspiracja. - Przejechał piórkiem po jej twarzy i szyi.

Zostawiła szkice i podeszła do okna. Spojrzała na dół, na manekiny, które w ciemnej sali wydawały się jaskrawo-białe.

- Muszę wiedzieć o tobie więcej.

- A co chciałabyś usłyszeć. Oparła czoło o zimną szybę.

- Wszystko. Ty o mnie wiesz wszystko. Westchnął.

- Nie ma wiele do opowiadania. Urodziłem się jako biedny wieśniak, syn Jeana, który czyścił stajnie. Nie pamiętam swojego nazwiska.

Odwróciła się.

- A co z Echarpe'em?

- Przybrałem je, kiedy zostałem przemieniony. Niektóre Wampy nazywały mnie tak dla żartu. Po... spotkaniu ze mną kobiety nosiły szale, żeby ukryć ślady. - Wzruszył ramionami. - *Echarpe* znaczy „szal”.

Skrzywiła się.

- Smutny żart.

- Większa część mojego życia była smutnym żartem. Musiałem... walczyć, żeby stać się tym, kim jestem dzisiaj.

Do tego mogła się odnieść.

- Czy to prawda, co powiedziałeś którejś nocy, że twoja matka umarła, kiedy byłeś mały?

Marszcząc brwi, usiadł na jednym z foteli.

- Oboje moi rodzice umarli. Zostałem sierotą w wieku sześciu lat. Baron pozwolił mi spać w stajni i przejął obowiązki ojca.

Heather sapnęła.

- Co za uprzejmość z jego strony.

- Lepsze to niż bezdomność.

Podeszła do niego i zatrzymała się przy biurku.

- Mów dalej.

- Baron był wytrawnym wojownikiem. Razem z nim i jego synem w zamku mieszkało kilku wychowanków. Uczyt ich rycerki. Chowałem się za beczkami, żeby ich podpatrywać. A potem sam ćwiczyłem w stajni z kijem.

Pokiwała głową.

- Założę się, że byłeś niezły.

- Syn barona lubił się zniecać nad słabszymi i bił innych chłopców. Pewnego dnia, kiedy miałem jakieś dzie- i sięć lat, powalił jednego z wychowanków i zaczął go okładać pałką. Złapałem swój kij i odepchnąłem go. Wdaliśmy się w bójkę. ¹

Heather się skrzywiła. Jako nauczycielka historii wiedziała, jak poważne konsekwencje czekały wieśniaka, który poważył się zaatakować swojego pana.

- Słudzy krzyczeli, żebym przestał i uciekał - ciągnął Jean-Luc. - Pozostali wychowankowie pobiegli zawiadomić barona. A ja dalej walczyłem. Jak szalenciec. Wszystkie lata frustracji i nieszczęść wybuchły ogromnym gniewem.

- Mogę sobie wyobrazić. - Ona też była wściekła na sie- i bie za wszystkie lata bycia wycieraczką. - Co zrobił baron? ,

- Rozkazał nam przestać. Wtedy do mnie dotarło, co i zrobiłem. Myślałem, że czeka mnie śmierć. - Jean-Luc potarł czoło i zmarszczył brwi. - Po raz pierwszy w pełni po- fl czułem, co to znaczy być bezsilnym. Mój los spoczywał l w rękach innego człowieka.

- Straszne. - Heather usiadła w fotelu obok. |

- Ku zaskoczeniu wszystkich baron podszedł do syna ? i tak mocno uderzył go w twarz, że tamten upadł z rozcię- I tą wargą. Baron nazwał to karą za to, że nie udało mu się f zabić w walce takiego nikogo jak ja. A potem powiedział, że jeśli chcę walczyć, to mogę. Byłem zaskoczony, ale ta perspektywa wydawała się lepsza niż wyrzucanie gnoju ze stajni do końca życia, więc się zgodziłem.

- Ćwiczyłeś z pozostałymi chłopcami?

- Tak. Następnych kilka lat było trudnych. Cały czas musiałem się mieć na baczności, bo syn barona zastawiał wciąż na mnie pułapki i spuszczał mi lanie.

- Co za potwór.

Jean-Luc się uśmiechnął.

- Był potworem. W owym czasie król Ludwik XII próbował zawładnąć Włochami. Zażądał więc od swoich możnych, żeby przysłali mu najlepszych rycerzy. Baron był powiązany z rodziną Gwizjuszy, którzy chcieli, żeby król poniósł klęskę, dlatego nakazano mu, żeby wysłał najgorszych ludzi. W ten sposób szybko zostałem pasowany na rycerza. Kolejny smutny żart.

Heather się zachnęła.

- Nie mogłeś być najgorszy.

- Nie miałem żadnego doświadczenia bitewnego. Ani rodziny, więc można mnie było poświęcić. Dano mi coś, co z trudem mogło uchodzić za konia, i jakąś żalosną starą broń.

- Mój Boże, wysłano cię na pewną śmierć.

- Właśnie. Pamiętam, jak baron śmiał się, mówiąc, że jego decyzja, by mnie szkolić, okazała się trafna. Zostałem posłany zamiast jego syna, żeby umrzeć na wojnie, która była przegrana, zanim jeszcze się zaczęła. - Jean-Luc zamknął na chwilę oczy.

- Tego dnia poprzysiągłem sobie, że już nigdy nie będę bezsilny. Że nigdy więcej nie będę pionkiem.

Heather dotknęła jego ręki.

- To musiało być okropne. Ujął jej dłoń.

- Pierwsza bitwa, w której wziąłem udział, rozegrała się w 1500 roku. Przeżyłem.

- Miałaś zaledwie piętnaście lat. Pokiwał głową.

- Dobrze sobie radziłem. Zauważono mnie, dano lepszego konia i ekwipunek. Powoli awansowałem aż do roku 1513, do czasu bitwy o ostrogi.

- To właśnie wtedy...

- Mnie zabito. Anglicy wkroczyli pod Guinegate, a moi towarzysze się rozpierzchli. Byłem tak wściekły, że

stanąłem w miejscu i zarąbałem pierwszego Anglika, który się do mnie zbliżył. Głupi błąd, bo za chwilę zostałem otoczony i wiele razy raniony. Zostawiono mnie, żebym się wykrwawił.

Heather zadrżała, a on mocniej ścisnął jej rękę.

- Właśnie tamtej nocy znalazł mnie Roman. Nie chciałem umierać.

- Oczywiście, że nie. Byłeś taki młody.

- Tak, ale chodziło o coś więcej. Chciałem być panem swojego losu. Miałem już dość bezradności. Pożądałem potęgi, władzy nad śmiercią.

Przelknęła z trudem.

- Zdaje się, że ją zdobyłeś. Uśmiechnął się cierpko.

- Wciąż mogę umrzeć. A ostatni żart związany z moim krótkim życiem śmiertelnika polegał na tym, że następnego ranka moje ciało znikło, więc bitwa o ostrogi przeszła do historii jako starcie, w którym nie doszło do rozlewu krwi. Byłem jedyną, zapomnianą ofiarą.

- Tak mi przykro. Ścisnął jej dłoń.

- Tylko kilka osób zna moją historię. Nie znoszę przypominać sobie, jakim żalonym byłem człowiekiem.

- Ja też byłem żalona. Wszystkim dokoła pozwalałam, żeby mną rządili. Oboje musieliśmy walczyć, żeby nasze życie stało się lepsze. - Skrzywiła się w duchu. Właśnie przyznała, że życie wampira stanowiło dla niego zmianę na lepsze.

- Nie będę cię okłamywał, *chśrie*. Świat wampirów jest równie okrutny, jak świat ludzi. Malkontenci gromadzą armię, może wybuchnąć kolejna wojna. To byłaby katastrofa dla nas wszystkich. Bo taka wojna nie przeszłaby niezauważona. Stałaby się pożywką dla mediów.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Twój sekret ujrzałby światło dzienne.

Skinął głową.

- Właśnie.

Znaleźliby się ludzie gotowi wytropić i pozabijać wampiry.

- To naprawdę byłaby katastrofa.

Zabrała rękę i oparła się w fotelu. Świat wampirów był niebezpieczny. Jak mogłaby wciągnąć w niego córkę? Jean-Luc wstał i podszedł do okna.

- Muszę cię ostrzec w związku z pokazem, który ma się odbyć w przyszłą sobotę. Zastanawiałem się, czy go nie odwołać, bo dla Luiego to może być szansa, żeby cię zaatakować. Ale zdecydowaliśmy, że pokaz się odbędzie.

Przelknęła ślinę.

- Więc mam być przynętą? Odwrócił się do niej.

- Będę obok cały wieczór. Dobrze się przygotujemy. Tak będzie lepiej. Lepiej ściągnąć go tutaj, gdzie możemy kontrolować sytuację. I lepiej, żeby to się stało w nocy, kiedy Wampy nie śpią i będą mogły cię ochronić.

Pokiwała powoli głową.

- No i lepiej mieć to już za sobą. - Nie chciała żyć w cieniu groźby Louiego dłużej, niż to było konieczne. - Ale musimy zapewnić bezpieczeństwo mojej córce i Fidelii. Nie pozwolę wam ich narażać.

- Zgoda. - Podszedł do stołu. - Teraz już wiesz, czego obawiam się najbardziej. Nienawidzę bezsilności. Wampiry mają wiele wyjątkowych zdolności, są na przykład wyjątkowo silne i szybkie, ale mają też jedną straszliwą słabość. W ciągu dnia są całkowicie bezbronne.

Heather wstała.

- Masz strażę, które dbają o twoje bezpieczeństwo. Pokręcił głową i podniósł próbkę zielonego jedwabiu.

- Nie o swoje bezpieczeństwo się martwię. Co rano o wschodzie słońca, kiedy zapadam w swój śmiertelny sen,

ogarnia mnie straszliwy lęk, że kiedy będę leżał bezsilny, coś złego stanie się tobie, a ja nie będę mógł ci pomóc. - Zacisnął dłoń w pięść, mnąc materiał. - Nie zniósłbym tego.

- Wszystko będzie dobrze. - Podeszła do stołu. - Mam Phila i lana, i Fidelie z jej pistoletami. No i sama też nie jestem zupełnie bezradna. - Dotknęła jego ramienia. - Wszystkich nas dręczą jakieś lęki.

- A czy ty wciąż się mnie boisz? Tego, czym jestem? - Upuścił materiał na stół. - Jak mogę cię przekonać, że to niczego nie zmienia? Wciąż będę cię kochał, bez względu na wszystko. Zawsze będę cię kochał.

Oczy zaszczyły ją od łez, więc odwróciła się do niego tyłem.

- To nie tak, że ja... Myślę, że jesteś wspaniałym mężczyzną.

Wziął ze stołu pawie pióro i powiódł delikatnym puchem po jej nagim ramieniu.

- Nawet nie wiesz, jak cierpię, nie mogąc cię dotknąć.

Heather przeszły ciarki. Tak bardzo chciała go pocieszyć, że serce przeszły jej ból. Jean-Luc potrzebował miłości. Zasługiwał na nią. Zasługiwał na miłość, która powinna być częścią dobrego życia, na miłość, której nigdy nie zaznał.

Ocierając łzy, złapała go w pasie i mocno przytuliła.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Jean-Luc. Pięknym.

- Heather. - Objął ją lekko, jakby w ten sposób próbował utrzymać nad sobą kontrolę. - Tak bardzo cię pragnę. - Jego dłoń wędrowała w górę i w dół jej pleców, wzbudzając delikatne mrowienie.

Musiała się cofnąć, ale on był jak skała. Tak łatwo było się na nim oprzeć. Czowała, jak pociera brodą o jej włosy. Ustami musnął jej czoło. Poczowała znajomy skurcz pożądania.

Uścisk jego ramion jeszcze się zacieśnił.

- Pozwól mi zabiegać o twoje względy. - Trącił nosem jej szyję, po czym szepnął do ucha: - Pozwól się kochać.

Zerknęła na jego twarz i oddech uwiązł jej w gardle. Jasnoniebieskie tęczęwki Jean-Luca zaczęły się zmieniać.

- Oczy robią ci się czerwone. Odsunął jej włosy z czoła.

- Mam z tym problem za każdym razem, kiedy jestem blisko ciebie.

- Dlaczego? Sprawiam, że robisz się głodny?

- Sprawiasz, że skręcam się z pożądania. Oczy to błąd cień tego, jaka namiętność płonie w moim wnętrzu.

- To znaczy, że stają się czerwone, kiedy... ci staje?

- Tak. - Uśmiechnął się powoli. - Mogłabyś pomóc złagodzić moje cierpienie, ale obawiam się, że ten problem będzie się pojawiał wciąż i wciąż.

Boże, czy to naprawdę taki zły sposób na spędzenie reszty życia? Ziarno paniki zaczęło kiełkować w jej brzuchu. Nie była gotowa na coś tak odmiennego, nie potrafiła skazać na takie życie siebie i swojej córki.

- Ja... muszę iść. - Zrobiła krok do tyłu. Puścił ją.

- Jak sobie życzysz, *chérie*.

Wyszła i wśliznęła się do swojej ciemnej sypialni. Dobry Boże, co ma robić? Nie wątpiła już, że Phineas miał rację, że wampiryzm nie zmienia charakteru człowieka. Jean-Luc jest teraz tak samo szlachetny i honorowy, jak był za życia. Może nawet bardziej. Stulecia istnienia dały mu mądrość i dojrzałość, które do Heather bardzo przemawiały. No i oczywiście był niezwykle seksowny. Cudowny w stosunku do Bethany, wielkoduszny wobec Fidelii. Chodzący ideał z jedną tylko wadą. Był wampirem.

Ale fakt, że był wampirem, niczego w Jeanie-Lucu nie zmieniał, nie zmieniał też tego, co Heather do niego czuła. Teraz, gdy już minął pierwszy szok, zauważyła, że Echarpe

wciąż ją pociąga, że nadal go kocha. I to przeraziło ją bardziej niż wystające kły. Bo zaczęła naprawdę brać pod uwagę związek z Jeanem-Lukiem.

Jakaś część jej mówiła, że to szaleństwo. Znała go zaledwie tydzień. Jak mogła podjąć decyzję, która zaważyłaby na całym jej życiu? I na życiu Bethany. Jak miałyby wytłumaczyć córce, że nowy chłopak mamusi za dnia jest martwy? Jak mogłaby obarczyć małe dziecko brzemieniem podobnego sekretu? Tylko że alternatywa - ukrycie przed córką prawdy - sprawiłaby, że czułaby się winna i nieuczciwa.

To w ogóle była trudna sytuacja. Ona by się starzała, a Jean-Luc nie. Z jednej strony wciągnęłyby córkę w przedziwny świat, z drugiej zapewniłyby jej cudownego, kochającego ojczyma.

Tylko że ten ojczym byłby za dnia martwy. Umysł Heather przeskakiwał od argumentów za do argumentów przeciw. To wystarczyło, żeby przyprawić ją o straszliwy ból głowy. Ruszyła przez ciemny pokój po omacku do łazienki, a gdy się w niej znalazła, zamknęła drzwi i zapaliła światło. Spojrzała w lustro. Fidelia powiedziała, żeby podążała za głosem serca. Serce Heather wyrывało się do Jeana--Luca, ale umysł zalecał ostrożność. Jeśli Jean-Luc stanie się częścią jej rodziny i im nie wyjdzie, nie tylko ona będzie miała złamane serce. Bethany też będzie cierpiała.

Westchnęła. Prowadziła wprawdzie wojnę ze strachem, ale w tej konkretnej potyczce strach wygrywał. Najbezpieczniejszym rozwiązaniem było wycofanie się. Powinna to zrobić, zanim uczucie do Jeana-Luca całkowi* cie nią oładnie.

Cały piątek Heather ciężko pracowała, starając się nie myśleć o Jean-Lucu. Wieczorem Echarpe spytał, czy chciałaby z nim porozmawiać w jego gabinecie, a ona odmówiła. Smutek widoczny w jego oczach ukłuł ją w serce, pospieszyła więc do swojej sypialni. Fidelia zapytała, czy stało się coś złego, Heather jednak mogła tylko pokręcić przecząco głową, w gardle bowiem miała wielką gulę.

Podczas lunchu w sobotę odkryła kolejną nadzwyczajną cechę wampirów. Znakomity słuch. W kuchni Ian usłyszał samochód wjeżdżający na podjazd. W towarzystwie dwóch strażników Heather wyszła do sklepu.

Phil wyrzwał przez okno.

- Pikap z przyczepą.

Zerknęła na zewnątrz, żeby sprawdzić, kto wysiada z samochodu.

- O nie, to Coach Gunter.

- Stanowi zagrożenie? - spytał Ian.

- Dla każdej kobiety na Ziemi - mruknęła Heather. Z tyłu furgonetki i na przyczepie zauważyła duże czarne pudła. - Przywiózł wybieg.

A to znaczyło, że był nowym chłopakiem Liz Schumann. Dobry Boże, Liz musiała postradać rozum.

Coach podszedł do wejścia, zignorował dzwonek i zaczął walić pięścią w drzwi.

Heather zmarszczyła brwi.

- Wpuście go. Przyprowadzę Alberta.

Ruszyła korytarzem do biura Włocha. Nawet tam słyhać było tubalny głos wchodzącego do środka trenera.

- Właśnie przywieziono wybieg - poinformowała Alberta. - Obiecałam Liz trzy bilety na pokaz.

Alberto dał je Heather z ociąganiem.

- Ledwie mi wystarczy dla członków rady i miejscowych szych.

Skrzywiła się.

- Przy dwudziestu gościach nie zbierzemy zbyt wiele. Alberto prychnął.

- Miejscowi nie mają pieniędzy. Jean-Luc przekaże datek. Dwadzieścia tysięcy.

- Dolarów? - Heather przełknęła ślinę. - To bardzo hojny gest.

- Ma swoje powody. - Włoch machnął lekceważąco ręką. - Nie żeby nie był hojny. Echarpe przekazuje mnóstwo pieniędzy na cele dobroczynne. Ale w tym wypadku płać ci za milczenie. Kiedy po pokazie sklep zostanie zamknięty, Jean-Luc chce, by ludzie zapomnieli o tym miejscu. Przypuszczam, że to będzie oznaczało koniec pani pracy.

Heather pamiętała, że została zatrudniona tylko **na** dwa tygodnie.

- To znaczy, że nikt w ogóle nie będzie tu przychodził?

- Przy odrobinie szczęścia nikt. A jeśli ktoś się pojawi, cofnie go ochrona. Ja wrócę do Paryża razem z modelkami, a Jean-Luc będzie się ukrywał.

Strasznie samotny obrazek. Heather przypomniała sobie pierwszą kartę, którą dla Jeana-Luca odkryła Fidelia. Pustelnik. Będzie tu sam jak palec. Gdyby pozwoliła mu się do siebie zalecać, mogłaby sprawić, że to uległoby zmianie.

- No cóż, powinienem rzucić okiem na wybieg. - Alberto wyszedł z biura.

Heather nie spieszyła się z powrotem do sklepu. Phil i Coach zdążyli już ustawić kilka elementów, które oglądał Alberto, kiedy nadeszła.

- Cześć, Heather! - zawołał Coach, wychodząc po kolejną partię. Wskazał na lana, który stał w cieniu i wyglądał na zawstydzonego. - Ten dzieciak wcale nie pomaga, Powinniście zwolnić lenia.

Heather spojrzała na lana współczująco. Wiedziała, że musi trzymać się z dala od światła dnia, a Coach najwyraźniej dawał mu popalić. Dwadzieścia minut później wybieg był już w całości w sali sklepowej.

Heather wręczyła trenerowi bilety.

- Chodzę teraz z Liz Schumann, wiesz? - Zatrzymał się przed frontowymi drzwiami.

Skinęła głową.

- Domyśliłam się.

- Tak. - Naprężył potężne bicepsy. - Szczęściara z niej. Nie wiesz, co tracisz.

- Jestem zdruzgotana. Powiedz, proszę, Liz, żeby wpadła w piątek na przymiarke. - Zdążyła już ustalić, że jej modelkami będą także dwie inne nauczycielki.

- Jak fikuśna będzie ta impreza? - spytał Coach. - Powinienem się jakoś szczególnie wystroić?

Obrzuciła wzrokiem jego podkoszulek bez rękawów i spodenki gimnastyczne.

- Mógłbyś włożyć spodnie. I zostawić gwizdek w domu.

- Oho, bardzo fikuśna. - Wymaszerował na dwór. - Do zobaczenia w sobotę.

Heather wróciła do pracowni i zabrała się do drugiej sukni. Alberto wyszedł, żeby rozprowadzić pozostałe bilety.

Około szóstej lana znowu zwałił się z nóg. Heather odetchnęła z ulgą, bo Bethany jadła kolację w kuchni i nie musiała tego oglądać. Nie wiedziała jednak, jak wytłumaczyć córeczce fakt, że lana zaczął wyglądać na starszego.

Szła akurat do kuchni w towarzystwie Phila, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach.

Phil zerknął przez okno.

- To szeryf.

Heather otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

- Chciałem się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku. - Żując wykałaczkę, Billy przyjrzał się jej uważnie.

Zamknęła za nim drzwi.

- Jesteśmy całe i zdrowe. Jakież wieści?

- Żadnych. Nie mogę znaleźć tego Louiego. - Billy wszedł do sklepu i rozejrzał się wkoło. - Znaleźliśmy odciski palców w muzeum, ale nie figurują w systemie. A skoro nie mamy jego prawdziwego nazwiska, to jesteśmy w kropce.

- Rozumiem. - Heather poszła za nim.

- A znalazł pan coś ciekawego w wozie Heather? - spytał Phil.
- Nie. - Billy podszedł do podestu. - Przygotowujecie się do sobotniego pokazu?
- Tak - odparła Heather. - Jean-Luc uważa, że skoro będę brała w nim udział, to Louie też się pojawi. i
- Billy odwrócił się gwałtownie w jej stronę. l
- Chce się tobą posłużyć jako przynętą? | Wzruszyła ramionami. \
- On też jest przynętą. Louie chce zabić nas oboje.
- Żując wykałaczkę, Billy zmarszczył brwi. j
- Będę się musiał tu zjawić razem z swoimi dwoma za- .' stępcami.
- Wasza pomoc będzie mile widziana - zapewniła go Heather. Ian powiedział jej, że jeśli śmiertelnicy zobaczą coś, czego nie powinni, wampiry wyczyszczą im pamięć.
- Billy niespiesznie ruszył w stronę wyjścia.
- Cody znowu dziwnie się zachowuje. Wczoraj wieczorem był w Schmitty Bar. Upił się i zaczął na ciebie wygadywać. A potem ni z gruszki, ni z pietruszki powiedział, że jest karaluchem i zaczął łązić po stołach do bilardu, przeszkadzając ludziom w grze.
- Heather westchnęła. Jeszcze jeden problem, z którym powinna się uporać.
- Musiałem go zamknąć na noc. - Billy otworzył drzwi i zatrzymał się na ganku. - Dziś rano zachowywał się normalnie, ale mówię ci, że ten facet to świr.
- Rozumiem. Dzięki, że wpadłeś. - Zamknęła za nim drzwi i przekręciła klucz w zamku.
- Co za dziwny świat, w którym wampiry wydawały się normalniej sze niż śmiertelnicy.

Rozdział 24

Tej nocy Heather odkryła jeszcze jedną niezwykłą umiejętność wampirów. Stała w magazynie, patrząc z niedowierzaniem, jak Robby i Ian wieszali nad wybiegiem kurtynę, która oddzielała tylną część sali. Podczas pokazu miała się tam znajdować przebieralnia dla modelek.

- Tym, co wzbudziło zdumienie Heather, był fakt, że obaj Szkoci nie potrzebowali drabiny. Po prostu unosili się w powietrzu.
- Podejrzewam, że też to potrafisz. - Spojrzała z ukosa na Jeana-Luca, który stał obok.
 - Tak. - Pochylił się ku niej. - W moich ramionach moglibyśmy razem osiągnąć nowe szczyty.
 - Nie była pewna, czy jego słowa odnoszą się do lewi-tacji.
 - Dobrze mi z tym, że jestem zwykłą śmiertelniczką.
 - Nie ma w tobie nic zwykłego. A ja ostatnio mam kłopoty z niektórymi członkami, które lewitują na własną rękę.
 - Prychnęła.
 - Jakie inne umiejętności jeszcze posiadasz?
 - Mam wyjątkowo czułe wzrok i słuch. I jeszcze bardzo wyostrzoną świadomość otoczenia. Wiesz, na przykład, że Fidelia chowa się za gablotą z szalami?
 - Nie. Dlaczego, u diabła, miałyby robić coś takiego? Usta Jeana-Luca drgnęły.
 - Nie wiesz?
 - Heather podniosła wzrok. Ponad gablotą unosił się Robby w niebiesko-zielonym kraciastym kilcie.
 - Dobry Boże, to żenujące.
 - Na szczęście Bethany jadła w kuchni ciasteczka pod opieką Phineasa.
 - Do magazynu wbiegł Ian, niosąc kolejne bele materiału. Poruszał się tak szybko, że jego ciało było rozmazaną plamą.
 - Jesteście niezwykle silni i szybcy - zauważyła spokojnie Heather.
 - A także ogromnie wytrzymali. - Uśmiechnął się. -Potrafimy wytrwać całą noc.
 - Spojrzała na niego krzywo. Myślał dziś tylko o jednym. Pod tym względem wampiry nie dokonały żadnego postępu w stosunku do swoich śmiertelnych początków.
 - Zmieniające się oczy przemawiają na twoją niekorzyść.
 - Jak to? Nie podoba ci się, że wiesz, kiedy mnie podniecasz?
 - Podoba, ale niech no zobaczę, że czerwienieją, gdy patrzysz na inną kobietę, a będziesz miał poważne kłopoty.
 - Skrzywił się.
 - Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem. Na szczęście zamierzam być wierny.
 - Jak to możliwe, żeby był wierny, kiedy ona się zestarzeje i posiwieje? Westchnęła.
 - Jakie jeszcze niezwykle moce posiadacie?
 - Umiemy się porozumiewać telepatycznie. Nie robimy tego często, bo trudno przy tym zachować prywatność. Każdy wampir może usłyszeć wiadomość nadaną telepatycznie. Stąd problem z wampiryzm seksem.
 - Z czym?
 - Z wampiryzm seksem. Każdy może się przyłączyć. Skrzywiła się.
 - To obrzydliwe. Uniósł brew.
 - Mogłoby ci się spodobać.
 - Nie interesuje mnie seks grupowy.

- To dobrze, bo nie zamierzam się tobą dzielić.
Czas zmienić temat.

- To co jeszcze potraficie?
- Kontrolować umysły. Możemy nimi manipulować i umiemy usuwać wspomnienia.
Pokiwała głową.

- Uważasz, że Louie mógł wpłynąć na kogoś zaangażowanego w pokaz. Choćby na Simone.
- To możliwe, ale się nie martw. Cały czas będę przy tobie.
Ciekawe, kogo mógł wybrać Louie. Czy jego ofiara zachowywałaby się inaczej, tak że byłoby to oczywiste?
- O Boże! A co jeśli to on pomieszał w głowie biednemu Cody'emu?
Jean-Luc zamrugął.

- Słucham?
- Cody zachowuje się dziwnie, odkąd Louie pojawił się na scenie.
Jean-Luc pokręcił głową.

- Nie, nie kontroluje Cody'ego.
- Skąd ta pewność? Ostatniej nocy Cody znowu świrował.
- Musiał cię obrazić.
- Billy mówił, że coś tam na mnie wygadywał, ale... skąd ty o tym wiesz?
Jean-Luc westchnął.

- Bo to ja na niego wpłynąłem. Wypuściła powietrze ze świstem.
- Dlaczego?
- Obrażał cię. Zasłużył sobie.
- Biegał w kółko jak karaluch.
- Właśnie. - Jean-Luc pokiwał głową. - Świetnie pasuje.
- Nie do ciebie należała decyzja.
- Chroniłem cię.
- Nie. - Aż kipiała ze złości. - Przeraziłeś mnie. Tyle dni się martwiłam. Musiałam zadzwonić do prawnika, żeby porozmawiać o zmianie zasad widywania Bethany.
- Zapłacę za to.
- Nie o to chodzi! Nie miałeś prawa wtrącać się w moje i życie osobiste.
- Myślałem, że jestem częścią twojego życia osobistego. - Skrzyżował ręce na piersi i zmarszczył brwi. - Następnym razem, kiedy zobaczę twojego byłego, wymażę tę komendę. Znowu będzie tak odrażający jak dawniej.
- Dziękuję. Nie mogę uwierzyć, że tak się tym przejmowałam, a dla ciebie to był tylko żart.
- Wcale się nie śmiałem, Heather. Miałem ochotę zabić drania za to, jak cię traktuje. Sto lat temu to właśnie bym zrobił.
Poczuła, że nie może oddychać, że klatka piersiowa jej się zapadła. Czowała się... uwięziona. Sparaliżowana. Na coś takiego nie była gotowa.

- Wszystko w porządku? - Dotknął jej ramienia. - Serce ci wali jak oszałałe.
Cofnęła się.
- Za ciężko walczyłam o swoją wolność, żeby teraz to zaprzepaścić.
Odwróciła się i pomaszerowała do córki do kuchni.

Tracił ją i nie wiedział, co robić. Wampiry nie były przyzwyczajone do tego, żeby ktoś im odmawiał. Dawniej, jeśli Jean-Luc potrzebował kwarty krwi, mógł się uciec do manipulacji umysłem. Dzięki temu dama nigdy nie mówiła „nie”.

Ale to nie krwi chciał od Heather. Chciał miłości, a ta okazała się dużo trudniejsza do zdobycia. W tak ważnej sprawie poczucie honoru nie pozwalało mu skorzystać z umiejętności wpływania na ludzi. Jean-Luc chciał, żeby miłość Heather była prawdziwa.

W wypadku Heather stare metody uwodzenia zawodziły. Miała własną karierę, własny dom, własną rodzinę. Ceniła swoją niezależność i naprawdę wcale go nie potrzebowała.

Merde. Im bardziej mu się wymykała, tym bardziej jej pragnął. W ciągu następnego tygodnia kilka razy kusił go, żeby porwać ją do sypialni i kochać się z nią, aż nie będzie w stanie jasno myśleć. Zastanawiał się też, czy się nie posłużyć wampiryzmem seksem, żeby uwieść ją przez sen, ale i ten pomysł odrzucił. Nie zareagowała dobrze na wieść o tym, że manipulował zachowaniem jej byłego, więc pewnie nie spodobałoby się jej, gdyby zaczął się bawić z jej umysłem.

Został mu tylko jeden, kompletnie kulawy sposób - bycie miłym gościem. Zawsze uważał się za dość miłego, zaskakujące więc, ile musiał włożyć w to pracy. Cały czas się napominał, żeby nie droczyć się z nią i nie żartować, tak jak to miał w zwyczaju. A poza tym wciąż i wciąż musiał się powstrzymywać przed tym, żeby jej nie dotknąć.

Heather pograżyła się w pracy, a on co wieczór przyglądał się jej osiągnięciom, starając się wykazywać jedynie zawodowe zainteresowanie. Robił grzeczne uwagi, gdy tymczasem przed oczami stawał mu obraz spadającego z niej ubrania. Szczerze dodawał jej otuchy, wyobrażając sobie równocześnie, jak gardłowym głosem wykrzykuje jego imię podczas potężnego orgazmu.

W miarę jak tydzień mijał, Jean-Luc zaczął sobie nawet wyobrażać, jak jej piękne ciało dojrzewa z jego potomkiem w środku. Do diabła, chciał rozpocząć z nią nowe życie. Chciał być jej mężem. Całe to bycie miłym nie miało sensu.

Do piątku Heather była gotowa krzyknąć i nie wiedziała dlaczego. Jean-Luc był bardzo grzeczny. Nawet nie próbował jej dotknąć. Niestety, przestał się też z nią droczyć i żartować. Nie patrzył już na nią, jakby chciał ją pożreć. Czyżby jego uczucie ostygło? Jeśli tak, to miała rację, że się wycofała.

Była zła na niego, że zamienił jej byłego w karalucha, ale kiedy poszła poskarżyć się Fidelii, skończyło się na tym, że obie tarzały się ze śmiechu.

Westchnęła. Brakowało jej tego starego Jeana-Luca. W ciągu ostatnich kilku dni stracił swoją wesołość. Nawet Fidelia zauważyła różnicę.

- Biedny Jean-Luc - narzekała. - Stracił cały swój wigor. Musisz mu pomóc go odzyskać.
- Jak? - Heather nie była pewna, czy powinna pytać.
- Idź do jego sypialni i rozbierz się, tańcząc tango.
- Nie umiem tańczyć tanga. Może być *Cotton Eye Joe*? - Heather wyobraziła sobie striptiz do piosenki w stylu country.
- Próbuję ci pomóc, *chica*. Jeśli mu nie powiesz, że go kochasz, możesz go stracić. Chcesz tego?

Nie! Ta odpowiedź natychmiast wyskoczyła w jej umyśle. Nie potrafiłaby znieść tej straty.

- Tęsknię za nim. Brakuje mi naszych zabawnych rozmów. I tego, jak zawsze próbował skraść mi pocałunek albo mnie dotknąć. Tęsknię za tym, jak się przy nim czułam. - Czuję się kochana. O Boże, brakowało jej jego miłości.

Mnóstwo czasu zajmowała jej praca. Do piątku rano skończyła ostatnią z trzech kreacji. Tego popołudnia trzy nauczycielki, jej przyjaciółki, przyszły do przymiarki. Wszystko było przyszykowane na sobotni pokaz. Jej dwutygodniowa praca dobiegła wtedy końca. Jean-Luc powiedział, że może zostać, dopóki jej dom nie będzie gotowy. Nie chciał, żeby odchodziła? Miałyby go zostawić i wrócić do starego życia jak gdyby nigdy nic?

Jan zwał się z nóg jak zwykle około szóstej. Starali się, żeby w tym czasie Bethany znalazła się w kuchni. Heather powiedziała małej, że Jan jest wyjątkowym przypadkiem człowieka, który bardzo szybko rośnie. Wydawało się, że Bethany zaakceptowała to wyjaśnienie, choć oznajmiła, że ona też chce szybko urosnąć.

Niedługo po siódmej pojawiła się Sasha. Alberto najpierw zrobił jej awanturę, a potem zabrał się do dopasowywania kreacji, którą miała prezentować.

- Heather, twoje projekty są bajeczne! - Sasha uściskała przyjaciółkę. - Tak się cieszę.
- Dziękuję. - Heather była zaskoczona. - Ale wiesz, że zostały stworzone z myślą o rozmiarze dwunastym?
- Och, wiem. I może któregoś dnia będę je nosiła. - Zakreśliła się w kółko, szeroko się uśmiechając. - Zgadnij, co się stało? Zamierzam rzucić modeling. I zacząć jeść!

- Ooo! Gratulacje. Kiedy się zdecydowałaś?

- Gdy się zakochałam. - Sasha przycisnęła ręce do serca. - Poznałam go w San Antonio. Jest taki przystojny. I bogaty. I szaleje na moim punkcie!

- Super! Kiedy go poznamy?
- Niedługo. Henry jest cudowny. Na pewno ci się spodoba. Zakochałam się. Możesz uwierzyć? - Sasha w zasadzie przetańczyła całą drogę do wyjścia. - Do zobaczenia jutro!

Później, kiedy przebudziły się wampiry, Simone i Inga włożyły swoje suknie i na próbę przeszły się po wybiegu. Orzekły, że jest brzydki, ale odpowiedni.

Jean-Luc tymczasem spacerował po butik, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Manekiny i gabloty przeniesiono do schowka. Czarny podest z obu stron został otoczony dwoma rzędami białych składanych krzeseł. Zwisaly z niego kawałki jedwabiu mieniące się odcieniami czerni, szarości i bieli. Całe wnętrze wyglądało bardzo elegancko.

Na koniec tej lustracji stanął obok Heather.

- Stroje gotowe?
- Tak. Moje modelki mierzyły je dziś po południu.

- To dobrze. - Podeszedł do jedwabnej kurtyny i zawrócił. - Świetny wynik przygotować w tak krótkim czasie trzy kreacje.
- Dziękuję.

Tym razem doszedł do frontowych drzwi, ale znowu odwrócił się i w trzech krokach był przy niej. Popatrzył na nią gniewnie.

- Zaraz eksploduję. Zamrugła.
- Słucham?
- Nie zniosę tego dłużej.

Czyżby zamierzał ją odprawić? Heather zaczęło walić serce.

- Wiem, że zatrudniłeś mnie tylko na dwa tygodnie i mój czas dobiegł końca.
- Nie mówię o pracy. Mówię o nas. - Odszedł kawałek, ale po kilku krokach znowu zawrócił. - Przez prawie cały tydzień cię nie dotykałem. Nie wiem... co robić. Chciałbym cię chwycić i pocałować, ale nie ośmielam się z obawy przed tym, że cię wystraszę. I zmęczyło mnie już czekanie, aż Lui zrobi swój ruch. Jesteś tu uwięziona, dopóki się go nie pozbędę.

- Zdaje się, że wszyscy cierpimy z powodu zamknięcia. Ja też się denerwuję jutrzejszym dniem, ale będę szczęśliwa, kiedy się skończy.

- Kiedy się skończy, będziesz wolna. - Przejechał dłonią po czarnych lokach. - Zgodzisz się pracować dla mnie na stałe? Zamrugła.
- Proponujesz mi pracę?

- Tak. Chcę wprowadzić do produkcji niektóre z twoich projektów. Mogłabyś pracować w Nowym Jorku albo Paryżu. Pomogę ci się przenieść.

Heather podskoczyło serce. Projektować ubrania w Nowym Jorku albo Paryżu? To było jej największe marzenie!

- A gdzie ty będziesz?

Usiadł ciężko na rozłożonym krześle.

- Tutaj, w ukryciu.

Usiadła obok niego. Bez niego wymarzona praca nie wyglądała już tak wspaniale.

- A mogłabym pracować tutaj?

- Myślę, że dzienny strażnik mógłby cię wpuszczać. - Popatrzył na nią kwaśno. - Zawsze będziesz mogła wrócić do domu, zanim się obudzę.

Zagryzła wargi.

- Tego właśnie chcesz?

- Nie! Dobrze wiem, czego... - Oparł się na krześle. - Ale nie powinienem ci mówić. Bo to cię wystraszy.

- Powiedz. Gdyby Louie zniknął, co byś zrobił?

- Zabrałbym cię i twoją rodzinę do Nowego Jorku. Zatrzymalibyśmy się w domu Romana. W dzień mogłabyś zwiedzić miasto, a w nocy...

- Tak?

- Poszlibyśmy do dzielnicy diamentów, żeby wybrać pierścionek.

Szczeka jej opadła.

- A potem poprosiłbym cię, żebyś za mnie wyszła. Zamknęła buzię z kłapnięciem i przełknęła ślinę.

- Byłbym dobrym ojcem dla Bethany i chciałbym mieć z tobą więcej dzieci. Myślę, że dwoje.

Czyżby zlecił swoim współpracownikom, żeby zrobili rozpoznanie. Z całą pewnością dokładnie wiedział, czego chce. Z trudem łapała powietrze.

Przechylił głowę, obserwując ją.

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że odzyskałeś swój wigor - wyszeptła.

- I to jest odpowiedź? - Wyglądał na zbitego z tropu.

- Nie. - Złożyła ręce.

- Lepiej zostawię cię samą. Za dużo powiedziałem. *Merde*. Pewnie skutecznie cię wystraszyłem. - Wyszedł.

Krew dudniła Heather w uszach. Dobry Boże, chciał ją poślubić. Małżeństwo z wampirem. I dzieci.

Czy faktycznie ją wystraszył? Czy wcześniej nie miała się czego bać? Jutro sobota, dzień pokazu. I noc, kiedy spodziewali się, że Louie będzie próbował ją zabić.

Rozdział 25

Dziękuję, że się zjawiłeś. - Jean-Luc uściśnął mocno dłoń Gregoriemu, który właśnie teleportował się do jego gabinetu.

- Nie ma sprawy, brachu. - Gregori wyjrzał przez okno na salę poniżej. - Więc chcesz, żebym poprowadził twój pokaz?

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu. - Jean-Luc uznał, że Gregori będzie najlepszy, bo kiedyś prowadził reality show w Digital Vampire Network. - Ja muszę być przy Heather.

Gregori pokiwał głową.

- To ta laska, którą chce zabić Lui?

- Tak. - Jean-Luc zerknął na jedwabną kurtynę. Była tam ze swoimi modelkami. Phineas trzymał przy niej straż, ale Jean-Luc niecierpliwie czekał, aż będzie mógł zająć jego miejsce.

- Będzie ubaw. - Gregori poprawił krawat przy smokingu. - Mnóstwo gorących kociaków. Jest Simone?

- Razem z Iną. Malują się nawzajem. Zainstalowałem kamerę cyfrową i monitor na suficie, więc mogą się widzieć. - Jean-Luc wyjął z biurka kartkę. - To wszystko, co musisz wiedzieć.

Gregori rzucił okiem na scenariusz.

- W porządku. No to do roboty.

Do biura wszedł Robby. Skinął głową wiceprezesowi Romatech Industries.

- Gregori.

- Hej, brachu. - Gregori uściśnął mu dłoń.

- Wszystko gotowe - oznajmił Robby. - Jedna z modelek Heather trochę się zdenerwowała i za dużo wypila. Heather zrobiła jej kawę.

Jean-Luc się skrzywił.

- Jeśli jest pijana, trudniej jej się będzie obronić przed mentalnym atakiem.

- Myślisz, że Lui łatwo mógłby przejąć nad nią kontrolę - stwierdził Robby.

- *Oui*. - Jean-Luc wziął laskę z ukrytą szpadą.

- Będę miał na nią oko. I na Simone - dodał Robby.

- Niestety, każdy w tym budynku jest podejrzany. - Jean-Luc podszedł do drzwi z laską w dłoni. - Chodźmy. Zbiegli na dół do kuchni. Phil i Fidelia jedli późną kolację razem z Bethany.

- Możesz iść do mojego gabinetu. - Jean-Luc pochylił się nad Bethany. -1 oglądać *maman* przez okno.
Z buzią pełną ciastek dziewczynka pokiwała głową. Mijając Phila, Jean-Luc szepnął:

- Pilnuj ich.

- Tak jest - potwierdził Phil. Już wcześniej go poinstruowano, że gdyby coś się stało, ma zasłonić Bethany widok.
Jean-Luc z Robbym i Gregorim wyszli do magazynu. Robby wskazał na wybieg.

- W czasie pokazu będę tam. Phineas i Ian zostaną tutaj. Jest też szeryf z dwoma funkcjonariuszami.
Jean-Luc zauważył Billy'ego opierającego się o ścianę z wykałaczką w ustach. Jego zastępcy stali po przeciwnej stronie sali.

- Będę sprawdzał wchodzących - ciągnął Robby -i upewnię się, że to śmiertelnicy.
Do magazynu weszły Simone i Inga, ignorując policjantów, którzy się za nimi obejrżeli.

- Hej, Simone. - Gregori podszedł do niej z uśmiechem.
Zatrzymała się.

- Gregori. - Podniosła rękę i pozwoliła, żeby zaprowadził ją i Ingę na tyły.
Gregori uniósł kurtynę i przepuścił modelki.

- Zaraz wracam - oznajmił Jeanowi-Lucowi.

- Powiedz Heather, że chcę ją widzieć. - Zaczekał. Heather wyjrzała. Otworzyła szeroko oczy.

- Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję. - Włożył najlepszy smoking. - Jesteśmy gotowi.

- W porządku. - Zerknęła przez ramię. - Powodzenia, dziewczyny.
Jean-Luc uśmiechnął się, widząc, że włożyła czarną koktajlową sukienkę, którą jej kupił.

- Ślicznie ci w niej.

- Dziękuję. - Wygładziła spódnice. - Znam pewnego faceta, który ma dobry gust.

- Racja. - Poprowadził ją do pierwszego rzędu. -Słyszałem, że jedna z twoich modelek troszkę się upiła.
Heather się skrzywiła.

- Liz. Nie sądziłam, że opiekunka szkolnego teatru będzie miała aż taką tremę. Ale już wszystkie są ubrane i gotowe.
Mówiła szybko, wzrok miała rozbiegany. Denerwowała się, stwierdził Jean-Luc, i w dodatku miała po temu powody.

- Chodź. - Usiadł na krześle na końcu rzędu i wskazał jej miejsce obok siebie. Ujął jej ręce. Były zimne jak lód, więc zaczął je rozcierać. - Będę cię chronił, Heather. Obiecuję.
Zrobiła głęboki wdech.

- Czekałam na tę chwilę dwa tygodnie, a teraz chcę po prostu, żeby było już po wszystkim.

- Będzie dobrze. Twoje kreacje są przepiękne.

- No cóż, to akurat wydaje się mało istotne wobec faktu, że ktoś chce mnie zabić.

- Nikt cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę na to. - Zerknął na wejście. Robby sprawdzał wszystkich i zaglądał gościom do torebek.

- O nie - jęknęła. - Jest Coach Gunter.
Malutki trener nie czekał w kolejce, tylko z impetem wtargnął do sali.

- Heather - rozległ się jego tubalny głos. - Przyproceedziłem wsparcie dla Liz.
Dmuchał w gwizdek i dwie czirlidkerki z liceum wskoczyły do środka, wymachując pomponami i piszcząc.

- O nie. - Heather osunęła się na krześle. Jean-Luc zachichotał.

- Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego na pokazie mody.

- To się zdarza tylko w Teksasie - mruknęła. Przybyli kolejni goście i niebawem wszystkie miejsca były już zajęte. Robby zamknął drzwi i ruszył w głąb korytarza. Kilka sekund później spacerował po pomoście. Najwyraźniej, kiedy nikt nie widział, przyspieszył do wampirzej] prędkości.

Gregori wszedł na podest obok wybiegu.

- Dobry wieczór, witam wszystkich na pierwszym schnitzelberskim pokazie mody.
Zebrani zaczęli wiwatować, pompony się zakołysały. Gregori rozciągnął usta w uśmiechu.

- To uroczystość, z którą wiąże się zbiórka pieniędzy na cele charytatywne. Za każdego gościa obecnego na pokazie Jean-Luc Echarpe przekaze Niezależnemu Schnitzelberskiemu Okręgowi Szkolnemu tysiąc dolarów.
Jeszcze głośniejszy aplauz.

Jean-Luc przyglądał się zgromadzonym. Wszyscy byli śmiertelni. Nikt nie podszedł do niego, żeby porozmawiać albo mu podziękować, wyglądało więc na to, że jego tożsamość wciąż pozostawała tajemnicą.

- Zaczniemy od dwóch projektów autorstwa Alberta Alberghiniego - ciągnął Gregori. - Pozwólcie, że przedstawię wam światowej sławy modelki. Oto Simone i Inga!
Zebrani grzecznie zaklaskali. Jean-Luc podejrzewał, że nigdy nie słyszeli o jego sławnych modelkach.

Zaczęła grać muzyka. Alberto pilnował wszystkiego na zapleczu. Przy wejściu Ian przyciemnił boczne światła, żeby wybieg wydawał się jaśniejszy.

Simone weszła na podest i wśród gości dało się słyszeć pełne aprobaty westchnienie.

- Simone ma na sobie czarną jedwabną suknię, która swój połysk zawdzięcza tysiącowi maleńkich dżetów -przeczytał Gregori z kartki. - Uroku całości dodaje udrapo-wany tył. Olśniewająca kreacja.

Simone pomaszerowała w dół wybiegu i przybrała wystudiowaną pozę. Jean-Luc przyglądał jej się uważnie. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, ale z drugiej strony na wybiegu zawsze przybierała zagniewany wyraz twarzy. Była już w połowie drogi powrotnej, kiedy na wybieg wyszła Inga.

- Inga włożyła koktajlową sukienkę z jedwabnego szantungu w kolorze kości słoniowej - oznajmił Gregori. - Proszę zwrócić uwagę na asymetryczny, odsłaniający jedno ramię dekol, który koresponduje ze skośnym cięciem u dołu. Elegancka kreacja autorstwa Alberta Alberghiniego.

Goście grzecznie zaklaskali.

- Czy Alberto to pisał? - szepnęła Heather. Jean-Luc przytaknął.

- Ja redagowałem.

Wiedział, że Simone i Inga będą teraz pospiesznie zmieniały stroje. Alberto ustawił dla nich parawan, żeby śmiertelne modelki nie widziały, jak przebierają się z wam-pirzą prędkością.

- A teraz - ciągnął Gregori - trzy kreacje projektantki rodem ze Schnitzelbergu, nowego obiecującego talentu w świecie mody, Heather Lynn Westfield.

Zebrani zaczęli wiwatować. Coach Gunter zakręcił pięścią w powietrzu i zagwizdał. Czirliderki potrząsnęły pomponami.

Heather pochyliła głowę.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- To miasteczko cię kocha - szepnął Jean-Luc. - A ja wiem dlaczego.

Spojrzała na niego oczami błyszczącymi od emocji.

- Dziękuję, że we mnie wierzysz. Wziął ją za rękę.

- To nie musi się skończyć tej nocy.

- Wystarczy! - Gregori wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Naszą pierwszą modelką jest panna Gray, nauczycielka angielskiego z liceum Guadalupe.

Panna Gray z ociąganiem weszła na wybieg. Miała na sobie pierwszą suknię autorstwa Heather.

Czirliderki zerwały się na równe nogi, wyrzucając pompony w górę.

- Dalej, panno Gray! - Potrząsnęły puchatymi kulami. - Dalej, panno Gray!

Alberto włączył muzykę. Panna Gray uśmiechnęła się i najwyraźniej zorientowała, że jest wśród przyjaciół. I w miarę jak przesuwała się po wybiegu, jej uśmiech stawał się coraz szerszy.

- Panna Gray ma na sobie wieczorową suknię z jedwabnego szyfonu w kolorze królewskiego błękitu - przeczytał z kartki Gregori. - Proszę zwrócić uwagę na krój spódnicy i wielofunkcyjność dopasowanego szala.

Druga nauczycielka wyszła na wybieg.

- Dalej, pani Lawson! - Zatrzęsły się pompony. - Dalej, pani Lawson!

- Pani Lawson włożyła czarną koktajlową sukienkę z bolerkiem - oznajmił Gregori. - Czerwone sutaszowe wykończenie na bolerku koresponduje z podobnym na obrąbku spódnicy. Kreacja zarazem elegancka i odważna.

Heather kurczowo trzymała dłoń Jeana-Luca.

- Świetnie ci idzie - szepnął.

- Jeśli ktoś zamierza mnie zaatakować, chciałabym, żeby już to zrobił - odszepnęła. - Niepewność mnie zabija.

Na wybieg wyszła trzecia nauczycielka. Coach podskoczył i zagwizdał.

- Brawo, Liz!

- Dalej, panno Schumann! - Znów zatrzęsły się pompony.

Liz ruszyła przed siebie, odrobinę chwiejąc się w rdza-woczerwonych szpilkach.

- Panna Schumann ma na sobie sukienkę kopertową w kolorze kasztanowym - powiedział Gregori. - Dopelnienie tej dopasowanej kreacji stanowi elegancka marynarka z luźnym marszczonym kołnierzem, rękawami trzy czwarte i guzikami ze sztucznych kamieni.

Liz stanęła upozowana na końcu wybiegu, a Coach błyskawicznie wyciągnął aparat.

Jean-Luc pochylił się, żeby trener nie zrobił mu zdjęcia. *Zut*, Robby był pewnie zbyt zajęty sprawdzaniem torebek. Nie zauważył aparatu.

Błysk flesza musiał oślepić pannę Schumann, bo potknęła się, zachwiała na krawędzi wybiegu i spadła.

- Mam cię, Liz! - Coach rzucił się i pomógł jej wstać. - Nic się jej nie stało! - Podniósł ręce, jakby zaliczyła bazę.

Zebrani wiwatowali. Heather chciała podejść do przyjaciółki, ale Jean-Luc ją powstrzymał.

- Musisz zostać ze mną. - Wymienił spojrzenie z Robbym. Wyglądało na to, że żadna z trzech śmiertelnych modelek nie stanowiła zagrożenia. Ale Lui mógł przejąć kontrolę nad umysłem kogoś z publiczności. No i Simone wciąż miała przed sobą drugie wyjście.

Publiczność zgotowała Liz jeszcze jedną owację, kiedy Coach Guner odprowadził ją na zaplecze. Gregori odchrząknął.

- A teraz trzy następne kreacje Alberta Alberghiniego. Na początek schnitzelberska sława w świecie modelingu Sasha Saladine.

Sasha weszła na wybieg i zebrani zgotowali jej owację.

- Sasha ma na sobie trzyczęściowy komplet z beżowego jedwabiu - ciągnął Gregori. - Ściśle dopasowane spodnie i top tworzą interesujące zestawienie z luźnym, powiewnym długim płaszczem.

Jean-Luc zauważył, że modelka trzyma ręce w kieszeniach płaszcza. To było normalne na wybiegu, ale...

Nagle Sasha wyciągnęła pistolet, wycelowała w Heather i pociągnęła za spust.

Jean-Luc wyskoczył do przodu i poczuł ostre ukłucie w prawym ramieniu. Chudziutką Saszę wystrzał odrzucił aż za wybieg. Phineas skoczył do niej, a dwaj funkcjonariusze i szeryf rzucili się biegiem.

- Nic ci nie jest? - Jean-Luc spojrzał na Heather. Miała szeroko otwarte oczy i się trzęsła. Przyciągnął ją do siebie.

Zerknął na pomost. Robby zniknął, łań też. Pewnie teleportowali się na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy ten drań Lui nie czai się w pobliżu.

Goście z krzykiem rzucili się do wyjścia.

Szeryf wskoczył na podest.

- Spokój! Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Coach zadmuchał w gwizdek i zebrani ucichli.

- W porządku, idziemy. - Pokierował wychodzącymi. - Ustawcie się w dwa rzędy No już!

Billy zeskoczył w miejsce, gdzie Phineas przygwoździł Sashę do podłogi. Pomógł jej wstać. Rozglądała się dokoła oszołomiona.

- Co się stało? - Spojrzała na szeryfa. - O, cześć Billy. Pamiętam cię z liceum.

Marszcząc brwi, wykręcił jej ręce do tyłu i skuł kajdankami.

- Sasho Saladine, aresztuję cię za usiłowanie morderstwa. Masz prawo zachować milczenie.

- Co takiego? - Sasha zbladła. - Nie potrafiłabym nikogo skrzywdzić.

Billy podniósł pistolet, posługując się chusteczką.

- Właśnie próbowałeś z tego zastrzelić Heather. Sasha wypuściła powietrze ze świstem.

- Ale ja nie umiem strzelać. Nigdy bym nie skrzywdziła Heather.

- Tak, jasne. - Billy poprowadził ją do wyjścia. - Pewnie to ty wysadziłaś też jej ciężarówkę.

Sasha wydała stłumiony okrzyk.

- Nie! Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Billy, proszę. - Spojrzała na niego błagalnie. - Nie pamiętasz mnie?

Popatrzył na nią smutno.

- Pamiętam.

Heather oderwała się od Jeana-Luca.

- Billy, ona mówi prawdę. Wcale nie jest za to odpowiedzialna.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Strzelała do ciebie. Wszyscy widzieli. - Wyprowadził Sashę na zewnątrz. - Masz prawo do adwokata...

Heather odwróciła się do Jeana-Luca.

- Nie możemy pozwolić, żeby płaciła za zbrodnie Louiego.

- Zajmę się tym - zapewnił ją Jean-Luc. - Ale na razie ważniejsze jest, żebyśmy go znaleźli.

Wyciągnął szpadę z laski, krzywiąc się, kiedy ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Heather wypuściła powietrze.

- Mój Boże!

- Co robisz? - Gregori podszedł do Jeana-Luca.

- Chcę, żebyście razem z Phineasem pilnowali Heather, kiedy będę szukał Luiego.

Gregori pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Stary, nie jesteś w formie. Pozwól, żeby Robby i Ian się tym zajęli.

- To mój obowiązek. - Jean-Luc zacieśnił uścisk na szpadzie. Z jakiegoś powodu jego ręka stawiała opór i czuł w niej mrowienie. - Muszę zabić tego drania.

Heather dotknęła jego lewego ramienia.

- Jean-Luc, kochany, ty krwawisz. Zostałeś postrzelony.

Dwie godziny później Jean-Luc relaksował się w swojej ogromnej wannie. Ciepła woda wirowała wokół, tworząc białą pianę, a dysze masowały mu plecy pulsującym strumieniem. Siedział w narożniku, ze zranioną ręką opartą z boku, żeby nie zmoczyć bandaża. Lewą rękę trzymał luźno na krawędzi obok butelki blissky.

Rana z pistoletu zaskoczyła Jeana-Luca. Tak bardzo chciał chronić Heather i zabić Luiego, że jego mózg zignorował ból. Gregori i Heather sprowadzili go na dół, do jego pokoju, Alberto zaś zajął się następstwami fatalnego pokazu.

Gregori znalazł w Houston wampirzego lekarza, który pomagał odebrać poród Shanny. Zadzwoił do doktora Lee i wampir ze swoim medycznym ekwipunkiem teleporto- \$ wał się wprost do sypialni Jeana-Luca. Kiedy Heather lupewniła się, że Jean-Luc będzie żył, pobięła na górę do | córeczki. |

Kulę trzeba było usunąć. Gregori wręczył Echarpe'owi 1 butelkę blissky, żeby pomogła uśmierzyć ból. Doktor Lee 1 wyciągnął pocisk, zabandażował rękę, zostawił rachunek 1 i teleportował się z powrotem do Houston. 1

Gregori wyszedł, żeby zobaczyć się z Simone i Inga. Ian 1 i Robby wciąż szukali Luiego, a Phineas i Phil pilnowali Heather i jej rodziny. Jean-Luc wiedział, że Lui jest blisko. Kontrolował umysł Sashy i przez ostatnie dwa dni znajdował się w okolicy. Musiał być blisko, bo nie przepuściłby okazji, żeby się napawać swoimi dokonaniem. 1

Jean-Luc upił kolejny łyk blissky. Znów był bezradny. Dziś w nocy nie mógł walczyć. Był bezużyteczny. Ból zamienił się w tępe pulsowanie, ale wściekłość i frustracja stale narastały.

Trzeba znaleźć Luiego. To się musi skończyć. Nie może wymagać od Heather, żeby mieszkała tu w nieskończoność jak więzień. Tylko że jeśli pozwoli jej odejść, Lui ją zabije. *Mon Dieu*, miała wszelkie powody, żeby go nienawidzić. Przez niego utraciła nowo odzyskaną wolność. Szaleństwem było mieć choćby nadzieję, że go pokocha.

Usłyszał, że drzwi do sypialni otworzyły się i zamknęły.

- Robby, to ty? Proszę, powiedz mi, że Lui nie żyje.

Dobiegł go odgłos cichych kroków. Odwrócił się, żeby popatrzeć, i ból sprawił, że obraz mu się rozmazał. Zamrugał. To musiał być sen. Miała na sobie niebieską koszulę nocną, którą jej kupił. Tak, to musiał być sen. Piękny sen.

Heather podeszła do niego powoli.

- Jean-Luc. Zamrugał.

- Jesteś prawdziwa? Uśmiechnęła się.
- Tak.

Rozdział 26

Wzrok Heather musiał się przyzwyczaić do półmroku panującego w łazience Jeana-Luca.

- Jak się masz?
- Koszmarne. Mój najlepszy smoking został zniszczony. Domyśliła się, że to ból był przyczyną sarkazmu.
- Myślałam, że może wampiry nie czują bólu, ale Gregori wyprowadził mnie z błędu.
- Jean-Luc oparł głowę na marmurowej krawędzi wanny i zamknął oczy.
- Czuję różne rzeczy. Wściekłość, bo Lui znowu mi uciekł, frustrację, bo jesteś zmuszona przyjąć moją ochronę, czy to ci się podoba, czy nie.
- Nie narzekam. Wziąłeś na siebie kulę, która była przeznaczona dla mnie.
- Zamachał ręką, jakby to było nic.
- Są też uczucia pozytywne. Oddanie, szacunek, pożądanie, radość z twojego towarzystwa. - Otworzył oczy i popatrzył na nią. - Wszystkie dobre rzeczy w moim życiu obracają się wokół ciebie.
- Podeszła do narożnika wanny i objęła rękoma smukłą kolumnę. Na policzku poczuła zimny marmur.
- Masz z czego być dumny, Jean-Luc. Jesteś bardzo inteligentny i utalentowany. Przeszedłeś w życiu długą drogę, stworzyłeś firmę, która odnosi wspaniałe sukcesy.
- Znów oparł głowę o krawędź wanny.
- Ciężko pracowałem, żeby mieć władzę i nigdy więcej nie być bezsilnym wobec zachcianek innych. - Westchnął. - Ale Lui wciąż powraca, a ja nie potrafię go powstrzymać. Jestem bezradny. Nic niewart.
- Serce jej się ścisnęło.
- Nie waż się tak mówić! Ryzykowałeś życie, żeby mnie ocalić. - Podeszła do schodków i usiadła na skraju wanny.
- W tej chwili czuję się nic niewart. Gdyby Lui pojawił się dziś w nocy, nie byłbym w stanie walczyć. - Uśmiechnął się leciutko. - Nie martw się. Wciąż bym cię chronił.
- Wierzę. - Wiedziała, że gdyby musiał, oddałby za nią życie. Dotknęła miękkich czarnych włosów.
- Mam też plan awaryjny. Teleportuję ciebie i Bethany do siedziby Romatech Industries. Jest tam pokój w całości wyłożony srebrem. Żaden wampir nie może się do niego teleportować. Ani z niego. Byłabyś tam bezpieczna.
- Rozumiem. - Poglaskała go po włosach, a on zamknął oczy. - Srebro szkodzi wampirom?
- Mmm. - Zmarszczki bólu na jego twarzy powoli się wygładziły.
- Wciąż przesuwała dłonią po jego włosach. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego srebrne pasy tak mocno zraniły Louiego.
- Gregori powiedział, że wrócisz do zdrowia podczas swojego śmiertelnego snu. Nie będzie nawet blizny na pamiątkę twojej odwagi.
- Leciutko uniósł do góry kąciki ust.
- Raczej desperacji. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię stracić.
- Uważam, że byłeś bardzo dzielny. Chciałam ci podziękować.
- Otworzył oczy i spojrzał na nią ze smutkiem.
- Nawzajem ocaliliśmy sobie życie i teraz jesteśmy kwita. Gdy tylko zabiję Luię, będziesz mogła odejść.
- Zrobiła głęboki wdech.
- Nie zamierzam nigdzie stąd iść. Popatrzył na nią oszołomiony.
- Więc przyjmujesz moją ofertę pracy? Wyprostowała się u podnóża schodów prowadzących do wanny. Serce waliło jej jak oszalałe.
- Przyjmuję cię. Jean-Luc uniósł brwi. Usiadł.
- Zsunęła ramiączka nocnej koszuli z ramion i pociągnęła ją w dół, odsłaniając piersi. Oczy mu pociemniały.
- Musiała odrobinę pokręcić pupą, żeby koszula przeszła jej przez biodra. Oczy Jeana-Luca zaczęły świecić. Koszula spadła na podłogę i zwinęła się wokół jej stóp.
- Serce Heather waliło, krew dudniła jej w uszach. Strach i niepewność, które czuła przez ostatnie dwa tygodnie, rozwiały się, zostawiając ją w euforii. Podjęła decyzję. Pójdzie za głosem serca. I ogłosi zwycięstwo nad strachem.
- Pamiętasz, co mówiłeś? Miałaś rację co do mnie. Jego oczy świeciły jaskrawoczerwono.
- Co mówiłem?
- Powiedziałeś, że cię kocham. - Wchodziła po schodkach, czując, jak zalewa ją cudowne uczucie władzy. - I tak właśnie jest. - Weszła do ciepłej wody.
- Tak jest? - Przesunął się, żeby zrobić jej miejsce. Usiadła obok.
- Tak. Myślałam o tobie cały tydzień, starając się zebrać odwagę, żeby pójść za głosem serca.
- A więc pokonałaś strach.

- Tak. Pismo Święte mi pomogło. Jest tam jedno zdanie, które mówi, że wszystko na Ziemi ma swój cel. Zrozumiałam, że jesteś tu w szlachetnym celu. Chronisz niewinnych przed złymi wampirami. - Dotknęła jego twarzy. - Jak mogłabym cię nie kochać.

Popatrzył na nią krzywo.

- Próbujesz mnie uszlachetnić?

- Ależ ty jesteś szlachetny, głuptasie. I musisz sobie z tym jakoś poradzić.

Zachichotał.

- Ja też cię kocham. - Zerknął na swoją zabandażowaną rękę. - Ale mogę mieć problem z tym, żeby to udowodnić.

- Nic nie musisz robić. - Przytuliła się do jego lewego boku i otarła się udem o jego nogę. - Jestem tutaj, żeby cię uwieść.

- Naprawdę?

- Uhm. - Obsypała pocałunkami jego ramię i szyję. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Wiem, że nie znosisz czuć się bezradny.

Usta mu drgnęły.

- Bardzo dziwne, ale całkiem mi to odpowiada.

- To dobrze. - Powiodła dłonią po jego piersi w dół, aż do brzucha, i napotkała koniuszek nabrzmiałej męskości. - Och, zdaje się, że nie jesteś tak całkowicie bezsilny.

- Nie. - Wypuścił z sykiem powietrze, kiedy otoczyła go dłonią i ścisnęła.

Gładząc jego członek, zadowolona czuła, jak staje się coraz twardszy i grubszy. Koniuszek pozostał miękki jak aksamit. Pocałowała Jeana-Luca w pierś.

- Nigdy nie potrafiłam ci się oprzeć. Pragnęłam cię od pierwszej chwili, kiedy cię spotkałam.

- Heather, tak bardzo cię kocham. - Lewą ręką przyciągnął ją do siebie i wygłodniały pocałował pożądliwie w usta.

Wyczuła smak whisky na jego języku. Zagłębiła się w jego ustach i przejechała językiem po krawędzi zębów. Ostre końcówki wilczych kłów nie zbiły jej z tropu. Wiedziała, kim jest, i kochała go.

Usiadła na nim okrakiem i całowali się dalej. Lewą ręką gładził jej plecy. Przywarła do jego nabrzmiałego członka, trąc o niego ciałem.

- Przesuń się wyżej. - Objął ją ręką w talii i podciągnął, tak że piersi Heather znalazły się na wysokości jego ust. Złapał za twarde sutki i zaczął ssać.

Jęknęła i wygięła ciało w łuk. Dreszcz przeszedł wszystkie jej członki, a gdzieś w głębi zapłonęła żądza. Dobry Boże, Fidelia miała rację. Mężczyzna, który wysysał krew przez stulecia, umiał zrobić użytek z ust.

Przez opar zmysłowej rozkoszy do świadomości Heather przedostała się informacja, że Jean-Luc przejmuje kontrolę.

- Ej. - Wypuściła powietrze, kiedy pociągnął ją za sutek. - To ja miałam cię uwodzić.

- Znakomicie sobie poradziłaś. Uznaj, że już zostałam uwiedziona.

Podniósł ją nad wodę jedną ręką i posadził na brzegu wanny.

Oho, przydała się nadludzka siła. Chłodne powietrze pieszczące jej skórę i kontakt z zimną marmurową kolumną sprawiły, że dostała gęsiej skórki.

- Trzymaj się. - Przyciągnął jej biodra do krawędzi wanny.

- W ten sposób? - Uniosła ręce nad głowę i chwyciła kolumnę. Wypuściła gwałtownie powietrze, kiedy zanurkował między jej nogi.

O Boże, te jego usta. Ten język. Ścisnęła palcami marmur. Piętami przejechała mu po plecach.

Gładził ją i kasał, dopóki nie zaczęła dyszeć i wić się z podniecenia. I kiedy już miała eksplodować, cofnął się.

- Jesteś piękna - wyszeptał. A potem zakreślił w niej językiem, a ona eksplodowała.

Jej ciałem wciąż wstrząsały spazmy, gdy wciągnął ją do gorącej, spienionej wody. Wirujące prądy pulsowały na pobudzonej skórze, wywołując kolejną falę dreszczy.

- O Boże. - Opadła na niego. - Powinnam cię uwodzić częściej.

- Co noc, *cherie*. Trzymaj się.

Na chwilę wszystko stało się czarne, a potem Heather poczuła, że opada na pościel. Musiał ich teleportować prosto do łóżka.

Pognał z powrotem do łazienki. Usiadła i zobaczyła, że wraca z ręcznikiem.

- Proszę. - Wytarł jej plecy, a potem delikatnie pchnął na łóżko, żeby wytrzeć ją z przodu.

- Poczekaj! - Wskazała kamerę.

Rzucił się do szafki nocnej i chwycił pilota.

- Nie martw się. Nie ma ich, szukają Luiego. Nikt cię nie widział. - Wyłączył kamerę i wskoczył do łóżka.

Pochylił się nad nią, żeby pocałować jej piersi, i skrzywił się z bólu.

- Poczekaj chwilę. - Przeniósł się na drugi bok, żeby podeprzeć się na lewej ręce.

- Mam lepszy pomysł. - Pchnęła go mocno na plecy. - Jesteś rannym bohaterem, więc po prostu leż i przyjmij to jak mężczyzna.

Usta mu drgnęły.

- Jesteś urocza, kiedy tak się rządysz.

- Urocza? Uważasz, że to jest urocze? - Objęła dłońmi jego jądra i delikatnie ścisnęła.

Jęknął.

- Odwołuję to. Jesteś niewiarygodną uwodzicielką.

- No, to już prędzej. - Usiadła obok i zaczęła wodzić palcami po jego ciele. Pierwszy raz miała szansę dobrze mu się przyjrzeć. Był szczupły i umięśniony. Błądą skórę znaczyło kilka blizn. Przejechała po nich palcami świadoma, że mają setki lat i pochodzą z czasów, kiedy Jean-Luc był śmiertelny. Klatkę piersiową ocieniały czarne kręcone włosy. Powiodła palcem wzdłuż linii ciemnego zarostu, który schodził w dół tułowia aż do gęstwiny otaczającej jego wzniesiony członek.

Pogładziła trzonek, a ten drgnął.

- To żyje!

Spojrzał na nią krzywo.

- Muszę w ciebie wejść.

- Wszystko w swoim czasie. - Pochyliła się i pocałowała miękką żołądź.

Skrzywił się.

- Naprawdę muszę.

- Mamy całą noc. - Powiodła językiem w górę trzonka i wzięła go do ust.

Jean-Luc zajęczał.

- Weź mnie w siebie. Już.

Obróciła językiem wokół żołądź i zabrała usta.

- Mmm, pyszny.

- Do diabła, kobieto! - Oczy płonęły mu czerwienią. - Siądź na mnie.

Zamrugła oczami ze zdziwienia.

- Och, jesteś uroczy, kiedy się tak rządysz.

- Nie rządę się. Umieram. - Pociągnął ją na siebie. Usiadła na nim okrakiem, umieszczając członek w odpowiednim miejscu.

- Nie jestem zbyt doświadczona w... aaa! - Wypuściła gwałtownie powietrze, kiedy pchnął i pociągnął ją równocześnie. - Dobra, działa.

Usadowiła się na nim, pozwalając, żeby całkiem ją wypełnił.

- Dobrze cię poczuć.

- Ciebie też - wydyszał. Zaczął pieścić jej piersi. - Kochaj mnie.

- Kocham. - Zakołysała się na nim powoli, a potem pochyliła, żeby go pocałować.

Pociągnął ją za biodra, zmuszając, żeby poruszała się szybciej. Zrobiła, jak chciał, i poczuła narastające napięcie. Sięgnął między jej nogi, żeby popieścić lechtaczkę, a ona oszalała. Gdzieś z tyłu głowy zdawała sobie sprawę, że nigdy wcześniej się tak nie zachowywała. To było wyzwajające. Cudowne.

Pociągnął ją, kiedy ciężko na niego opadała. Zadrzała konwulsyjnie i ciało jej zwiotczało. Opadła na bok. Przekręcił się z nią i chwycił za pośladki, poruszając się w środku. Zajęczał, przyciskając się do niej biodrami, kiedy orgazm wprowadził go w drżenie.

Powoli ich oddechy wracały do normalności, gdy tak leżeli obok, wpatrując się w siebie.

- O rany - wysapała Heather.

- Właśnie. - Czerwień w jego oczach powoli blakła. Dotknęła jego włosów.

- Kocham cię. - Poczwała, że do oczu napływają jej łzy. - Tak bardzo cię kocham.

- Wyjdiesz za mnie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jean-Luc usiadł i zaczął mówić dalej:

- Obiecuję, że pozbędę się Luiego. Nie będziesz musiała żyć w więzieniu. Będziemy mogli podróżować i cieszyć się życiem. I będziemy mogli...

Położyła mu palec na ustach.

- Odpowiedź brzmi: tak.

Uśmiechnął się szeroko i pocałował jej palec, a potem dłoń.

Zadrzała.

- Schowajmy się pod kołdrę.

Ściągnął kapę i wśliznęli się do pościeli. Skrzywił się, kiedy przypadkowo uderzyła go w zranioną rękę.

- Och, przepraszam. - Pocałowała go w ramię.

- Za kilka godzin nic mnie nie będzie bolało.

- Kiedy wstanie słońce?

- Tak. Heather, wyjdiesz, zanim zapadnę w śmiertelny sen?

- To mnie nie przeraża, Jean-Luc. Co wieczór widywałam lana w takim stanie.

- Wiem. Ale chciałbym, żeby nasza pierwsza noc była idealna. Nie chcę, żeby ostatnim wspomnieniem było moje martwe ciało.

- Dobrze. - Może z czasem przestanie go to kępować. Pocałowała go w policzek. - Kocham cię takim, jaki jesteś.

Obudziła się około południa w swojej sypialni na górze. Przeciągnęła się, uśmiechając na wspomnienie miłosnych igraszek. Po godzinie odpoczynku Jean-Luc zaproponował, żeby poszukali innej pozycji, która nie obciążałaby zranionej ręki.

Turlali się wte i wewte, zaśmiewając przy tym, dopóki Heather nie usiadła mu na kolanach i dopóki nie zaczęli się całować i pieścić. Potem turlali się jeszcze, aż w końcu Heather znalazła się na czworakach, a Jean--Luc tymczasem stanął obok łóżka i wszedł w nią od tyłu. Poruszając się w środku, sięgnął, żeby popieścić ją palcami, i Heather całkowicie odleciała.

Wyczerpana zasnęła w jego ramionach. Obudził ją pocałunkami około wpół do szóstej, a ona włożyła nocną koszulę i czmychnęła na górę. Wzięła długą gorącą kąpiel, żeby rozluźnić obolałe mięśnie. A potem włożyła piżamę i położyła się do łóżka obok Bethany.

Niejasno pamiętała, że później córeczka próbowała ją obudzić. Wymamrotała coś, a Fidelia zachichotała.

- Maleńka, twoja mamusia jest wykończona. Najwyższa pora. Pozwól jej pospać.

Heather leżała więc teraz w łóżku w półśnie, rozmyślając o Jeanie-Lucu. Zgodziła się go poślubić! Porzuciła wszelkie obawy, że to nie wyjdzie.

Ubrała się i zeszła do kuchni, Ian i Phil przynieśli meble z powrotem. Przywitała się z nimi i uściskała Bethany.

Fidelia dźwignęła się z fotela i podreptała do kuchni.

- Chodź coś zjeść. Heather poszła za nią.

Wyciągając pudełko płatków ze spizarki, Fidelia uśmiechnęła się szeroko.

- I jak było? Heather prychnęła.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Aż tak dobrze? - Wsypała płatki do miski, a Heather przyniosła mleko. - Ostatniej nocy miałam zły sen - zniżyła głos. - Świejące czerwone oczy i obnażone kły.

- Już wiemy, co to znaczy. - Heather nalała mleka do miski.

- Nie jestem taka pewna. - Niania zmarszczyła brwi. - Wyraźnie wyczuwam niebezpieczeństwo. I był tam jeszcze budynek z kamienia. Ruiny. Myślę, że to stary kościół.

- Ciekawe. Fidelia westchnęła.

- Ian mówił, że wciąż nie znaleźli Louiego. Tej nocy znów będą go tropić.

A Jean-Luc będzie sprawny i gotów do walki. Heather aż tchu zabrakło, kiedy uświadomiła sobie, że znów będzie ryzykował życie. Popatrzyła na miskę płatków i nagle straciła apetyt.

- Jakiś samochód wjechał na podjazd - oznajmił Ian. W asyście Iana i Phila Heather podeszła do drzwi. Phil wyjrzał przez okno.

- Za kierownicą siedzi kobieta. Wygląda jak jedna z twoich wczorajszych modelek.

- To panna Gray! - krzyknął Alberto i ruszył do drzwi, ciągnąc za sobą walizkę. - Przyjechała po mnie. Wyjeżdżam do Paryża, a Linda podwiezie mnie na lotnisko.

Heather zerknęła na zewnątrz. Linda Gray była jedną z jej przyjaciółek z liceum Guadalupe.

- Nie wiedziałam, że się znacie.

- Nie znaleźliśmy aż do wczoraj. - Alberto wkroczył do holu. - Kiedy Sasha zaczęła strzelać, rzuciłem się na pannę Gray, żeby ją osłonić. - Uśmiechnął się słodko. - Uważa mnie za bohatera.

- Nie dziwię się. - Heather podała mu rękę. - Szerokiej drogi.

Alberto przyjął dłoń.

- Może się okazać, że niedługo wrócę z wizytą, jeśli nam się z panną Gray ułoży.

Phil otworzył drzwi, a Ian usunął się ze słońca.

- Powodzenia wszystkim. - Alberto pociągnął walizkę na zewnątrz. - Ciao.

Heather wróciła do kuchni, żeby cieszyć się dniem, który mogła spędzić z córką. Mniej więcej w czasie kolacji Ian znów zwałił się na podłogę.

Bethany zachichotała.

- On sobie ucina popołudniową drzemkę tak jak dzieci.

- Tak. - Heather się uśmiechnęła, Ian nie wyglądał już na dziecko. W ciągu minionych dwunastu dni postarzał się o dwanaście lat.

- Czy jak ja będę sobie ucinać drzemkę, to też będę starsza? - spytała Bethany.

- Kochanie, stajesz się starsza każdego dnia, tylko trwa to trochę wolniej niż w wypadku Iana.

- Ale ja chcę rosnać szybciej - powiedziała Bethany.

- Wiem, ale ja nie chcę cię stracić ani trochę szybciej, niż będę musiała. - Heather wstała. - Zobaczmy, co mamy na kolację.

Po kolacji przy wejściu rozległ się dzwonek, któremu towarzyszyło łomotanie w drzwi. Heather i Phil poszli zobaczyć, kto to taki. Na zewnątrz Cody przemierzał ganek tam i z powrotem.

Heather otworzyła drzwi.

Cody zakręcił się na pięcie i stanął przed nią.

- Nie widziałem się w ten weekend z Bethany.

- Mówiłeś, że nie będziesz mógł się z nią widzieć.

- Wiem, że tak powiedziałem. - Cody podrapał się po głowie. - Ale nie wiem dlaczego. Coś jest ze mną nie tak.

Heather wyszła na ganek.

- Wszystko będzie dobrze, Cody. Możesz się zobaczyć z Bethany w przyszłym tygodniu.

- Jak ona się miewa? Słyszałem, że wczoraj wieczorem były jakieś kłopoty.

- W porządku. Nie pozwoliliśmy, żeby zobaczyła coś złego.

- To dobrze. - Cody zszedł po schodkach, ruszył w stronę swojego samochodu i nagle zawrócił. - Założę się, że to robota tej wiedzy.

- Jakiej więdźmy?

- Tej cygańskiej czarownicy, której pozwalasz opiekować się naszą córką. Ona ma na nią zły wpływ.

Heather westchnęła. Akurat kiedy pomyślała, że Cody zaczął się zachowywać, jak trzeba, wszystko zniszczył, mówiąc coś głupiego.

- Fidelia to cudowny, pełen miłości człowiek. Zrobiłaby wszystko, żeby chronić Bethany.

- Jasne! Na przykład rzuciła na mnie urok. - Cody przechadzał się przed maską samochodu. - Wiem, co zrobię, zaskarżę ją. Każę ją aresztować.

- Na jakiej podstawie? Nic nie zrobiła. - Heather zauważyła na podjeździe radiowóz Billy'ego. Phil wyszedł na ganek. Cody uśmiechnął się szeroko.

- W samą porę. Powiem Billy'emu, żeby wsadził tę więdźmę do więzienia.

- Fidelia nic ci nie zrobiła. - Heather zeszła z ganku. Wóz szeryfa zatrzymał się i wysiadł z niego Billy.

- Cieszę się, że cię widzę, szeryfie. - Cody podszedł do niego. - Chcę, żebyś aresztował tę Cyganke. Rzuciła na mnie urok.

- To śmieszne - warknęła Heather. - Fidelia nie jest Cyganke i nie rzuca uroków.

- To dlaczego zmusiła mnie, żebym się w tym tygodniu nie widział z córką?

- Cody, wróć w przyszły weekend. Będziesz wtedy mógł zabrać Bethany.

- Nie mów mi, co mam zrobić! - wrzasnął Cody. - Billy, chcę, żebyś aresztował Heather. Za pogwałcenie postanowień sądu. Heather prychnęła wzgardliwie.

- Billy, możesz mi powiedzieć, żeby już pojechał? Billy spokojnie przyglądał się sprzeczce. Przeszedł na tył swojego wozu i gestem wskazał Cody'emu, żeby poszedł za nim.

- Ojciec też ma swoje prawa, wiesz? - Cody zatrzymał się obok Billy'ego i odwrócił, żeby obrzucić Heather groźnym spojrzeniem.

W tej właśnie chwili Billy wyciągnął pistolet i wałnął Cody'ego rękojeścią w głowę. Cody upadł na chodnik. Heather wypuściła powietrze i zbiegła po schodach.

- Co ty wyprawiasz? Chciałam tylko, żebyś z nim porozmawiał.

Billy włożył broń do kabury, a potem otworzył drzwi z tyłu radiowozu i wpackował Cody'ego do środka.

- Billy? - Heather podeszła bliżej. Phil podbiegł do niej i złapał ją za rękę.

- Wracaj do środka. Coś jest nie tak.

Billy błyskawicznym ruchem wyciągnął pistolet i strzelił Philowi w nogę.

Heather krzyknęła. Phil upadł na podjazd. Ze zranionej łydki płynęła krew.

- Co u diabła? - Fidelia wyrzała przez frontowe drzwi, po czym wyciągnęła pistolet z torebki.

- Mamusiu! - krzyknęła Bethany.

Fidelia wepchnęła ją do środka, upuściła torebkę i rozpaczliwie zaczęła walczyć z zabezpieczeniem na broni.

- Do środka! - syknął Phil z podjazdu.

Heather odwróciła się, ale się zawahała. Jak mogła zostawić Phila?

- Wsiadaj do samochodu. - Billy wskazał pistoletem otwarte drzwi radiowozu.

Zauważyła, że ma szklany wzrok. Szeryf wycelował pistolet w głowę Phila.

- Wsiadaj do samochodu. Phil zacisnął zęby.

- Nie rób tego.

Billy odbezpieczył broń.

- Poczekaj! Już wsiadam. - Zrobiła, jak jej kazał.

- Rzuć broń, frajerze! - krzyknęła Fidelia, celując prosto w Billy'ego ze swojego glocka.

Chwycił Phila i zasłonił się nim jak tarczą. Przesunął się na tył radiowozu, ciągnąc rannego ze sobą. Otworzył bagażnik i wepchnął go do środka. W chwili, gdy zatrząskiwał wieko, Fidelia wystrzeliła.

Pudło. Wystrzeliła znowu. Heather się schyliła. Fidelia fatalnie celowała.

Billy wskoczył za kierownicę i ruszył pędem przed siebie.

Heather podniosła się i zabębniła pięścią w szybę oddzielającą ją od szeryfa.

- Billy, obudź się! Louie cię kontroluje. Szeryf ani drgnął.

Wyrzała przez tylną szybę. Na środku podjazdu Fidelia próbowała powstrzymać płaczącą Bethany, która biegła za samochodem.

Heather przeszedł zimny dreszcz. Czyżby ostatni raz widziała swoją córkę? Nie, nie mogłaby tego znieść. Jean--Luc przyjdzie jej z pomocą. Słońce było już na linii horyzontu. Niedługo się obudzi.

Niestety, Louie też.

Rozdział 27

Heather uznała, że Billy musiał jechać jakieś dziesięć minut, zanim skręcił w starą zakurzoną drogę. Samochód kołysał się na wyschniętych koleinach, a ona próbowała przytrzymać Cody'ego, żeby nie spadł z siedzenia. Skrzywiła się na myśl o biednym rannym Philu objającym się w bagażniku.

Kilka razy usiłowała porozmawiać z Billym, pytała go nawet o Saszę, ale w ogóle nie reagował. Cody jęknął.

- Co się dzieje? - Potarł tył głowy i spojrzał gniewnie na Heather. - Uderzyłaś mnie?
- Nie. To Billy.
Rozejrzał się po radiowozie zdezorientowany.
- Jedziemy do więzienia?
- Chciałabym. - Więzienie było w mieście, w mieście byli ludzie.
Radiowóz wjechał na stary, zarosnięty zielskim dziedziniec. Otaczał go wiekowy kamienny mur, częściowo zapadnięty i pokruszony.
- Wygląda znajomo. - Osłoniła oczy przed ostrym światłem zachodzącego słońca. W oddali znajdowała się stara kamienna kaplica. Wstrzymała oddech. To musiało być miejsce, o którym śniła Fidelia.
Billy wysiadł, otworzył tylne drzwi i wycelował w nią pistolet.
- Z wozu!
Wysiadła bardzo powoli. Jej szansa na przeżycie znacznie wzrosła, jeśli dotrwa do zachodu słońca. Zaraz potem Jean-Luc z towarzyszami będą mogli przybyć jej z pomocą.
Z samochodu wygramolił się Cody.
- Billy, co ty, do diabła, wyprawiasz? Szeryf wskazał na kaplicę.
- Idźcie.
- Mój prawnik się z tobą skontaktuje - warknął Cody. Billy podniósł pistolet na wysokość jego twarzy.

- W porządku! Już idę. - Pomaszerował między chwastami.
- Zwolnij - szepnęła Heather. Zerknęła do tyłu na Billy'ego. Jego twarz wciąż niczego nie wyrażała.
Wreszcie sobie przypomniała to miejsce. Jako mała dziewczynka przyjechała tu z rodzicami na piknik. Szybko się stąd zabrali, bo matka bała się, że stary budynek się na nich zawali.
„Prowadzisz wojnę ze strachem”, napomniała się. Musi zachować spokój i poczekać, aż nadarzy się okazja.
- Kupa wspomnień, co, Billy? - Cody obejrzał się na szeryfa. - Pamiętasz, jak zabraliśmy tu te dwie czirliderki?
Billy nie odpowiedział.
- W czasach liceum to było nasze ulubione miejsce - wyjaśnił Heather Cody. - Billy cię tu nie przywoził?
- Nie. - To znaczy, że Billy musiał ją wtedy zdradzać. Nic dziwnego, skoro chodził z nią tylko po to, żeby być blisko Sashy.
- Billy, gdzie jest Sasha? Co z nią zrobiłeś?
- Sasha! - prychnął Cody. - Rany, ta to tutaj przyjeżdżała się obściskować co sobotę. Nigdy nie udało nam się do niej dopchać, co nie, Billy?
- Co ty wyprawiasz? - wyszeptła Heather.

- Próbuję mu przypomnieć, że jesteśmy starymi kumplami - syknął Cody.
- Przestał się z tobą przyjaźnić, kiedy się ze mną ożenił - przypomniała swojemu byłemu.
- O tak - odparł z pogardą. - To wszystko twoja wina. Dotarli do podwójnych drzwi kaplicy. Heather zerknęła na słońce. Wyglądało zza horyzontu, a jego ostatnie złote promienie przeświecały w przerwach między drzewami. Na zachodzie niebo było różowe, ale na wschodzie, gdzie zdążyło już pociemnieć, wschodził księżyc w pełni.
- Do środka - rozkazał Billy.
Cody pchnął prawe skrzydło, aż zakołysało się z głośnym skrzypnięciem. Weszli do środka. Heather przesunęła się, żeby zrobić miejsce szeryfowi, który wszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.
Powietrze wewnątrz było zimne i zatęchłe. Sufit wznosił się wysoko w górze. Fragment nad ołtarzem zapadł się, zostawiając dziurę, z której wylaniał się księżyc.
Na ołtarz składał się jedynie długi drewniany stół okaleczony przez lata nadużyć. Odwiedzający to miejsce wryli w nim swoje imiona. Nastoletni kochankowie powycinali serca z inicjałami. W jednym rogu stały obok siebie trzy grube świece.
Szyby w kaplicy były powybijane. Długie, łukowato zwieńczone okna służyły za wrota ptakom, które wlatywały tędy, żeby budować gniazda na wysokich krokwiach.
W nawie w pobliżu wejścia widać było stare schody prowadzące na przekrzywiony drewniany chór. Poniżej było ciemno. W cieniu pod schodami Heather zauważyła ruch.
W krąg przyćmionego światła weszła Sasha.
- Witajcie. - Miała szklany, nieobecny wzrok, skórę śmiertelnie bladą i sprawiała wrażenie szczuplejszej niż kiedykolwiek.
W Heather wezbrała fala gniewu. Louie się nią karmił. Nie tylko ją kontrolował, on ją zabijał!
- Sasha! - Podeszła do przyjaciółki. - Musisz z tym walczyć. On cię zabija.
Modelka zamrugnęła.
- On mnie kocha.
- Nie! Obudź się! - Heather wyciągnęła w jej stronę rękę, zamierzając porządnie potrząsnąć Sashą.
- Cofnij się. - Billy wycelował w nią pistolet. Zrobiła krok do tyłu.
- On kontroluje was oboje.
- Co u diabła?! - Cody odwrócił się do Heather. - Kto ich kontroluje?
- Louie - odparła Heather.
- Henry. - Sasha westchnęła z rozkoszą.
- Henry? - spytała Heather.
- Henry - powtórzył Billy niczym robot.

- Kim jest Henry? - spytał Cody.
- To Louie - wyjaśniła Heather.
- Jezu! - Cody pokręcił głową. - Wszystkim wam odbiło.
- Henry zjawiał się wczoraj w nocy, żeby zabrać mnie z więzienia - szepnęła Sasha. - Zabrał też Billy'ego.
- Kto to, do diabła, jest Henry? - powtórzył swoje pytanie Cody.
- To zabójca - wymamrotała Heather.
- Pod ścianę - rozkazał Billy.
Heather zaczęła się przesuwać bardzo powoli.
- Dlaczego ten Henry chce nas zabić? - spytał płaczliwie Cody. - Nie jestem mu winien żadnych pieniędzy.
Billy rzucił Cody'emu sznur.
- Zwiąż ją.
- Po co? Żebyście mogli nas zabić?! - krzyknął Cody. -Dlaczego miałbym robić, co mi każesz?
Billy wystrzelił. Kula uderzyła w płytę obok stopy Cody'ego, zamieniając kamień w chmurę żwiru.
- Dobra! - Cody pomaszzerował do Heather.
- Siadaj! - Billy wycelował w nią pistolet. Ostrożnie usiadła plecami do chropowatej kamiennej ściany. Serce jej waliło, krew dudniła w uszach. Cody ukucnął i związał jej kostki.
- Co, u diabła, ten Henry ma przeciwko nam?
- Chce mnie zabić.

- Cholera, powinienem był wiedzieć, że to twoja wina. - Cody owinął liną jej nadgarstki, po czym się wyprostował. - Ty głupia suko, przez ciebie zginę! Niech cię cholera! - Nagle zeszywniał i upadł na podłogę.
Jego ciało drgnęło i Cody znalazł się na czworakach.
- Jestem karaluchem! - Czmychnął w cień pod schodami.
- Zatrzymaj go! - wrzasnęła Sasha. Billy wystrzelił.
- Nie! - krzyknęła z płaczem Heather, napinając więzy.
- Jestem karaluchem! - zapiszczał Cody z cienia. Billy strzelił znowu. Od strony schodów dobiegł tupot stóp.
Cody wspinał się na stary chór. Heather się skrzywiła. To niebezpieczne. Choć rzecz jasna na dole wcale nie było bezpieczniej.
Z trudem odróżniła ciemny kształt Cody'ego, który przedzierał się przez podest. Billy wycelował i strzelił. Cody podskoczył i rzucił się w przeciwnym kierunku. Billy ponownie nacisnął spust pistoletu.
Heather patrzyła przerażona. To było jak strzelanie do kaczki w wesołym miasteczku.
I właśnie wtedy niesamowite wycie wypełniło kaplicę. Szeryf przestał strzelać i zaczął nasłuchiwać.
Heather wstrzymała oddech. Nigdy nie słyszała psa ani kojota, które wyłyby tak głośno. Dźwięk był ogłuszający. I musiało go z siebie wydać ogromne stworzenie.
- Co to było? - szepnęła Sasha.
- Nie wiem - odparł Billy. - Ale dochodziło z bliska. Heather podskoczyła, gdy usłyszała hałas na dziedzińcu. Brzmiało to, jakby coś rozdarło metal.
W kaplicy zrobiło się ciemniej. Musiało już zająć słońce. Jedyne źródło światła stanowiły gwiazdy i księżyc w pełni, który zaglądał przez dziurę w dachu.
Billy i Sasha zeszywnieli i odwrócili się do ołtarza.
- Pan się obudził - wyszeptała Sasha. Podbiegła do stołu, chwyciła pudełko zapalek i zapaliła świecę.
Billy położył pistolet na ołtarzu. Kawalek za stołem pochylił się i złapał za ogromną metalową obręcz w podłodze. Pociągnął i drewniane drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.
Z otworu w podłodze wyłoniła się, lewitując, postać w czerni, która uniosła się aż do dziury w suficie. Światło księżycy otoczyło ją niczym srebrna aureola. Heather nie widziała twarzy, ale czuła na sobie jej wzrok.
Podskoczyła, kiedy Billy zatrasnął drzwi do piwnicy.
Louie opuścił się na podłogę. Jego włosy nie były już dłużej białe, tylko czarne tak jak trencz, który miał na sobie. Heather uznała, że wygląda, jakby miał jakieś trzydzieści pięć lat, ale wiedziała, że liczy sobie pewnie ponad pięćset.
Billy i Sasha się skłonili.
- Panie.
- Przeprowadziłeś mi nową dziwkę Jeana-Luca - powiedział cicho Louie. - Bardzo dobrze. - Zerknął na chór. -I kolejnego śmiertelnika.
Cody pognał w cień.
- Dostarczy mi trochę rozrywki, zanim umrze. - Louie odwrócił się do Heather.
Przełknęła z trudem. Nigdy nie widziała tak zimnych i czarnych oczu. W jednym przerażającym momencie zdała sobie sprawę, że w wampirze nie pozostało już nic z człowieka. Zamienił się w potwora, który poluje na ludzi.
Podszedł do niej.
- Pozwól, że się przedstawię. Jestem Henri Lenoir. -Usta wygięły mu się w pozbawionym humoru uśmiechu. -Nie pożyczysz dość długo, żeby powiedzieć o tym Jeanowi--Lucowi. To będzie nasz mały sekret.

Zgięła nogi w kolanach, żeby ukryć ręce na podolku. Cody nie związał jej zbyt dobrze, więc może zdoła się uwolnić. Na razie najlepiej będzie, jeśli nakłoni Louiego, żeby mówił. Dzięki temu Jean-Luc i jego przyjaciele będą mieli szansę ją odnaleźć. A i ona zyska więcej czasu, żeby uwolnić ręce.

- Dlaczego tak nienawidzisz Jeana-Luca?

Louie zdjął czarne skórzane rękawice i schował do kieszeni trenca. Dłonie miał blade, paznokcie długie, pomalowane na czarno.

- Casimir zaproponował mi fortunę za zabicie Jeana-Luca. No i zajmę jego miejsce jako przywódca klanu Europy Zachodniej, kiedy Casimir przejmie władzę. Wspaniała nagroda za drobną przysługę. Ale najpierw sprawię, że Jean-Luc będzie cierpiał. To twoje zadanie. Ciebie zabiję za friko.

- A gdybym ci zapłaciła, żebyś mnie nie zabijał? Kąciki jego ust drgnęły.

- Zabawne z ciebie stworzenie, ale obawiam się, że cię na to nie stać. - Prześliznął się po niej wzrokiem. - Poza tym lubię zabijać kobiety.

Zakłuło ją w żołądku.

- Zamierzam zrobić to powoli. - Przysunął się bliżej. - Nie wyglądasz na przestraszoną.

Tego właśnie chciał? Zobaczyć, jak płacze i błaga? Oczywiście, że była przerażona, ale nie zamierzała sprawić mu przyjemności i tego okazać. Podniosła brodę wyżej i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Oczywiście będę się tobą pożywiał i gwałcił cię jednocześnie. To będzie dla Jeana-Luca większa zniewaga.

Żołądek jej się ścisnął i przełknęła z trudem, bo w gardle urosła jej gula. Dużo większą zniewagę gwałt stanowił dla niej, ale o to Louie najwyraźniej wcale nie dbał. Była dla niego tylko sposobem na zranienie Jeana-Luca. Poza tym nie miała żadnej wartości. Nie była kimś, z kim można by się układać.

- Umieram z głodu. - Podszedł z powrotem do ołtarza. - Muszę najpierw zaspokoić apetyt. Nie chciałbym przypadkiem zabić cię zbyt szybko.

Owładnęło ją poczucie nieuchronnego nieszczęścia. Nie była w stanie wymyślić drogi ucieczki. Zaczęła szarpać za więzy.

- Chodź, moja droga. - Louie wyciągnął dłoń w stronę Sashy.

Podbiegła do niego.

- Tak, panie.

Poprowadził modelkę do ołtarza i podciągnął jej rękaw. Heather skrzywiła się na widok punktowych ran.

Sasha ułożyła się na stole z głową tuż przy świecach. Louie pochylił się, żeby polizać wnętrze jej nadgarstka.

Heather odwróciła głowę, nie chcąc na to patrzeć. Ale gdy usłyszała syczący dźwięk, na moment zerknęła. Wypuściła gwałtownie powietrze. Louie obnażył kły, długie i ostre. Zatopił je w nadgarstku Sashy.

Heather zadrżała. Nie może pozwolić, żeby znalazł się blisko niej. Naprężyła więzy, krzywiąc się, gdy zaczęły się ocierać i ranić jej skórę. Teraz albo nigdy. Louie był zajęty jedzeniem, a Billy po prostu stał jak zombi.

Do kaplicy napłynęło donośne wycie.

Louie podniósł głowę, nasłuchując. Krew z jego kłów kapłała na bladą skórę Sashy.

Znow dało się słyszeć wilcze zawodzenie, tęskne i płaczące. Odbiło się echem wśród kamiennych ścian.

Wystraszone ptaki rzuciły się do ucieczki ze swych gniazd na krokwiach.

- Mamy towarzystwo. - Louie wziął pistolet ze stołu i wręczył go Billy'emu. - Przygotuj się.

- Tak, panie.

Wampir wrócił do Sashy, podniósł jej rękę i ukąsił.

Heather udało się wyswobodzić jedną dłoń. Hura! Poluzowała więzy na drugiej. Może jednak zdoła uciec.

I właśnie wtedy olbrzymi rozmazany kształt wpadł przez otwarte okno. Wylądował na podłodze kilka kroków od Heather. Zamarła, niezdolna oddychać.

Wielki, ciemny wilk z długim, kudłatym futrem. W gardle wibrował mu warkot.

Billy cofnął się, twarz mu pobladła.

Louie się wyprostował. Kły mu się schowały i wypuścił rękę Sashy. Opadła bezwładnie na stół. Dziewczyna sprawiała wrażenie nieprzytomnej.

Wilk odwrócił potężny łeb i popatrzył na Heather. Obnażył kły i zawarczał.

Wypuściła gwałtownie powietrze. Czerwone świecące oczy. Białe obnażone zęby. O Boże, to było niebezpieczeństwo ze snu Fidelii.

Albo powolutku zabije ją wampir, albo w mgnieniu oka rozszarpie wilk. Tak czy owak, wyglądało na to, że jej czas dobiegł końca.

Rozdział 28

Jean-Luc obudził się gwałtownie, kaszląc, gdy coś dziwnego przedostało mu się do gardła. Ktoś trzymał go za brodę, zmuszając, żeby otworzył usta. Odepchnął dłoń.

- Działa! - wykrzyknął kobiecy głos.

Próbował usiąść, ale zakręciło mu się w głowie. Chwyciły go silne ręce. Obraz miał rozmazany, zabarwiony na zielono. W ustach obrzydliwy smak. *Mon Dieu*, został Otruty. Próbował podnieść się z łóżka, ale ciało nie chciało go słuchać.

- Wszystko w porządku, Jean-Luc. - Silne ręce złapały go za ramiona. - Chwilę potrwa, zanim się przyzwyczaisz. Rozpoznał głos Iana, choć twarz Szkota wciąż była zielonkawa i rozmyta.

- Co ty zrobiłeś?

- Dałem ci trochę tej mikstury, która nie pozwala zasnąć. - Ian pokazał mu fiolkę z zielonym płynem. - Słońce jeszcze nie zaszło.

Wciąż był dzień? Obraz stał się wyraźniejszy i Jean-Luc dostrzegł Fidelie kręcącą się w drzwiach jego sypialni. Trzymała za rękę Bethany, której twarz znaczyły ślady łez. Serce mu się ścisnęło. To był jego najstraszniejszy lęk - coś złego się wydarzyło, kiedy on leżał bezsilny, zmorzony śmiertelnym snem.

- Co się stało? - Tym razem ciało posłuchało rozkazu i poruszyło się. Przesunął się na krawędź łóżka i zorientował, że wciąż jest nagi. - Odwróćcie małą.

Fidelia objęła Bethany, przytulając jej twarzyczkę do swojej bluzki, a tymczasem Jean-Luc pognął do garderoby.

- Mówcie, co się stało! - zawołał, ściągając bandaże. Rana postrzałowa zniknęła. Z wampirzą prędkością wciągnął jakieś spodnie i koszulę.

- Obudziłam Iana - powiedziała Fidelia. - Wiedziałam, że ma lekarstwo w swojej torebce...

- W sporraniu - mruknął Szkot.

- Więc wlałam mu trochę do gardła - ciągnęła niania. - Uznałam, że nie zrobi mu krzywdy. Już i tak był przecież martwy. Kiedy się ocknął, przyszliśmy tutaj, żeby obudzić pana.

- Gdzie jest Heather? - Jean-Luc włożył skarpetki i czarne buty. Serce mu się ścisnęło, kiedy się zorientował, że nie odpowiadają. Wybiegł z garderoby. - Gdzie jest Heather.

Bethany zaczęła płakać. Twarz Fidelii się wykrzywiła.

- Billy ją zabrał. Myślę, że Louie go kontroluje. Serce Jeana-Luca skoczyło do gardła. Boże, nie. Jego najgorsza obawa. Ale przynajmniej wciąż był dzień. Lui nadal był martwy, więc przez chwilę jeszcze Heather nic nie groziło. Złapał pas ze skórzaną pochwą i zapiął na biodrach.

- Ile czasu minęło?

- Jakies dziesięć minut. - Fidelia pokręciła głową. - Nie wiedziałam, co robić. Chciałam pojechać za nimi pańskim samochodem, ale nie miałam kluczyków. No i nie mogłam zostawić Bethany samej, a Ian leżał bez życia na podłodze...

- Dobrze pani postąpiła. - Jean-Luc wybrał najlepszą szpadę i wsunął ją do pochwy. - Gdzie Phil?

- Billy go postrzelił i zapakował do bagażnika radiowozu.

- W porządku. - Jean-Luc wyszedł do Fidelii na korytarz. - Ian, jeśli masz jeszcze ten specyfik, obudź Robby'ego i Phineasa.

- *Aye*. - Ian popędził do pokoju strażników.

- Musi ją pan ocalić - szepnęła Fidelia.

- Ocale. - Położył jej rękę na ramieniu. - Postąpiła pani, jak należy.

Fidelia zwiesiła głowę.

- Zaważyłam sprawę. Strzelałam do Billy'ego, ale spudłowałam.

- Ja chcę do mamy! - zawyła Bethany.

- Sprowadzę ją do domu, *cherie*. Nic jej nie będzie. - Sam chciał w to wierzyć.

Bethany zarzuciła mu rękę na szyję. Kiedy zorientował się, że nie zamierza go puścić, posadził ją sobie na prawym biodrze.

- Proszę. - Ruszył w głąb korytarza do kuchni w piwnicy. - Powiedziała pani, że Billy zabrał ją jakieś dziesięć minut temu?

- Tak. - Fidelia poszła za nim.

- Ile czasu zostało do zachodu słońca? - Wszedł do kuchni. Pomieszczenie było niewielkie, znajdowała się tu lodówka, mikrofalówka, niewielka zmywarka i szafka ze szklankami.

- Nie wiem. - Fidelia zatrzymała się w drzwiach. - Może jakieś pięć minut?

- To znaczy, że Billy potrzebował piętnastu minut, żeby zabrać ją do Luiego. - Jean-Luc wyjął cztery butelki syntetycznej krwi z lodówki. - Kryjówka musi być blisko. - Posadził Bethany na blacie, żeby odkręcić butelki.

- Tak przypuszczam. - Fidelia wzięła jedną, żeby mu pomóc.

Włożył wszystkie cztery do mikrofalówki i włączył urządzenie.

- Widziała pani, w którą stronę pojechał Billy.

- Ja widziałam! - Bethany podniosła rękę. - Jechał po podjeździe.

- Znakomicie. - Poglądził ją po głowie.

- Skręcili na autostradę i pojechali na południe - powiedziała Fidelia. - Tej nocy śnił mi się stary kościół z kamienia. Myślę, że tam ją zabrali.

- Gdzie to jest? - Jean-Luc wyjął butelki z mikrofalówki i napił się ciepłej krwi.

- Gdzieś za miastem. - Oparła się o framugę, marszcząc brwi. - Co jest na południe stąd? - Nagle się wyprostowała. - Niedaleko jest stara hiszpańska misja. Zaledwie jakieś dziesięć minut jazdy autostradą.

Robby, Ian i Phineas stanęli przy drzwiach. Wszyscy ubrani i uzbrojeni.

- Znamy lokalizację. - Jean-Luc wręczył im po butelce. - Hiszpańska misja, około piętnastu kilometrów na południe.

- Dobrze. - Robby odwrócił się do Phineasa. - Zostaniesz tutaj z paniami.

- Oj, daj spokój, stary. - Phineas się skrzywił. - Chcę wziąć udział w prawdziwej walce.

- I może się okazać, że weźmiesz, jeśli Lui wróci tu po więcej ofiar - mruknął Robby. - Może ci się trafić poważniejsza robota, niż myślisz.

- Poradzę sobie - pokiwał głową Phineas. - Niech się tylko frajer pokaże. Pozałuje, że kiedykolwiek wszedł mi w drogę.

- Phineas. - Robby popatrzył na niego surowo. - Jeśli się tu zjawi, pierwsza rzecz, jaką masz zrobić, to wysłać nam telepatycznie wiadomość. Natychmiast się tu teleportujemy.

- Okej. - Phineas podniósł butelkę z krwią i opróżnił ją jednym haustem. Otarł usta wierzchem dłoni. - Będę bronił kobiet do upadłego.

- A ja mam swoje pistolety - dodała Fidelia. - Damy sobie radę.

- Idziemy. - Jean-Luc wstawił pustą butelkę do zlewu i wziął z powrotem Bethany na rękę.

Wyszli na korytarz, dotarli do schodów i wspięli się na parter.

- Weźmiemy samochód. - Jean-Luc zatrzymał się obok pomieszczenia ochrony.

- Moglibyśmy tam równie szybko pobiec - zaproponował Ian.

- Jean-Luc ma rację. - Robby otworzył drzwi i zdjął kluczyki z haczyka. - Musimy oszczędzać energię.

- Może pani sprawdzić, jak wysoko jest słońce? - poprosił Jean-Luc Fidelie.

- Pewnie. - Podbiegła do okna obok wejścia.

- Jeszcze nie zaszło - mruknął Ian. - Wyczuwam to. Fidelia wyjrzała przez żaluzje.

- Został tylko srebrny pas nad horyzontem.

- W porządku. - Jean-Luc podał Bethany Phineasowi. - On się tobą zajmie, dopóki nie sprowadzę twojej mamy.

Bethany skinęła głową.

Jean-Luc cofnął się i wyciągnął szpadę. Rozgrzał się, robiąc kilka pchnięć i wypadów. Serce zaczęło mu walić, ale nie od ćwiczeń. Nie mógł sobie pozwolić na myślenie o tym, jak przerażona musiała być Heather, bo to sprawiało, że w gardle rosła mu gęsia skóra. Lui był prawdziwym popa-prańcem, więc na pewno zechce jej poświęcić trochę czasu. Mikstura Romana dała im kilka cennych minut, żeby się przygotować, i ten czas mógł stanowić różnicę.

Robby wyszedł z pomieszczenia ochrony z dodatkowym mieczem w dłoni.

- Będziemy musieli sprawdzić, czy w samochodzie nie ma bomby. Ja zajrzę pod karoserię, a ty, Ian, pod maskę.

- Aye. - Ian zacisnął paski przy pochwie claymore'a na plecach.

- Czy to prawda - spytał Robby - że szeryf wrzucił Phila do bagażnika?

- Tak. - Fidelia nadal wyglądała przez okno. - Obawiam się, że na nic wam się nie przyda. Został postrzelony w nogę.

Robby wymienił spojrzenie z Ianem.

- Dziś jest pełnia, Ian pokiwał głową.

- I dobrze. To nam daje kolejną przewagę.

- Jaką przewagę? - Jean-Luc schował szpadę do pochwy.

- Słońce zaszło! - Fidelia otworzyła drzwi na oścież. -Do dzieła!

- Kluczyki! - Jean-Luc złapał je i popędził na zewnątrz razem z Robbym i Ianem. Usiadł za kierownicą i w tej samej sekundzie, kiedy powiedzieli mu, że jest bezpiecznie, uruchomił silnik. Robby i Ian wskoczyli do środka, a Jean-Luc wcisnął gaz do dechy. Na autostradzie skręcili na południe i jeszcze przyspieszyli.

Po kilku minutach Robby podniósł dłoń.

- Zjedź na pobocze!

- Dlaczego? - Jean-Luc skręcił gwałtownie i nacisnął hamulec.

- Posłuchaj - szepnął Robby

Jean-Luc usłyszał dziwne wycie dochodzące z południa.

- Co to?

- Celujemy w to miejsce i teleportujemy się - zarządził Robby. Razem z Ianem zamigotali i znikli.

Jean-Luc wyciągnął kluczyki ze stacyjki i skoncentrował się na dźwięku. Wszystko wokół stało się czarne.

To nie był zwykły wilk. Heather nigdy wcześniej nie widziała żadnego z bliska, ale wiedziała, że wilki nie mają świecących na czerwono oczu. No i był też większy.

Billy podniósł broń i wycelował.

- Czekaj. - Louie uniósł rękę. - Możemy go zabić później. Chcę zobaczyć, czy przypadkiem najpierw nie zatopi w niej kłów.

Heather przełknęła ślinę. Te szczęki sprawiały wrażenie niewiarygodnie silnych. A zęby... bardzo ostrych. Wilk ruszył w jej stronę. Przyłgnęła do ściany.

Utykał, oszczędzał tylną łapę. Futro miał zmierzwiłe, posklejane czymś ciemnym i błyszczącym. Idąc, zostawiał na podłodze krwawy ślad.

Heather zadrżała mu w oczu. Blask zgasł, a czerwień zamieniła się w błady niebieski. Zwierzę zatrzymało się przed nią i przechyliło łeb, jakby się jej uważnie przyglądało. Może i tak było. Oczy sprawiały wrażenie inteligentnych. I wydawały się znajome.

Wilk podszedł jeszcze bliżej, trzymając pysk nad jej wyciągniętymi kolanami.

- Nie - wydyszała z trudem, podnosząc rękę, żeby go powstrzymać.

Zwierzę pochyliło się i polizało jej dłoń.

Gwałtownie wypuszczając powietrze, zamknęła ją. Jej mózg pracował na pełnych obrotach. Zraniona noga. Odgłos rozrywanego metalu. Wyczuwanie nosem bomb. Znajome oczy.

- Phil? - szepnęła. Wilk zaskomlał.

- Mój Boże. - Zamknęła na moment oczy, czując, że wzbierają w nich gorące łzy. Nie była sama. Phil był tu, żeby ją chronić.

Louie westchnął.

- Co za rozczarowująca bestia. Billy zastrzelił to zwierzę. Billy uniósł pistolet.

Phil okręcił się, warcząc. Ruszył do ataku.

Szeryf pociągnął za spust, ale nic się nie stało. Cofnął się, gorączkowo naciskając wciąż cyngiel.

Phil powalił go i zatopił zęby w jego rękę.

Heather się skrzywiła. Nie chciała, żeby Billy umierał.

W kaplicy rozległo się donośne wycie. Phil przygwoździł Billy'ego do podłogi i sprawiał wrażenie, jakby cieszył się tym zwycięstwem. Odrzucił olbrzymi łeb do tyłu i zawył znowu.

- Przekłeta kreatura. - Louie okrążył ołtarz, rozpinając długi czarny płaszcz. - Sam się nią zajmę. - Ściągnął trenz i rzucił go na stół, przykrywając Saszę.

I właśnie wtedy dwa kształty zamigotały przed oczami Heather, po czym przybrały stabilną formę. Krzyknęła z ulgą. Robby już trzymał miecz w dłoni, łan wyciągał swojego claymore'a.

Pojawił się trzeci kształt.

- Jean-Luc! - krzyknęła płaczliwie Heather. Zerknął na nią.

- Dzięki Bogu. - Wyciągnął szpadę i zauważył Louiego przy ołtarzu. Ruszył w jego stronę. - Skończmy to wreszcie.

Louie uśmiechnął się szyderczo.

- Zgoda. - Zniknął.

- Nie!-wykrzyknął Jean-Luc.

Nagle Louie pojawił się obok Heather. Lewą ręką złapał ją za ramię. Dobry Boże, zamierzał się z nią teleportować!

Sztylet zawirował w powietrzu i zanim upadł na ziemię, ciał rękę Louiego. Wampir krzyknął i wypuścił Heather.

Złapała sztylet i rzuciła się do ucieczki. Musiał należeć do Robby'ego albo lana. Przecięła linę, którą miała związane kostki.

Ciepły nos trącił ją w ramię i podskoczyła.

- Ach, to ty. - Phil usiadł obok. Jej osobisty strażnik powrócił. - Dobry piesek.

- Robby, miecz! - wykrzyknął Jean-Luc. Upuścił szpadę i kopnął ją w stronę Heather, a sam chwycił miecz, który rzucił mu Robby.

Heather skoczyła po szpadę i zamarła, gdy zobaczyła, że Jean-Luc okrąży Louiego. Boże, to było to. Ostateczna rozgrywka. Louie trzymał w dłoni potężny pałasz. Nic dziwnego, że Jean-Luc porzucił szpadę.

Louie zaatakował i zrobił zamach, tak że ostrze ze świstem minęło żołądek Jeana-Luca.

- Pudło. - Jean-Luc podskoczył i pofrunął w stronę sufitu.

Louie poleciał za nim. Jean-Luc uderzył w miecz Louiego z taką siłą, że przeciwnik obrócił się w powietrzu i poleciał do tyłu. Walnął o krokiew, a potem spadł na podłogę.

Jean-Luc wylądował obok jego bezwładnego ciała. Uniósł miecz, żeby zadać śmiertelny cios, ale Louie nagle się okręcił i pchnął do góry.

Jean-Luc odskoczył. Koszulę miał rozdartą, a cienka czerwona linia znaczyła jego bladą skórę. Koniec miecza Louiego zostawił na nim znak.

Louie podniósł się, uśmiechając.

- Jesteś żaloszny. Mam już dość zabawy z tobą. Jean-Luc zaatakował. Miecze uderzyły o siebie znowu, a potem jeszcze raz. Heather zerknęła na Robby'ego i lana. Na pewno nie pozwolą Louiemu wygrać, łan czekał nieopodal z claymore'em w dłoni.

Robby wyciągnął miecz z pochwy na plecach. Podszedł do Billy'ego i położył mu dłoń na czole.

Wzrok Heather przeskakiwał z jednego miejsca w drugie. W uszach jej dzwoniło od nieustannego szczęknięcia broni. Obaj, Jean-Luc i Louie, ciężko teraz dyszeli.

Billy zeszytywniał i odsunął się od Robby'ego. Rozejrzał się dokoła, po czym przycisnął zranioną rękę do piersi. Napotkał wzrok Heather.

- Co ja narobiłem. Tak mi przykro.

- Heather, ruszaj się! - wrzasnął do niej Jean-Luc. Ruszyć się? Ale dokąd? Raptem zorientowała się, co się dzieje. Jean-Luc prowadził Louiego w jej stronę. Rzuciła się do ucieczki i Robby ją złapał.

Jean-Luc wciąż zmuszał przeciwnika do odwrotu. Phil siedział cicho, nieruchomo. Kiedy Louie znalazł się kilka kroków przed nim, wilk wydał z siebie przeraźliwy skowyt.

Louie podskoczył i obejrzał się do tyłu. W tym momencie Jean-Luc pchnął go w serce. Wampir zrobił się cały szary i zamienił się w kupkę prochu na podłodze.

Jean-Luc cofnął się, opuszczając miecz. Zamknął oczy i pozwolił, żeby broń ze szczękiem upadła na podłogę.

- To koniec - wyszeptał. Odwrócił się do Heather. - Jesteśmy wolni.

Płacząc, podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Objął ją mocno.

- To koniec - szepnęła. - To koniec. Pocałował ją w czoło.

- Jesteś wolna. Jeśli chcesz, możesz teraz wrócić do starego życia.

Ujęła jego twarz w obie ręce.

- Chcę nowego życia z tobą.

- To też da się zrobić. - Przycisnął ją do siebie. - Tego się najbardziej obawiałem. Że się obudzę i okaże się, że jesteś w niebezpieczeństwie.

- Jestem cała i zdrowa - szepnęła. - Zabiłeś go. Louie nigdy więcej nie będzie cię dręczył.

Robby podszedł, żeby zabrać swój miecz.

- Dobra robota, Jean-Luc. Echarpe rozejrzał się po kaplicy.

- Nikomu nic się nie stało?

Sasha zajęczała. Spróbowała się podnieść, ale z powrotem opadła na stół.

- Sasha! - Billy podbiegł do niej. - Dzięki Bogu, że jesteś cała.

- Billy. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nigdy nie zamierzałam nikogo skrzywdzić. Proszę, uwierz mi.

- Wierzę ci. - Ujął jej dłoń. - Mnie też kontrolował. To było straszne. Walczyłem z tym, ale nic nie mogłem zrobić. -

Ucałował jej rękę.

- Wszystko pamięta - szepnął Robby. - Uwolniłem go od kontroli Luiego, ale nie wyczyściłem mu pamięci.

Jean-Luc pokiwał głową.

- To pewnie najlepsze rozwiązanie. Trudno byłoby to wszystko wyjaśnić.

- Sasha straciła za dużo krwi - szepnęła Heather.

- Będziemy znów musieli wezwać doktora Lee - powiedział Jean-Luc. - Zrobi jej transfuzję.

- Nie zamieni się w wampira? - spytała Heather.

- *Nay* - odparł Robby. - Wyjdzie z tego. Lui nie wydrenował jej całkowicie. Mam nadzieję, że doktor Lee będzie też w stanie wyciągnąć kulę Philowi.

Jean-Luc spojrzał na wilkołaka.

- Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? Robby wzruszył ramionami.

- Tajemnica firmy.

- Ilu jest ludzi takich jak on? - zagadnęła Heather. Usta Robby'ego drgnęły.

- Gdybym pani powiedział, to już nie byłaby tajemnica.

- Ugryzł Billy'ego - przypomniała sobie Heather. Uśmiech Robby'ego zbladł.

- Niech to szlag - szepnął Ian. Obrzucił Billy'ego zmartwionym spojrzeniem.

- O nie. - Heather gwałtownie wciągnęła powietrze. - Czy to jest zaraźliwe?

Robby przytaknął.

- *Aye*.

Heather się skrzywiła. Biedny Billy. Zerknęła na ołtarz. Szeryf siedział na stole, trzymając w ramionach Saszę. No cóż, przynajmniej w końcu zdobył dziewczynę, o której marzył. Miejmy nadzieję, że Sasha nie będzie miała nic przeciwko chłopakowi, który od czasu do czasu będzie porastał futrem.

- Później mu o tym powiem - stwierdził Robby. - Ian, idź i teleportuj ich do domu. I zadzwoń po doktora Lee.

- Dobra. - Ian podszedł do pary rannych i niebawem wszyscy zniknęli.

Heather chciała się przyjrzeć ranie Jeana-Luca.

- Ciebie też musi obejrzeć doktor Lee. Wzruszył ramionami.

- To tylko draśnięcie. Prychnęła.

- To draśnięcie omal nie przyprawiło mnie o atak serca. Musisz przestać przynosić co noc nowe rany.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jesteś urocza, kiedy się tak rządysz. - Przyciągnął ją bliżej i szepnął jej do ucha: - Będziemy musieli poszukać jakichś nowych pozycji, żeby nie urazić mojej rany.

Roześmiała się.

Robby podszedł do ołtarza i zdmuchnął świece.

- Teleportuję się razem z Philem i po sprawie. - Zerknął na chór. - Czy tam ktoś jest? Wydawało mi się, że coś słyszę.

- Pewnie małą teksaską myszkę. - Jean-Luc potarł nosem szyję Heather.

- Jestem karaluchem. Heather wypuściła powietrze.

- Cody! Zapomniałam o nim. Jean-Luc zmarszczył brwi.

- Kusi mnie, żeby go tam zostawić.

- Nie - zaprotestowała Heather. - Bardzo się przydał. Billy wystrzelał wszystkie naboje, kiedy do niego celował, i w ten przedziwny sposób Cody ocalił życie Philowi.

- W porządku, uwolnię go. - Jean-Luc podszedł do chóru i wznosił się w powietrze. - Karaluchu.

- Tak, panie!

Jean-Luc przez kilka minut kręcił się w powietrzu, po czym opuścił się na podłogę.

- Gotowe.

- Co u diabła?! - wrzasnął Cody. - Jak się tu dostałem? Jean-Luc przygarnął Heather do siebie.

Pewna mała dziewczynka bardzo się ucieszy na twój widok

Do oczu Heather napłynęły łzy.

- Dziękuję. Cody zlął z chóru.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Zdaje się, że na zewnątrz znajdzie pan samochód szeryfa - powiedział Robby. - Sugeruję, żeby zabrał go pan do miasta.

Cody zauważył olbrzymiego wilka i tyłem wycofał się do drzwi.

- Wariaci! - Wybiegł z kaplicy. Robby zachichotał.

- Chodź, Phil. Zabiorę cię do domu. - Zatrzymał się w pół kroku. - Och, ty niegrzeczna bestio.

Heather się skrzywiła. Podniósłszy łapę, Phil obsikiwał kupkę prochu, która kiedyś była Louiem.

- Fuj. - Jak kiedykolwiek będzie mogła spojrzeć mu w twarz?

Phil skończył, usiadł i uśmiechnął się do nich po wilczemu, wywieszając długi język.

Parskając śmiechem, Robby objął futrzaną bestię. Zniknęli.

- Nasza kolej. - Jean-Luc pogładził Heather po plecach. - Pamiętasz, jak to się robi? Mocno mnie obejmujesz.

- Pamiętam. - Zrzuciła mu rękę na szyję. Usta mu drgnęły.

- A potem mnie całujesz.

- Oczywiście. - Przycisnęła usta do jego ust i pozwoliła, żeby świat zniknął.

Epilog

Trzy tygodnie później...

Wracając ze ślubu do domu, Heather zdała sobie sprawę, że odtąd będzie prowadzić podwójne życie. Życie w dwóch światach oznaczało, że potrzebne były dwa przyjęcia weselne.

Zarówno śmiertelnicy, jak i wampiry wzięli udział w kameralnej ceremonii ślubnej w kościele Heather. I gdy wampy dyskretnie się oddaliły, śmiertelni przyjaciele panny młodej zgromadzili się w sali parafialnej na weselne ciasto i poncz.

Jean-Luc szczęśliwie umieścił kawałek ślubnego tortu w ustach Heather, ona jednak celowo spudłowała i rozsmarowała mu masę na policzku. Wszyscy się śmiali i nikt nie zauważył, że Jean-Luc w efekcie w ogóle nie zjadł ciasta. A potem Heather rzuciła bukiet przez ramię.

- Mam go! - Coach Gunter złapał kwiaty i uniósł do góry obie ręce w geście oznaczającym zwycięstwo.

Heather i Jean-Luc wyszli wcześniej i wsiedli do limuzyny zaparkowanej przed kościołem. Przyjaciele myśleli, że spieszą na samolot, ale na nich czekało drugie przyjęcie - tym razem dla wampirów - które miało się odbyć w pracowni.

Heather świetnie rozumiała, że wampiry chcą się bawić we własnym gronie. Jak inaczej mogłyby pić bubbly blood i tańczyć tak archaiczne tańce jak menuet? Właściwie to Heather z niecierpliwością czekała na tańce. Przez ostatnie tygodnie Jean-Luc uczył ją kroków, kiedy nie był zajęty kochaniem się z nią i pilnowaniem postępów w szyciu ślubnej sukni.

Wyglądała jedwab w kolorze kości słoniowej, starając się nie pognieść spódnicy na tylnym siedzeniu limuzyny.

- To najpiękniejsza suknia ślubna na świecie.

- Dla najpiękniejszej na świecie panny młodej. - Jean-Luc pocałował ją w policzek i musnął w ucho. - Zamierzam cię niewolić dzisiaj całą noc.

- Cśś. - Heather nie chciała, żeby usłyszała to jej córeczka.

Bethany była zajęta otwieraniem i zamykaniem wszystkich szafek w limuzynie. Wyglądała przeuroczo w niebieskiej sukience dla drużyny, którą uszyła dla niej Heather.

Fidelia, starsza drużyna, zajęła miejsce przy oknie za szoferem. Zapukała w szybę.

- *Hola*, Roberto. Samochód przyspieszył.

Heather zachichotała. Biedny Robby.

Zatrzymali się przed pracownią Jeana-Luca - ich domem, poprawiła się Heather. Robby otworzył drzwiczki, żeby mogli wysiąść. Fidelia narobiła zamieszania, żeby długi tren sukni Heather wyglądał idealnie.

- Gotowa? - Jean-Luc ujął ją za rękę.

- Tak. - Weszła razem z nim po schodach, Robby zaś otworzył drzwi.

W magazynie było jasno, w wypolerowanym marmurze odbijało się światło. Na przyjęcie salę opróżniono z mebli i ubrań. Pod ścianami stały okrągłe stoły, przykryte białymi obrusami i przybrane bukietaми kwiatów. Dla kilkorga obecnych śmiertelników przygotowano niewielki bufet z prawdziwym jedzeniem, ponczem i szampanem, ale obok niego stał też drugi stół zastawiony kieliszkami do szampana i butelkami bubbly blood chłodzącymi się w kubkach z lodem.

Środek sali zostawiono pusty na tańce. Teleportowany z Nowego Jorku zespół o nazwie High Voltage Vamp zajął miejsce na pomoście u góry. Zwieszały się stamtąd kaskady woali i kwiatów, napełniając powietrze zapachem róż i gardenii.

Wszystko to nie stanowiło dla Heather niespodzianki, bo pomagała przy planowaniu przyjęcia i dekorowaniu sali, a mimo to, gdy patrzyła teraz na wystrój, czuła dreszcz podniecenia. Wyszło idealnie.

Wampiry ustawiły się w kolejce, żeby złożyć życzenia. Heather martwiła się, że mogą jej nie zaakceptować, i ta obawa teraz się rozwiązała. Pierwsi byli Angus i Emma MacKayowie, którzy mocno ją uściskali. Powiedzieli, że razem z Jeanem-Lukiem

mogą korzystać z ich zamku w Szkocji, kiedy tylko będą mieli na to ochotę. Następny był przystojny Włoch o imieniu Giacomo. Ucałował ją w oba policzki i zaprosił do swojego *palazzo* w Wenecji. Przybyło także kilku innych członków klanu Europy Zachodniej.

- Widzę, że Simone i Inga nie dotarły - szepnęła Heather do Jeana-Luca. Obie modelki teleportowały się do Paryża zaraz po pokazie.

Uśmiechnął się.

- Jaka szkoda.

- Udało ci się dowiedzieć, dokąd Simone wymykała się nocami?

Jean-Luc przytaknął, wciąż się uśmiechając.

- Nie uwierzysz. Chodziła na połów.

- Łowiła mężczyzn? Wybuchnął śmiechem.

- Nie, ryby. W rzece. Najwyraźniej lubi ryby, ale nie chce się do tego przyznać.

- Dziwne. - Heather doszła do wniosku, że Simone lubi zakładać robaki na haczyk. Nagle ktoś chwycił ją w objęcia.

- Tak się cieszę! - Shanna Draganesti uściskała ją, a potem zrobiła krok do tyłu. - Nigdy nie widziałam, żeby Jean-Luc był tak szczęśliwy. To twoje dzieło.

Heather poczuła, że do jej oczu cisną się łzy. Ona też nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

- A gdzie twój synek?

- Zostawiłam go z twoją córeczką i Fidelia. - Shanna wskazała na ich stolik. - Był głodny, a Fidelia jest tak kochana, że naszykowała mu cały talerz jedzenia. Żartownisia z niej.

Heather się uśmiechnęła.

- O tak.

- O matko. - Shanna pokręciła głową. - Znowu się zaczyna.

Heather opadła szczęką. Constantine wznosił się do sufitu. Zachwycona Bethany piszczała.

- Popisuje się - mruknęła Shanna. - Uwielbia być w centrum uwagi.

Heather przycisnęła rękę do piersi.

- Ale on... jest śmiertelny.

- Tylko że ma tatusia wampira. - Shanna uśmiechnęła się do męża.

Heather odwróciła się do Jeana-Luca.

- Wiedziałeś o tym?

Spoglądał na Constantine'a osłupiały.

- Nie. Słyszałem, że nasze DNA nieco się różni, ale nie zdawałem sobie sprawy...

- Ojej! - Shanna popatrzyła na nich zmartwiona. - Mam nadzieję, że to was nie zniechęci. Constantine to kochane, cudowne dziecko.

- Nie wątpię. - Heather patrzyła, jak malec opada na krzesło. Zaśmiewał się razem z Bethany. - Potrafi coś jeszcze?

- Wygląda na to, że jego główne zdolności wiążą się z uzdrawianiem - wyjaśnił Roman. - Każdy, kto się z nim styka, czuje się potem lepiej.

- Och. - No cóż, to nie było takie złe. Heather patrzyła, jak chłopczyk wpycha sobie do ust krakersy.

- Constantine jest tak wyjątkowy, że zdecydowaliśmy się na jeszcze jedno dziecko. - Shanna uśmiechnęła się szeroko. - I już się spodziewamy!

- O mój Boże! - Heather ją przytuliła. - To cudownie!

- Gratulacje, *mon ami*. - Jean-Luc poklepał Romana po ramieniu.

Roman się uśmiechnął. Bardzo dobrze wyglądał w smokingu od Echarpe'a, który Jean-Luc dał mu w prezencie jako drużbie.

- Jestem z ciebie dumny, Jean-Luc. Przeszedłeś długą drogę. - Rzucił Heather kpiące spojrzenie. - Mówił ci, że to ja nauczyłem go czytać i pisać?

- Nie. - Heather objęła dłońmi rękę Jeana-Luca i oparła się o jego ramię.

- A ja nauczyłem Romana walczyć - powiedział Jean-Luc. - Był opornym uczniem.

Roman prychnął.

- Byłem przeciwny zabijaniu. Moim celem zawsze będzie ratowanie życia.

- Czyż nie jest cudowny? - Shanna uściskała męża. - Mam więcej nowin. W końcu postanowiłam się poddać przemianie. Pewnie za jakieś dziesięć lat. Chcę, żeby dzieci były na tyle duże, żeby sobie z tym poradzić.

- Słucham? - Heather nie była pewna, co to znaczy.

- Shanna zgodziła się zostać wampirem - powiedział cicho Roman.

Serce Heather gwałtownie podskoczyło do gardła. Puściła rękę Jeana-Luca.

- Och! Gra... gratulacje. - Dobry Boże, ta kobieta chciała zostać wampirem!

Roman i Shanna poszli sprawdzić, jak sobie radzi ich syn. Resztę życzeń Heather przyjęła w oszołomieniu.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła Jean-Luc. - Chcesz usiąść? Wyglądasz blado.

- Ja... lepiej usiądę.

Jean-Luc zaprowadził ją do zarezerwowanego dla nich stolika, a potem z wampirzą prędkością skoczył po talerz smakołyków i szklankę ponczu.

- Nie wiedziałem, na co miałabyś ochotę. - Postawił przed nią jedzenie.

- W porządku, dziękuję. - Włożyła do ust winogrono. Usiadł obok niej.

- Wstrząsnęło tobą to, co powiedziała Shanna.

- Tak. Nigdy nie myślałam, że istnieje też inna... możliwość. Mogę zrozumieć, że chce być z mężem na zawsze, ale będzie musiała poświęcić dni spędzane z dziećmi.

- Wiem. - Jean-Luc wziął ją za rękę. - Nigdy bym cię o to nie poprosił.

- Ale masz nadzieję.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Nie wybiegajmy myślą za daleko w przyszłość. Uśmiechnęła się.

- Chciałabym mieć z tobą dzieci. Nawet jeśli miałyby fruwać po pokoju.

Ścisnął jej dłoń.

- To dobrze. Bo chcę więcej małych dziewczynek, które będą wyglądały jak ich *maman*.

Zmierzwiała mu włosy.

- A ja chcę chłopczyka, który będzie wyglądał jak jego ojciec.

Pochylił się i ją pocałował. Przeszkodził im nagły błysk.

- Mam was! - Szeroko uśmiechnięty Gregori trzymał aparat cyfrowy.

Zaczęto grać walca.

- Pierwszy taniec. - Jean-Luc wstał i wyciągnął dłoń. -Chciałbym go zatańczyć ze swoją żoną.

Heather podniosła się i dała zaprowadzić na parkiet. Goście zaczęli klaskać. Miała nadzieję, że się nie potknie i nie upadnie przed nimi na twarz.

Muzyka zwolniła.

- Nie będzie walca? - spytała Heather.

- Walca zatańczymy później. - Dłonie Jean-Luca ześliznęły się do jej talii. - Teraz chcę cię mieć blisko.

- Brzmi nieźle. - Otoczyła rękami jego szyję. Kołysali się łagodnie w rytm muzyki.

Jean-Luc pocałował ją w czoło i przytulił policzek do jej skroni.

- Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Z westchnieniem zamknęła oczy.

- Ja też cię kocham. Zacieśnił uścisk.

- Od teraz będziemy razem walczyć z naszymi lękami.

- Tak.

- Boisz się wysokości, *chérie*?

- Troszeczkę. Dlaczego pytasz?

- Otwórz oczy - poprosił. Otworzyła.

- O Boże!

- Popatrzcie! Mama fruwa! - Bethany wstała z palcem wycelowanym w powietrze.

Heather mocniej objęła go za szyję. Unosili się pod sufit, łagodnie wirując. Długi tren sukni płynął w powietrzu.

- Jean-Luc - szepnęła bez tchu. - Ty łobuzie.

Zachichotał.

- Zostań ze mną, *chérie*. Zabiorę cię w miejsca, o których nigdy nie śniłaś.

Podziękowania

Kolejna książka ukończona, a ja wciąż jestem przy w miarę zdrowych zmysłach! Dziękuję wszystkim, którzy trwali przy mnie z miłością i wsparciem: mężowi i dzieciom, rodzicom i kolegom po piórze - Vicky, MJ, Sandy i Vicky. Dziękuję zaprzyjaźnionym pisarzom z PASIC i z houstonńskiej sekcji RWA. Serdeczne wyrazy wdzięczności składam wreszcie wszystkim czytelnikom. Wasze listy i e-maile to prawdziwe skarby, które gromadzę na czarną godzinę. Wielkie dzięki! Obyście stali się bohaterami i bohaterkami w prawdziwym życiu!